

M A R T A K I S I E L

# NOMEN OMENI



Marta Kisiel

# NOMEN OMEN



Copyright © by Marta Kisiel, MMXIX  
Wydanie II  
Warszawa, MMXIX



# Spis treści

Prolog

Rozdział 1, w którym na scenę wpada z rozpędu główna bohaterka, celując mniej więcej w Madagaskar

Rozdział 2, w którym Salka w zasadzie dociera do celu

Rozdział 3, w którym Salka mierzy się z architekturą, a Roy Keane dzieli się wafelkiem

Rozdział 4, w którym nikt nie mówił, że życie jest łatwe

Rozdział 5, w którym Niedaś wspina się na wyżyny, a w tle przemyka złowrogie widmo Kajsiewicza

Rozdział 6, w którym rodzeństwo rozważa, co ma tęcza do krzaka, a pani Matylda jest... cóż, panią Matyldą

Rozdział 7, w którym Salka przestaje rozumieć cokolwiek

Rozdział 8, w którym do akcji wkracza głowa z Bartkiem, znaczy Bartek z głową

Rozdział 9, w którym pani Matylda daje słowo

Rozdział 10, w którym na pierwszy plan wysuwa się gęba Niedasia

Rozdział 11, w którym czarownice nie istnieją

Rozdział 12, w którym mnożą się pytania i giną te przekłete alianse

Rozdział 13, w którym pani Matylda rusza na Berlin

Rozdział 14, w którym pada jeden nieistotny widelec i jedno

kluczowe pytanie

Rozdział 15, w którym siostry Bolesne biorą sprawy w swoje ręce

Rozdział 16, w którym Niedaś zajada stres

Rozdział 17, w którym Niedaś ma przegwizdane, a Salka emanuje

Rozdział 18, w którym pada wiele trudnych słów i nawet jeden  
cytat

Rozdział 19, w którym Bartek sięga po tajną broń filologa

Rozdział 20, w którym dominuje wątek krajoznawczy z subtelną  
nutą pomarańczy

Rozdział 21, w którym nic nie raczy wypełznąć

Rozdział 22, w którym przygoda goni przygodę

Rozdział 23, w którym interwencji nie będzie

Rozdział 24, w którym robi się cokolwiek tłoczno

Rozdział 25, w którym bohaterowie zgodnie killują gada, a gad  
równie zgodnie killuje ich

Epilog

Mapa

Przypisy

## Prolog

Salka Przygoda, lat dwadzieścia pięć, metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, siedemdziesiąt sześć kilo wagi, niczym gołębica przeleciała nad barierką i runęła prosto w ciemny, lodowaty nurt Odry, o włos mijając betonowe nabrzeże i krasnoludka z brązu, który przycupnął tam, by wyprać sobie portki.

Opadając bezwładnie w stronę dna, sparaliżowana zimnem i przerażeniem, dziewczyna myślała tylko o jednym.

Może nie byli sobie szczególnie bliscy. W końcu Salka nie miała zielonego pojęcia, co od dwóch lat z takim uporem studiuje Niedaś. Może też nie dogadywali się najlepiej, choć tak na dobrą sprawę nigdy nie próbowali. Może różnili się od siebie jak dzień i noc, jak ogień i woda, ale to przecież nie tłumaczyło tego, co Niedaś właśnie zrobił.

Dlaczego, na litość boską, rodzony brat postanowił ją ni stąd, ni zowąd utopić?

## Rozdział 1, w którym na scenę wpada z rozpędu główna bohaterka, celując mniej więcej w Madagaskar

Babcia Przygodowa wiedziała, co to ból istnienia. Ochrzczona przed siedemdziesięcioma trzema laty mało wdzięcznym imieniem Izydora i pieszczotliwie – bądź litościwie, nigdy nie była tego pewna – zwana przez najbliższych Isią, od lat pluła sobie w brodę, że nie ocalała przed podobnymi cierpieniami własnej wnuczki – Salomei Klementyny. Zdążyła jedynie uratować młodszą z dwojga dzieci swego rodzonego, acz chwilami wyrodnego syna. Jej stanowcza interwencja z elementami gróźb karalnych oszczędziła chłopcu smutnego losu Euzebiusza Joachima, wobec którego los Adama Joachima był już nieco bardziej godny pozazdroszczenia. Z naciskiem na „nieco”.

Niestety, nawet babcia Przygodowa, choć wprawiona w bojach natury życiowej, nie mogła nic poradzić na pecha, który wyraźnie upodobał sobie jej wnuczkę, co rusz wypróbując na niej nowe metody prześladowań. Ujrawszy w proggu Salkę, brudną, obdartą i zasmarkaną, odłożyła krzyżówkę i westchnęła ciężko. Sądząc po długości gila wiszącego z perkatego nosa dziewczyny, tym razem pech dał z siebie wszystko.

– Zaparzę ci, dziecko, herbaty.

Parę minut później siedziały przy kuchennym stole i kontemplowały najnowszy rekord pecha.

– No już, już – mruzczała babcia, spoglądając znad filiżanki miętowej herbaty, jak wnuczka, z twarzą ukrytą w ramionach, ryczy niczym ranny łoś w jej najlepszą serwetę. – Nie ma co tak smarkać, Saleczko. Co się stało, to się nie odstanie...

W odpowiedzi Salka zawyła jeszcze głośniej.

– ...a przecież sama dobrze wiesz, jaka jest twoja mama. – Tu babcia Przygodowa urwała, bo nijak nie mogła znaleźć właściwych słów, które oddałyby istotę rzeczy, choć parę cisnęło jej się na usta.

Nie przepadała za synową, to prawda, uważała się jednak za osobę z wrodzonym wyczuciem taktu. Ten zaś nie pozwalał jej stosować określeń w rodzaju „szurnięta” w odniesieniu do własnej synowej, kiedy w zasięgu słuchu krążyło którekolwiek z wnucząt. Nawet jeśli było to określenie ze wszech miar prawdziwe, a na dodatek wyjątkowo łagodne. – Na pewno chciała dobrze, ale co poradzić, że jest trochę... trochę... zbyt otwarta?

– Trochę? Trochę?! – Zapłakana Salka wyprostowała się jak struna.  
– Chyba raczej na przestrzał!

Nie wiadomo, czy sprawił to kolejny ryk wnuczki, od którego zadrżały szyby w wiekowych oknach mieszkania, czy też widok straszliwie wymiętoszonej serwety, w każdym razie w głosie babci Przygodowej dało się słyszeć lekką przyganę.

– Dziecko, czy ty aby nie dramatyzujesz?

Czerwona jak burak Salka umilkła, wbijając w babcię pełne wyrzutu i łez spojrzenie. Malowniczy gil pod jej nosem, który dotychczas podrygiwał w takt kolejnych wybuchów rozpacz, zastygł w złowieszczym bezruchu.

– Babuniu, babunia kpi czy o drogę pyta? – zapytała rzeczowo.

Babcia Przygodowa stropiła się wyraźnie. No tak...

A jeszcze przed godziną nic nie zapowiadało kolejnej katastrofy, która miała nie tyle nadejść w najmniej stosownym momencie tego słonecznego czerwcowego popołudnia, ile raczej przygalopować dziarsko i z przytupem.

Salka, dyżurna ofiara losu, wysiadła z pekaesu i wyminąwszy parę niezbyt żwawych, za to wielce rozmownych staruszek, ruszyła jedną z wąskich uliczek miasteczka. Pomimo upału, który innym przechodniom zdawał się odbierać władzę w nogach, kroczyła szybko i energicznie. Zajrzawszy jeszcze po drodze do warzywniaka, skąd wyszła z siatką pełną ziemniaków, dotarła w końcu do niepozornej kamienicy na rogu i zniknęła w ciemnej bramie, ani na chwilę nie zwalniając.

Przystanąła dopiero na szczycie skrzypiących, wyślizganych schodów i zaczęła gmerać wolną ręką w torebce, żeby wyłowić klucze. Foliowe uszy ciężkiej siatki niemiłosiernie wrzynały jej się



w mokre od potu palce. Sapnęła z poirytowaniem, ale w końcu wymacała brelok i wywlokła drania razem z kluczami.

Górny zamek ustąpił bez trudu, za to dolny skrzypnął, zgrzytnął, po czym zaciął się na amen.

No tak. Niedaś. Jak zwykle niezawodny.

Po krótkiej, acz intensywnej i okraszonej epitetami szamotaninie Salka zdołała wreszcie przekręcić klucz. Skrzydło starych drzwi uchyliło się lekko, ukazując jasny korytarz...

...i w tym momencie rozległ się cichy trzask pękającej folii.

Przeklinając Niedasia, który miał naoliwić wysłużony zamek już dobry tydzień temu, Salka rzuciła się w pogoń za uciekającymi ziemniakami, zanim te zdążyły czmychnąć schodami z drugiego piętra.

I w tej oto pozycji – na klęczkach na zakurzonej drewnianej podłodze, z brudnymi ziemniakami w objęciach i głową tuż przy uchylonych drzwiach – padła ofiarą losu, który przemówił do niej z głębi mieszkania świergoczącym, nieco jazgotliwym głosem rodzonej matki:

– ...i tłumaczę, zerwijże kajdany fałszywej cnotliwości, uwolnij nieokiełznany erotyzm! Niech kipi, niech bucha! Ach, żeby pan wiedział, jaki ta moja Salka ma potencjał... Słucham? Ach, pan sobie wyobraża! No proszę, to niech pan sobie wyobrazi, jaka w tym młodym, bujnym ciele czyha moc! Jaka pokusa! Ja jej to zawsze powtarzam, kuś, dziecko, kuś! Od czego masz te rozłożyste biodra? Przepraszam, nie dosłyszałam pańskiego imienia?

Młode, bujne ciało wzmiankowanej Salki zastygło w bezbrzeżnym osłupieniu, a po jej głowie zaczęła się tłuc rozpaczliwa myśl.

Najwyższy czas się wyprowadzić, zanim matka zdąży uświadomić w kwestii jej niewykorzystanego potencjału seksualnego i szerokości bioder każdego telemarketera w kraju. Teraz. Zaraz. I to możliwie daleko.

Zamiast od razu obrać kurs na Górę Przeznaczenia, Salka porzuciła ziemniaki na progu mieszkania i powędrowała na drugi koniec ulicy, do babci.

Salka i babcia Przygodowa westchnęły zgodnie.

– Kajdany, powiadasz?

– No i sama babunia widzi. Przecież to idzie się pociąć z taką matką. – Wierzchem dłoni otarła łzy z policzków. – To którą na Madagaskar?

– Madagaskar poczeka – stwierdziła stanowczo babcia. – Na początek weź lepiej z niciarki agrafkę, inaczej całe miasteczko będzie miało okazję dobrze się przyjrzeć, jak ci bucha ten twój erotyzm.

– Babuniu, ale ja z tym cięciem to tylko tak... – zaczęła Salka, lecz coś ją tknęło i spojrzała w ślad za wymownym wzrokiem babci. Na wielkie rozdarcie w swojej letniej sukience.

Wielkie, sięgające prawie do biodra. Tego rozłożystego.

Salka pociągnęła gwałtownie nosem, czym na nowo wprowadziła gila w ruch.

– Przecież to była moja najlepsza sukienkaa...

Czując, jak na rasowego reumatyka przystało, że zanosi się na kolejny solidny strumień łez, babcia Przygodowa huknęła dłonią w stół i czym prędzej zagnała wnuczkę do dzieła.

– Naprawdę, powinna babunia w końcu zainwestować w igłę i nici – burknęła Salka, gdy wspólnymi siłami próbowały spiąć rozdarty materiał za pomocą zestawu mniej lub bardziej porzewiałył agrafek. Organiczna wręcz niechęć babci Przygodowej do wszystkiego, co związane z jakimikolwiek robotkami ręcznymi, doczekała się w rodzinie statusu legendarnej, nikt jednak nie zdołał dotąd odkryć, co leżało u jej podstaw. A próbowało wielu. Gorącą atmosferę domysłów dodatkowo podsycił fakt, że jej wychuchany jedynak, Paweł, ożenił się z krawcową. Od dnia ich ślubu, czyli od blisko trzydziestu lat, krewni dalsi i bliżsi zakładali się o to, co było pierwsze – niechęć do dziergania czy niechęć do synowej. Stawka wzrastała wraz z każdym rodzinnym spędem, zbliżając się powoli, acz konsekwentnie do wysokości średniej krajowej.

Z podobną konsekwencją babcia Przygodowa puszczała mimo uszu wszelkie uwagi na ten temat. Teraz także – podźwignęła się z podłogi, na której przyklękała wcześniej na jedno kolano, po czym schowała zbędne agrafki do starej niciarki i odwróciła się ponownie do wnuczki.

– No, pokaż się.

Salka cofnęła się posłusznie o krok, wchodząc prosto w zastawiony paprociami drewniany kwietnik, który zaczął się podstępnie w kącie.

– I jak wyglądam? – zapytała, gdy już ustawiła z powrotem wszystkie doniczki i mniej więcej otrzepała się z ziemi.

Babcia obrzuciła wnuczkę krytycznym spojrzeniem.

Odkaszlęła.

Nie dając łatwo za wygraną, obrzuciła ją spojrzeniem raz jeszcze, dla odmiany życzliwym.

Nie pomogło.

Przed nią stała zgnębiona przez własną matkę i los dwudziestopięcioletnia dziewczyna, wysoka jak dąb i niemal równie zwiewna, w pospinanej metodą partyzancką letniej sukience, brudnej i wymiętej, z potarganymi rudymi włosami i opuchniętą od płaczu twarzą. Z perkatego nosa zwisał czy raczej sterczał jej gil, teraz już zaschnięty na amen, oczy miała zaczerwienione, dłonie czarne od doniczkowej ziemi, a gołe nogi jak zwykle w sińcach i zadrapaniach, które przez całe życie kolekcjonowała z zapalem, acz mimowolnie, wpadając na co – nomen omen – popadnie.

W tych okolicznościach nawet niezmierzone pokłady mi-łości, jaką babcia Przygodowa żywiła do swojej wnuczki, okazały się niewystarczające.

– Oj, dziecko, dziecko... – Pokręciła siwiuteńką głową. – Będziesz ty się musiała wyprowadzić.

\*\*\*

Jeśli chodzi o zacieranie śladów i dbałość o zachowanie prywatności na Facebooku, Salka biła rekordy paranoi, które wzbudziłyby lekki niepokój nawet u tajnych agentów infiltrujących szeregi zorganizowanych grup przestępczych. Aby nikt nie odnalazł jej po e-mailu, założyła odrębną skrzynkę tylko po to, by się zarejestrować na portalu, i już nigdy więcej do niej nie zajrzała. Co tydzień, kombinując jak koń pod górę, zmieniała hasło do swojego profilu. Po każdym logowaniu czyściła historię przeglądarki, przy czym zawsze ją

kusiło, żeby całkiem tę przeglądarkę usunąć z dysku, a następnie zainstalować od nowa. Najlepiej wraz z systemem, tak na wszelki wypadek. Oficjalnie nazywała się Komuna Paryska, nie miała płci ani daty urodzenia, nie była w związku, niczym się nie interesowała, nigdy nie skalała własnej tablicy żadnym statusem, nie pozwalała też nikomu nic na niej zamieszczać, niczego nie komentowała ani nie lajkowała, olewała łańcuszki i zwierzęta w potrzebie, a jako zdjęcie profilowe ustawiła sobie gumową kaczuszkę. Nie publikowała żadnych fotografii i nie zgadzała się, by ktoś ją na nich oznaczał. Z góry odrzucała wszystkie otrzymywane zaproszenia, wężąc w nich podstęp, a zanim sama wysłała je do kogokolwiek, wpiern skrupulatnie przeglądała znajomych swoich znajomych, choćby uzbierało się ich kilkuset. Blokowała jak leci wszelkie możliwe aplikacje. W zasadzie bardziej mogłoby jej nie być na Facebooku tylko wtedy, gdyby jej tam nie było wcale, lecz nie o to Salce chodziło. Chciała być, nie będąc. Śledziła dyskretnie statusy starannie wyselekcjonowanych znajomych i od czasu do czasu, w przyływie straceńczej odwagi, nawiązywała kontakt. Przede wszystkim jednak miała oko na poczynania Niedasia i własnych rodziców, beztriosko i ochoczo korzystających z szerokiego wachlarza możliwości, jakie dawał Facebook.

Ale trzeba Salce oddać, że nie była to paranoja całkowicie bezpodstawna. Pół miasteczka zawsze wiedziało, kiedy miała okres, drugie pół oglądało wszystkie jej zdjęcia z dzieciństwa – w tym również te, które nie pozostawiały żadnych złudzeń – natomiast trzecie pół... No, w każdym razie Paweł i Kalina Przygodowie, oboje bardzo towarzyscy i otwarci, czy to w kontakcie bezpośrednim, czy to internetowym, prześcigali się nawzajem w braku jakichkolwiek konwersacyjnych zahamowań, uznając je za przejaw ciasnoty horyzontów myślowych. A Niedaś, jak to Niedaś, odkąd tylko nauczył się mówić, radośnie informował cały świat o każdej wpadce i tajemnicy swojej starszej siostry, po prostu dlatego, że uważał je za szalenie zabawne. W rezultacie Salka nieraz najadła się wstydu, gdy dowolne pół miasteczka omawiało jej zmagania z rozstępami, funkcjami rzeczywistymi czy nadprogramowymi centymetrami tu

i ówdzie. Niewiele mogła zrobić, by temu zapobiec, chociażby z racji ograniczonego dostępu do trucizn i broni palnej, wybrała zatem mniejsze zło. W końcu nic tak nie pomaga młodej wrażliwej kobiecie w codziennych kontaktach z najbliższymi jak solidna dawka zdrowej, regularnie podsycanej paranoi.

Grubo ponad miesiąc po incydencie ziemniaczanym Salka wciąż nie wiedziała, co ze sobą począć. Z reguły zgadzała się z babcią Przygodową – musiała się wyprowadzić, zanim rodzina wykończy ją psychicznie, fizycznie i odzieżowo. Madagaskar, niestety, nie wchodził w grę, podobnie jak inne, równie kuszące miejsca – takie jak chociażby daleka, niedostępna Syberia. Pod nieobecność reszty domowników Salka siadała do wspólnego komputera, zerkiała na profile znajomych, patrzyła, gdzie to ich nogi poniosły po skończeniu szkoły, i zazdrościła im niemożliwie, nawet jeśli był to Sosnowiec.

Aż pewnego popołudnia, gdy po powrocie ze zniechęconej pracy znowu w samotności marnowała czas przed monitorem, zamiast rozwijać swój stłamszony seksapil, przypadkiem rzuciła jej się w oczy zmiana statusu jednej z koleżanek z liceum: AGATA SŁAWCZAK ZAKTUALIZOWAŁA SWOJE MIEJSCE ZAMIESZKANIA JAKO LEEDS, ENGLAND.

Agata, czyli Gacia, swego czasu przyjaźniła się z Salką. Tuż po maturze zebrała manatki i razem ze swoim chłopakiem wyniosła się z miasteczka w poszukiwaniu lepszego życia. Najwyraźniej teraz wywiało ją jeszcze dalej, być może nawet w tym samym celu. Na wszelki wypadek Salka nie zastanawiała się za bardzo, tylko od razu otworzyła okienko nowej wiadomości i zaczęła klepać w klawisze.

Po dwóch minutach otrzymała odpowiedź od Gaci, jak zwykle najeżoną błędami ortograficznymi i stadem wykrzykników. Po kwadransie знаła już większość szczegółów, z bieżącym kursem funta brytyjskiego i ceną litra mleka w sklepie u Hindusa na rogu włącznie. Po godzinie wyłączyła komputer i pognęła do stojącego w przedpokoju telefonu, żeby zadzwonić pod podany przez Gacię numer, zanim upiorna rodzinka zwali jej się z powrotem na głowę i zacznie zadawać pytania.

Tuż przed szesnastą zakończyła rozmowę, odtańczyła krótki, acz



efektowny taniec zwycięstwa, po czym wywlokła ze schowka swój stary plecak ze stelażem i zaczęła się pakować.

## Rozdział 2, w którym Salka w zasadzie dociera do celu

Ostatni w długiej kolejce na postoju taksówkarz spokojnie dokończył akapit i właśnie miał przerzucić stronę najnowszego numeru „Detektywa”, gdy gdzieś ponad jego głową rozległo się dyskretne sapnięcie, po nim zaś pytanie, które w swej wieloletniej karierze słyszał już chyba milion razy:

– Wolne?

Kolejna gęś z prowincji, co to nie wie, gdzie się zaczyna postój, westchnął w głębi ducha taksówkarz, a potem zerknął znad okularów za okno.

Mniej więcej na poziomie jego oczu, na tle gładkiej zielonej bluzeczki, dyndał koniec grubego, rudego warkocza, którym można by się swobodnie posłużyć niczym bronią obuchową. Wyruszywszy od szerokich bioder, wzrok taksówkarza powędrował tym ognistym szlakiem prosto na daleką północ. Pierwszy przystanek – wcięcie w tali. Niczego sobie, niczego. Kawałek wyżej rozpościerała się łagodna równina, po czym następowała wyraźna zmiana krajobrazu. I tu taksówkarski wzrok utknął na dobre, być może wytrząsając z butów wyjątkowo natrętny kamyczek. W tym miejscu bowiem leżał przystanek trzeci – biust. Duży. Rozpierający zielony materiał bluzeczki. Falujący lekko wraz z każdym oddechem. Od razu widać, że żaden tam push-up czy inny silikon. Najprawdziwszy, konkretny biust.

Minęło parę chwil, zanim rozległo się ciche chrząknięcie, ciskając rozanielonym taksówkarzem z powrotem o ziemię. Spojrzał w górę. No tak, nad biustem wznosił się jeszcze ciąg dalszy – szyja owinięta niedbale kolorową apaszką, a na niej głowa, z której brał początek imponujący warkocz. Ale kto by się tam przejmował szczegółami, kiedy poniżej...



– Wolne? – powtórzyła dziewczyna. W jej głosie dało się słyszeć skromne początki irytacji.

– Nooo... – szybki rzut oka na początek postoju i ponownie do bluzeczki – ...jak dla pani, to czemu nie.

– A to na siedzenie czy do bagażnika? – zapytała, wykonując przy

tym dziwny ruch ramionami, od których lekkie falowanie dekoltu i okolic przeszło natychmiast w dziesięć w skali Beauforta.

Zasłuchany w pienia anielskie taksówkarz nie od razu zrozumiał, o co chodzi. Dopiero po chwili dostrzegł, że ponad rudą głową wznosi się jeszcze masyw załadowanego po brzegi wielkiego plecaka ze stelażem. Następną parę sekund zajęło mu przyswojenie myśli, że dziewczyna, która zdołała dźwignąć taki ciężar, zarzucić go sobie na plecy i ustać, a nawet przejść z nim na własnych nogach z kolejowego peronu na postój taksówek naprzeciwko dworca, prawdopodobnie jest nie tylko nieprzeciętnie wysoka i zaokrąglona tam, gdzie mężczyźni ponoć lubią najbardziej, ale też silna jak wszyscy diabli razem wzięci. Innymi słowy, w pysk lepiej od niej nie dostać.

Odzyskawszy rozum i krążenie we wszystkich częściach ciała, taksówkarz z prędkością światła wystrzelił ze swojego miejsca i rzucił się, żeby otworzyć bagażnik. Prawie wyrwał przy tym klapę z zawiasów.

– Może ja pani... – zaczął, lecz dziewczyna majtnęła od niechcienia plecakiem i wrzuciła go do bagażnika. Pęd powietrza mało nie zwałił mężczyzny z nóg. – E... to dokąd ma być?

Tu dziewczyna wyraźnie się stropiła, po czym zaczęła gmerać w torebce.

– Wie pan co, dokładnie nie pamiętam, ale to było coś od jakiegoś drzewa... przy jakiejś tam wieży czy czymś takim...

– Coś od jakiegoś drzewa i przy jakiejś tam wieży czy czymś takim... – powtórzył taksówkarz w fachowym zamyśleniu. – Jak przy wieży, to Wiśniowa może?

Na ułamek sekundy dziewczyna znieruchomiła.

– Może... Coś mi to mówi, koleżanka chyba wspominała, ale...

– Dobra, pani wsiądzie i znajdzie po drodze. – Machnął ręką w stronę tylnego siedzenia. Kątem oka dostrzegł niewielkie poruszenie na początku postoju i wolał się zmyć, zanim któryś z kolegów po fachu sprzątnie mu sprzed nosa ten rudowłosy krajobraz.

Odjechał spod dworca i energicznie włączył się do ruchu, podczas gdy dziewczyna wciąż grzebała w torebce. Szelest papieru i znajoma

subtelna woń wskazywały, że w trakcie podróży posilała się nieśmiertelną kanapką z jajkiem na twardo. Taksówkarz wzruszył ramionami. Nie takie aromaty się w robocie znosiło. Lepsze jajko na twardo niż... no, w zasadzie też jajko na twardo. Tyle że w nieco zmodyfikowanej postaci.

Z dworca na Wiśniową nie było daleko, jakieś pięć minut bez szczególnego gazowania, ale jazdę wydłużały wszędobylskie elki, które z uwagi na bliskość WORD-u upodobały sobie te okolice. Nie dość, że z uporem maniaka nie próbowały bić rekordów prędkości i przyspieszenia, prując slalomem pomiędzy dziurami w asfalcie, czym wybijają innych kierowców z rytmu, to na dodatek przepuszczały pieszych na pasach, nawet jeśli ci nie rzucali im się pod koła w akcie ostatecznej rozpaczki. To jeszcze było do zniesienia – wszak zawałidroga teoretycznie też człowiek. Lecz gdy w połowie drogi kolejna napotkana elka zaczęła hamować na kilkanaście metrów przed skrzyżowaniem, choć licznik na światłach wskazywał jeszcze dziesięć sekund do żółtego, taksówkarz nie zdzierzył. Zmienił pas i dał po garach.

– Mam! – w tej samej chwili wykrzyknęła z tylnego siedzenia dziewczyna. W dłoni trzymała wymięty karteluszek z zapisanym adresem. – Lipowa! Aleja Lipowa pięć!

Pisk opon wyrwałby ze snu wiecznego nawet zabytkowych nieboszczyków z pobliskiego cmentarza, który dopiero co minęli. Taksówka stanęła jak wryta na samym środku skrzyżowania. Dziewczyna sapnęła, gdy pasy wbiły jej się w klatkę piersiową i brzuch.

– Co pan, zdurniał?!  
– Li... Li... ile ta Li...?

– Lipowa pięć – powtórzyła dziewczyna, rozglądając się po skrzyżowaniu. – Rany boskie, niech się pan odwiesi, zaraz nas ktoś stuknie!

– Co? A, stuknie. Tak. Już.

– Co? A, stuknie. Tak. Już.

Nie zauważył nawet, że usiłuje ruszyć na luzie, dopóki wśród trąbienia innych kierowców nie zawył mu silnik. Nerwowo wrzucił bieg, aż zaprotestowała skrzynia, i czmychnął ze skrzyżowania, by po



kilkudziesięciu metrach skrócić w prawo.

Zgiełk głównej ulicy został daleko za nimi. Znaleźli się w cichej dzielnicy, pełnej rozłożystych, wiekowych drzew. Wzdłuż pustych o tej porze uliczek ciągnęły się stare, piętrowe wille. Tylko gdzieś kuliły się niskie bloki i inne wytwory architektury współczesnej, jak gdyby zawstydzone tak znamienitym towarzystwem, do którego nijak nie mogły aspirować.

Taksówka zatrzymała się przed jednym z nich.

– To tutaj? – Dziewczyna sięgnęła do klamry, żeby rozpiąć pas.

– No... w zasadzie... w zasadzie to tak.

– Znaczy... bardziej tak? Czy bardziej nie?

– No... w zasadzie... w zasadzie to nie.

– To czemu pan tu stanął?

– No... w zasadzie...

– Panie, daj pan spokój z tymi zasadami! Czemu pan tu stanął?

Na taksówkarza spłynęło olśnienie.

– Bo tam nie ma gdzie!

– A... – To nieco zmieniało postać rzeczy. – Aha. A to niedaleko stąd?

– No... w zasadzie... w zasadzie to tak.

Dziewczyna wzniosła oczy ku podsufitce, wzywając ją na świadka.

– Krótka piłka. Niedaleko: tak czy nie?

– No... no nie!

Po paru minutach intensywnej wymiany argumentów i opinii taksówka, wciąż tykając licznikiem, odjechała z piskiem opon i zniknęła za najbliższym zakretem, pozostawiając na chodniku zdezorientowaną Salkę Przygodę z jej monstrualnych rozmiarów plecakiem, wymiętym karteluszkim i dyskretną wonią kanapek z jajkiem na twardo.

\*\*\*

Znalezienie osoby, która w końcu wskazałaby jej drogę na Lipową pięć, okazało się nie lada wyczynem. Każdy z zaczepionych przechodniów, gdy słyszał, jakiego adresu poszukuje, gwałtownie

tracił zainteresowanie, nabierał za to przyspieszenia. Obarczona bagażem Salka niespecjalnie mogła czy też chciała się bawić w pościg i przesłuchanie. Snuła się zatem po dzielnicy, próbując znaleźć kogoś, kto będzie uciekał nieco wolniej niż inni, żeby zdążyła go przycisnąć. Błąkała się tak dobre pół godziny, aż w końcu na widok obłązonego przez margines miejscowej społeczności supersamu doznała przeblysku. Wydawszy właściwie to, co przez przypadek zaoszczędziła na taksówce, ruszyła w kierunku, który ochoczo wskazał jej ów z lekka znieczulony margines.

Spodziewała się co najmniej przedsionka piekieł, tymczasem ku jej rozczarowaniu aleja Lipowa niczym nie różniła się od pozostałych uliczek. Ot, wąska jezdnia, na której w teorii powinny wyminąć się dwa samochody, wyboisty chodnik, na lewo wille, na prawo wille, jak w lustrzanym odbiciu, w wolnych miejscach zieleń pod każdą niemalże postacią, a wszystko to szczerze okraszone ciszą i spokojem.

Idąc przez ten sielsko-miejski krajobraz i rozglądając się za numerem piątym, Salka uśmiechała się z zadowoleniem. Adres, a w zasadzie numer telefonu, zdobyła dla niej Gacia, której ciotka mieszkała gdzieś w pobliżu i chętnie poleciła stancję „u pewnej starszej pani”, przytulną i taną, z dobrym dojazdem do centrum. Co tu kryć, Salka funduszem dysponowała skromnym, jak na wrocławskie standardy, na apartamenty stać jej nie było, poza tym ogólnie nie miała nic przeciwko starszym paniom. Ten konkretny egzemplarz przez telefon brzmiał co prawda bardziej rzeczowo niż sympatycznie, ale wysłuchał, o co chodzi, wyjaśnił co trzeba, podał adres i zaprosił w swoje skromne progi. Cała rozmowa trwała może pięć minut i nie wzbudziła u Salki żadnych niepokojących wizji.

Jak się okazało, niesłusznie.

Za pordzewiałym ogrodzeniem z metalowej siatki wyrastał rząd strzelistych drzew, między którymi przedzierała się wąska ścieżynka prowadząca od zdezelowanej furtki. Dalej, w głębi działki, wznosiła się spora piętrowa willa. Mury straszyły dziurami po tynku, który w końcu nie wytrzymał napięcia i odpadł. Podobne tendencje emigracyjne wykazywała niegdyś biała farba na stolarce dużych

wysłużonych okien. Z jednej strony fasadę zdominowało coś na kształt ganku z balustradą, nad którym ciężko opierał się trącący lekko klasycyzmem balkon na piętrze, z drugiej zaś – i tu umysł Salki zaciął się na dłuższą chwilę, rozpaczliwie usiłując wyprzeć to, co podsuwały mu wybałuszone oczy – półokrągły narożnik willi, jak nic przypominający kiczowatą wieżyczkę z płaskim daszkiem. Całość wyglądała tak, jakby nikt tu nie mieszkał od co najmniej stulecia, odkąd ostatni lokator wyniósł się nocą w wielkim pośpiechu, odprowadzany przez życzliwych sąsiadów w blasku pochodni i przy akompaniamencie ostrzonych siekier.

Przytulna stancja u starszej pani mogła z powodzeniem występować w horrorach klasy dowolnej. I to bez charakteryzacji.

Nieco oniemiała Salka sterczała pośrodku jezdni i gapiała się niczym cieleń na malowane wrota to na koszmarną rudere, to na tabliczkę z numerem pięć, która wisiała smętnie na furtce i nijak nie chciała z niej zniknąć, jak zły sen. Nagle dziwne zachowanie taksówkarza i umykających przechodniów nabrało w jej oczach delikatnego rysu racjonalności. A potem wyobraźnia dziewczyny otrząsnęła się z szoku i ruszyła z kopyta, zastępując rzeczową starszą panią wizją szurniętej staruszki z zaawansowaną awersją do higieny osobistej, co najmniej piętnastoma kocurami na stanie i kameralnym cmentarzykiem w piwnicy.

– Rany boskie – z bujnej piersi Salki wyrwało się ciężkie westchnienie.

– Niech no zgadnę – rozległo się nagle tuż za nią. – Masz na imię Ania, ale wolałabyś Kordelia i szukasz pokrewnej duszy.

Na te słowa Salka spurpurowiała momentalnie, obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz ze starszą panią.

Starszą panią, która przewyższała ją o głowę i jak gdyby nigdy nic wbijała w dziewczynę spojrzenie przyprawiających o ciarki żółtych oczu.

Nagle cmentarzyk w piwnicy mocno zyskał na prawdopodobieństwie...

## Rozdział 3, w którym Salka mierzy się z architekturą, a Roy Keane dzieli się wafelkiem

No i cooo? No i cooo? No i cooooooooooo?

– No i pstro! – fuknęła zniecierpliwiona Salka i odwróciła się, żeby przegnać natręta z pokoju, po czym z rozmachem godnym najwyższych not za styl wyrznęła czołem prosto w belkę stropową.

– No i pstrooo – natychmiast powtórzył Roy Keane, przekrzywiając głowę z zainteresowaniem. – No i pstrooo!

Zamroczone Salka jęknęła i z dłonią przyciśniętą do czoła usiadła ostrożnie na łóżku. Coś jej mówiło, że tym guzem zainaugurowała właśnie nową serię imponujących obrażeń.

Nie licząc niskiego stropu, który dybał na życie co wyższych lokatorów, pokój na piętrze prezentował się całkiem przyjemnie. Pod warunkiem że ktoś lubił ekstremalne retro. W powietrzu unosił się delikatny zapach lawendy, sugerujący, że w zakamarkach mebli toczy się dyskretna wojna z molami. Wszystko tutaj – blada tapeta w żółte różyczki, łóżko pod oknem, fotel przy drzwiach, śmieszna pękata komoda pod jedną oraz staromodna toaletka z lustrem pod drugą ścianą – bez cienia wątpliwości miało już swoje lata, wręcz dziesięciolecia, nie trąciło jednak kompletną rupieciarnią, czego zaczęła obawiać się Salka, gdy po raz pierwszy zobaczyła willę przy Lipowej pięć. Nie mając wtedy specjalnie innego wyjścia, z duszą na ramieniu przestąpiła próg rudery w ślad za starszą panią, jak się okazało, właścicielką.

I tuż za tym progiem prawie potknęła się o wielką, żółto-niebieską papugę, która jak gdyby nigdy nic z wafelkiem w dziobie tuptała sobie korytarzem.

– Jak się maaasz? – zagaiła grzecznie i zatrzepotała skrzydłami.

– Dobrze, dziękuję – odparła odruchowo Salka, chwilowo zagubiona zarówno emocjonalnie, jak i intelektualnie.

– To jest Roy Keane. – Starsza pani odstawiła siatkę z zakupami na

podłogę i dokonała zdawkowej prezentacji. – A to nasza nowa lokatorka. Przywitaj się ładnie.

– Salomea Przygoda, miło mi.

Starsza pani uraczyła dziewczynę zaledwie przelotnym spojrzeniem, jakby nie takie głupoty już w życiu słyszała, za to Roy Keane z wrażenia podzielił się z nią swoim wafelkiem.

Salka całkowicie straciła łączność ze zdrowym rozsądkiem.

Jak na autopilocie porzuciła plecak w przedpokoju i powędrowała za starszą panią do salonu w wieżycy, gdzie czas zatrzymał się w okolicach ostatniej wojny. Wcisnęła się potulnie pomiędzy haftowane poduszki, które okupowały kanapę, podczas gdy starsza pani znikła gdzieś, by po dłuższej chwili wrócić z filiżanką herbaty i zasiąść z nią w fotelu pod oknem. Roy Keane przycupnął przy niej na podłokietniku, skąd zerkał z zaciekawieniem w stronę dziewczyny.

Zapadła cisza.

Popijając parującą herbatę, starsza pani otwarcie omiotła Salkę krytycznym wzrokiem, od którego dziewczyna znów oblała się rumieńcem.

Właścicielka willi odbiegała od przyjętej dla staruszek średniej normy nie tylko wzrostem. Absolutnie w niczym nie przypominała miłej, pogodnej kobieciny w typie babci Przygodowej, jakiej spodziewała się Salka. Włosy miała ostrzyżone krótko, prawie po męsku, a do tego nietknięte płukanką i całkiem siwe, co dodatkowo podkreślał intensywny, chabrowy kolor bluzki o luźnym, modnym kroju, do której włożyła wygodne dżinsy. Ewidentnie nie wiedziała, co to moher albo nieśmiertelna podomka. Była szczupła i poruszała się bardzo energicznie, wyprostowana jak struna, przez co Salka z początku nie zauważyła nawet, że wspierała się na zwykłej drewnianej lasce. Jej pomarszczona, surowa twarz sugerowała dość zaawansowany wiek, nie zdradzając przy tym zbyt wielu szczegółów. Największe wrażenie robiły jednak oczy o intensywnie żółtych tęczówkach, które właśnie przewiercały Salkę na wylot. Brudny Harry mógłby starszej pani co najwyżej czyścić splotkę. O ile w przypływie łaskawości by mu na to pozwoliła.

Salka najchętniej zapadłaby się pod ziemię albo chociaż zagrzebała



między wszędobylskimi poduszkami i powoli wyzionęła ducha z braku tlenu.

– Salomea Przygoda, tak? – Starsza pani odezwała się niespodziewanie.

– Tak, proszę pani.

– Cóż. Niektórzy rodzice nie znają litości.

Mimo najszczerzych chęci Salka nie mogła się z nią nie zgodzić, dlatego poprzestała na zdawkowym skinieniu głową.

– Studenci zwykle ściągają do miasta dopiero pod koniec września – ciągnęła niewzruszenie starsza pani. – No, chyba że wcześniej zwabi ich tutaj słodka woń poprawki.

– Nie, ja nie studiuje – wyjaśniła pospiesznie Salka, o lata świetlne mijając się z kaśliwą aluzją. – Pierwszego zacznam tu pracę, będę...

– Rozumiem. – Tym jednym słowem starsza pani zmroziła powietrze skuteczniej niż klimatyzator na pełnych obrotach. Uśmiechnęła się lekko pod nosem, głaszcząc niebieski łebek Roya Keane'a. – *Adulescentia est tempus discendi, sed nulla aetas sera est ad discendum...*<sup>1</sup>

– Słucham... słucham?

W tym momencie dzwonek u drzwi zaterkotał straszliwie, przynosząc wybawienie coraz bardziej zdezorientowanej Salce. Na ten dźwięk starsza pani podźwignęła się z fotela i chwyciła swoją laskę.

– Zapewne listonosz. Pójdę otworzyć – zwróciła się do Roya Keane'a – a ty pokaż pannie... Salomei jej pokój.

Nawet przez chwilę nie zastanawiając się nad absurdem tej sytuacji, Salka wspięła się po stromych schodach za drepczącą z zapalem papugą. Byli w połowie drogi, gdy usłyszała, jak drzwi się otwierają i tubalny męski głos mówi:

– Uszanowanie, pani Bolesna! Mam tu coś dla pani...

Bolesna? Salka przypomniała sobie lodowate spojrzenie żółtych oczu i aż się wzdrygnęła. Co jak co, ale to nazwisko pasowało do starszej pani jak ulał...

Roy Keane, zgodnie z poleceniem, zaprowadził dziewczynę do jej pokoju, skrzecząc przy tym z entuzjazmem, nijak nie potrafił jednak przekazać, by uważała na strop. Teraz ciche drapanie jego pazurków

o drewnianą podłogę wyrwało ją z zamroczenia po zbyt bliskim spotkaniu z miejscową architekturą. Wyraźnie nastawiony towarzysko Roy Keane z wprawą wspiał się po grubej narzucie na łóżko, a potem przycupnął obok Salki i łypnął przyjaźnie.

– No i cooo? – zaskrzeczał.

Salka westchnęła. Miała już serdecznie dość wstrząsów jak na jeden dzień, a jeszcze nawet nie zaczęła planować, co zrobi Gaci za to, że wpakowała ją w tę kabałę. Poza tym podejrzewała, że w najbliższym czasie nie natknie się na życzliwą duszę w bardziej ludzkim ciele, a już na pewno nie w tym domu, więc równie dobrze mogła sobie pogawędzić z papugą.

– Roy Keane, tak? No i co teraz?

– Ekawuacja! Ekawuacja!

Lepiej nie mógł tego ująć.

\*\*\*

Babcia Przygodowa chyba warowała przy telefonie w pełnej gotowości bojowej, bo odebrała, zanim jeszcze pierwszy sygnał przebrzmiał na dobre.

– Słucham?

– Babuniu...

– Saleczko? To ty?

– Tak, babuniu, to ja...

Salka ślęczała przy zawalonym papierami małym biurku ze wzrokiem wbitym w kubek z zastygłym kisiem z torebki. Rzekome kawałki truskawek, które w nim pływały, wyglądały jak robale. Salka dziabnęła jednego łyżeczką. Zwiął, skubaniec.

– Saleczko, czemu nie zadzwoniłaś wcześniej? – Wyrzut w głosie babci dźgnał Salkę prosto w sumienie. Rzeczywiście, nim się obejrzała, od jej przyjazdu minął tydzień. – Ja się tu zamartwiałam, czy ty w ogóle dojechałaś, czy cię gdzieś nie napadli! Wiesz co, Niedaś ma rację, ty musisz sobie w końcu kupić tę komórkę. No to jak, dojechałaś? Znalazłaś tę stancję? Jak ci tam w tym Wrocławiu?

– Wcale nie muszę, dojechałam, znalazłam, beznadziejnie.

– No co ty nie powiesz? – zdumiała się szczerze babcia Przygodowa.

Salka wzięła głęboki wdech.

– Pracuję w piwnicy, komputerem mogę sobie co najwyżej gwoździe wbijać, a nie wypisywać faktury, internet pojawia się i znika, szefowa zwraca się do mnie per „panno Salciu”, portier mnie podrywa, od tutejszej wody dostałam wysypki, wczoraj złamałam obcas, mieszkam u staruszki z piekła rodem i śpię w jednym łóżku z papugą.

– Z czym?

– Z papugą.

– Ale... ale dlaczego z papugą?

– Nie wiem, babuniu, podejrzewam, że się we mnie zakochała. Zakochał. Bo to ten papuga.

– Dziecko, czy ty się aby dobrze czujesz?

– Trochę mnie swędzi, ale poza tym nie narzekam.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła głęboka cisza.

– Wiesz, Saleczko – odezwała się w końcu babcia Przygodowa – tak sobie myślę, że czasami... czasami geny bywają okrutne.

– Wiem, babuniu.

Babcia odchrząknęła.

– No dobrze, ale czemu nie zadzwoniłaś wcześniej? Czy tam nie ma telefonu?

Tu Salka się stropiła i zaczęła nerwowo kręcić łyżeczką w robalowym kisielu. Wcale nie miała zamiaru zamilknąć na cały tydzień, chciała zadzwonić do babci i zameldować się już pierwszego dnia, gdy tylko mniej więcej rozpakowała plecak, tyle że...

Tyle że...

Kiedy szła za Royem Keane'em na piętro, zauważyła, że na szafce w przedpokoju stoi telefon. Pal sześć, że przewodowy – z tarczą! Taką obrotową, z cyferkami i w ogóle. Salka, bądź co bądź dziecko zapalonego elektronika, który co rusz próbował zagadać kogoś na śmierć, wiedziała doskonale, że z podobnego ustrojstwa nie da się już dzwonić, tylko co najwyżej odebrać rozmowę, a i to wyłącznie przy pomyślnych wiatrach. Trochę się tym zmartwiła, bo z braku własnej

komórki liczyła, że na stacji będzie mogła korzystać ze stacjonarnego aparatu. Belka stropowa wybiła jej ten problem z głowy szybko i skutecznie. Dopiero wieczorem, gdy Salka schodziła na kolację i usłyszała dobiegający z dołu dźwięk telefonu, przypomniała sobie, że miała przecież zadzwonić do babci, kiedy tylko dotrze na miejsce.

Wtedy w przedpokoju zjawiała się pani Bolesna i podniosła słuchawkę.

– MILCZEĆ! – ryknęła na wstępie pełną piersią, po czym kontynuowała już swoim normalnym, lodowatym głosem: – Słucham?

W okamgnieniu Salka straciła apetyt.

A to był dopiero początek.

Schody skrzypiały upiornie pod jej stopami, gdy następnego ranka po przyjeździe schodziła na dół, pochłonięta rozmyślaniami, jak by tu namierzyć kuchnię i nie wejść w oczy pani Bolesnej. Ku jej niewypowiedzianej uldze na dole panowała głucha cisza. Zajrzawszy najpierw do salonu, powędrowała w głąb domu, mijając po drodze kilkoro zamkniętych drzwi. Ostatnie, na końcu ciemnego korytarza, były uchylone. Uszu Salki dobiegły ciche kroki, skrzypienie desek i zawiasów, rozmaite stukoty, chlupoty, brzęki i zgrzyty. Kiedy po chwili do symfonii dźwięków dołączył mile łechzczący powonienie zapach kawy, przeraźliwym burczeniem w żołądku przypominając dziewczynie, że poprzedniego wieczoru ominęła ją kolacja, Salka cichutko zapuściła żurawia do kuchni.

Wcale nie liczyła na miły poranek w towarzystwie pani Bolesnej, radosne pogaduszki przy domowym śniadanku czy wspólne pieczenie ciasta. Prawdę mówiąc, zamierzała porwać pajdę chleba z jakimś smarowidłem, kubek herbaty i ewakuować się z powrotem do swojego pokoju, zanim ktokolwiek dostrzeże jej obecność. Lecz los jak zwykle miał inne plany. Postanowił ją na dzień dobry ogłuszyć.

Szeleszcząc hektarami wściekle różowego jedwabiu w wielkie, czerwono-złote motyle, po kuchni szalała w najlepsze pani Bolesna. Na głowie miała turban z tego samego materiału co szlafrok, w uszach wielkie złote koła, a na nogach ranne pantofle z futerkiem. Z filiżanką w dłoni uwijała się przy skwierczącej patelni, podczas gdy

Roy Keane siedział na kuchennym parapecie i chrupał wielką marchewkę.

– Czy czuje pani cza-czę, czy cza-czę pani zna? Ja pani wytłumaczę, co znaczy cza-cza-cza! – śpiewała na cały regulator, a każde „cza-cza-cza” podkreślała energicznymi ruchami bioder.

Mając do wyboru zaspokojenie głodu bądź własne zdrowie psychiczne, Salka wycofała się po cichutku, na palcach.

Cały następny tydzień tylko utwierdził ją w przekonaniu, że z panią Bolesną coś jest zdecydowanie nie tak. Raz kroczyła po domu jak Herr Flick z Gestapo, uzbrojona w laskę, raz płasała niczym reinkarnacja Isadory Duncan na ostrym haju. Raz bez makijażu, raz wypacykowana na wzór wielkanocnego jaja. Raz w džinsach, raz w jedwabiach. Raz cicha i przyjazna jak sopel lodu, a raz rozgadana i rozśpiewana niczym całe Mazowsze razem wzięte. Salka w końcu przestała za nią nadażać.

I teraz niby miała powiedzieć własnej rodzonej babci, że ta papuga w łóżku to jeszcze nic w porównaniu z gospodynią, szurniętą jędzą wzrostu przeciętnego koszykarza, która paraliżuje ofiary wzrokiem i ogłusza odgłosami paszczy, a w dodatku ewidentnie cierpi na rozdwojenie jaźni?

– No właśnie nie ma, uwierzy babunia? – zełgała gładko. – Telewizora też nie. Ani radia.

– No jak to tak, w mieście i bez radia? Co to za jakieś zwyczaje?

– Radia nie ma, za to książek jak psów. I gdzie nie spojrzeć, wszystko wyhaftowane. Poduchy, całe mnóstwo poduch, narzuty, makatki, babunia sobie wyobraża? Piękne to, nie powiem – trajkotała jak najęta, ciągle gmerając w kisielu – nawet u mamy takich cudów nie widziałam, ale to się przecież musi strasznie kurzyć, no babunia sama pomyśli, ile z tym musi być sprzątanania, a przecież w tym wieku...

– A w pracy jak ci idzie?

W głębi ducha Salka odetchnęła z ulgą. Rzutem na taśmę – czy raczej na haft – ominęła mieliznę.

– W pracy jak to w pracy. Gacia mi wszystko pięknie wypisała, więc się wdrażam powolutku. No, bardziej powolutku niż wdrażam,

dopiero dzisiaj chyba wyjdę o czasie, bo tak to cały tydzień siedziałam po godzinach, a muszę wreszcie...

– Ach, właśnie! – babcia z impetem weszła wnuczce w słowo – dobrze, że dzwonisz, bo coś mi się przypomniało. Rozmawiałam wczoraj z twoim ojcem i on mi mówił, że rozmawiał z Niedasiem o tym jego doktoracie...

Pomalutku, tak by nie przerywać babci Przygodowej nagłym łomotem i okrzykiem bólu, Salka pochyliła się i na znak absolutnej rozpaczki palnęła czołem o biurko.

W oczach wnuczki babcia Przygodowa miała jedną wadę – ślepo wierzyła we wszystko, co mówił jej syn. A Paweł Przygoda z kolei był głęboko przekonany o wybitności Niedasiowego umysłu. Przekonanie to brało się stąd, że podczas gdy on perorował godzinami na temat dowolnie doniosły i wielokrotnie złożony, Niedaś słuchał w wielkim skupieniu i co rusz kiwał głową, przytakując rozważaniom ojca. Meandry filozoficznych traktatów Kanta, ruchy wojsk napoleońskich pod Borodino, fizyka cząstek elementarnych – w oczach dumnego ojca Niedasiowy umysł ogarniał wszystko.

W oczach reszty świata umysł Niedasia ogarniał jedynie najbliższe okolice, a i to pod warunkiem że miał szczegółową mapę z wielką czerwoną strzałką i napisem: JESTEŚ TUTAJ.

Salka i w to wątpiła.

– ...więc koniecznie do niego zadzwoń, słyszysz?

– Tak, babuniu.

– I szalik noś. Tam ponoć straszna wilgoć w tym Wrocławiu. I wieje.

– Tak, babuniu.

– I nie śpij lepiej z tym papugą, jeszcze jakiegoś kleszcza złapiesz. Albo, nie daj Boże, tasiemca! Ty pamiętasz, Saleczko, panią Krysię, tę z mięsnego przy Zdrojowej? Tę z tymi tam takimi tymi?

– Tak, babuniu. – Salka nawet nie próbowała dochodzić, co babcia miała na myśli.

– No więc ta pani Krysia, nie uwierzysz...

Babcia snuła opowieść o pani Krysi z tymi tam takimi tymi, coraz bardziej się rozkręcając, a Salka siedziała ze słuchawką przy uchu



i czołem na biurku i myślała. O tym, że znowu nie wyjdzie z odziedziczonej po Gaci pracy o czasie, bo zanim babcia dobrnie do puenty, minie co najmniej kwadrans, a potem jeszcze nastąpi kilkuminutowa wymiana dobrych rad i obietnic na odczepnego. O tym, że jeśli zadzwoni do domu, to straci kolejne pół godziny, jak nie więcej, wysłuchując fantazji ojca na temat błyskotliwego doktoratu Niedasia, chociaż Niedaś dopiero co cudem zaliczył pierwszy rok na polibudzie. O tym, że przydałby jej się jakiś dermatolog, inaczej zwariuje od tego swędzenia. O tym, że najbliższy rok przyjdzie jej spędzić w rozsypującej się willi bez podstawowych zdobyczy myśli technicznej, w towarzystwie świrniętej staruszki i natrętnej papugi, ale... ale za to – i tu Salka wpierw drgnęła, po czym zaczęła się pomału prostować, a na jej twarzy rozkwitnął wyraz całkowitej, nieziemskiej wręcz błogości – dwieście kilometrów od ojca, matki i ich codziennych peanów na temat Niedasia.

Skończywszy wreszcie rozmowę z babcią, niespodziewanie otumaniona rozkoszną wizją najbliższej przyszłości, po krótkim namyśle postanowiła zaszaleć na całego i zadzwonić do domu.

Odebrała jej wniebowzięta matka.

– Córuniu, czy ja dobrze słyszałam? Ty sypiasz z adwokatem?!

## Rozdział 4, w którym nikt nie mówił, że życie jest łatwe

Wraz z początkiem października do Wrocławia zewsząd nadciągnęła barbarzyńska horda, spragniona wiedzy i stypendiów, a nade wszystko – potu, łez i krwi Bogu ducha winnych pań z dziekanatu.

A przynajmniej do takiego wniosku doszła Salka, dzień za dniem przedzierając się przez dzikie kłębowisko studenckich ciał przed dziekanatem wydziału filologicznego, by dostać się do krętych schodów prowadzących do piwnicy. Tam, z dala od zgiełku parteru i pięter, mieściła się malutka księgarnia naukowa, w której przez pięć dni w tygodniu od dwunastej do szesnastej pracowała w zastępstwie zbiegłej do Albionu Gaci. Chociaż „pracowała” to za dużo powiedziane – po tym jak już zapanowała nad początkowym chaosem, raczej odpłatnie spędzała czas. Średnio raz na godzinę odrywała się od lektury albo krzyżówki, gdy wpadał jakiś zbłąkany student albo naukowiec z nadmiarem gotówki i twardym postanowieniem, by nią z lekka szastnąć. W końcu raz się żyje, a wznowienie antologii poezji sowizdrzalskiej nie trafia się co dzień.

Feralnego dnia na godzinę przed zamknięciem przysłała dostawa nowych książek, które należało wklepać do systemu. Komputer postanowił jednak pójść w ślady najwybitniejszych pacyfistów i stawiał bierny opór przed tym zalewem myśli filologicznej, ślimacząc się wyjątkowo. W rezultacie Salka wypęzła z piwnicy grubo po dziewiętnastej. Zanim złapała właściwy tramwaj, dojechała na swój przystanek i dowlokła się do domu, była dwudziesta pierwsza.

Pani Bolesna najwyraźniej jeszcze nie spała, bo przez uchylone drzwi z salonu na korytarz padało przyćmione światło. Uchetana jak koń po wyścigach Salka odwiesiła kurtkę i średnio różnym krokiem wgramoliła się po wysłużonych schodach, marząc już tylko o ciepłej kąpieli i łóżku. No, może jeszcze o kubku herbaty. Byłe żadnych

książek.

Nie zdążyła nawet zapalić światła w swoim pokoju, gdy wtem zorientowała się, że coś tu jej zgrzyta.

A właściwie nie tyle zgrzyta, ile posapuje.

W ułamku sekundy przez głowę przegalopowały jej dziesiątki chaotycznych myśli, ciągnąc za sobą setki przerażających obrazów, żywcem wziętych z horrorów, które dziecięciem będąc, oglądała ukradkiem, choć zdaniem babci Przygodowej nie powinna, ponieważ szkodzą delikatnym dziewczęcym umysłem nadmiarem krwi, przemocy i decybeli, a na domiar złego nie grzeszą logiką. Psychopaci z hakiem, psychopaci z lustra, psychopaci w szafie, rany boskie, psychopaci z hakiem z lustra w szafie!!!

I wtedy posapywanie osiągnęło punkt krytyczny, po czym wraz z wydechem gładko przeszło w wyraźne, ogłuszające chrapanie.

Chrapiący psychopata to było jednak coś nowego.

Powoli, ostrożnie Salka pstryknęła włącznikiem.

Na podłodze, pośrodku pokoju, wałała się para butów w towarzystwie dzinsów i wybebeszonej torby. A spod kłębów ciężkiej puchowej pościeli na jej łóżku wystawała włochata łydka z wielką stopą w czarnej skarpecie.

Torebka Salki z głuchym hukiem upadła na podłogę.

W odpowiedzi stopa drgnęła, a spod pościeli dobiegł mocno nieprzytomny głos, wcale nie najmroczniejszy z mrocznych, najkrwawszy z krwawych, zwiastujący śmierć rychłą, bolesną i tak dalej. Zwyczajny młody, męski głos.

W pierwszej sekundzie Salce pociemniało w oczach. W drugiej zaś, o parę ładnych stuleci wyprzedzając wynalazców skutecznej i bezbolesnej metody teleportacji, znalazła się na dole w salonie. Nieomal wpadła do środka razem z drzwiami, futryną i kawałkiem ściany nośnej.

– W moim łóżku leży facet! – ryknęła na podobieństwo jelenia na rykowisku.

Pani Bolesna spokojnie dokończyła swoje sudoku i dopiero potem rzuciła okiem na poczerwieniałą ze wzburzenia Salkę, jej falujący z tych samych przyczyn dekolt i adekwatnie rozwiany rudy włos.

– Moje gratulacje – odparła, przewracając kartkę i zabierając się do kolejnej łamigłówki. – Jeśli tylko znajdę gramofon, rano włączę wam Wagnera. A nuż zaraz po sutym śniadaniu zapragniecie wyruszyć razem do Walhalli. Albo urządzić sobie mały nalot na Wietnam.

– Ja tam przed chwilą mało na zawał nie zeszałam, a panią to bawi!

– Ależ skąd. Staram się iść z duchem czasu. Nic mi do tego, kto się komu pakuje do łóżka.

– Tak się składa – fuknęła z godnością Salka – że jedyny samiec, któremu pozwalałam pakować się do mojego łóżka, jak to pani łaskawie ujęła, ma niecały metr, pióra i ograniczony zasób słownictwa!

– Bylebyście byli szczęśliwi.

Salka z całych sił walczyła z pokusą, by nie udusić starszej pani tu i teraz. Poduszką. Całą stertą poduszek.

Przed tak niecnym wykorzystaniem elementów wystroju powstrzymał ją ten sam głos, który wcześniej przemówił do niej spod pościeli, a tym razem zadał średnio przytomne pytanie natury egzystencjalnej:

– Czy ja aby nie za elegancko śpię?

W drzwiach stał, czy raczej chwiał się, wysoki, ciemnowłosy i wyraźnie zamroczony młodzieniec, ubrany jedynie w niemilosierne pomiętą koszulę, pasiasty krawat, bokserki i parę czarnych skarpetek. Drapiąc się po rozczochranej głowie, potoczył po salonie nieobecny spojrzeniem cielecych oczu.

– Niedaś, na litość boską – jęknęła Salka – mógłbyś chociaż włożyć spodnie!

– Nie da się, siostra – wymamrotał. – Oddałem je papugowi. Spoko koleś. Wymienił się na wafelka.

– Państwo się znają, jak widzę – stwierdziła pani Bolesna, przyglądając im się z cieniem zainteresowania.

– To mój młodszy brat – przyznała Salka z nieukrywaną niechęcią.

– Niedaś, niemoto, przywitałbyś się chociaż.

– Siemka.

– Niedaś!

– O, sorry, nie ta kategoria wiekowa. Ave!

– Ave, młody człowieku, *morituri te salutant*<sup>2</sup>. W takim razie nie

rozumiem, w czym problem, panno Salomeo.

– W tym, że go tu pani wpuściła bez mojego pozwolenia.

– Nie, nie wpuściłam.

– Wpuściła, wpuściła – wypalił Niedaś. – Drzwiami. Normalnie odpał.

– O, proszę!

– Nie wpuściłam – powtórzyła twardo pani Bolesna. – Nie mam aż takiej sklerozy, żeby o tym nie pamiętać, za to pozwolę sobie zauważyć, że ten młody człowiek jest w stanie upojenia alkoholowego.

– Jestem – potwierdził Niedaś skwapliwie. – Nawalony jak neseser... czy coś tam.

– W takim razie niech mi pani wyjaśni, skąd on się tu wziął?

– O to powinna pani raczej zapytać rodziców, nie mnie, skoro jeszcze pani tego sama nie odkryła. Osobiście wątpię, żeby wyłonił się z morskiej piany.

– Nie, mnie zaraz coś...

– A cóż to znowu za zbiegowisko o tak niehumanitarnej porze, Matyldo? – rozległo się tuż za plecami Niedasia.

Tkwiący na progu Niedaś odwrócił się i stanął twarzą w twarz z...

...z panią Bolesną. Co prawda bez makijażu i złotych kolczyków, za to w różowym peniuarze w motyle i w pantoflach z futerkiem.

Salka i Niedaś, zgodni jak nigdy, zbaranieli, patrząc to na panią Bolesną w fotelu, to na panią Bolesną w korytarzu.

– Ja już więcej nie piję – wybełkotał Niedaś. – A już na pewno nie w tym tygodniu.

Na jego szczęście był czwartek.

\*\*\*

Pierwsze, co po przebudzeniu ukazało się oczom Niedasia, to starsza siostra z papugą na głowie. W związku z czym postanowił spać dalej, póki całkiem nie wytrzeźwieje.

– Wstawaj, padalcu, żebyś mogła cię zabić.

Niedaś uchylił jedną powiekę. Nie, to wcale nie były zwidy. Salka

naprawdę siedziała na łóżku z papugą na ramieniu, piorunując młodszego brata wzrokiem.

– Co ty tu robisz? – zapytała tonem nieznoszącym sprzeciwu, za to nasuwającym dość sugestywne wizje możliwych obrażeń zewnętrznych.

– Będę strzelał... leżę?

– Nie o to pytam! Co robisz w moim pokoju?

– No przecież właśnie...

– Niedaś!

Westchnąwszy z rezygnacją, Niedaś podźwignął się do pozycji siedzącej, po czym złapał się za wciąż skołowaciałą głowę. Od spania na podłodze wszystko go bolało.

– Tak mi dobrze, że dobrze mi tak...

– Zaraz ci będzie jeszcze lepiej, jeśli nie zaczniesz gadać do rzeczy.

– Tak jakby... poczułem potrzebę.

– Potrzebę czego?

– Dachy nad głową.

– Przecież masz akademik.

– Nooo...

Salka przewróciła oczami.

– Wyleciałeś z akademika?

– W trybie natychmiastowym podwójnie przyspieszonym. Z dożywotnim zakazem wstępu.

– Rany boskie, Niedaś, coś ty znowu zmalował?

– Oj tam, od razu zmalował. Banalna różnica poglądów.

– Poglądów na co?

– Higienę osobistą – odparł wymijająco, lecz Salka znała już te numery. Pioruny przybrały na sile, zmuszając Niedasia do udzielenia obszerniejszych wyjaśnień. – Wziąłem prysznic i szukałem ręcznika.

– Bo?

– Bo go nie miałem? Halo, siostra, logika się kłania...

– A nie miałeś, bo? – Salka nie dała się zbić z pantałyku.

– Booo... bo zapomniałem.

– A zapomniałeś, bo?

– Booo... bo generalnie rzadko pamiętam, żeby na imprezy do



kumpli z innego piętra chodzić z ręcznikiem.

Salka zamyśliła się, dokonując szybkiego przekładu z niedomówień na fakty.

– Krótko mówiąc, latałeś po akademiku pijany i goły...

– ...i mokry, mogłem się przecież zaziębić!

– ...w poszukiwaniu ręcznika?

Niedaś zastanawiał się przez chwilę.

– Tak. W zasadzie to tak. No. Tak. I nikt mi nie chciał pożyczyć, uwierzysz?

– Niedaś, jeśli mi jeszcze powiesz, że ze studiów też za to wyleciałeś...

– Spoko, nie powiem. – Rozejrzał się po pokoju i starannie zmienił temat. – Niezła ta twoja meta. Klimaty, korniki, te sprawy...

W okamgnieniu Salka znalazła się na krawędzi stanu przedzawałowego. Domyślała się, kto uszczęśliwił Niedasia jej wrocławskim adresem, domyślała się również, że tak łatwo się brata nie pozbędzie. Ani myślała jednak przygarniać go na stałe.

– O, nie! Mowy nie ma, zapomnij! Masz sobie coś znaleźć, choćby psią budę na ostatnim wygwizdowie, byle szybko!

– Nie da się, siostra...

– Po moim trupie!!! – wydarła się Salka. – Po moim trupie, słyszysz?! Wystarczy, że muszę się użerać z tą wredną staruszką i jej szurniętą papugą, a jakby tego było mało, to teraz jeszcze doszła ta kserokopia w fatałaszki. Dość tych atrakcji! Zbierasz manele i jutro stąd znikasz.

Niedaś wzruszył ramionami, jakby mu było wszystko jedno, po czym łypnął na Salkę przekrwionym okiem.

– Ej, siostra, a ty tak seryjnie nie wiedziałaś, że one są dwie?

– Seryjnie.

– Ale jaja. A mieszkasz tu...?

– ...od pięciu tygodni – dokończyła głuchym głosem.

– Ty to masz refleks, siostra.

– Mam też czysty ręcznik, więc bądź łaskaw się wykapać, bo śmierdzisz jak gorzelnia. Łazienka jest naprzeciwno.

Wygrzebawszy z torby zbłąkany kawałek mydła, Niedaś wziął od

siostry ręcznik i wyruszył na spotkanie z wanną. Lecz zanim zamknął za sobą drzwi, zajrzał jeszcze raz do pokoju i rzucił wesoło:

– A wiesz, siostra, że pasuje ci ta papuga? Powaga. Odciąga uwagę od tej, no. Twarzy.

\*\*\*

Wydobywszy wreszcie odwłok z wanny i nieco bardziej wytrzeźwiawszy, Niedaś Przygoda wpuścił wciąż wściekłą siostrę do łazienki i wrócił do pokoju. Nieskrępowany zaciekawionym spojrzeniem papugi rzucił mokry ręcznik byle gdzie i przebrał się w rzeczy, które po przelotnym obwąchaniu uznał za czyste w stopniu umiarkowanym, po czym z chwilowego braku lepszego zajęcia zaczął myskować po kątach, starannie unikając kontaktów z niskim sufitem.

Najpierw znalazł czekoladowy batonik i natychmiast go pochłoniął w beztroskim poczuciu, że kradzione nie tuczy. Przerzucił całą stertę jakichś babskich czasopism leżących przy łóżku, książki olewając konsekwentnie. Pogrzebał siostrze w kosmetykach, wychodząc z prostego założenia, że skoro stoją na wierzchu, to właśnie po to, by mógł sobie nieco tego i owego wycisnąć, psiknąć albo przypadkiem wylać na podłogę. Gdy już zatarł ślady brutalnej zbrodni na dwóch kremach, dezodorancie i toniku, odwrócił się w stronę dziwacznej komody. I wtedy zauważył coś, co wcześniej umknęło jego uwadze.

Trzy odbiorniki radiowe.

– Siostra idzie w ilość? – zdziwił się, lecz nie na długo. Namacał włącznik, wcisnął i zaczął szukać ulubionej stacji.

Szum. Szum. Szum. Trzaski. Szum. Szum. Szum. I w końcu rozległy się wyraźne dźwięki muzyki, a wraz z nimi zawodzenie. Przez pierwszą minutę Niedaś nie zwracał na nie uwagi, potem jednak coś go tknęło. Oderwał się od szuflad siostry i zaczął się wsłuchiwać w najnowszy przebój polskiej poezji śpiewanej.

W tle coś szemrało. Bez przerwy, raz ciszej, raz głośniej – zawsze jednak zbyt cicho, żeby mógł rozróżnić słowa, a przy tym na tyle głośno, by utrudniać kontemplację niezmiernych głębin tekstu. Co

prawda to akurat Niedasiowi nie przeszkadzało, lecz ciągły, niejednostajny szum działał mu na nerwy. Najwyraźniej coś przebijało, może jakaś audycja na innej stacji. Po chwili wzruszył ramionami i zmienił częstotliwość.

Gdy wróciła Salka, Niedaś sprawdzał właśnie siódmą stację w trzecim radiu.

– Zostaw, wszędzie przebija.

– Co?

– Wszędzie przebija – powtórzyła, przeganiając Roya Keane’a i biorąc się do ścielenia łóżka. – Za pierwszym razem sądziłam, że to wina radia, ale przy trzecim doszłam do wniosku, że to nie to.

– No to co?

– Nie wiem, ale w telefonie na dole też to słyhać. Jakiś inny sygnał się przebija, nie idzie w ogóle rozmawiać, jak ktoś dzwoni. Ciągłe jakieś szумы, szmery, głosy...

– Głosy w dzwoniącym telefonie? – Na twarzy Niedasia w okamgnieniu rozkwitł błazeński uśmieszek. – Seryjnie, siostra? Ale tak seryjnie seryjnie?

– Spadaj – mruknęła Salka. – Zbieram się zaraz do pracy. Jak wrócę, ma cię tu nie być, słyszysz?

– Oj, babcia Isia będzie wstrząśnięta, niezamieszana, że jej wnusia...

– Lepiej niezamieszana – weszła mu w słowo – inaczej osobiście palnę cię w ten twój pusty, skacowany łeb, jeśli polecisz do niej z ozorem. A potem opowiem, jak to jej genialny wnusio, przyszłość polskiej nauki, świecił w akademiku niekoniecznie dobrym przykładem. Jasne?

– Jak halogen! – zdążył zakrzyknąć, zanim za Salką zamknęły się drzwi.

\*\*\*

Okolo szóstej po południu Salka dotarła na Lipową niczym skazaniec na szafot. Właśnie uwalniała się z kurtki, gdy wtem z głębi domu dobiegł ją ryk:

– Dajesz, Jadźka, dajesz!!!

Słyszając to, Salka zastygła tak, jak stała, z rękami wygiętymi pod dziwnym kątem, wciąż uwięzionymi w sztruksowych rękawach.

– Agro! Ściągaj agro!!!

Nie, wcale się nie przesłyszała.

Pomału, krok za krokiem sunęła korytarzem, wbrew własnej woli szukając źródła tych żywiołowych, acz całkowicie niezrozumiałych dla niej okrzyków. Zupełnie jak w rasowym horrorze, pomyślała – coś się drze, a ona lezie tam jak ostatnia sierota, prosto w paszczę potwora czy innego psychopaty, zamiast zwyczajnie dać nogę, ratując życie lub zdrowie...

Jedne z tajemniczych drzwi na parterze były teraz otwarte na oścież, ukazując sporych rozmiarów pokój pełen książek. Pod oknem, bokiem do wejścia, przy wielkim biurku z jeszcze większym monitorem siedziała weselsza z pań Bolesnych. Z wytrzeszczonymi oczami, wyrazem absolutnego zacięcia na twarzy i papierosem sterczącym zawiadacko z zaciśniętych, uszmkowanych na ostry róż ust jedną ręką klikała myszką jak oszalała, drugą zaś waliła w klawisze.

– Uwaga, dziad rośnie, dziad rośnie! – wydarł się podekscytowany Niedaś, który wisiał nad starszą panią niczym wyrzut sumienia, z red bullem w dłoni i nastroszonym jak szczotka ryżowa Royem Keane'em na ramieniu. – Już go tankuje, jedziesz z depeesem, Jadźka!!!

– Co tu się wyprawia? – słabym głosem wyszeptała Salka, lecz, rzecz jasna, oboje nie zwrócili na nią uwagi, całkowicie pochłonięci grą.

– O ile mnie słuch nie myli – odparła w ich imieniu pani Matylda, stając w progu kuchni – moja młodsza o trzy minuty siostra Jadwiga, emerytowana profesor medycyny, właśnie zalicza VOA, żeby zdobyć ostatniego achievementa, a pani młodszy brat i Roy Keane z zapalem jej w tym kibicują.

– Killnij gada!!! – ryczał Niedaś.

– Killnij gaaada! Killnij gaaada! – skrzeczał Roy Keane, łopocząc skrzydłami.

– Jakiego znowu woła?

– Nie woła, tylko VOA – poprawiła pani Matylda. – V-O-A. Czyli Vault of Archavon. Taka instancja.

Salka potrzebowała paru sekund, żeby zebrać myśli. W tym czasie Niedaś darł się jak opętany, a pani Jadwiga ostro jechała z depeesem.

– Dobrze, ale co on tu robi? – zapytała w końcu dziewczyna, odwracając się twarzą w stronę pani Matyldy.

– Wół?

– Niedaś!

– A teraz kill shotem go, KILL SHOTEM!!!

– Killnij gaaada!

– Cóż, pomijając cele wyższe, do których być może predestynował go los, to mieszka.

Posady świata drgnęły lekko.

– Jak... jak to?

– Tak to. On potrzebował kąta, my kątem dysponowałyśmy, a *pecunia non olet*<sup>3</sup>. Roy Keane również nie miał nic przeciwko.

– Ale może ja mam coś przeciwko?!

– Cóż. Nikt nie mówił, że życie jest łatwe – odparła pani Matylda i uśmiechnęła się szeroko po raz pierwszy, odkąd Salka zamieszkała na Lipowej.

Salka przymknęła oczy, tknięta przerażającym, granitowym przecuciem, że obecność brata pod tym samym dachem jak zwykle skończy się dla niej bardzo, ale to bardzo źle...

Żadna z nich nie zdawała sobie jednak sprawy, jak wielkie kłopoty ściągnęły na siebie wraz z beztroskim Niedasiem.

## Rozdział 5, w którym Niedaś wspina się na wyżyny, a w tle przemyka złowrogie widmo Kajsiewicza

Tradycyjnie przespawszy poranne zajęcia, Niedaś Przygoda około południa wygrzebał się z pościeli i zszedł do kuchni w poszukiwaniu pożywienia. Zarówno Salka, jak i obie siostry Bolesne wybyły z domu, nie racząc zostawić zabiedzonemu studentowi choć namiastki śniadania, w związku z czym wrócił na górę z napoczętym słoikiem musztardy i paczką zimnych parówek i w tym doborowym towarzystwie wpakował się do wanny.

Po skończonych ablucjach i wyszukanej przekąsce Niedaś raz-dwa zrobił się na bóstwo. Pomimo rozbieżności w charakterach on i Salka byli do siebie bardzo podobni – zarówno z postury, jak i z twarzy – co w przypadku Salki niekoniecznie stanowiło powód do radości, jako że mało która dziewczyna chciałaby wyglądać jak facet, choćby najprzystojniejszy. Przez to ogólne podobieństwo różnice między nimi tym bardziej rzucały się w oczy. Pomijając kwestię odpowiednich płaszczyzn i zaokrągleń, Salka miała rude włosy i niebieskie oczy, Niedaś w obu tych przypadkach konsekwentnie trzymał się czerni i okolic. Salka tyła od samego patrzenia na słodycze, Niedaś pod tym względem przypominał karalucha – wszędzie wlaź, wszystko zeżarł i wciąż mieścił się w swój chitynowy pancerzyk. W dodatku był blady bladością sugestywną, tajemniczą i dziwnie ekscytującą w maślanych oczach przedstawicielek płci niewieściej. Bladość Salki w najlepszym razie mogła się kojarzyć z galopującymi suchotami, i to wyłącznie przy nad wyraz korzystnym oświetleniu. Na przykład przy zgaszonej świeczce.

Niedaś ostatni raz zerknął w lustro, po czym z przewieszonym przez kark ręcznikiem wymaszerował z łazienki, pogwizdując wesoło pod nosem. Nie uszedł jednak daleko.

– Oż kurczaczki z pierza oskubane! – zakrzyknął, drgnąwszy gwałtownie na widok stojącej przed nim postaci. – Pani starsza to ma



wejście smo... eee... – W tym momencie Niedaś zawiesił się na parę sekund, gdy jego umysł w końcu ruszył na przełaj świńskim truchtem, usiłując nadażyć za tym, co podsuwał mu wzrok. – Dzień... tego... dzień dobry?

Starsza kobieta ani drgnęła, tylko gapiła się na niego szeroko otwartymi oczami.

Żółtymi, a jakże.

– Oż w pysk – wypalił Niedaś z rozdziawionymi ustami – powrót kserokopii...

Trzecia siostra, jak nic. Była równie wysoka, jak pani Matylda i pani Jadwiga, lecz zasuszona i przygarbiona, przez co wydawała się znacznie od nich drobniejsza i posunięta w latach. Długie, rzadkie włosy opadały jej na ramiona, gdzie zlewały się z bielą koszuli nocnej. Twarz miała zapadniętą, stopy bose. Bardziej niż żywą istotę przypominała ducha – który właśnie znieruchomiał na widok najprawdziwszego śmiertelnika.

Minęła minuta, potem następna. Niedaś odchrząknął. Gdyby miał w sobie choć odrobinę więcej empatii, być może dostrzegłby, że starsza kobieta wpatruje się w niego nie tyle z zachwytem dla jego wstrząsającej powierzchowności bądź elokwencji, ile z nieskrywanym przerażeniem. Być może nawet przywiązałby do tego jakąkolwiek wagę. Niedaś był jednak całkowicie uodporniony na odczucia inne niż własne, rozumiejąc wyłącznie wyższe emocje, takie jak LOL, ROTFL i tym podobne. A na domiar złego zaczął się nudzić, zrobił więc pierwszą rzecz, jaka przyszła mu w tej sytuacji do głowy. Wyszczrzył się niemal na okrętkę.

Na ten widok staruszka drgnęła i cofnęła się niepewnie o krok, w obronnym geście wyciągając przed siebie rękę. W drugiej dłoni ścisnęła coś kurczowo.

– *Bitte, bitte, lass mich in Ruhe...*<sup>4</sup>

Niedaś zamrugał. Nie pomogło.

– Eee?

– *Geh fort, bitte, geh zurück, wo du hergekommen bist...*<sup>5</sup> – szeptała, ledwo poruszając wargami.

– Eee, ja nie szprechen dojczen ten tego...

– ...*Ich wollte das nicht, nie, nimmer, ich hab' sie gebittet, ich hab' sie gefleht, aber sie hat mich nicht gehört, sie hat mich nimmer gehört, glaub mir, ich wollte das nicht, ich wollte das wirklich nicht...*<sup>6</sup>

Tu staruszka nagle umilkła i zebrawszy się na odwagę, postąpiła w stronę chłopaka.

– *Nimm das* – powiedziała niespodziewanie pewnym, wyraźnym głosem i szybko wsunęła mu coś do ręki. – *Nimm das* – powtórzyła, cofając się. – *Nimm das... und vergiss*<sup>7</sup>.

Ogłupiały bardziej niż zwykle Niedaś spuścił wzrok na swoją dłoń, na której spoczywała teraz mała, przykurzona szpulka czerwonych nici. A gdy znowu go podniósł, korytarz był pusty. Starsza pani rozplynęła się w powietrzu.

– Nie kumam – stwierdził na głos Niedaś zgodnie z prawdą, gdyż istotnie nie kumał z tego nic a nic. – Nadprogramowa starsza pani, germańskie narzecze, a do kompletu suvenir od czapy...

Patrzenie na szpulkę w sposób nieustępliwy nie przyniosło jednak rozwiązania zagadki, podobnie jak podstępne łypanie, dlatego Niedaś zrezygnował z dalszych nacisków i wrócił do pokoju, aby w końcu zebrać się do wyjścia na uczelnię. Wkładając mocno znoszoną już kurtkę, zauważył, że jeden z guzików wykazuje niepokojące tendencje separatystyczne. Ten element swojej garderoby, zdobyty cudem i przemocą na jakiejś przypadkowej wyprzedazy, darzył wyjątkowym przywiązaniem, co dało się poznać na pierwszy rzut oka. Kurtka właściwie była czarna, choć miejscami wytarta już do szarości, i stanowiła luźną wariację na temat munduru, na szczęście daleką od stroju Michaela Jacksona. Niedaś nosił ją na grzbiecie już szósty rok i ani myślał zamieniać na nowszy model, dopóki ostatni szew trwał na posterunku. Wielbił ją do tego stopnia, że raz na ruski miesiąc samodzielnie nastawiał najdelikatniejsze pranie, po czym przez cały cykl warował przed pralką, na wszelki wypadek pilnując, coby jego skarb nie dostał nadmiernych zawrotów kołnierza podczas wirowania. A że pod wieloma względami był też nieodrodnym dzieckiem swojej matki – tak jak jego siostra była w zasadzie sierotą – teraz szybko wygrzebał skądś igłę, oderwał kawałek czerwonej nici i kilkoma sprawnymi ruchami porządnie przyszył guzik z powrotem. Cisnął

szpulkę byle gdzie i wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi i beztrudno zapominając o szepczącej coś po niemiecku nadprogramowej staruszce.

\*\*\*

Drzwi piwnicznej księgarni uchyliły się cichaczem i do środka zajrzała głowa, jasnowłosa i niewątpliwie męska.

– Przepraszam? – odezwała się przyjemnym, ciepłym głosem.

Spod zajmującego środek pomieszczenia stołu, na którym zalegały stosy książek, wystawała para długich nóg w fioletowych sztruksach, zwieńczona wypiętym tyłkiem.

– Już zamknięte! – dobiegło gdzieś spomiędzy kartonów, które tłoczyły się pod blatem.

– Ach, no tak – odparła pospiesznie głowa w drzwiach. – Najmocniej przepraszam.

Tyłek spod stołu zmienił położenie, a jedna z nóg zadarła się frywolnie w powietrze, wsparta na chybliwym kolanie.

– Obawiam się jednak – ciągnęła głowa – że tylko pani może ocalić moją skórę przed niechybnym batożeniem.

– Niechybnym czym? – nie dosłyszał tyłek.

– Batożeniem. Jeśli nie wrócę z tej wyprawy z łupem, wpierw zbiorę solidne cięgi, a potem moje życie zmieni się w jedno pasmo udreń, przy których cierpienia młodego Wertera wydadzą się klasyczną komedią omyłek z subtelnym wątkiem romantycznym.

Tyłek – jakkolwiek by to brzmiało – westchnął ciężko.

– A za czym ta wyprawa?

– Za ideami.

– Słucham?

– Za ideami – powtórzyła głowa. – Najlepiej romantycznymi.

Tym razem tyłek wypiął się nieco bardziej i po chwili wyciągnął w ślad za sobą resztę człowieka w osobie Salki, spoconej, poczerwieniałej i rozczochranej po długim grzebaniu wśród porośniętych kurzem kartonów.

– A można jaśniej? – zapytała, odwracając się niechętnie.

Posiadacz głowy, poszukiwacz idei wychynął nieco śmieiej zza drzwi i niczym Kot z Cheshire ujawnił się w całości.

Z najgłębszych czeluści duszy, gdzie pierwotne instynkty kryły się po chaszczach, w ułamku sekundy wystrzelił przekaz prosty jak konstrukcja cepa, celując w centrum sterowania Salką i uruchamiając podstawowe dla przetrwania odruchy. Plecy prosto. Wciągnij brzuch. Obliz wargi, bo spierzchły. Włosy przygładź, włosy! I na litość boską, zróbże coś z tą twarzą! Schowaj, zamaluj, zgaś światło!!!

Facet był na oko niewiele starszy od Salki i również niewiele od niej wyższy, co nie uszło jej uwadze, wyjątkowo wyczulonej na ten szczegół anatomii. Może nie powalał urodą na kolana, nie skłaniał nawet do siadu, robił jednak bardzo sympatyczne wrażenie. Miał kasztanowe, lekko kręcone włosy, modne okulary w prostokątnych, grubych oprawkach, typową sylwetkę mola książkowego i najcieplejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała.

– *Idee programowe romantyków polskich*, beenka, seria pierwsza, numer dwieście sześćdziesiąty pierwszy – wyrecytował jednym tchem.  
– Obawiam się, że na widok mojego promotora nasze bibliotekarki wpadają już w histerię i uciekają z krzykiem, aby ocalić resztki zbiorów, a jego trzeci osobisty egzemplarz właśnie poniósł śmierć w iście piekielnych męczarniach.

– Znaczy w ogniu?

– Zalany kawą typu szatan. Profesor nie grzeszy zręcznością. – Spojrzał na nią błagalnie. – Wiem, że już zamknięte, lecz w pani moja ostatnia nadzieja. Profesor pożąda cytatów na jutrzejsze zajęcia i zagroził, że zacznie recytować poezje Kajsiewicza, jeśli nie znajdzie mu zaraz tej beenki...

Salka nie kojarzyła, kto zacz ów Kajsiewicz i czemu jego poezje miałyby służyć jako narzędzie represji, w związku z czym potworność profesorskich pogroźek nie za bardzo do niej docierała – czego nie mogła powiedzieć o uśmiechu faceta z głową, który docierał do niej bezapelacyjnie. Uśmiech, nie facet, rzecz jasna. Chociaż gdyby się nad tym głębiej zastanowić...

Informacja, co to takiego ta beenka i z czym to się je, była podstawowa dla kogoś, kto prowadził na co dzień księgarnię

w piwnicy budynku opanowanego przez polonistów i życzył sobie ujść z niego z życiem i mniej więcej ze zdrowymi zmysłami. Stąd Salka, odpowiednio poinstruowana w temacie przez Gacię, wiedziała, czego szukać. Komputer twierdził, że jeden egzemplarz powinien gdzieś tu się kryć...

– Jest!!! – pół godziny później rozległ się triumfalny okrzyk. – Znalazłem!

Salka, która dopiero co przycupnęła pod sufitem na drabinie i rozpoczęła poszukiwania wzmiankowanej beenki na najwyższych półkach, z trudem zdusiła w sobie żalostny jęk rozczarowania i z gracją zlazła na ziemię.

Tymczasem facet z głową wy dostał się z wyjątkowo ciasnego kąta, w wyciągniętej ręce dzierżąc niewielki obiekt pożądania w twardej, lśniącej białej okładce. Aż promieniał z ogólnej szczęśliwości, czym tylko dobił Salkę.

– Nie wiem, jak pani dziękować – powiedział, zgarniając w pośpiechu paragon i resztę. – Profesor naprawdę zna tego Kajsiewicza na pamięć, już raz mi zafundował pełen przegląd twórczości, jak zapodziałem gdzieś bezcenne kserówki z Krasińskiego...

– Polecam się na przyszłość – bąknęła z braku lepszych kwestii i wyłączyła komputer. Oczywiście teraz to się zawiesił, jakby nie mógł wcześniej!

Facet z głową podziękował raz jeszcze, po czym z błogim uśmiechem wybiegł z księgarni niemalże w podskokach.

Rozbuchane instynkty Salki jęknęły zgodnym głosem.

\*\*\*

Pierwsze, co usłyszała Salka, gdy pod wieczór przestąpiła próg domu, to przeraźliwe skrzeczenie Roya Keane'a. Zaniepokojona, cisnęła siatkę z zakupami na podłogę i pognęła na górę.

Papuga miotła się po całym pięttrze, bezskutecznie próbując wzbic się w powietrze. Na widok zdyszanej Salki załopotowała skrzydłami, jakby coś w nią wstąpiło.

– Ekawuaaacja! Ekawuaaacja! – Roy Keane rozdarł się na całe gardło, wprawiając w drżenie szyby w oknach i plomby w zębach.

– Rany boskie, co ci strzeliło do tego ptasiego mózdzku? – prychnęła Salka, usiłując jakoś obejść ptaka i przy okazji nie oberwać skrzydłem. – Siad! Spocznij!

I wtedy gdzieś na piętrze rozległo się donośne wołanie.

– Ekawuaaacja!!! – zawtórował Roy Keane i puścił się truchtem w głąb korytarza. Bez zastanowienia Salka popędziła za nim.

Drzwi do jednego z pozostałych pokoi na piętrze cudacznej wieżyczki, dotąd zawsze zamknięte na cztery spusty, teraz były uchylone. Roy Keane wcisnął się przez szparę do środka, otwierając je szerzej.

Na podłodze leżała jakaś postać, krucha, nieruchoma i blada. Nad nią zaś nachylała się pani Matylda.

– Mila! Mila! – powtarzała głośno. – Otwórz oczy, Mileńka!

– Pani... pani Matyldo?

Starsza pani na okamgnienie podniosła wzrok, by sprawdzić, kogo drący wciąż dziób Roy Keane sprowadził na pomoc.

– Wezwij karetkę – rzuciła. – Nie mogę jej ocucić.

– Ale... ja nie mam komórki, a ten telefon... on przecież nie działa.

– Działa.

– Przecież telefony z tarczą... – zaczęła oszołomiona Salka. Wtedy pani Matylda podniosła głowę.

Jej zawsze niewzruszony wzrok nagle skamieniał, a wraz z nim odruchowo skamieniała i sama Salka, ponieważ nie było w nim znajomej surowości czy chłodu, z którymi już się nieco oswoiła, jedynie przerażająca, obezwładniająca zaciętość. Przez ułamek sekundy dziewczyna sądziła, że starsza pani zaraz strzeli ją w łeb laską. Ale nawet to byłoby lepsze niż ten kamienny wzrok, przed którym spietrałaby chyba sama Meduza, o pozostałych gorgonach czy innych Charybdach nie wspominając. Bo nagle świdry tych żółtych oczu zgrzytnęły złowroźbnie raz i drugi, po czym pomału, z metalicznym piskiem zaczęły się przez nią przewiercać.

Salce wydawało się, że minęły wieki, zanim uwolniła się od tego spojrzenia, a świat znów ruszył z miejsca, starając się zbytnio nie



zwracać na siebie uwagi.

– Wezwij karetkę – powtórzyła cicho Matylda Bolesna i ponownie nachyliła się nad nieruchomą postacią. – Mileńka, błagam, Mileńka...

O mało nie łamiąc sobie nóg, Salka dopadła do telefonu i podniosła słuchawkę.

Znowu ten szum.

Znowu ten szmer.

Głosy. Dziesiątki szepczących głosów.

Wtedy coś jej strzeliło do głowy.

– MILCZEĆ! – wrzasnęła na całe gardło.

Wszystko umilkło jak nożem uciął i w słuchawce zapanowała głucha cisza. Z duszą na ramieniu Salka wykręciła numer alarmowy.

Karetką przyjechała po paru minutach. W tym czasie Salka zdołała złapać rozemocjonowanego Roya Keane'a i zamknąć go w salonie, po czym niemal stopiła się z wiekową boazerią, patrząc, jak ratownicy gnają na piętro, a potem ostrożnie znoszą po schodach wciąż nieprzytomną postać.

– SALOMEO! – huknęło naraz tuż obok.

Pani Matylda. W płaszczu, z torebką w jednej dłoni i laską w drugiej.

– Tak?

– Przekaż Jadze, co się stało. Powiedz jej, że zabrali Milę na Borowską, już ona będzie wiedziała, co robić.

– Pani jedzie z nimi? – zapytała Salka bezradnie i zupełnie bez sensu, bo pani Matylda już była za progiem.

– Na Borowską, pamiętaj! – rzuciła raz jeszcze, zanim zamknęły się za nią drzwi. Chwilę potem na zewnątrz rozbrzmiał sygnał karetki, by po paru sekundach ucichnąć gdzieś w oddali.

Jaga, czyli pani Jadwiga, wróciła godzinę później. Spokojnie wysłuchiwała chaotycznej relacji wciąż poruszonej Salki, po czym bez słowa podeszła do telefonu. Salka została w salonie, z Royem Keane'em w objęciach, ale słyszała wszystko przez otwarte na oścież drzwi.

W przeciwieństwie do pani Matyldy jej siostra nie krzyczała na szumiąco-szmerający telefon.

– Cicho już – rzuciła tylko spokojnie, po czym wykręciła numer. – Dobry wieczór, Bolesna-Tupatajkowa z tej strony. Zastałam może...? Dziękuję. Dobry wieczór... Tak, gdyby był pan tak łaskaw... tak... tak...

– Powiedzieli pani coś? – zapytała Salka, gdy po paru minutach pani Jaga z powrotem zasiadła w swoim fotelu i sięgnęła po filiżankę z herbatą.

– Wszyściuteńko od a do zet. Jak na spowiedzi.

– Jak to, tak po prostu? – zdumiała się.

– Cóż, na miejscu jest Matylda, co wystarczy już samo w sobie jako motywacja do zwierzeń. To po pierwsze. A po drugie... – tu przez twarz pani Jagi przemknął łobuzerski uśmiech – ...a po drugie swego czasu oblałam ich ordyna-tora. Dwukrotnie. Do dziś mnie pamięta – dodała nie bez dumy.

– Ach, no tak. Pani Matylda wspominała przecież... – Różnąc ostro w MMORPG emerytowana profesor medycyny. Jadwiga Bolesna... coś tam coś tam. – Czy mogę zapytać...?

– Zaburzenia rytmu serca – odparła pani Jaga. Upiwszy herbaty, przystąpiła do obszerniejszych wyjaśnień. – Krótko i węzłowato. Poziom katecholamin wzrósł, w rezultacie serce gwałtownie przyspieszyło. A że nie jest już pierwszej młodości, i to od bardzo dawna, to zaczęło pracować nie dość, że szybko, to jeszcze niemiarkowo. Utrata przytomności zwińczyła całość.

– I co teraz?

Starsza pani wzruszyła ramionami.

– Teraz, moje dziecko, oni ją wyrównają, a nam pozostaje tylko czekać. Niedaś w domu? – Zmieniła temat tak niespodziewanie, że Salka w pierwszej chwili nie zrozumiała, o kim mowa.

– Co? A, nie, nie w domu. – Prychnęła. – Pewnie znowu się gdzieś szlaja i przyczołga się dopiero nad ranem, nawalony jak stodoła...

– Szkoda. Liczyłam, że skoczymy razem do Wintergrasp. No, rozchmurz się, dziewczyno, i nie patrz na mnie z takim potępieniem.

– Uśmiechnęła się. Turban i płasy swoją drogą, lecz dopiero ten uśmiech, życzliwy i niewymuszony, uświadomił Salce, jak bardzo pani Jaga różni się od pani Matyldy. – Moja młodsza siostra jest pod

dobłą opieką, starsza zapewne przyprawia o stan przedzawałowy co najmniej pół oddziału, jeśli nie szpitala, więc zamiast siedzieć i biadolić, wolę spędzić ten wieczór na czymś konstruktywnym. Na przykład waląc z armaty w tych przeklętych aliansów.

\*\*\*

Budynek politechniki, o tej porze dziwnie opustoszały i cichy, górował nad chodnikiem niczym wyrzut sumienia, przed którym czmychały właśnie w pośpiechu ostatnie studenckie niedobitki. Grupa paru osób, śmiejąc się i gadając, skręciła w stronę rozświetlonego placu Grunwaldzkiego. Dziewczyna w fioletowej kurtce oddzieliła się od nich i ruszyła pomału w przeciwnym kierunku, po drodze grzebiąc w torbie w poszukiwaniu słuchawek do telefonu, który czekał już w kieszeni, by ogłuszyć ją eksplozją dźwięków.

Szła ze zwieszoną głową, nawet nie patrząc pod nogi. Przez trzy lata przemieszczała się na uczelnię i z powrotem klasyczną metodą „z buta” i znała już na wylot wszystkie nierówności tego chodnika. W końcu namierzyła słuchawki, podłączyła i wciąż w biegu, wcisnęła PLAY na wyświetlaczu telefonu. Szum samochodów sunących wielopasmową jezdnią, rytmiczny stukot niebieskich tramwajów – wszystko to zaraz utonęło w muzyce.

Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni kurtki i wtedy kątem oka dostrzegła przed sobą ciemną, nieruchomą plamę. Niewiele brakowało, a wpadłaby z impetem na jakiegoś faceta. Sterczał na samym środku chodnika, palant jeden. Ominęła go w ostatniej chwili.

– Sorry – rzuciła pod nosem.

W świetle latarni dostrzegła jedynie, że był blady i ciemnowłosy, a na sobie miał znoszoną ciemną kurtkę. I sprawiał wrażenie trochę skołowaciałego. Najwyraźniej zaliczył już parę konkretnych głębszych, choć dopiero dochodziła dwudziesta pierwsza. Obejrzał się za nią, jakby skądś ją znał, tylko nie mógł otrząsnąć się z zamroczenia i przypomnieć sobie skąd.

– Zapomnij – mruknęła, pogardliwym ruchem odrzucając na plecy długie, złote włosy.

Świtało, gdy natknął się na nią zaspany przechodzień z psem. Leżała gdzieś w gęstych krzakach, zeszywniała, niewidzącymi oczami wpatrując się w niebo równie sine, jak jej usta. Złote włosy zlepiła dawno zakrzepła krew, a w słuchawkach, których kabelek ciągnął się z kieszeni fioletowej kurtki, nadal dudniła muzyka.

## Rozdział 6, w którym rodzeństwo rozważa, co ma tęcza do krzaka, a pani Matylda jest... cóż, panią Matyldą

Niedaś, gadzino jedna, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Że co?

Salka z trudem oparła się pokusie, by cisnąć w brata jego własnym podręcznikiem, nietkniętym i już solidnie zakurzonym, choć rok akademicki trwał dopiero niewiele ponad tydzień i nawet nie zdążył się na dobre rozpędzić.

Przebudziwszy się przed ósmą z poświstującym przez sen Royem Keane'em pod pachą, jeszcze przez godzinę leżała w łóżku. Tępy wzrokiem wpatrywała się w sufit nad swoją głową i taplała się z upodobaniem w głębinach rozpachy najczarniejszej z czarnych.

Niedaś.

Tuż za ścianą.

Znowu.

Znowu będzie łązić po jej pokoju, niezauważalnie rozprzestrzeniając swój bajzel. Tu porzuci skarpetki, tam resztki śniadania albo pudełko po pizzy z zeszłego miesiąca, pod łóżkiem zadekuje śmierdzące trampki, a za komodą upchnie całą kolekcję puszek po piwie. Będzie wyzerać co do okruszyny zachomikowane na czarną godzinę zapasy czekolady, odkładając na miejsce same sreberka i papierki. Będzie wypijać cudem zdobytą herbatę na wagę. Grzebać w kosmetykach. Korzystać z jej ręcznika. Zużywać cały szampon i zostawiać dla niepoznaki puste opakowanie. Pożyczać bez pytania przeróżne rzeczy na wieczne nieoddanie. A nade wszystko z upodobaniem i za-pałem będzie wtykać nos w nie swoje sprawy, by następnie po-wiadomić o nich caluteńki świat i okolice. Nie zdziwiłaby się wcale, gdyby specjalnie w tym celu Niedaś jako pierwszy człowiek w historii nawiązał kontakt z cywilizacją pozaziemską.

Niedaś był bowiem zdolny do wszystkiego.

Najwyraźniej miał jednak problem z podzielnością uwagi.

– Pytałam, czy mnie w ogóle słuchasz – powtórzyła Salka.

– Sorry, nie słuchałem.

– Tak, zdążyłam już zauważyć.

Nie odrywając wzroku od laptopa, Niedaś pokazał siostrze uniesiony kciuk.

– Piątka z plusem, blok i kredki. A o co kaman?

– O to cudowne rozmnożenie starszych pań, o to kaman! Boję się otworzyć lodówkę, bo a nuż natknę się na kolejny egzemplarz! Czy one się nigdy nie skończą?

– Starsza pani też człowiek, choć prehistoryczny – stwierdził filozoficznie Niedaś, po czym zmarszczył brwi. – No o co kaman?

– Mówię przecież...

– Że co?

Zniecierpliwna Salka zerwała się z krzesła, na którym tkwiła od jakiegoś czasu, próbując nawiązać choćby szczątkowy kontakt werbalny, i z impetem usiadła obok brata na łóżku. O mało nie zrzuciła go przy tym na podłogę. Rozpaczliwym gestem przycisnęła bezcennego laptopa do piersi.

– Rany, siostra, tylko bez ruchów tektonicznych mi tu!

– W czym ty tak tam grzebiesz?

– Aaa, bo ściągnąłem sobie jakiegoś apdejta i teraz wszystko mi się krzaczy.

– Co się robi?

Przewróciwszy oczami, Niedaś westchnął ciężko nad ignorancją własnej siostry i popukał w ekran laptopa.

– Się. Krzaczy.

W lewym dolnym rogu ekranu wyświetlało się niewielkie okienko czata. Co parę sekund przewijały się na nim kolejne wersy w rozmaitych kolorach. Salka zmarszczyła brwi.

– Ja tu żadnych krzaków nie widzę. Same literki.

– Rany, siostra... To jest czat, nie? A te kolorki to różne rodzaje wiadomości tekstowych. Na biało jest zwykła mowa. Znaczy ktoś tam sobie stoi i nawija, a ja to widzę, bo jestem blisko. O, widzisz, tamte

enpece?

– Tamte co?

– Dobra, nieważne. Czerwony znaczy, że ktoś w okolicy drze pyska. Ten na różowo to mój kumpel, Dookai, wczoraj się lekko sponiewierał i teraz szepcze mi coś czule do uszka. Żółtym lecą komunikaty gry. Niebieski to grupa, a na zielono wyświetla się czat mojej gildii. Gdybym polazł na rajd, tekst byłby pomarańczowy. Nadażasz?

– Nadażam. Ale co ma tęcza do krzaków?

– Ano to, że w całym *Warcrafcie* nie ma wiadomości tekstowych, które wyświetlałyby się na czarno. A przynajmniej nie bez kombinacji alpejskich albo czitów.

– Bez czego?

– Rany boskie, siostra, na jakim ty świecie żyjesz?!

– Prawdziwym – odparła sucho Salka. – Praca, codzienne obowiązki, ludzie, których można pomacać. Kojarzysz klimaty? Znaczy, że co? Że te czarne wersy...

– ...nie są z gry – dokończył Niedaś.

Rodzeństwo nad wyraz zgodnie wlepiło oczy w ekran. Na tle gry czarne wersy były ledwo widoczne, lecz Niedaś w końcu ustawił kamerę tak, by dało się odczytać cały czat.

[Guild] [Littledevil]: dobra szybki restart brb

Littledevil has gone offline.

de profundis clamavi ad te domine domine exaudi vocem  
meam fiant aures tuae intendentes in vocem deprecationis  
meam

Lachupamacabra is online.

[Guild] [Lachupamacabra]: yo

wracaj slyszysz nie idz tam

zobaczysz ojciec wroci to ci tylek przetrzepie

[Dookai] whispers: ej adi idziesz dzisiaj na liszaja?

[Dookai] whispers: bo nie weim czy wytrzeswieje

[Guild] [Pwned]: yo

was hast du getan willie

sagen sie mir warum

[Guild] [Huntermoonahunt]: yoyo

Ugibugi has earned the achievement [Guru of Drakuru]!

domine exaudi vocem meam

[Guild] [Pwned]: gratz man

ich fragte sie nicht zu tun hab ich nicht willie hab ich nicht

[Guild] [Huntermoonahunt]: gratz

domine exaudi vocem meam

[Guild] [Lachupamacabra]: gratz

[Guild] [Ugibugi]: txh

[Guild] [Ugibugi]: lol thx

[2. Trade] [Johnnybebold] WTB THUNDERBLUFF [Guild]

Littledevil is online.

[Dookai] whispers: koorfa, chyab spzredalem se  
bracersy...DOMINE EXAUDI VOCEM MEAM

DOMINE EXAUDI VOCEM MEAM

DOMINE EXAUDI VOCEM MEAM

– Coś przebija? – strzeliła Salka po chwili namysłu.

– Chyba ty, siostra – parsknął Niedaś. – Co niby, esemesy? Maile fruują w powietrzu i się z rozpędu przebijają, czy jak? To nie jest telefon sprzed potopu szwedzkiego, uzbrojony w tarczę Piasta Kołodzieja, tylko uczciwy *World of Warcraft*. Dwudziesty pierwszy wiek, siostra! Tu nie ma co przebijać.

– Może i nie ma, ale jednak przebija – skwitowała.

– No cud nad Odrą normalnie.

– Jak już, to nad Wisłą – poprawiła, kolejny raz utwierdzając się w przekonaniu, że prędzej sama nauczy się jodłować pod wodą, niż Niedaś popęni jakikolwiek doktorat.

– Jeden pies.

– No to wyłącz to i po sprawie.

– Nie da się, siostra. Jak bym nie grzebał w ustawieniach, to cholerstwo ciągle się pojawia. Rany, coś mnie zaraz trafi... Co, mam



teraz całą grę instalować od zera? Przecież to z pierdylion giga!

– Trzeba było nie ściągać apdejtów po pijaku. Cierp, ciało, skoroś chciało.

– Ech, siostra, co ty tam wiesz... – mruknął Niedaś, po czym westchnął ponownie na znak ogromu swojej boleści. Z westchnienia zaś przeszedł gładko w rozdzierające twarz ziewnięcie. – Dooobra, idę spać, jutro będę grzebał dalej.

Salka ze zdumieniem spojrzała wpierw na brata, potem na zegarek.

– Spać? Na litość boską, Niedaś, przecież dochodzi jedenasta!

– Niech sobie dochodzi nawet wielokrotnie, ja jej nie wróg – odparł Niedaś, zamykając laptopa i wsuwając go pod swoje łóżko. – Doczołgałem się do domu przed godziną i zamierzam wstać dopiero jutro. Chyba że zaśpię – dodał po zastanowieniu – to raczej pojutrze.

\*\*\*

Tego dnia, a był to poniedziałek, Salka wyszła z pracy o ludzkiej porze, tuż po szesnastej. Na korytarzu minęła jeszcze znajomego faceta z głową, który dźwigał stos książek za niskim, korpulentnym staruszkim, zapewne profesorem od Kajsiewicza. Staruszek perorował o czymś z zapalem, żywo przy tym gestykulując. Facet z głową uśmiechnął się do niej i mrugnął porozumiewawczo.

Dalszą drogę do pobliskiej Galerii Dominikańskiej uskrzydłona Salka przebyła lotem.

Siłą rozpędu przekonała sprzedawców w sklepie z wszelkiej maści elektroniką, żeby przyjęli z powrotem trzy bezużyteczne odbiorniki radiowe. Potem przeleciała się raz-dwa po wszystkich piętrach galerii i zgarnęła trofea w postaci dwóch bluzeczek – może niezbyt jej potrzebnych do życia, za to do szczęścia już bardzo – a także praktycznego, ciepłego szlafroka, trzech książek i składanego planu Wrocławia. Było już ciemno, gdy wymachując radośnie torbą z zakupami, wsiadła do tramwaju i pojechała do domu.

W okolicach dworca w wagonie zrobiło się luźnej i Salka z ulgą klapnęła na siedzenie. Ze wzrokiem utkwionym w widokach za szybą zaczęła myśleć o tym wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnie dni,

odkąd w willi przy Lipowej zjawił się jej brat. Bonusowe siostry, wizyta pogotowia, a teraz jeszcze krzacząca się dziwnie gra Niedasia... Wciąż nie dawało jej spokoju wrażenie, że te czarne wersy miały coś wspólnego z szumami w telefonie i dopiero co zwróconych radiach...

Tramwaj zatrzymał się na przedostatnim przystanku, na wysokości Wzgórza Andersa, i wówczas wzrok pogrążonej w zadumie Salki padł na starą zajezdnię po lewej, na skos za skrzyżowaniem, którym przemykały teraz dziesiątki samo-chodów. Tuż za zajezdnią zaczynał się stary, ciemny park. Jego granicę wytyczał chodnik z rzędem zapalonych latarni. Nagle gdzieś na krawędzi jasności i cienia coś się poruszyło.

Światła zmieniły się i tramwaj ruszył pomału, a skraj parku wkrótce zniknął za budynkiem zajezdni. Mimo to Salka obróciła głowę, próbując jeszcze coś dojrzeć. Dałaby sobie rękę uciąć, że w blasku latarni mignęła jej właśnie sylwetka młodszego brata, który rzekomo odsypiał noc.

\*\*\*

Matylda Bolesna zawsze uważała, że tak zwana kobiecość, rozumiana przez nią jako nad wyraz pojemny synonim wszelkiego rodzaju eteryczności, wrażliwości, ckliwości i podobnych okropieństw, jest nie tylko mocno przereklamowana, lecz przede wszystkim wysoce niepraktyczna. A że praktyczność i życiową przydatność ceniła sobie najbardziej, konsekwentnie trzymała się od znamion kobiecości na bezpieczną odległość. Włosy obcinała krótko, po męsku, paznokcie jeszcze krócej, nie dając żałobie po kocie najmniejszych szans, jako że brudu i bałaganu nie tolerowała nigdy i u nikogo, czym swego czasu wielokrotnie załaziła za skórę swoim uczniom. Zwiewnych fatałaszków, falbanek i koronek nie trawiła wręcz organicznie, podobnie jak obcasów; zresztą przy takim wzroście były jej równie potrzebne, co świni siodło. Wołała porządne, wygodne spodnie i wytrzymałe buty z mocną podeszwą. Nigdy nie nauczyła się haftować, bo nie widziała takiej potrzeby, szydełko darzyła wielką

pogardą, odwrotnie proporcjonalną do jego niewielkich rozmiarów, opanowała za to wszystkie sploty na drutach, dzięki czemu miała nie tylko spory zapas przeróżnych swetrów, szalików i czapek, ale też zajęcie na długie zimowe wieczory na emeryturze. W kuchni lubiła siedzieć, nie zaś wystawać przy garach, nie potrafiła upiec żadnego ciasta poza ulubionym drożdżowym plackiem z kruszonką, choć przetwory i nalewki robiła wyśmienite. Za to mimo mocno zaawansowanego wieku drewno na opał rąbała niczym maszyna, metr kartofli w piwnicy przerzucała, jakby to był gęsi puch, śnieg odgarniała w zasadzie od niechcienia, potrafiła posłużyć się młotkiem, piłą i wiertarką, nie odnosząc przy tym śmiertelnych obrażeń, sama piekła chleb i jeszcze do niedawna łątała dach rodzinnego domu. Jeśli dodać do tego jej słuszną posturę, iście końskie zdrowie oraz nieskończone pokłady energii i niewzruszonego spokoju, pani Matylda parła przez życie jak czołg, nie zwracając sobie głowy zbędnymi pierdołami.

Miała jednak to do siebie, że nie tylko parła – kiedy było trzeba, bez wahania brała się z życiem za bary i nie spoczęła, póki nie położyła go na łopatki. Ustawwszy do pionu cały oddział kardiologiczny i okolice, po dobie spędzonej u boku najmłodszej, wciąż nieprzytomnej siostry wróciła do domu, zeszywniała, zmęczona i głodna.

W salonie czekała na nią Jaga w towarzystwie obcej kobiety w średnim wieku. Zapłakanej, a jakże. A zatem przyszła nie do Jagi, tylko do niej. Te zawsze płakały. Prosiły. Zaklinały na wszystko, co święte, byle tylko się ugięła.

Matylda Bolesna nie ugięła się nigdy.

Przywitała się ze stęsknionym Royem Keane'em. Bez pośpiechu zdjęła płaszcz, zmieniła półbuty na kapcie i poszła do łazienki, żeby obmyć twarz. Zjadła obiad, który Jaga zostawiła jej na piecyku. Dopiero potem zaparzyła sobie herbaty i z filiżanką w dłoni poszła do salonu. W milczeniu opadła na fotel i spojrzała na obcą.

Jaga skinęła na nią i kobieta z ociąganiem zaczęła mówić.

Pani Matylda słuchała, ani razu nie przerywając. Łyk za łykiem popijała niespiesznie słodką, gorącą herbatę.

Wysłuchawszy wszystkiego, dźwignęła się z fotela i wciąż w milczeniu, wspięła się na piętro. Gdy w końcu stanęła przed zamkniętymi na głucho drzwiami, z łańcuszka na szyi odczepiła klucz. Zamek, choć nieużywany od dawna, ustąpił gładko.

Pomimo półmroku, splecionego z kurzu, pajęczyn i odrobiny światła, które wpadało tu przez odległe samotne okno, pani Matylda bez trudu znalazła drogę między wszędobyłskimi szafkami i szafeczkami. Sunąc palcem po frontach, odnalazła właściwą szufladkę i wydobyla z niej to, czego szukała – grubą szpulkę.

Powoli, ostrożnie zaczęła rozwijać szarą, matową nić między palcami, w skupieniu marszcząc brwi.

\*\*\*

Z salonu dobiegały dwa kobiece głosy. W jednym Salka rozpoznała głos pani Jagi, drugiego nie znała. Zerknęła na wieszak w przedpokoju. Prosty płaszcz z szarej wełny był własnością pani Matyldy, która najwyraźniej wróciła już ze szpitala, a ciemnoczerwona peleryna należała do jej średniej siostry. W salonie musiała zatem siedzieć właścicielka pikowanej kurtki, obszytej sztucznym futerkiem w cętki.

Salka nie zdążyła jeszcze ściągnąć butów, gdy z piętra zeszła pani Matylda, nieco ciężej niż zwykle wspierając się na lasce. Obrzuciwszy dziewczynę przelotnym spojrzeniem, stanęła w progu salonu. Na jej widok obydwie kobiece głosy umilkły natychmiast.

– Nie.

Najpierw odpowiedziała jej cisza. Wreszcie właścicielka pikowanej kurtki zebrała się na odwagę.

– Proszę... proszę, niech pani zrozumie...

– Rozumiem. – Pani Matylda przerwała kobiecie. –

W przeciwieństwie do pani.

– Nie przyszedłbym tutaj, gdybym widziała inne wyjście.

– My go przed panią nie otworzymy.

– Proszę, niech pani to jeszcze...

– Powiedziałam – nie.

Lodowate, bezlitosne „nie” aż zmroziło Salkę, choć ta nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Z salonu dobiegł urywany szloch. Kobieta próbowała wydusić przez łyżę coś jeszcze, lecz wtedy pani Matylda huknęła laską o drewnianą podłogę, aż echo poniosło się po całym domu. Roy Keane zaskrzeczał nerwowo.

– Niech pani tu więcej nie wraca.

Kobieta, cała w spazmach, wypadła z salonu, w progu potrącając panią Bolesną. Na wszelki wypadek Salka odsunęła się na bok. Zerwawszy z wieszaka swoją kurtkę, obca wybiegła z domu. Trzasnęło skrzydło wiekowych drzwi.

Pani Matylda syknęła cicho i roztarła biodro, którym uderzyła o szeroką framugę.

– Wybacz, Matyldo. Próbowałam przemówić jej do rozsądku...

– Z pustego nawet Salomon nie należy – odparła sucho pani Matylda. – Równie dobrze mogłabyś przemawiać do ściany. Jak zwykle zresztą... Pozwolisz, że się teraz położę.

– Oczywiście. Porozmawiamy rano.

Pani Matylda pokiwała głową i odwróciła się.

– Ach. Dobry wieczór, Salomeo.

– Dobry wieczór.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za pomoc.

– Nie ma za co, pani Matyldo – zachnęła się szczerze Salka.

– Jest. Dziękuję. – Starsza pani odetchnęła ciężko. – No cóż. Idziesz? – zwróciła się do Roya Keane’a, który podreptał za nią korytarzem do pokoju od frontu, skrzecząc coś we własnym narzeczu.

Gdy przechodziła obok, jak zawsze wyprostowana i nieugięta, ku swemu zdumieniu dziewczyna dostrzegła w jej żółtych oczach coś, czego nie widziała tam nigdy dotąd. Nawet wtedy, kiedy pani Matylda pochylała się nad nieprzytomną siostrą i bezskutecznie próbowała ją ocucić, a potem pędziła za nią do karetki.

Głęboki, gorzki smutek.

\*\*\*

Dochodziła dwudziesta trzecia, gdy z bramy niewysokiego bloku przy

ulicy Glinianej wyłoniła się filigranowa dziewczyna i skręciwszy w lewo, energicznym krokiem poszła w stronę Borowskiej, by zdążyć na ostatni autobus do domu. Spod beretu na plecy spływała jej długa fala gęstych, złocistych włosów. Torebkę przewiesiła sobie przez pierś. Nie znosiła, kiedy co rusz pasek zsuwał się z ramienia.

Po drugiej stronie jezdni, u wylotu ulicy, wznosił się budynek dawnego szpitala Świętej Anny, który dopiero od roku nie straszył już powybijanymi oknami. Dalej zaś stał piękny, neogotycki kościół z wielką rozetą i najbrzydszą plebanią, jaką w życiu widziała. Zresztą okoliczne peerelowskie bloki też nie grzeszyły urodą, zwłaszcza te pomalowane na wszelkie odmiany pstrokacizny. Dziewczyna westchnęła. Za każdym razem, gdy odwiedzała siostrę, zachodziła w głowę, kto tu postawił te szkarady, skoro nieopodal ostały się takie zabytkowe cudeńka...

Szła tak, zamyślona, ubolewając nad upadkiem współczesnej przestrzeni miejskiej, gdy spod wiaty przystanku tramwajowego na wysokości plebanii wyłoniła się jakaś wysoka, ubrana na ciemno postać. Dziewczyna zerknęła na nią podejrzliwie. Facet. Stał na chodniku i wyraźnie śledził ją wzrokiem. Dzielili ich tylko jezdnia i sznurek samochodów zaparkowanych wzdłuż krawężnika od jej strony.

Odruchowo przyspieszyła, przesuwając torebkę dalej na plecy. Jeszcze parę kroków i zrównała się z facetem i wiatą. Kolejnych parę – i już skręcała w lewo, zostawiając ich za plecami, przed sobą zaś mając upragniony przystanek. Zerknęła za siebie.

Nigdzie ani śladu faceta. Jakby się zapadł pod ziemię.

Zwolniła, zaskoczona, i rozejrzała się raz jeszcze, lecz nigdzie go nie dostrzegła. I zapewne odetchnęłaby z ulgą, gdyby nie dręczące ją przeczucie, że coś tu jest bardzo nie halo...

Pierwszy cios spadł znikąd, ogłuszając dziewczynę. Zaraz potem silna dłoń chwyciła ją za długie, złote włosy i skręciła je niczym powróż, a druga ujęła drobną twarz i ścisnęła tak mocno, że ofiara nie mogła nawet rozchylić ust, nie mówiąc już o wydaniu z siebie krzyku. Facet był od niej wyższy o głowę, jak nie więcej, silniejszy, cięższy i mamrotał coś, mamrotał coś bezustannie...

Szeroko rozwarte piwne oczy dziewczyny błyskawicznie wyłapywały tyle szczegółów, ile tylko zdołały w słabym świetle ulicznych latarni. Czarne włosy. Przystojna, bardzo blada twarz, a w niej... a w niej... przerażające, dziwnie żarzące się oczy.

Przez te oczy sekundę później przemknęło ręczo zdumienie, gdy dwa centymetry solidnego akrylu z klasycznym francuzem zagłębiły się w policzkach mężczyzny, ryjąc w nich głębokie, krwawe szramy. Facet zawył, puścił dziewczynę i złapał się za twarz.

Więcej nie było jej trzeba.

Do akcji wkroczył ciężki glan. Spadł najpierw na stopę napastnika, by zaraz potem strzelić go bezlitośnie w kolano. Drobną pięść, uzbrojona w biżuteryjny kastet, wymierzyła dwa szybkie, mocne ciosy. Krocze – raz. Szczeka – dwa. I spierdzielać!!!

Dziewczyna puściła się biegiem w stronę pobliskiego aquaparku, modląc się w duchu o jakiegoś pracownika ochrony, rozgarniętego trochę bardziej niż przeciętna kupa liści. Pędziła ile tchu, a w uszach wciąż dźwięczał jej gorączkowy, przerażający szept.

## Rozdział 7, w którym Salka przestaje rozumieć cokolwiek

Pomimo obecności dwojga lokatorów pod tym samym dachem Matylda Bolesna ani myślała rezygnować z wieloletnich przyzwyczajeń, a już na pewno chodzić na palcach we własnym domu, bez względu na porę. Dlatego jak gdyby nigdy nic zaraz po szóstej wyszła do ogrodu z siekierą, by ze śpiewem na ustach rąbać drewno tuż pod oknami Salki i Niedasia. W rezultacie grubo przed siódmą z piętra zstąpiła półprzytomna dziewczyna, którą obudziła ta poranna krzątanina w wykonaniu starszej pani numer jeden.

Choć sypiąca się willa przy Lipowej wciąż napawała ją lekkim przerażeniem, Salka musiała przyznać, że jasna, przestronna kuchnia sióstr Bolesnych była wyjątkowo przytulnym miejscem. Mogłaby przesiadywać w niej całymi godzinami. Przez sporych rozmiarów okno z ażurową zazdrostką do środka wpadało mnóstwo łagodnego światła. Powietrze pachniało tu ziołami. Zwisały one zasuszone na hakach pod belkami sufitu, razem z wiankami czosnku i złocistej cebuli, a także wiklinowymi koszami wypełnionymi czymś, co przypominało długie pasma waty cukrowej. Poczesne miejsce zajmowała imponujących rozmiarów najprawdziwsza kuchnia kaflowa z żeliwnymi fajerkami i szeroką ławą, na której przycupnął Roy Keane i spał w najlepsze. Zza jednych spośród kilku par rozmaitych drzwiczek dobiegało ciche potrzaskiwanie płomieni, a cała kuchnia emanowała przyjemnym, łagodnym ciepłem. Widać pani Bolesna niedawno gotowała na niej wodę na herbatę, bo miedziany czajnik z drewnianą rączką nie zdążył jeszcze wystygnąć. Do kuchni kaflowej tuliły się wąskie drzwi, z drugiej strony osaczone przez kredens. Kraciasta zasłonka w szafce pod zlewem skrywała śmietnik.

Gdy pani Matylda wróciła z ogrodu z naręczem drewna, Salka właśnie robiła sobie kawę z mlekiem. Czy raczej mleko z kawą.



- Pomogę pani – zaoferowała, natychmiast odstawiając czajnik.
- Lepiej zrób mi herbaty.
- Przecież to ciężkie...

– *Crescunt anni, decrescunt vires*<sup>8</sup>, lecz *dulcis est somnus operanti*<sup>9</sup>.

Jak zwykle Salka nie zrozumiała ani słowa, tym razem nie zdążyła się tym jednak szczególnie przejąć, bo coś jej przyszło do głowy. W zamyśleniu upiła łyk kawy, o mały włos nie wydłubując sobie oka łyżeczką – zawsze zapominała o tym, że należy ją wyjąć.

– Pani Matyldo, czy pani wie może, co to znaczy... – Próbowana szybko przypomnieć sobie jeden z tajemniczych czarnych wersów, które przed paroma dniami widziała w grze brata. – *Domine ex... Domine ex... coś... coś z jakimś samochodem... Opel? Nie, nie opel...*

– Zapewne *Domine exaudi* – odparła pani Matylda, układając drewno w łukowatej wnęcie pod ławą.

– O, *exaudi!* Rany, co ja z tym oplem...

– *Domine exaudi vocem meam*. Panie, słuchaj głosu mego<sup>10</sup>. Psalm sto trzydziesty.

– Psalm? – powtórzyła z powątpiewaniem Salka. Co jakiś psalm miałby robić w *Warcrafcie*? Nie, przecież to się w ogóle nie trzymało kupy, starszej pani na pewno coś się pomyliło. – Czy ja wiem...

– Wystarczy, że ja wiem. Czterdzieści lat wbijałam łacinę do rozmaitych łbów. Niestety, głównie zakutych.

– Hm. Łacina. No tak. Pani to chyba jest zupełnie... niedzisiejsza.

– Zupełnie – potwierdziła zgodnie pani Matylda. – Wręcz przedwczorajsza.

Zjadły razem śniadanie, a potem każda poszła w swoją stronę. Gdy późnym popołudniem Salka wróciła z pracy, z salonu wyjrzała pani Jaga, szeleszcząc różowym peniuarem. Nad nią unosiły się gęste kłęby papierosowego dymu.

– Ach, jesteś! – zakrzyknęła na widok Salki i skinęła na nią zapraszająco. – Czy ty wiesz, moje dziecko, gdzie się podziewa twój brat?

Salka wzruszyła ramionami. Była przyzwyczajona do pytań o Niedasia i jego wyczyny, zwłaszcza do takich, którym towarzyszyła ożywiona gestykulacja albo subtelne wymachy potencjalnym

narzędziem zbrodni.

– Nie wiem – odparła szczerze, wchodząc do salonu za starszą panią numer dwa. Spodziewała się najgorszego.

Na tę wieść pani Jaga dramatycznym gestem załamała rękę, aż popiół opadł jej z papierosa.

– No masz! I z kim ja teraz będę farmić repa?

Zdezorientowana dziewczyna łypnęła na panią Matyldę, która siedziała w swoim fotelu z drutami w dłoniach i drzemiącym Royem Keane'em na ramieniu. Starsza pani numer jeden tylko przewróciła oczami.

– Znaczy... w *Warcrafcie*?

– W *Warcrafcie* – potwierdziła pani Matylda. – Cóż by innego.

Pani Jaga rozpaczała dalej.

– Już trzy rajdy mi przez niego przepadły, bo nie przyszedł, ladaco, a ja nie mogłam nigdzie znaleźć wolnego healera, chociaż spamowałam po całym Dalaran przez półtorej godziny!

Umysł Salki z mozołem przetwarzał otrzymywane informacje.

– Znaczy wystawił panią?

– Ha! A pewnie, że wystawił! Jak, nie przymierzając, jakąś młódkę!

– Cały Niedaś – skwitowała Salka, ani trochę niezdziwiona zaistniałą sytuacją.

– Gdzie on się podziewa? No gdzie?

– A skąd ja mogę wiedzieć, pani Jago?

– *Num custos fratris mei sum ego?*<sup>11</sup> – wtrąciła pani Matylda.

– A idź z tymi twoimi sentencjami! – Pani Jaga fuknęła z oburzeniem, mało nie gubiąc przy tym turbanu, po czym wyszarpnęła z kieszeni peniuaru paczkę marlboro. – Łaciną mounta nie wyfarmię!

Pani Matylda pokręciła głową, nie mając za grosz zrozumienia dla pasji swojej teoretycznie statecznej siostry, a następnie przerobiła kolejny rząd oczek, podczas gdy pani Jaga wysysała nikotynę z papierosa.

Salka tymczasem popędziła na górę i zastukała do pokoju brata. Cisza. Zastukała więc jeszcze raz, głośniej, a potem zwyczajnie huknęła pięścią w drzwi. Nic. Nacisnęła klamkę i zajrzała do środka.

Bałagan był na swoim miejscu, w przeciwieństwie do Niedasia. Spod łóżka wystawał porzucony laptop.

– Nie ma go – poinformowała siostry Bolesne, wróciwszy na dół. – Pewnie niedawno wyszedł.

Nie były tym wcale zdziwione. Zdążyły się już mniej więcej zorientować w rytmie dobowym Niedasia. Pani Jaga dalej kopciła i psioczyła na niesłownego młodego Przygodę, a Salka z uporem udawała, że to nie jej małpy, nie jej cyrk. Pani Matylda natomiast dziergała w milczeniu, popatrując co rusz na dziewczynę i zastanawiając nad czymś intensywnie.

– Kiedy ostatnio widziałas swojego brata? – zwróciła się nagle do Salki.

– No... – Dziewczyna zmarszczyła brwi w zamyśleniu. – No... czy ja wiem? Jakiś czas temu. Chyba.

– Chyba?

– Nie jestem do niego szczególnie przywiązana – odparowała Salka na widok uniesionej potęgą sceptycyzmu brwi starszej pani.

– *Num custos fratris mei sum ego?* – odgryzła się siostrze pani Jaga z szatańskim chichotem.

– Zastanów się dobrze.

– Co dziś mamy? Piątek. Niedaś przypałał się w zeszły czwartek – myślała na głos dziewczyna – a w piątek już się wprowadził.

– Przez całą sobotę robiliśmy razem randomy – wtrąciła z rozmarzeniem pani Jaga. – I w końcu spadł mi ten czest z adzility, na który polowałam od miesiąca. A jemu legsy, fioletowe...

– O, właśnie. W poniedziałek rano ściągnął jakiegoś apdejta i coś mu się w tym całym waszym *Warcrafcie* zepsuło – przypomniała sobie Salka. – Ciągle mu na czacie wyskakiwały dziwne wiadomości. Na czarno, a ponoć to niemożliwe bez... bez czegoś tam. Pani Jago, pani też ma ten sam problem?

Przysięgłaby, że siostry wymieniły błyskawicznie spojrzenia. Pani Jaga przestała chichotać. Odchrząknęła.

– Tak, ale... ale to drobiazg. Bez znaczenia. Nieistotne, zupełnie nieistotne.

– A potem? – zapytała natychmiast pani Matylda.

Dziewczyna wydeła usta, wypuszczając przeciągle powietrze.

– A potem... cisza w eterze.

– Nie widziałaś go od tamtej pory?

– Nie.

– I nie zwróciłaś na to uwagi?

– Nie.

– I w ogóle cię to nie zmartwiło?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Ja zaczynam się martwić, kiedy Niedaś za bardzo kręci się w pobliżu. Im go mniej w zasięgu wzroku, tym lepiej dla mnie. Dla ludzkości. Dla wszechświata.

– Salomeo, dzisiaj mamy piątek. Od poniedziałku żadna z nas nie widziała twojego brata na oczy. Dokąd mógł pójść? Ma w mieście jakichś kolegów?

– Chyba tak, ale ja nie znam żadnego...

– Może to ktoś z politechniki?

– Może...

– Można by się przejść i wypytać – stwierdziła pani Jaga. – Który to wydział?

– Nie wiem.

– No to kierunek?

Na to pytanie Salka aż poczerwieniała gwałtownie.

– Też nie wiem.

– Na litość boską! – zakrzyknęła ze zgrozą pani Matylda, budząc Roya Keane'a.

– Rrrany banaaany!

Teraz i Salka poczuła lekkie muśnięcie niepokoju. Zerwała się bez słowa i popędziła do przedpokoju. Uciszyła szumy w telefonie gromkim rykiem, po czym wykręciła numer komórki Niedasia.

Poczta głosowa.

Odłożyła słuchawkę. I co teraz? Przecież nie zadzwoni do rodziców i nie zapyta otwartym tekstem, czy przypadkiem nie wiedzą, gdzie od paru dni podziewa się Niedaś. Jeszcze by im strzeliło do głowy, żeby przyjechać z odsieczą... Była jednak pewna osoba, którą mogła spróbować podejść i dowiedzieć się tego i owego bez pytania wprost. Wykręciła drugi numer.

Dopiero po trzecim sygnale zorientowała się, że szmery znów przybierają na sile.

– MILCZEĆ MI TAM! – wydarła się, z nerwów nieco głośniejszym niż zwykle.

– Słu... słucham?

– Babuniu? Babuniu, to ja!

– Saleczko? Na litość boską, dziecko, czemu ty tak krzyczysz?!

Ugłaskawszy jakoś babcię Przygodową, Salka zaczęła ją podchodzić szerokim łukiem. Na pierwszy ogień tradycyjnie poszła praca z rozbudowanym wątkiem światowego kryzysu w tle. Potem zdrowie, ze szczególnym uwzględnieniem natrętnej wysypki, kolejek w przychodniach i cen leków. Zakończyła paplaniną o kupionych fatalaskach. Babcia Przygodowa, w sobie tylko znany sposób dostrzegłszy powiązania między piernikiem a wiatrakami, natychmiast odwzajemniła się wnuczce streszczeniem mrożącego krew w żyłach artykułu o bandycie, który rzekomo grasował po mieście.

– Ty lepiej uważaj, dziecko – zakończyła napominającym tonem. – Kto wie, co jeszcze czyha w tym tam Wrocławiu na samotną dziewczynę z tak rozbuchanym erotyzmem.

Salka wzięła głęboki wdech. Raz kozie śmierć.

– Z tym rozbuchaniem jakoś sobie poradzę, babuniu, wystarczy odpowiednia dawka wełnianych swetrów. Poza tym nie jestem już taka samotna. Odkąd Niedaś niespodziewanie wprowadził się na Lipową...

– Gdzie? Gdzie się wprowadził?

– Na Lipową – powtórzyła Salka, zaskoczona ostrą nutą, która nagle zabrzmiała w głosie babci. – No do mnie. Znaczący nie tyle do mnie, ile do tej starszej pani, u której wynajmuję pokój. No, w zasadzie nie tyle do pani, ile...

I wówczas babcia Przygodowa jak gdyby nigdy nic rzuciła słuchawką.

\*\*\*

Wklepywanie nowych tytułów do systemu nie stanowiło może wyjątkowego wyzwania dla intelektu, wymagało jednak choć odrobiny skupienia. Zwłaszcza gdy nad głową wisiła szefowa, przepełniona aż po brzegi swego jestestwa dobrymi radami, dobrymi chęciami i potokiem dobrych słów, który się z niej wylewał bez chwili przerwy. Jednym uchem wsłuchując się w monotonne trajkotanie w tle, Salka tłukła kolejne numery ISBN, a w głębi duszy modliła się, żeby czas raczył nieco przyspieszyć.

Czas, rzecz jasna, miał inne plany. Podobnie jak szefowa, która zmyła się dopiero przed szesnastą. Drzwi jeszcze dobrze się za nią nie zamknęły, a Salka już złapała za księgarski telefon.

Przez cały weekend bezskutecznie próbowała dodzwonić się do babci Przygodowej. Z ich niedokończonych rozmów wywnioskowała tylko tyle, że babcia nie miała ostatnio żadnych wieści od Niedasia, skoro nie słyszała o jego przeprowadzce, a więc raczej nie wiedziała, gdzie od tygodnia podziewa się jej wnuk. Pod numerem jego komórki uparcie włączała się poczta głosowa. Tyle dobrego, że pani Jaga poruszyła niebo, ziemię i parę alternatywnych rzeczywistości, dzięki czemu zyskały chociaż pewność, że Nidaś nie zalega w żadnym szpitalu w charakterze zwłok bądź prawie zwłok.

W przypiływie rozpaczy Salka raz jeszcze wybrała numer babci. Musiała się dowiedzieć, dlaczego występująca w pojedynczym egzemplarzu starsza pani, zwykle uosobienie cierpliwości i życzliwości dla świata z własną rodziną włącznie, tak po prostu trzasnęła słuchawką.

Niespodziewanie po drugiej stronie odezwał się znajomy męski głos.

- Tato!
- No cześć, Saleńko! Co tam słycać?
- Długo by opowiadać. Jest babunia?
- Tak, ale... – Paweł Przygoda urwał, wyraźnie zafrasowany. Po chwili odchrząknął. – No, w zasadzie już trochę doszła do siebie, tyle że...
- Tyle że co?
- Mówi – znów odchrząknął – że nie chce z tobą rozmawiać.

Salka poczuła się, jakby właśnie dostała w pysk dowolnym tomem *Encyklopedii Britanniki*. Odkąd sięgała pamięcią, z babcią Przygodową dogadywały się w mig. Babcia jako jedyna rozumiała, w czym rzecz, gdy Salka przybiegała do niej ze łzami w oczach lub pianą na ustach po kolejnym wybryku najbliższych. Babcia, jak to babcia, słuchała, pocieszała i poila herbatą. Za każdym razem starała się też szukać racjonalnych wyjaśnień dla kolejnych przejawów obłędu syna, synowej i wnuka, choć na tym polu, trzeba przyznać, nie odniosła zbyt wielu sukcesów. Mimo to zawsze powtarzała, że rodzina jest najważniejsza, a z rodziny – Salka właśnie.

Ta sama Salka, z którą teraz babcia Przygodowa nie chciała rozmawiać. Kolejny raz zresztą, jakkolwiek by na to patrzeć.

– Ale dlaczego? – zapytała Salka.

W słuchawce rozległo się kolejne nerwowe chrząknięcie.

– Na litość boską, tato, przestań w końcu chrumkać i mów, co się stało.

– Żebym to ja wiedział... Babcia od paru dni ma takie ciśnienie, że oka nie może zmrużyć, a na dźwięk telefonu prawie dostaje hysterii. Teraz zatrzęsnęła się w łazience, jak tylko zaczął dzwonić. Saleńko, czy ty... czy wy...

– Tato! – przerwała mu z nieskrywanym wyrzutem. – Ty chyba nie sądzisz, że to przeze mnie?

– No tak, wiem, wiem – odparł pospiesznie Paweł Przygoda – ale... Wiesz, Saleńko, to wszystko jest jakieś dziwne. Już parę ładnych lat się z twoją babcią znamy, a jeszcze nigdy nie widziałem jej takiej... hm, no, roztrzęsionej. Jak galareta. Galareta ze świeżą płukanką.

– Ale mówiła coś?

– A gdzie tam, ludzkiego słowa z niej nie mogę wyciągnąć. Siedzi tylko, wlewa w siebie hektolitry herbaty i coś tam klepie bez przerwy pod nosem, pacierze czy co...

– Pacierze? – powtórzyła Salka. To już w ogóle nie miało sensu. Babcia Przygodowa, w przeciwieństwie do swoich sąsiadek, nawet kolędy znała po łebkach, a kościoły odwiedzała wyłącznie w celach turystycznych. – Babcia?!

– No na to mi wygląda. Ale wiesz przecież, że ja się w tych

sprawach średnio orientuję, więc może to nie są wcale pacierze, tylko jakieś inne minutki? Nie, nie minutki, to się chyba inaczej nazywało...

Owszem, gdyby chodziło o prostowniki, bitwy powstania styczniowego albo odmiany medytacji, Paweł Przygoda z pewnością zaserwowałby córce szczegółową relację z bogatą bibliografią przedmiotu, w temacie pacierzy był jednak ciemny jak tabaka w rogu.

Uświadomiwszy tatę w temacie godzinek i obsobaczywszy go jeszcze za bez troskie wypaplanie Niedasiowi jej nowego adresu, Salka zakończyła rozmowę, która absolutnie niczego nie wyjaśniła. Wprost przeciwnie, znak zapytania właśnie dorobił się gromadki energicznego potomstwa.

Gdy Salka w końcu wy dostała się z księgarni, świat na zewnątrz tonął już w ciemności i strugach zimnego, jesiennego deszczu. Chodniki opustoszały niemal doszczętnie, jakby była co najmniej północ, a nie parę minut po siedemnastej. Za to pod wiatą przystanku tramwajowego zrobiło się bardzo tłoczno.

Rozłożywszy parasolkę, Salka przystanęła przed przejściem dla pieszych w oczekiwaniu na zielone. Zerknęła w stronę mostu Piaskowego, wypatrując z nadzieją swojego tramwaju. Pod wiatą na przystanku schroniło się dobre pół miasta, a do tego zaczęło nieprzyjemnie wiać, liczyła więc, że dziewiątka nad-jedzie dość szybko...

– Rany boskie! Niedaś!

Na moście, dokładnie pod latarnią, moknął sobie w naj-lepsze Adam Joachim Przygoda.

– NIEDAŚ! – wrzasnęła Salka, próbując przebić się przez szum deszczu, wiatru i ulicy.

Lecz Niedaś najwyraźniej jej nie usłyszał, bo odwrócił się i ruszył w kierunku Ostrowa Tumskiego.

Światło zmieniło się na zielone.

Bez namysłu Salka puściła się biegiem przez śliskie od deszczu pasy, wymachując dla równowagi rozłożonym parasolem. Dalej zaczynała się granitowa kostka, a wraz z nią istny taniec na lodzie. Wyszedłszy jakimś cudem z poślizgu, Salka przemknęła na



czerwonym przez kolejne pasy i już pędziła mostem.



– NIEEDAAAŚ!!! – darła się na całe gardło za bratem, który skręcił w prawo i szedł teraz bulwarem nad Odrą. Jeszcze parę mniej więcej kontrolowanych poślizgów i silna dłoń Salki szarpnęła go za ramię.

W mgnieniu oka okręcił się na pięcie. Spojrzeli sobie prosto w twarz.

– Niedaś, do jasnej cholery! Gdzieś ty się...

Spodziewała się pijackiego bełkotu. Spodziewała się kretyńskich wymówek. Nauczona latami doświadczeń spodziewała się po swym młodszym bracie w zasadzie wszystkiego, lecz z pewnością nie tego, co nastąpiło ułamek sekundy później.

Twarda pięść Niedasia strzeliła ją prosto w skroń. Zamroczone Salka upadła na ziemię, puszczając parasol, który wraz z porywem wiatru natychmiast przepadł gdzieś w ciemności. Zamrugła, zniecka niezdolna skupić wzroku.

– Niedaś, co ty? – wymamrotała, przekonana, że w pijackim widzie brat wziął ją za bandytę, o którym od paru dni ponoć huczały gazety. Że zaraz ją pozna i zacznie przeproszać, pomoże się podnieść z kałuży, posadzi na ławce...

Wtedy poczuła, jak chwyta ją mocno pod ramię i ciągnie. Westchnęła z bezbrzeżną ulgą, chociaż świat wokół niej, i tak już rozmazany strugami deszczu, na domiar złego zaczął teraz kręcić dziarskie obertasy.

– Boże, Niedaś, na śmierć mnie... – zaczęła, gdy naraz zdała sobie z czegoś sprawę.

Ciągnął ją, owszem. Tyle że nie tam, gdzie się spodziewała.

Salka Przygoda, lat dwadzieścia pięć, metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, siedemdziesiąt sześć kilo wagi, niczym gołębica przeleciała nad barierką i runęła prosto w ciemny, lodowaty nurt Odry, o włos mijając betonowe nabrzeże i krasnoludka z brązu, który przycupnął tam, by wyprać sobie portki.

Opadając bezwładnie w stronę dna, sparaliżowana zimnem i przerażeniem, dziewczyna myślała tylko o jednym.

Może nie byli sobie szczególnie bliscy. W końcu Salka nie miała zielonego pojęcia, co od dwóch lat z takim uporem studiuje Niedaś. Może też nie dogadywali się najlepiej, choć tak na dobrą sprawę nigdy nie próbowali. Może różnili się od siebie jak dzień i noc, jak ogień i woda, ale to przecież nie tłumaczyło tego, co Niedaś właśnie zrobił.

Dlaczego, na litość boską, rodzony brat postanowił ją ni stąd, ni

zowąd utopić?

## Rozdział 8, w którym do akcji wkracza głowa z Bartkiem, znaczy Bartek z głową

Warstwy odzieży ochoczo wspierały grawitację, pomalutku, acz konsekwentnie ciągnąc Salkę w dół, gdy naraz przyszło otrzeźwienie.

Woda w Odrze była zimna.

Brudna.

I wcale nie pachniała górskim wodospadem o poranku.

Uświadomiwszy sobie, skąd wzięły się ów specyficzny aromat i barwa, Salka w okamgnieniu otrząsnęła się z szoku i dla odmiany zdjęta obrzydzeniem zaczęła zaciekle walczyć z leniwym nurtem. Pływała po japońsku, czyli jako tako, na tyle dobrze jednak, by nadać tej swojej szamotaninie jakiś kierunek. Z duszą na ramieniu tłukła rękami i nogami w parodii wszelkich znanych jej stylów pływackich, głównie krzyżując żabkę z pieskiem, co w innych okolicznościach przyrody z pewnością wzbudziłoby zbiorową ekstazę w redakcjach tabloidów, zainteresowanie szalonych naukowców i stanowczy sprzeciw hiszpańskiej inkwizycji. Tej, której tradycyjnie nikt się nie spodziewał.

Szlag. Chyba z braku tlenu zaczęły jej obumierać pierwsze szare komórki, bo jak inaczej wyjaśnić te brednie, które tłukły jej się teraz po głowie?...

Gdyby chociaż był dzień, może wtedy przez tę ciecz, z przyzwyczajenia zwaną rzeką, przedarłyby się jakieś ślady słonecznego światła i Salka wiedziałaby, czy dobrze obrała kierunek. A tak miotała się na oślep, skrepowana ubraniem i zeszywniała z zimna, które z każdą sekundą przenikało ją coraz bardziej, mimo że już dawno wydawało się to niemożliwe. Miała wrażenie, że choć w każdy ruch wkłada wszystkie siły, jakie jej zostały, to ciągle tkwi w miejscu. Że lada chwila zmęczenie i grawitacja triumfalnie przybiją sobie piątkę. Powoli traciła już siły do walki z nimi, a także z nieustępliwym nurtem rzeki, gdy naraz poczuła, jak coś wzburzyło

wodę. Gdzieś blisko. Bardzo blisko.

Zaskoczona Salka rozchyliła usta jakby do krzyku i natychmiast zachłysnęła się wodą.

Nie zdążyła jednak wpaść na nowo w panikę ani wspomnieć Tomása de Torquemady, bo czyjaś silna dłoń już trzymała ją za kołnierz kurtki i bezceremonialnie zaczęła ciągnąć w stronę powierzchni.

\*\*\*

– Gdzieś ty się podziewała?! – huknęła pani Matylda, ukazując się w drzwiach salonu w całej swej oburzonej okazałości. Tuż za nią stanęła pani Jaga, spowita kłębamii papierosowego dymu niczym Londyn wielkim smogiem w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. – Czy ty wiesz, co my tu przeżywałyśmy, kiedy nie wracałaś?! Najpierw Mila, potem Niedaś, a teraz ty! Mało nam jeszcze...

I tu pani Matylda urwała, gdyż wyglądająca spomiędzy kraciastych pledów zmizerowana twarz Salki wpierw przybrała barwę dojrzałego pomidora, następnie zbladła jak śmierć na chorągwi, aż wreszcie rozplynęła się w wodospadzie łez.

– Jaguś, herbata! – zakomenderowała natychmiast najstarsza z sióstr Bolesnych.

– Z malinami?

– Maliny są dobre na katar. Lej rum!

– Ha! Słusznie! – Pani Jaga natychmiast ruszyła zwawo do kuchni, stukając obcasami, aż po całym domu poniosło się echo, pani Matylda zaś wzięła sprawy w swoje ręce.

Kwadrans później dwa bezpłciowe kraciaste pledy, w towarzystwie dwóch zestawów odzieży damsko-męskiej i jednej *stricte* damskiej torebki, ociekały energicznie nad wanną, a w kuchni, niemal przyklejeni do rozżarzonych fajerek i kubków solidnie wzmocnionej herbaty, suszyli się niedoszli topielcy.

Jako że Salkę wciąż pochłaniało przede wszystkim intensywne wydzielanie łez i smarków, rola narradora przypadła Bartkowi

Tokarskiemu, czyli facetowi z głową, temu od Kajsiewicza.

– Przepraszam, co zrobiłeś? – Pani Jaga była pewna, że się przesyłała.

– Wyciągnąłem ją z Odry – powtórzył spokojnie Bartek, jakby podobne, nomen omen, przygody spotykały go codziennie. Ot, wpierw mały pościg za kolejną antologią dla profesora na rozgrzewkę, potem szybkie zajęcia ze zbłąkanymi filologicznie studentami, a na deser ratowanie rudowłosych dziewczoi ze spienionych odmętów pobliskich rzek.

– Ale... ale jak?

– Głównie to ręcznie. Choć mięśnie grzbietu również wzięły w tym udział.

Okazało się, że opuszczając budynek, Salka zapomniała zostawić w portierni klucz do pomieszczenia w piwnicy, gdzie mieściła się księgarnia. Wołanie uziemionego na stanowisku pracy portiera nie przebiło się przez masywne drzwi wejściowe, dlatego Bartek, który właśnie zmierzał do pobliskiego automatu z kawą, uczynnie wybiegł za nią na zewnątrz. Wtedy też ujrzał wariacki sprint dziewczyny najpierw przez jedno, potem przez drugie pasy. Darła się przy tym, jakby ją ktoś żywcem ze skóry obdzierał i nacierał solą. Myśląc, że coś się stało, pobiegł za nią w deszczu, tyle że drugą stroną skrzyżowania. Był właśnie na przeciwległym końcu mostu Piaskowego, gdy zobaczył, jak Salka leci prosto do rzeki.

Nieopodal z nabrzeża do Odry, łaskawie płynącej akurat we właściwym kierunku, prowadziły szerokie schody, na których w pogodne dni chętnie wygrzewali się studenci. Sam Bartek często przeprowadzał tam zajęcia z historii literatury albo nadprogramowe konsultacje. A teraz potężnym susem błyskawicznie przesadził biegnący do nich murek i wbrew temu, co zawsze tłuczono mu do głowy na kursie ratownictwa, jak ostatni wariat rzucił się prosto do mętnej rzeki, modląc się, by zdołał wypatrzeć dziewczynę przy świetle nabrzeżnych latarni.

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jego modły nie pozostały bez odpowiedzi. Po krótkiej szamotaninie z nurtem i starciu z rachitycznym płotkiem zdołali jakoś wdrapać się na betonowe

stopnie, gdzie Bartek przedstawił się grzecznie, podczas gdy Salka rzygała wodą jak kot.

Portier mógł im zaoferować jedynie dwa grube pledy i cuchnącą palonym plastikiem farelkę, która zapewne pamiętała jeszcze początki minionego ustroju, dlatego podsuszywszy się nieco i opatuliwszy starannie, Salka i Bartek podreptali razem do taksówki. Również i ten kierowca próbował stawiać opór, gdy usłyszał o Lipowej pięć, lecz dziewczyna, przemoczona, zziębnięta i zdezorientowana jak nigdy w życiu, tym razem nie dała się porzucić byle gdzie niczym worek wyjątkowo mokrych kartofli. Zamiast tego zwymyślała taksówkarza od serca, obficie plując jadem, świętym oburzeniem i resztkami wody z Odry.

Mało brakowało, by wniósł ich do willi na rękach.

Wysłuchawszy rzeczowej opowieści Bartka, siostry Bolesne spojrzały po sobie, a potem na zapłakaną Salkę.

– Tam są barierki – mruknęła pani Matylda, dodatkowo wzmacniając swoją herbatę i zmieniając proporcje na zdecydowaną korzyść tak zwanego prądu. – Co prawda dość niskie...

– Dziecko... – zaczęła z wahaniem pani Jaga – czy ty... czy ty próbowałaś...

Salka pociągnęła nosem.

– Ja wca-ale nie wpaaadłaaam – zawyła żałośnie.

– Znaczy co? Ktoś cię wrzucił? Ktoś ją wrzucił? – Pani Jaga zwróciła się do Bartka.

– Szczerze mówiąc, nie widziałem...

– Ktoś cię wrzucił?

– Ta-a-aaak...

– Rany boskie! Kto?!

– Nie-eee...

– Nie widziałaś? – podsunęła pani Jaga.

– Nie-eeeeee...

– Ach, nie wiesz kto?

– Nie-eeeeee...

– To ja już nic z tego nie rozumiem!

– Neeeeeeeeedaaaaaaaś!

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Oniemiałe ze zgrozy siostry Bolesne wpatrywały się w Salkę, która wyła w najlepsze nad swoim kubkiem, inhalując się szczodrą porcją rumu z subtelnym dodatkiem earl greya.

– Nie... kto? – nieśmiało zapytał Bartek, niezorientowany w nazewnictwie.

– Niedaś – wyszeptała pani Jaga.

– Czyli kto?

– Czyli brat – wyjaśniła sucho pani Matylda. – Jej brat – dodała, sękatym palcem wskazując rudowłosą kupkę nieszczęścia.

– O szlag!

– Lepiej bym tego nie ujęła, młody człowieku.

Bartek wyprostował się na krześle, z lekkim osłupieniem wypisanym na twarzy. Ściągnął okulary, które zaparowały mu po raz kolejny, i przetarł je rogiem suchego koca.

– Ja sądziłem, że to wypadek, że się poślizgnęła albo... albo... Boże, przecież to trzeba zgłosić na policję!

– Wstrzymaj konie, młody człowieku. Policja nie zajac. Saleczko, jesteś pewna, że to był Niedaś? Tak... pewna pewna? – dopytywała pani Jaga, z tego wszystkiego odpalając drugiego papierosa, choć jeden już zwisał z jej wargi, przyklejony szminką.

– Ta-ak.

– Jak amen w pacierzu?

– Tak.

– Jak bonie dydy?

– Pa-ani Jago, widziałam go tak, jak teraz widzę panią. – Salka wreszcie się nieco uspokoiła i odzyskała kontrolę nad własną krtanią.

– Z bliska-a i wyraźnie. To był Niedaś. Najpierw mnie uderzył, o tutaj... – wskazała na swoją obolałą skroń, gdzie na tle bladej skóry rozkwitał pomału imponujący siniak – ...a-a potem złapał i wrzucił do rzeki.

– Ale dlaczego? No co też mu strzeliło do głowy... A ty co, Matyldo? – Pani Jaga zwróciła się do siostry zaskakująco ostrym tonem. – Zamierzasz tak siedzieć i czekać nie wiadomo na co?

– Masz może lepszy pomysł? – zapytała pani Matylda, unosząc



brew.

– Owszem! – odparła triumfalnie. – I już ty dobrze wiesz jaki.

– Mowy nie ma – prychnęła siostra.

– Ach, tak?! Dla jakiejś obcej durnej flądry w panterce od razu ruszyłaś tę twoją reumatyczną, pokancerowaną miednicę, i to bez proszenia, ale dla własnych, rodzonych lokatorów już ci się nie chce?!

Tymczasem Bartek kręcił głową, próbując otrząsnąć się z szoku i jakoś to wszystko ogarnąć.

– Z całym szacunkiem, ale pani tu raczej wiele nie zdziała, tu trzeba policji...

– Ja owszem, nie poradzę, ale ona tak! No! Ruszże się wreszcie, Matyldo, zanim obie ulegniemy naturalnej mumifikacji!

– Rany boskie, jak ja to wszystko wyjaśnię rodzicom? – jęknęła skołowana Salka, do której wreszcie dotarło, że na Lipowej pięć świat się nie kończy i wieść o wydarzeniach tego wieczoru będzie musiała prędzej czy później opuścić Wrocław. – Co ja powiem babuni?

– Matylda będzie wiedziała. – Pani Jaga pospieszyła z zapewnieniami. – Prawda, Matyldo?

Pani Matylda wbiła w siostrę swój przenikliwy wzrok, jeszcze bardziej upiorny niż zwykle. Przez długą chwilę milczała uparcie. Zacisnąwszy usta, podniosła się w końcu i ciężkim, powolnym krokiem wyszła z kuchni.

– Jeszcze rumu? Znaczą herbaty? – zapytała pani Jaga, niespodziewanie odzyskawszy dobry humor, po czym w płasach rzuciła się wstawiać wodę na dolewkę.

Obserwując hasającą przy fajerkach staruszkę w jedwabnym peniuarze i turbanie, Bartek nachylił się dyskretnie w stronę Salki.

– One zawsze tak? – zapytał szeptem.

– Jedna wredna, druga szurnięta, trzecia nieprzytomna.

– Trzecia? One są aż trzy?

– Trzy – przytaknęła. – Trzy przedpotopowe kserokopie.

– Wiesz co – odezwał się Bartek po chwili głębokiego namysłu – dotąd zawsze sądziłem, że to mnie los pokarał moim promotorem, chaosem wcielonym...

– Do kompletu dorzuć jeszcze brata, który najpierw przez

dwadzieścia lat zatruwał mi życie, a potem dla odmiany postanowił mnie utopić – rzuciła ponuro Salka. – Tego tym swoim Kajsiewiczem nie przebijesz.

– Chyba nawet nie będę próbował.

W głębi domu rozległy się kroki, którym towarzyszył równomierny stukot dębowej laski. Na ten dźwięk pani Jaga zastygła z czajnikiem w dłoni. Nasłuchiwała.

– Oho, Matylda się rozpędziła.

– A co to znaczy? – zapytał Bartek.

– Że idzie szybciej niż zwykle.

Zanim zdążył się na tyle otrząsnąć, by przeformułować swoje pytanie, do kuchni wróciła pani Matylda. Jakaś nieuchwytna, nieokreślona zmiana w jej postawie, a także w wyrazie surowej twarzy powiedziała Salce i Bartkowi to, co starszej pani numer dwa zdradził już sam dźwięk kroków. Pani Matylda była spokojna.

A na dodatek miała papugę na ramieniu.

– Są jeszcze te śmietankowe wafelki? Roy Keane ostatnio je sobie upodobał.

– Roy Keane? – powtórzył Bartek z osobliwym błyskiem w oku.

– Owszem. – Pani Matylda zerknęła czujnie w jego stronę.

– Nadała mu pani to imię z jakichś... szczególnych względów?

– Owszem.

– A ma pani może Cantone do kompletu?

– Och, na litość boską! – zakrzyknęła zniecierpliwiona pani Jaga, aż obydwa papierosy odkleiły jej się od wargi i spadły na podłogę. – Pal sześć tę przekłętą papugę, powiedz coś wreszcie, zanim lodowce stopnieją!

– Policję możemy sobie darować.

– Co też pani mówi? Jak to darować? – oburzył się Bartek. – Rozumiem, że tu chodzi o brata Salki, że cała ta sytuacja z pewnością nie jest dla niej łatwa, że jeszcze się nie otrząsnęła z szoku ani z wody, ale przecież...

– Młody człowieku – pani Matylda przerwała mu bez li-tości – ta decyzja nie należy ani do ciebie, ani do mnie, tylko do Salomei.

– Do mnie?

– Tak, Salomeo, do ciebie. Twój brat, twoja kąpiel, twoja decyzja.  
– Nie, proszę pani – zaprotestował Bartek. – To tak nie działa. Ten tam... Daś próbował ją utopić, Salka nie może teraz...  
– Może.  
– Mogę?  
– Możesz. – Pani Matylda skinęła krótko głową. – Możesz pójść na policję choćby dziś.  
– Albo?  
Starsza pani numer jeden odetchnęła.  
– Albo mi zaufać.  
– Pani coś wie – raczej stwierdziła, niż zapytała Salka po chwili namysłu.

Siostry Bolesne kolejny już raz spojrzały po sobie. Na twarzy pani Jagi malowało się błaganie. W żółtych oczach pani Matyldy znów majaczył cień niepokoju.

– Tak, wiem – odparła w końcu.

Salka w zadumie odgarnęła mokre włosy z czoła. Kłębiła się w niej cała masa uczuć i myśli. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Ten durny Niedaś przepadł gdzieś i nie dawał znaku życia, a po tygodniu zjawił się niespodziewanie i próbował utopić ją w Odrze, skąd nieoczekiwanie wyciągnął ją Bartek. Tak, właśnie ten Bartek, z głową i tak dalej, na którego widok zawsze dostawała lekkich objawów głupawki, a który od paru godzin miał okazję podziwiać ją w pełnej, trupio bladej, zasmarkanej okazałości, na domiar złego – z bliska. Bardzo bliska. Pani Matylda najwyraźniej coś wiedziała, choć nie chciała powiedzieć, pani Jaga zaś wiedziała, że jej siostra coś wie, i uparcie wywierała na nią nacisk za pomocą kolejnych aluzji i skrętów twarzy. Ale co wiedziała najstarsza pani Bolesna i skąd – o tym Salka mogła się przekonać tylko w jeden sposób.

Zaufawszy pani Matyldzie.

Odruchowo uniosła głowę i popatrzyła prosto w żółte oczy najstarszej z sióstr. Z jakiegoś powodu przywiodły jej na myśl tamto pierwsze spotkanie przed zrujnowaną willą przy Lipowej pięć. Teraz również wbijały się w nią, upiorne nie tylko przez swoją barwę,

niewzruszone, chłodne... I szczerze. Aż do bólu, i to jakiego. Ale szczerze. Dopiero teraz Salka uświadomiła sobie, że nigdy nie dostrzegła w nich ani krzty fałszu.

– Przepraszam, czy ja czuję palone... pierze?

– Rrrany banany!!!

Harmider, jaki zapanował w kuchni, gdy wszyscy rzucili się ratować przed dalszym sfajczeniem ogon Roya Keane'a, który przycupnął ze swym ukochanym wafelkiem zbyt blisko fajerek, zaprzętną całą czwórkę na tyle, że choć na chwilę zapomnieli o niedawnych wydarzeniach. Dopiero gdy grubo po dziesiątej za Bartkiem zamknęły się drzwi, pani Matyllda stuknęła stanowczo swoją laską.

– No, a teraz wszyscy do łóżek – zakomenderowała. – Salomeo, punkt ósma czekasz tu na mnie, gotowa do wyjścia. Mamy to i owo do wyjaśnienia.

Przytaknąwszy, zmęczona jak nigdy Salka pożegnała się z siostrami i marynarskim krokiem poszła do siebie na górę. W ślad za nią powędrował Roy Keane, ciągnąc za sobą lekki smród spalenizny i pół paczki śmietankowych wafelków w ramach nocnej przekąski.

– I co o nim sądzisz, Matylldo? – Pani Jaga skinęła głową w stronę drzwi, które dopiero co zamknęły się za młodym doktorantem.

Pani Matyllda zatrzymała się na progu swojego pokoju. Wzruszyła ramionami.

– Miękkie kluchy.

– Ale papugę skojarzył!

– Bo to miękkie kluchy z horyzontami, Jaguś.

## Rozdział 9, w którym pani Matylda daje słowo

Prokurator przełożony Wołłeczko przystanął przed lustrem nad umywalką, aby starannie przyczesać pożyczkę, po czym pchnął drzwi łazienki i dziarskim krokiem wyszedł na korytarz, gdzie wpadł prosto na tkwiącą tam niczym słup soli postać.

– Najmocniej prze... – zaczął odruchowo, po czym w okamgnieniu stracił władzę tak nad głosem, jak i nad całą resztą swej dostojnej, prokuratorowskiej osoby. Tyle dobrego, że zdążył opróżnić to i owo, inaczej mogłoby być jeszcze gorzej. A tak, zamiast kompromitujących wykwitów na odzieży i towarzyszących im woni musiał się jedynie martwić absolutną pustką w przykrytej uklepanymi włosami głowie, gdzie srogi wiatr wspomnień hulał sobie w najlepsze i siał spustoszenie wśród sił umysłowych, i siał, i siał, i siał...

– Au... au... au... – dukał nerwowo raz za razem, pocąc się przy tym obficie, nijak jednak nie mógł przypomnieć sobie ciągu dalszego. Jezus Maria, zupełnie jak wtedy, w drugiej klasie, kiedy sterczał pod tablicą w roli przedostatniej ofiary... Przecież się uczył, do białego rana ślęczał, próbując wbić sobie do głowy nie dość, że sam tekst, to jeszcze te koszmarnie akcenty. A potem przez pół lekcji słuchał, jak jego koledzy i koleżanki kolejno skandują wiersz, podczas gdy reszta klasy odruchowo kiwa się do taktu w akcie zbiorowego sieroctwa, byle jakoś wesprzeć tego nieszczęśnika, którego właśnie spotykał pisany im wszystkim srogi los, więc umiał, musiał umieć, tylko... tylko... tylko że nie pamiętał... – Au... au... au...

– ...rea...

– *Aurea! Aurea!!!* – triumfalny ryk prokuratora Wołłeczki poniósł się korytarzem. – *Aurea prima sata est aetas quae vin-dice nullo!!! Sponte sua, sine lege fidem rectum... rectum... rectumque colebat!!!*<sup>12</sup>

– A elizję to gdzie posialiście, Wołłeczko?

– Pani profesorko, przysięgam, ja to umiem, ja mogę jeszcze raz...  
– zdążył jeszcze wybełkotać, zanim wreszcie przyszło opamiętanie

i strzeliło go w łeb dla otrzeźwienia. Zamrugał. Odetchnął. Odzyskał zdrowy rozsądek. – Dzień dobry, pani profesorko.

– Dzień dobry, Wołeczko – odparła spokojnie Matyllda Bolesna, mierząc wzrokiem dawnego ucznia. – Zapuściliście się trochę.

– No więc... – Pulchne dłonie obciągnęły poły markowej marynarki, pod którą Wołeczko nie miał sześciopaku, lecz klasyczną, szlachetną beczkę. – Znaczą bez no więc, pani profesorko... to już nie te lata...

– Prokurator, tak? – Siwa brew powędrowała w górę czoła. – Kto by przypuszczał.

W odpowiedzi Wołeczko zarechotał bezradnie jak sztubak, choć miał już pięćdziesiątkę na karku.

– Mamy do was sprawę.

– My? – Wołeczko dopiero teraz dostrzegł, że tuż za panią Bolesną czai się postawna, rudowłosa dziewczyna z wielkim, świeżym siniakiem na skroni. Uśmiechnęła się blado do prokuratora i zachwiała, jakby od tego ruchu twarzą zakreśliła jej się w najwyraźniej poobijanej głowie. – Ach, tak. Oczywiście, oczywiście, to może...

Cały w reweransach poprowadził je korytarzami aż do swojego gabinetu. Na widok szefa, wpadającego do sekretariatu jak bomba, zza biurka poderwała się przysadzista kobieta w wieku średnio zaawansowanym i w beżowym kostiumiku, ze słuchawką telefonu w dłoni.

– Panie prokuratorze...

– Pani Krysiu, nie ma mnie dla nikogo!

– Ale wiceminister...

– Dla nikogo! – wysyczał przejmująco, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

Podreptał czym prędzej za wielkie biurko i klapnął ciężko na krzesło adekwatnych rozmiarów, a pani Matyllda i Salka zasiadły z godnością naprzeciwko niego.

– Kawy, herbaty?

– Adama Przygody.

– Słucham?

– Adama Joachima Przygody – poprawiła Salka nie bez ponurej satysfakcji.

– Adama Joachima Przygody – powtórzyła pani Matylda.

Prokurator zamrugał, przygłuszony.

– Mówi wam coś to nazwisko, Wołeczko?

– Nie mówi.

– Ale powie.

– Powie! – zreflektował się błyskawicznie prokurator. – Tak, tak, oczywiście, że powie! Zaraz powie, już, sekundkę! PANI KRYSIU!!! – ryknął, zapominając, że ma w biurze wynalazek zwany interkomem.

Pani Krysia przybiegła świńskim truchtem.

– Pani Krysiu! Przygoda, Adam... e...

– Joachim.

– A tak, Adam Joachim, w te pędy!

Po kwadransie nerwowego wyczekiwania, który prokurator Wołeczko spędził na przypominaniu sobie na wszelki wypadek niuansów odmiany łacińskich zaimków, na jego biurku spoczęła schludna, pachnąca nowością teczka.

– Postępowanie przygotowawcze... – wymruczał prokurator, wczytując się w niezbyt liczne dokumenty. – A, już kojarzę, grubsza sprawa...

– *Ad rem*, Wołeczko, *ad rem*, bo mi tu Salomea zaraz zejdzie na serce.

Prokurator oderwał się od dokumentów i zobaczył, że twarz wpatrzonej w niego rudowłosej dziewczyny przybrała odcień sinawej zieleni.

– Pani może z rodziny?

– To mój brat – wydusiła Salka. – Co... co on takiego zrobił?

– Pani profesorko, kiedy... kiedy ja nie mogę wam tak... po prostu...

– Pojęcie dyskrecji jest nam doskonale znane.

Po krótkim wahaniu Wołeczko odchrząknął i przystąpił do streszczania.

– Z tego, co widzę, trwa postępowanie przygotowawcze, ale przedstawiono mu już zarzuty na podstawie rozdziału

dziewiętnastego kodeksu karnego, paragraf...

– Ludzkim głosem, Wołeczko!

– Przepięknie przeciwko życiu i zdrowiu – wypalił prokurator. – Znaczący, tak ludzkim głosem, to napaść. Adam Joachim Przygoda został aresztowany na podstawie rysopisu, który podała ofiara, prawdopodobnie druga.

– Dlaczego prawdopodobnie?

Rzucił okiem do akt.

– Bo pierwsza, z przyczyn niezależnych od niej, była zdecydowanie mniej rozmowna. Kolega, który prowadzi tę sprawę, zastanawia się nad cięższym zarzutem, ale na razie celuje w pobicie ze skutkiem śmiertelnym – sprecyzował. – Jezus Maria, pani Krysiu! Wody!!!

Wspólnymi siłami docucili Salkę i dźwignęli z podłogi, na którą nie tyle osunęła się z wdziękiem, jak to mają w zwyczaju romantyczne dziewczęta z klasą, ile prozaicznie runęła niczym kłoda, o mały włos mijając kant biurka, powalona zgrozą, zawrotami głowy i falą mdłości. Prokurator zaczął ją wachlować teczką, jakby próbował rozniecić pożar, a pani Matylda ścisnęła mocno jej dłoń.

– Salomeo! Salomeo, posłuchaj mnie! To nie on, słyszysz? To nie on!

– Spory ten siniec – zauważył Wołeczko, nie przestając wachlować oszołomionej dziewczyny. – Czy mogę...

– Nie wasz interes – ucięła pani Matylda. – I tak dobrze, że ten z czoła już jej zszedł, dopiero byłby widok. Słyszysz, Salomeo? To nie on.

– Jak to nie on, skoro pan...

– Nie on i kropka. Wołeczko, co tam jeszcze macie w tych papierach poza paragrafami?

Prokurator rzucił się z powrotem do teczki i zaczął czytać. Po paru minutach wyraźnie się zafrasował.

– Hm...

Z dotychczas zgromadzonych dowodów wynikało, że Adam Joachim Przygoda, lat dwadzieścia, syn Pawła i Kaliny, w zeszłą środę, późnym wieczorem, dopuścił się napaści u zbiegu ulic Glinianej i Borowskiej. Ofiara, młoda kobieta, zadawszy napastnikowi szereg



obrażeń rozmaitych rodzajów, zdołała zbiec i schronić się w pobliskim aquaparku, skąd niezwłocznie zadzwoniła na policję. Sprawcę opisała dokładnie i obrazowo, dzięki czemu niespełna dwie doby później przypadkowy patrol zatrzymał wzmiankowanego Adama Joachima i tak dalej na podstawie rysopisu. Na wniosek prokuratury sąd zastosował wobec niego areszt tymczasowy.

I tu kończył się płaskowyż, a zaczynały wzniesienia. Bo wzmiankowany Adam Joachim i tak dalej miał alibi z gatunku żelaznych.

Słyszając to, Salka ożyła.

– Jakie alibi?

– Zeznania świadków – wyjaśnił po krótkim wahaniu prokurator Wołeczko. – Profesora i studentów z tej samej grupy ćwiczeniowej. I dowód w postaci pisemnego kolokwium na druku z pieczęcią uczelni.

– Niedaś poszedł na kolokwium?! – zdziwiła się Salka szczerze. – Oczadział czy jak?

– Najwyraźniej. Świadkowie twierdzą, że tamtego dnia pani brat wyjątkowo zjawił się na zajęciach. Został na uczelni aż do ostatniego wykładu, po czym wraz z grupą pięciu osób udał się do mieszkania w okolicach Rynku, gdzie przebywał do wczesnych godzin rannych, spożywając wysokoprocentowy alkohol. No i jest jeszcze pewien szczegół...

W skupieniu słuchały dalszego wywodu prokuratora.

– Czyli zeznania świadków są sprzeczne – podsumowała pani Matylda, gdy już wyłożył im ostatnie szczegóły. – Jeden do... ilu?

– Wielu.

Wspierając się na lasce, pani Matylda wstała i nachyliła się nad zawalonym papierzyskami biurkiem. Żółte oczy przeszyły prokuratora niczym sopte spadające z dachu prosto na niewinnego przechodnia.

– Nie wiem, jak to zrobicie, Wołeczko, ale ten chłopak wróci dzisiaj do domu.

– A-ale pani profesorko...

– Bez dyskusji, Wołeczko.

– Pani profesorko, jest... jest jeszcze pierwsza ofiara. Wiele

wskazuje, że to mógł być ten sam napastnik.

– Co nie zmienia faktu, że więcej osób świadczy na korzyść niż niekorzyść Adama Joachima Przygody, a poza rysopisem żadnych innych dowodów nie macie – wytknęła mu pani Matylda.

– No tak, ale kto mi poręczy, że on...

Dębowa laska huknęła o podłogę.

– Ja, Wołeczko. Ja wam poręcę. Matylda Stefania Bolesna, lat osiemdziesiąt pięć, córka Eustachego i Klary.

Prokurator przełożony bez słowa sięgnął po telefon.

\*\*\*

– Nic z tego nie rozumiem – orzekła stanowczo Salka Przygoda, gdy już zasmarkowała kolejną chusteczkę higieniczną. Jakby mało jej było zmartwień, bólu głowy i paskudnych mdłości, nieprzewidzianą kąpiel w Odrze zwiędziło, rzecz jasna, przeziębienie.

Od godziny siedziały z panią Matyldą na betonowych schodach z widokiem na areszt śledczy i czekały, popijając herbatę ze styropianowych kubeczków.

– Skąd pani wiedziała, gdzie szukać? – po raz enty tego przedpołudnia zapytała Salka.

– A czy to ważne?

– Z punktu widzenia ludzkości może nie, ale z mojego tak jakby trochę. Nic z tego nie rozumiem.

– Nie ty pierwsza i nie ostatnia – odparła filozoficznie pani Matylda, przenosząc ciężar ciała na drugi, mniej zdrętwiały pośladek. Torba foliowa, na której siedziała dla osłony przed wilgocią zimnego betonu, zaszeleściła przy tym cicho.

– Ale skąd?

– Mam swoje źródła. Sprawdzone i, jak widać na załączonym obrazku, dość wiarygodne. On się zgubił, a my go znalazłyśmy, tak czy nie?

Z cichym jękiem Salka schowała twarz w dłoniach.

– Mój brat siedzi w areszcie za napaść. Rany boskie, co ja powiem rodzicom...

– Wyrywanie języka jako metodę przesłuchiwania świadków i podejrzanych zarzucono już jakiś czas temu. Śmiem twierdzić, że Niedaś doskonale wyjaśni im wszystko sam.

– Pani nic nie rozumie!

– Zatem jest nas dwie.

Salka poderwała głowę i spiorunowała starszą panią wzrokiem. Na starszej pani nie zrobiło to zbyt wielkiego wrażenia.

– Czy pani naprawdę nie ma serca?

– Ponoć nie. Przede wszystkim mam rozum. – Pani Matylda spokojnie dopiła swoją herbatę. – I nie widzę najmniejszego powodu, dla którego to ty miałabyś tłumaczyć się komukolwiek z wyczynów Niedasia. Zwłaszcza takich.

– To mój brat!

– Dorosły brat, Salomeo. Może nie dojrzały, ale dorosły. A skoro jest na tyle dorosły, żeby samemu popełniać błędy wszelkiego kalibru, to i sam za nie będzie odpowiadać. – Z dezaprobatą pokręciła głową. – Doprawdy, zdumiewa mnie twoja niekonsekwencja. Z jednej strony zwijasz manatki i uciekasz, byle dalej od młodszego brata, a z drugiej, gdy tylko on pojawia się na horyzoncie, ty natychmiast zmieniasz się w siostrę Polkę, cierpiąc i zrzedzając na Niedasia przy byle okazji. Najwyższa pora, żebyś spuściła go ze smyczy i zajęła się własnymi sprawami.

– I kto to mówi? Stara panna, która sama... – Ugryzła się w język, lecz o sekundę za późno.

– No? Śmiało, dokończ. Stara panna, która sama mieszka z siostrami. Tyle że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie jojcę na każdym kroku, jak to muszę się za nie straszliwie wstydzić. Doskonale radzą sobie z tym same, a ja wstydzę się wyłącznie za siebie. Mam już swoje lata i na własnej skórze nauczyłam się pewnej bolesnej lekcji. Nie można przeżyć życia za kogoś innego, choćby nie wiem co. Nie można mu mówić, co ma robić, a czego nie, ani brać na własne barki konsekwencji cudzych czynów. Nikomu to nie wychodzi na dobre. Każdy decyduje za siebie... i tylko za siebie potem dostaje od życia po głowie.

– Właśnie że można. To się nazywa odpowiedzialność.

– Nie, nie można! – huknęła pani Matylda. – Nie wolno! Wykaż się odrobiną inteligencji, dziewczyno, i wbij to sobie wreszcie do głowy! Inaczej pewnego dnia będziesz tego gorzko żałować.

– Już żałuję! Żałuję, że się tu w ogóle przeprowadziłam! – zaszlochała Salka.

– Na litość boską, dziewczyno! A gdybyś się nie przeprowadziła, to co? Niedaś dostałaby wniebowstąpienia? Beatyfikacji? Jeszcze mi powiedz, że to wszystko twoja wina, bo przeniosłaś się do Wrocławia i twój biedny, osamotniony brat z wrażenia stał się psychopata biegającym po mieście w poszukiwaniu ofiar, a jak mi Bóg miły, spuszczę ci manto tu i teraz! I przestańże w końcu beczeć, bo mi to zaczyna działać na nerwy!

Szlochy umilkły jak nożem uciął i szum ruchliwej ulicy, która biegła kawałek stąd, przerywało już tylko miarowe pociąganie zatkanym nosem.

– Pamiętasz, co mówił Wołeczko? – podjęła po chwili pani Matylda już mniej ostrym tonem. – Do napadu doszło w środę, Niedasia aresztowali po dwóch dobach, czyli najdalej w piątek. Dziś mamy wtorek.

– Czyli że co?

– Czyli że wczoraj późnym popołudniem, kiedy ty korzystałaś z pięknej jesiennej aury i pływałaś się w Odrze, Niedaś od dobrych trzech dni siedział już w tym areszcie. – Wskazała otoczony murem ceglany budynek po drugiej stronie wąskiej, na dodatek zastawionej samochodami uliczki. – O ile nie opanował w tym czasie z nudów arcytrudnej sztuki przebywania w dwóch miejscach jednocześnie, nijak nie mógł cię napaść. *Ergo*, to nie był Niedaś.

– Ale to był Niedaś – zaprotestowała Salka. – Stałam z nim twarzą w twarz.

– A więc Wołeczko i cała wrocławska policja kłamia? Niedasia tam wcale nie ma, a my siedzimy tu po próżnicy?

– No... no nie, ale...

– Więc może to ty się pomyliłaś?

– Nie, dobrze wiem, co widziałam.

– A zatem, reasumując, to był Niedaś, choć to nie był Niedaś. Tak?

– Nic z tego nie rozumiem...

– A cóż tu jest do rozumienia? – Szczere zdziwienie pani Matyldy zasługiwało co najmniej na Złoty Glob w kategorii najlepsza aktorka w filmie komediowym albo musicalu. Gdyby jeszcze coś zanuciła, nagrodę miałyby jak w banku. – Widocznie twój brat został nowym kotem Schrödingera. Jednocześnie był wczoraj nad Odrą i nie był, topił cię i nie topił. Logiczne.

Przytłoczona tym wszystkim Salka miała wielką ochotę uronić parę łez, lecz na samą myśl o obiecanej mancie czuła, jak odwodnienie nadciąga galopem. Zamiast tego buntowniczo wysmarkała nos.

– To wszystko się w ogóle kupy nie trzyma – oznajmiła. – Niedaś może i jest palantem pierwszej wody, ale przecież nie skrzywdziłby nawet muchy! A już na pewno nie pobiłby nikogo na śmierć. Nawet w tym swoim durnym *Warcrafcie* zawsze gra healerem!

– Niestety, to tak nie działa – odparła cicho pani Matylda, zapatrzona gdzieś w przestrzeń i zamyślona. – Czasami... Czasami najporządniejsi nawet ludzie, których znamy jak własną kieszeń, robią coś, czego nikt by się po nich nie spodziewał. I nie zawsze jest to coś dobrego...

– Więc pani wierzy, że on naprawdę to zrobił? Napadł te dziewczyny?

– Nie, Salomeo, nie wierzę – powiedziała stanowczo. – Ja wiem, że on tego nie zrobił.

– Skąd?

– „Są rzeczy na niebie i na ziemi, o których się filozofom nie śniło”. I na tym może poprzestańmy.

Prowadzące na teren aresztu śledczego pojedyncze drzwi otworzyły się już któryś raz tego przedpołudnia. Lecz zamiast kolejnego pana z przerostem szyi i niedoborem owłosienia na głowie w ramach płodozmianu ukazał się w nich ciemnowłosy chłopak z plecakiem w garści. Przystanął na chodniku i rozejrzał się bezradnie. Naraz jego blada twarz przybrała wyraz absolutnego wniebowzięcia.

– Rany jeża, siostra!!!

Pał sześć spławianie w Odrze! Chrzanić Schrödingera, healerów i filozofów! Na widok młodszego brata Salka natychmiast poderwała

się jak oparzona – co akurat było dość bliskie prawdy, jako że przy okazji wylała na siebie resztkę herbaty.– Niedaś!

– Siostra!

– TY GNOJU!!!

Nagle, nie wiadomo skąd, wystrzeliła drobna postać, ruchliwa niczym żywe srebro i uzbrojona w złożony parasol wagi ciężkiej. Zanim Salka zdążyła choćby mrugnąć, przyparty do muru Niedaś kulił się już pod gradem ciosów, które spadały zewsząd, jakby atakowało go co najmniej stado rozjuszonych ośmiornic parodiujących słynny numer taneczny Gene’a Kelly’ego.

– Ty gnoju jeden!!! – darła się dziewczęcym głosem postać, okładając go przy tym z całych, wcale nie lichych sił. – W świetle dnia już nie jesteś taki kozak, co? Co?! CO?! A masz, ty skurrrr...

– Język precz od mamusi! – Niedaś wrzasnął w odpowiedzi, próbując odpełznąć od napastniczki. – Rany jeża, siostra, ratuj!!!

Nie tracąc czasu na dogłębne analizy sytuacji czy zagrożenia, Salka rzuciła się bratu na pomoc. Jednym ruchem rozbroiła rozwścieczone metr pięćdziesiąt człowieka z oręża, a potem przystąpiła do klasycznych zapasów z elementami walk w klatkach, gdyż przeciwniczka wierzgała w jej objęciach ile sił w krótkich, chudych nóżkach, zawzięcie celując ciężkimi glanami w Niedasia. Niedaś z kolei wrzeszczał coś bez ładu i składu i z jakichś powodów wciąż umykał przed nią na czworakach, zamiast wstać z ziemi i spierniczać skuteczniej, jak człowiek.

Cała trójka, pochłonięta walką i wymianą złorzeczeń, nie zauważyła nawet, że pani Matylda wspięła się na szczyt betonowych schodów, by widzieć ponad samochodami, które parkowały wzdłuż uliczki. I stamtąd przyglądała się ciemnowłosemu, blademu Niedasiowi i napastującej go drobnej dziewczynie z przepięknym, złocistym warkoczem, a jej surowe czoło marszczyło się coraz bardziej i bardziej.

## Rozdział 10, w którym na pierwszy plan wysuwa się gęba Niedasia

To nie byłem ja – wymamrotał Niedaś, łypiąc czujnie znad talerza z obiadem, czy aby nie zanosi się na kolejny atak z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Na przykład jednej z tych starych, ciężkich patelni. O, albo papugi, która znów przysnęła na ławie przy kafłowej kuchni.

– A jedzie mi tu czołg? – Złotowłosa dziewczyna dokonała prezentacji stosownego miejsca.

– Brudny czołg hańbą twego batalionu – mruknęła pod nosem pani Jaga, buchając papierosowym dymem. – Dziecko, może jednak usiądziesz?

Filigranowa dziewczyna pokręciła dumnie zadartą głową, aż jej długi, gruby warkocz zakołysał się jak wahadło. Odmówiła ściągnięcia śmiercionośnych butów albo chociaż kurtki i teraz zaczynała się lekko przegrzewać, w związku z czym jej szczupłą, dziecięcą twarz znaczyły coraz większe rumieńce. Uparcie sterczała pod ścianą w pobliżu drzwi niczym wyrzut sumienia, uzbrojona w torebkę, i ciskała wzrokiem gromy w kierunku Niedasia, podczas gdy reszta towarzystwa rozsiadła się wygodnie przy kuchennym stole.

Prosto spod aresztu Salka popędziła do pracy, a pani Matylda siłą argumentu i argumentem siły wsadziła Niedasia i jego nową koleżankę do taksówki, po czym przywiozła na Lipową pięć. Tego, co działo się po drodze, żadne słowa nie zdołałyby oddać, była jednak pewna, że właśnie dopisali zupełnie nowy wątek do miejskich legend krążących na temat willi i jej mieszkańek, a korporacje taksówkowe na wszelki wypadek zaczną omijać nie tylko tę konkretną aleję, ale też całą dzielnicę.

Pani Jaga, która przedpołudnie spędziła w szpitalu u boku niezbyt kontaktowej siostry, na widok swojego ulubionego healera dostała niemalże małpiego rozumu. Przez następną go-dzinę uwijała się jak

w ukropie i produkowała jedzenie w hurtowych ilościach, Niedaś grzecznie je pochłaniał, nie wykazując żadnych przejawów sytości, a dziewczyna ze złotym warkoczem nawet przez chwilę nie odrywała od niego chmurnego spojrzenia.

Pani Matylda, ochłonąwszy nieco w salonie przy filiżance wiadomego napoju, w końcu przyszła do kuchni i zasiadła przy stole naprzeciwko Niedasia.

– Młody człowieku, czy ty masz dno? – zwróciła się do niego.

– Teoretycznie. – Wysiorbał z miseczki resztki śmietany po mizerii.

– A praktycznie?

– Nie wiem – przyznał szczerze – ale jestem otwarty na eksperymenty.

– Byś się udławił w ramach eksperymentu – syknęła spod drzwi dziewczyna.

– Miniaturka! Siad! – Dębowa laska pani Matyldy wymownie postukała o ostatnie wolne krzesło.

Dziewczyna aż się zatchnęła.

– Wypraszam sobie takie...

– Powiedziałam siad! A nie daj głos!

Nawet rodzona siostra wlepiła w nią lekko zdumione spojrzenie, zaskoczona tak bezpardonowym zachowaniem ze strony pani Matyldy. Niedaś tymczasem młócił dalej, jakby przez ostatni tydzień wymiar sprawiedliwości próbował wziąć go głodem.

Dziewczyna w końcu usiadła, całą filigranową sobą demonstrując niezadowolenie. Efekt głębokiego oburzenia psuł nieco fakt, że ledwo sięgała teraz obutymi w ciężkie glany stopami do kuchennej podłogi. Wówczas pani Matylda jedną dłonią chwyciła Niedasia za twarz, wyciskając z niej uroczy dzióbek.

– Widzisz tę gębę? – zwróciła się chłodno do dziewczyny.

– Mfpfmfff?

– Aż za dobrze.

– To teraz jej się dla odmiany przyjrzyj.

– Ale po co?

– Pfffm?

– Przyjrzyj się.



Dziewczyna niechętnie zaczęła przyglądać się ściśniętej twarzy Niedasia, zaczynając od wysokiego czoła, na które opadały zapomniane przez fryzjera czarne włosy. Następnie powędrowała wzrokiem wzdłuż nosa, zerknęła na chwilowo wytrzeszczone, ciemne oczy o gęstych rzęsach, po czym od niechcienia omiotła policzki, tylko częściowo zasłonięte sękatymi palcami starszej pani.

I tam na moment utknęła.

– O, właśnie – rzuciła ze złośliwym uśmiechem satysfakcji pani Matylda, puszczając Niedasia, który zaczynał się już dławić mizerią. – Coś się nie zgadza?

– Nie... Znaczy tak, znaczy... – Mimowolnie zerknęła na swoje dłonie. A konkretnie na swoje bardzo długie, starannie opiłowane akrylowe paznokcie z klasycznym francuskim manikiurem.

– Pokancerowałaś gębę temu, co cię napadł.

– Ta... – zaczęła z rozpędu, lecz natychmiast się opamiętała – ...aaa pani to skąd o tym wie?!

– A ty skąd wiedziałaś, że go dzisiaj wypuszczą? – odparowała pani Matylda, nie dając się zbić z tropu.

– Nie wiedziałam! – zapiszczała dziewczyna. Po raz pierwszy w jej wielkich piwnych oczach zamiast żądy krwi zagościł popłoch. – To... to był czysty przypadek!

– No popatrz, popatrz, jak to się dobrze składa! Bo ja też przez czysty przypadek wiem, że gęba Niedasia wciąż powinna przypominać pobojuwisko.

Kompletnie pogubiona dziewczyna gapiła się to na starszą panią, to na zdezorientowanego, lecz przeżuwającego energicznie Niedasia, to na własne paznokcie.

– Nic z tego nie rozumiem... – bąknęła.

Pani Matylda westchnęła.

– Już to dziś chyba słyszałam. Jaguś, nastaw lepiej wodę, bo czeka nas długa pogawędka.

Dopiero gdy Nieadaś, ustąpiwszy pod brutalnym naciskiem, odkleił się od resztek piątego już dania, a na uprzątniętym stole stanęły cztery filiżanki świeżej herbaty i wielka patera z drożdżowym ciastem, cała czwórka mogła wreszcie przystąpić do wymiany

informacji, opinii i spojrzeń.

– Zapewne oprócz broni zaczepnej w postaci parasola i paznokci masz także imię i nazwisko – zagaiła z właściwym sobie wdziękiem pani Matyllda.

– Basia Węgrzyn.

– A zatem, panno Basiu, proponuję szybką partyjkę w otwarte karty. My – wskazała siostrę w turbanie i wciskającego w siebie ciasto Niedasia – doskonale wiemy, że ten tu żarłok nieuczestny cię nie napadł. Ty natomiast najwyraźniej zaczynasz mieć co do tego wątpliwości.

– Oczywiście, że tak! – wybuchnęła Basia, piszcząc nieco przy wyższych tonach. – Wyskrobali mi jego twarz spod paznokci! Zatrzymali wszystkie moje pierścionki jako dowód w sprawie, bo jak mu nimi przydzwoniłam, to aż na cyrkoniach mięcho zostało! Powinien wyglądać, jakby wsadził głowę do maszynki do mięsa!

– Ale nie wygląda.

– Bo to nie byłem ja – wybełkotał Niedaś, plując kruszonką.

– To byłeś ty! – Basia fuknęła, acz z wyraźną bezsilnością. – Widziałam cię jak na dłoni, przed aresztem od razu cię poznałam!

Pani Jaga z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Jakbym słyszała Salkę...

– Salkę? – Niedaś przełknął na wszelki wypadek to, co miał w ustach, i zerknął z pewną podejrzliwością w stronę starszej pani numer dwa. – A co ona ma do tego?

– Ją też napadłeś.

– Że jak?!

– Salka to ta... ta duża, ruda? – Basia zapytała panią Matylldę.

Starsza pani skinęła głową.

– Ta duża, ruda. Jego siostra.

– Napadłeś własną siostrę?!

– Czy wyście wszystkie oczadziały?! Ja nikogo nie napadłem!!!

– Ale po co się tak od razu wydzierać? – zganiła go łagodnie pani Jaga. – No dobrze, może źle to ujęłam. Może nie tyle napadłeś, ile...

– Ile co?

– ...ile próbowałeś utopić w Odrze! – dokończyła, machając

radośnie trzymanym w ustach papierosem.

– A to niby lepiej?... – Niedaś jęknął z rozpaczą.

– Ano lepiej – odparła pani Matylda.

– Niby jak?!

– Niby tak, że kiedy Salomea nurkowała wczoraj w Odrze, ty zdążyłeś już rozgościć się w areszcie. Dodajmy więc dwa do dwóch. Po pierwsze, Niedaś, choćby się starał, nijak nie mógł napaść siostry z przyczyn od siebie niezależnych.

– Chybaby mnie zabiła!

– Nie bój się, jeszcze będzie miała okazję.

– I powód – dodała pani Jaga złośliwie.

– I powód. Po drugie, nie mógł też napaść obecnej tu Basi, gdyż po, cytuję, „wsadzeniu gęby do maszynki do mięsa” ślady na fizjonomii utrzymują się nieco dłużej niż... ile, tydzień?

– Niecały – odparła Basia, wpatrując się ponuro w gładką niczym pupa niemowlęcia facjatę Niedasia. – Strzeliłam go też z glana...

– W co?

– W stopę i kolano. A potem jeszcze poprawiłam z pierścionków, w gębę i w krocze.

Trzy kobiety jak jeden mąż spojrzały najpierw na nietkniętą twarz Niedasia, po czym ich wzrok równie zgodnie zabłądził w okolice jego rozporaka.

– Tę część prezentacji może sobie darujemy – stwierdziła stanowczo pani Matylda. Pozostałe panie ochoczo się z nią zgodziły. – Do tego dochodzi jeszcze jeden drobiazg. Niedasiu, jak ci poszło kolokwium?

– O rany, co za porażka... – odburknął i sposepniał jak na własnym pogrzebie. – Ej, no jakiego trzeba mieć pecha, żeby z rozpędu po raz pierwszy poleźć na konwersatorium z czegoś tam i natknąć się akurat na kolokwium.

– Niezapowiedziane? – Basia ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Nie no, zapowiedziane. A co?

– Łał. No to rzeczywiście musiał być szok.

– Żebyś wiedziała! Do świtu siedzieliśmy potem u kumpla. Osuszyliśmy parę puszcerek, a później z braku laku wyskoczył

z duchem puszczy. Wypala gardło, zrywa parkiet wraz z napletkiem i przemieszcza kontynenty, a ja i tak nie zdołałem się otrząsnąć! Za to kac był epicki...

– A zatem – pani Matylda przystąpiła do podsumowania – obie nasze młode damy są gotowe utracić dowolnie wybraną kończynę na dowód, że napadł je Niedaś, choć wszystko wskazuje na to, że Niedaś napaść ich żadnym sposobem nie mógł.

– Od początku wszystkim to mówiłem – mruknął główny obiekt zainteresowania. – Po kij miałbym napadać laseczki? I jeszcze własną siostrę?

– Ludzie miewają różne hobby – stwierdziła filozoficznie pani Jaga. – Mnie zastanawia tylko jedno. Dlaczego, ofermo nieuczesała, do nikogo nie zadzwoniłaś? Aresztantom chyba wolno skontaktować się z rodziną?

Przewróciwszy oczami, Niedaś wyjaśnił im tę oczywistą oczywistość. Akurat tamtego dnia, gdy przypadkiem poszedł na kolokwium, komórkę zostawił w pokoju, na dodatek rozładowaną na amen. Pech chciał, że ze wszystkich zapisanych w książce telefonicznej numerów pamiętał tylko jeden – do babci Przygodowej. A babcia Przygodowa była ostatnią osobą, którą chciałby w tych okolicznościach powiadamiać.

– Więc siedziałeś sobie jak gdyby nigdy nic przez kilka dni w areszcie – podsumowała pani Jaga – i liczyłeś na co? Na cud? Naszą domyślność?

– Nooo... tak, mniej więcej tak. I proszę, nie przeliczyłem się! Czysta kalkulacja! – dodał i rozpromieniony grzmotnął się pięścią w klatę niczym goryl, a następnie przystąpił do konsumpcji trzeciego kawałka ciasta.

– Osobiście nazwałabym to nieco inaczej – mruknęła pani Matylda, dopijając herbatę. Spojrzała na zachmurzoną Basię. – Więc jak, moja panno, nadal będziesz na niego przypadkiem dybać, uzbrojona w manikiur, biżuterię zaczepno-obronną i obuwie ortopedyczne?

Basia zerknęła na Niedasia, który w najlepsze siorbał herbatę z porcelanowej filiżanki ze staromodnym różanym wzorem, i przypomniała sobie, jak tamtej nocy, na Borowskiej, patrzyła prosto

w identyczną twarz, bladą i przystojną, a jednocześnie jakby zupełnie, ale to zupełnie inną... Zamiast przerażającego żaru, od którego wtedy na parę sekund zmiękły jej kolana, w tych oczach tliła się jedynie beztroska, błoga bezmyślność.

Czy ten sam człowiek mógłby się aż tak zmienić?

Naraz poczuła, że jeszcze chwila i ugotuje się na twardo. Zerwała beret z głowy i w końcu rozpięła kurtkę.

– Okej. Wiem, co widziałam. I wiem, co zrobiłam. Nie mam za to absolutnie pojęcia dlaczego, ale... – Spojrzała raz jeszcze na Niedasia pochłoniętego wydłubywaniem kruszonki z ostatniego kawałka ciasta. – Ale chyba to kupuję.

– Ekstra! – zakrzyknął Niedaś, zacierając dłonie. – To co, pani starsza, pykamy?

– Pykamy! – Pani Jaga poderwała się ochoczo. – Mały random dungeon na rozgrzewkę, a potem może upojne popołudnie z battlegroundami?

– Wchodzę w to!

– Killnij gaaada! Forrr de horrrd! – zaskrzeczał zgodnie Roy Keane i potruchtał z kuchni. Pani Jaga i Niedaś już deptali mu po ogonie.

Basia zmarszczyła czoło.

– Oni...?

– Pykają, jak to się mówi, w *Warcrafta* – wyjaśniła pani Matylda. – Cała trójka: pani profesor, studenciak i papuga. Doprawdy, nie pojmuję, jak... – zaczęła, lecz zagłuszył ją tętent glanów na drewnianej podłodze, gdy Basia pognała za nimi bez namysłu, za to z lekkim obłędem w piwnych oczach.

– Ej, a poszlibyście ze mną do Zul’Gurub po mounta?!

Tym sposobem pani Matylda została w kuchni sama jak palec. Co wcale a wcale jej nie przeszkadzało.

– *O tempora! O mores!*...<sup>13</sup> – westchnęła tylko, a potem zrobiła sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty.

\*\*\*

Salka pomału zbierała się do wyjścia, gdy drzwi uchyliły się i do księgarni zajrzała znajoma głowa.

– Ratunku...

Tym razem w profesorskiej duszy zatliło się pragnienie bliższego kontaktu z niejakim Goszczyńskim, które z uwagi na panujące tu i ówdzie na regale przeraźliwe pustki nijak nie mogło doczekać się realizacji. Wysłany z kolejną misją Bartek grzecznie olał bibliotekę instytutu i bez wahania od razu uderzył do Salki.

– Jak się trzymasz? – zagaił ostrożnie w wiadomym temacie, gdy wspólnymi siłami przeszukiwali półki.

W odpowiedzi Salka wymownie pociągnęła nosem, aż zabulgotało jej w zatokach.

– A poza tym?

– A poza tym – szybko otarła nos chusteczką, zanim jakikolwiek zdradliwy glut zdążył wyrzeć na światło dzienne i doszczętnie skompromitować ją w oczach Bartka – to odzyskaliśmy Niedasia.

Zaskoczony Bartek z wrażenia upuścił sobie na stopę opasłe tomiszczce poezji zebranych Mickiewicza w nad wyraz twardej oprawie.

– Co?! A, szlag!... Ale jak? Skąd? Kiedy?!

Nie przerywając poszukiwań Goszczyńskiego i kontrolując na bieżąco wycieki z nozdrzy, Salka wtajemniczyła go w wydarzenia minionego przedpołudnia. Opowiedziała pokrótce o rozmowie z prokuratorem, który na widok pani Matyldy mało nie narobił w spodnie i zaczął coś bredzić po łacinie, o wysiadywaniu toreb foliowych na schodach przed aresztem, o Niedasiu, który na widok siostry eksplodował szczęśliwością niczym Wezuwiusz lawą, i w końcu o niespodziewanej szarży z użyciem parasola.

– Skubana ledwo od ziemi odstaje, a ja myślałam, że się prędzej skicham, niż ją utrzymam... Nic dziwnego, że zdołała zwiać temu, co to ją napadł, i jeszcze go sponiewierała. Tylko nikomu ani słowa – zastrzegła. – O tym prokuratorze, rozumiesz? Dopiero by była afera. Nie wiem, czy to bardziej podchodzi pod łapownictwo, czy pod zastraszanie, ale...

– Czekaj, czekaj. Znaczy, że co? Że ta twoja straszna staruszka

miała rację, że to nie Niedaś wrzucił cię wczoraj do rzeki?

– Na to wychodzi.

Z tomiszczem poezji Mickiewicza w objęciach, odciążając obolałą stopę, Bartek zagapił się tępo w regał.

– Przecież to nie ma sensu – stwierdził po chwili. – Przecież ty go widziałaś!

– Najwyraźniej albo nawdychałam się za dużo kurzu z książek i miałam ostre halucynacje, albo po Wrocławiu krąży drugi egzemplarz mojego brata, a ja muszę się poważnie rozmówić z rodzicami. O, jest ten twój Goszczyński. – Podała mu niepozorny tomik w pomarańczowożółtej okładce.

– Ty już wychodzisz, prawda? – zapytał Bartek, zerknąwszy szybko na zegarek. – Zaczekasz na mnie? Tylko podrzucę profesorowi tę książkę i odprowadzę cię kawałek, to sobie spokojnie pogadamy. Co ty na to?

Ryk anielskich trąb niemal urwał Salce głowę w okolicach kolan. Była gotowa zadławić się własnym katarem, utopić się w nim, zmartwychwstać i znów utopić, nawet zaliczyć kolejny spław Odrą, choćby do samego Bałtyku, byle tylko Bartek ją odprowadził, nawet jeśli nie dalej niż na przystanek.

– Jasne, czemu nie... – odparła najswobodniej, jak tylko zdołała.

Wysupławszy należność za Goszczyńskiego, Bartek w te pędy pognał zanieść zdobycz profesorowi. Salka tymczasem przysiadła na krześle i wyłączyła przedpotopowy komputer. Wtedy jej wzrok przypadkiem padł na telefon.

Babcia.

Nie musiała już podchodzić do tematu Niedasia niczym pies do jeża – tym razem bardziej wskazane było omijanie go jak najszerszym łukiem. Choć pani Matylda miała rację i Niedaś opuścił areszt z językiem w gębie, Salka doskonale wiedziała, komu przypadnie w udziale wątpliwa przyjemność wtajemniczenia rodziny w jego ostatnie wyczyny, rzekome czy nie. I ani myślała robić to teraz, gdy sama wciąż smarkała wodą z Odry, a babcia Przygodowa niespodziewanie zmieniła się w histeryczną galaretę napędzaną herbatą i pacierzami. Co również nie dawało Salce spokoju. Choć tak

na dobrą sprawę nic ostatnio jej go nie dawało i powoli zaczynała się do tego przyzwyczajać.

Po krótkim wahaniu wybrała numer.

Pierwszy sygnał. Drugi. Trzeci.

Dziesiąty sygnał przerwał trzask nerwowo podnoszonej słuchawki.

– Słucham?

Salka wzięła głęboki wdech.

– Babuniubłagamnierozłączajsię!

Po drugiej stronie zapanowała głucha cisza.

– Babuniu? Jesteś tam, babuniu? Ba...

– Nie, Salko, nie – przerwała jej babcia dziwnie zduszonym głosem.

– Ja nie chcę do tego wracać, słyszysz? Nie chcę! Nie mogę!

– Ja chyba nie...

– Nie, dziecko, nie rozumiesz! I nie zrozumiesz, słyszysz? Nigdy!

Choćby nie wiem co! I nie pytaj, ja nie chcę wracać do tamtego koszmaru!

Kiedy parę minut później Bartek wrócił do księgarni, już w kurtce i z plecakiem przewieszonym przez ramię, gotowy do wymarszu, Salka wciąż siedziała jak zaczarowana, tępym wzrokiem wpatrując się w słuchawkę, z której dobiegał sygnał przerwanej rozmowy.



## Rozdział 11, w którym czarownice nie istnieją

Zanim Basia Węgrzyn oderwała się wreszcie od wspólnej gry i przypomniała sobie, że ma dom gdzieś na drugim końcu miasta, na zewnątrz zapadł już zmrok. Pożegnała się pospiesznie ze wszystkimi i wyszła, wyposażona w standardowy zestaw obronny, czyli parasol, obuwie i paznokcie.

Niedaś odprowadził ją do furtki lekko cielecym wzrokiem, choć początkowo zamierzał uczynić to osobiście i na znacznie bardziej imponującą odległość, własnym ciałem osłaniając przed choćby cieniem zagrożenia. Złożył nawet stosowną propozycję, którą Basia po krótkim wahaniu już miała przyjąć. Pani Jaga ostudziła jednak ich zapędy.

– Średni pomysł, biorąc pod uwagę twoją sytuację, chłopcze – wycedziła, balansując papierosem na dolnej wardze i nie odrywając wzroku od komputera, na którym zażarcie trzebiła populację Bogu ducha winnych enpeców. – Wystarczy, że ona się potknie o krawężnik i stłucze sobie kolano, a ciebie znowu wsadzą. Za usiłowanie, współudział, a najlepiej jeszcze na poczet alimentów. Tak na wszelki wypadek.

Niedaś był co prawda niepokieszony, za to pani Jaga nieugięta, tak więc koniec końców Basia, uroczo zarumieniona i uzbrojona, podreptała na przystanek sama, czujnie wypatrując potencjalnych napastników, których mogłaby sponiewierać.

Zamknąwszy za nią wejściowe drzwi, pani Jaga stała przez chwilę w przedpokoju, dumając nad czymś w gęstych kłębach papierosowego dymu. W jej żółtych oczach czał się ledwo uchwytny cień niepokoju. A potem zajrzała do salonu, gdzie siedziała jej starsza siostra i w spokoju czytała książkę z drzemiącym Royem Keane'em na kolanach.

– Matyldo...

– Tak?

– Czy ty... czy tobie...

– Tak, Jaguś. Mnie też.

– Myślisz, że to przypadek?

Pani Matylda podniosła głowę i popatrzyła w zamyśleniu na siostrę.

– Nie wiem, Jaguś – odparła w końcu. – I właśnie to mnie martwi najbardziej.

\*\*\*

Jak się okazało, wspomniany kawałek, dla którego Salka była gotowa przeistoczyć się w usmarkaną po samą płetwę syrenę, byle tylko przebyć go w towarzystwie Bartka, zaczynał się na placu Nankiera, gdzie mieścił się budynek wydziału, kończył zaś na Lipowej. Ot, mizerne cztery kilometry z małym hakiem, pokonane pieszo i przegadane co do centymetra.

Już w okolicach placu Dominikańskiego całkiem zapomnieli o ambarasie, jakiego narobił Niedaś, i zeszli na swobodniejsze tematy. Salka dowiedziała się między innymi, że Bartek przeniósł się do Wrocławia aż z dalekiej, zimnej północy, czyli z Gdańska, że pisał tu doktorat o twórczości Słowackiego, choć poza tym serdecznie nie znosił poezji, zwłaszcza współczesnej, że był jedynakiem i wcale się z tego powodu nie uskarżał, że latem dorabiał sobie w rodzinnych stronach jako ratownik, że uwielbiał Dave Matthews Band, a w bardzo wczesnej młodości przeszedł etap wstydlivej fascynacji New Kids on the Block, że w drugiej klasie liceum przegrał zakład z kumplami i musiał utlenić włosy, w związku z czym przez rok wyglądał jak wypisz wymaluj Nick Carter z Backstreet Boys z odrostami – tak, Salka również dostrzegała ów osobliwy boysbandowy wątek w jego życiu – a poza tym wolał koty od psów, herbatę od kawy i suszoną żurawinę od rodzynek, których serdecznie nie znosił, zwłaszcza w serniku, gdzie stanowiły szczyt obrzydliwości.

Przyznawszy mu w tej ostatniej kwestii absolutną rację, Salka odwdzięczyła się chaotyczną opowieścią o dorastaniu w małym miasteczku, wśród bandy oderwanych od rzeczywistości postrzeleńców, o co rusz nowych wyskokach wścibskiego pasożyta zwanego jej młodszym bratem, o rozkochanym w szeroko pojętym

dziewiętnastym wieku i wszelkiej maści elektronice ojcu, wielbicieli dziwnych imion, o matce, kreatywnej krawcowej z zamiłowaniem do astrologii, feng shui i seksu tantrycznego – nie, Bartek nie chciał wdawać się w szczegóły – o niejakiemu Edku, uczulonym na mydło kierowcy, który razem z fakturami za paliwo do rozliczenia z upodobaniem przynosił jej galaretki w czekoladzie, takie na wagę, w foliowych woreczkach zaklejonych czerwoną taśmą, a także o całej serii urazów i obrażeń, jakie przez całe życie kolekcjonowała, chociażby przestawiając meble twarzą.

Z każdym krokiem Salka była coraz bliższa ekstazy i wniebowstąpienia. Niemal unosiła się nad chodnikiem, omijając miny, kałuże i inne miejskie niespodzianki. Zdobywała dotąd niedostępne dla niej szczyty elokwencji i humoru. Wypinała pierś i wciągała brzuch, choć pod jesienną kurtką i tak nie dało się dostrzec żadnej różnicy. Wdzięcznie miotła rudym warkoczem z jednego ramienia na drugie, dziękując losowi, że oszczędził jej chociaż łupieżu, i bez przerwy szczyrzyła się jak głupi do sera.

Nie byłaby jednak sobą, gdyby poprzestała na wyłącznie dobrym wrażeniu. Wystarczyła chwila nieuwagi w połączeniu z nagłym zawrotem poobijanej głowy, kiedy na wysokości dworca autobusowego pośpiesznie przechodzili przez śliskie od deszczu pasy, i roztrajkotana Salka już szybowiała, już rozkładała ręce do imponującego orła. Ułamek sekundy później wjechała tyłkiem prosto w głęboką kałużę tuż przy samym krawężniku, z impetem waląc w niego kością ogonową, ku radości wszystkich czekających na zielone światło kierowców.

Trzeba jednak przyznać, że Bartek naprawdę starał się nie śmiać, gdy pomagał jej pozbierać się do kupy. Dalszą drogę przebyli już nieco wolniejszym tempem, stopniowo i skutecznie reanimując wcześniejszą rozmowę. Gdy mijali cmentarz żydowski przy Ślężnej, znowu paplali w najlepsze.

Bartek uparł się, że skoro dotarli razem tak daleko, to odprowadzi Salkę pod sam dom. Nie protestowała zbyt gwałtownie, więc zawędrowali aż na Lipową pogrążeni w konwersacji. I tam, kilkadziesiąt metrów przed willą, przypadkiem stali się świadkami

dość osobliwej sceny.

Przed furtką, w kręgu światła niedalekiej latarni, stała pani Matylda, z wełnianym pledem zarzuconym na ramiona, i rozmawiała z łysawym i korpulentnym, acz dość młodym księdzem. Z tej odległości żadnym sposobem nie mogła ich usłyszeć, musieliby do siebie krzyczeć na całe gardło, mimo to Salka i Bartek milczeli jak zakłęci w podskórnej obawie, że wymknie im się coś, co za żadne skarby nie powinno dotrzeć do jej uszu.

Rozmowa nie trwała długo. Ksiądz pożegnał się, po czym ruszył przez jezdnię w kierunku zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu. Lecz zanim jeszcze otworzył drzwiczki, zerknął szybko za siebie i uznawszy, że Matylda Bolesna nic nie widzi, nakreślił dyskretnie znak krzyża i dopiero potem odjechał. Może to tylko wyobraźnia Salki spletała jej figła, ale dziewczyna była niemal gotowa pójść o zakład, że księdzu wyraźnie się spieszyło. Jakby czym prędzej chciał zejść starszej pani z oczu, zanim...

No właśnie, zanim co? Przecież to nie miało za grosz sensu. Jasne, może i była wredna, ale żeby od razu odpędzać się od niej znakiem krzyża?

Salka powoli otworzyła usta, żeby zapytać o to Bartka, gdy nie wiadomo skąd wyrosła jakaś młoda kobieta. Dopadła do furtki, chwyciła się metalowej siatki i zaczęła coś szybko mówić, raz po raz rozglądając się nerwowo na boki.

Matylda Bolesna słuchała w skupieniu. Kilkakrotnie skinęła nieznacznie głową. W końcu uchyliła furtkę i gestem zaprosiła kobietę do domu, a ta ruszyła za nią, zgarbiona, kryjąc twarz w dłoniach i drżąc, jakby zanosila się niepowstrzymanym płaczem.

Salka i Bartek popatrzyli po sobie.

– Nawet nie pytaj – uprzedziła go. – Pojęcia nie mam, co się w tym domu wyprawia.

Pożegnali się w końcu i Bartek ruszył w drogę powrotną, Salka zaś wślizgnęła się do willi przy Lipowej pięć. Przemknęła przez pogrążony w ciszy parter i wspięła się na piętro. Plan na wieczór był prosty. Najpierw weźmie gorącą kąpiel i przebierze się w suche ubranie, a potem weźmie Niedasia na spytki.

Zanim weszła do swojego pokoju, na krótką chwilę zastygła z dłonią na klamce, nadstawiając uszu. Miała wrażenie, że się przesłyszała.

Chociaż...

Odwróciła głowę, podążając za dźwiękiem. Zza drzwi wiecznie zamkniętego pomieszczenia na piętrze dobiegało miarowe turkotanie i ciche szepty sióstr Bolesnych.

\*\*\*

Dopiero co opuściwszy mury aresztu śledczego, Niedaś na powrót znalazł się w niewoli. Z tą drobną różnicą, że tym razem nie miał absolutnie żadnych szans na ucieczkę.

Pół biedy, że pani Jaga nie odstępowała go na krok, kiedy tylko postawił stopę za progiem domu, by służyć mu za przenośne, całodobowe alibi bądź nadzór, którego nie powstydzilyby się żadne służby. Że dzień w dzień ciągała go na uczelnię i w trakcie zajęć siedziała w ostatnim rzędzie, bez skrępowania kopiąc niczym lokomotywa i wygłaszając pod nosem komentarze, przez co cała grupa, z prowadzącym włącznie, z trudem utrzymywała powagę. Że towarzyszyła mu potem w knajpianych nasiadówkach z kumplami i wtrącała się do rozmów. Ba, owi kumple nie mieli nic przeciwko, wręcz dopytywali, czy jutro pani Jaga też przyjdzie, i co rusz latali dla niej po her-batę i papierosy. To jeszcze Niedaś był w stanie jakoś przełknąć. Za nic nie mieściło mu się jednak w głowie, dlaczego na widok umalowanej, starszej od węgla pani w zwiewnych, pstrokatych jedwabiach i turbanie wszyscy co bardziej posunięci w latach profesorowie naraz zaczynają tryskać młodzieńczym wigorem, ruszać się energicznie przy akompaniamencie strzelających stawów i dyskretnie poprawiać sztuczne szczęki. Patrzył na to i martwił ze zgrozy na samą myśl o podrywie w wykonaniu trącących kulkami na mole skamielin.

W piątek po skończonych zajęciach podjął pierwszą próbę uwolnienia się spod kurateli pani Jagi. Niestety, nie spotkał się z jej strony ze zrozumieniem.

– Tak ci tęskno z powrotem za kraty?

Niedaś przewrócił oczami, wzdychając teatralnie. Stali na chodniku przed wydziałem, a pani Jaga dopalała niespiesznie kolejnego papierosa.

– Nieee, ale człowiek w moim wieku potrzebuje od czasu do czasu odrobiny intymności. Pani starsza może już tego nie kojarzyć. Bo jest starsza. Bardzo starsza. – Wziął głęboki wdech. – Baaardzo...

– Dziecko, postąpię litościwie i udam, że tego nie słyszałam.

– Powiedziałem: baaardzooo...

Pani Jaga wymownym gestem przytknęła dłoń do czoła, przymykając na moment oczy.

– A cóż tak wielce intymnego musisz zrobić, mój ty tytanie intelektu?

– Tego... – Niedaś nerwowo przestępował z nogi na nogę. – No... muszę... wpaść... tu i ówdzie... Tak. Ówdzie. Właśnie tam.

– Natura cię wzywa? – zapytała pani Jaga, która obserwowała go z rosnącym zaciekawieniem. – Strumyki szemrzące? Spienione wodospady?

– Owszem, przydałoby się odcedzić, ale nie w tym rzecz. Muszę... coś.

– Coś?

– Coś... kupić. – Wił się i kluczył coraz bardziej niczym wąż w pomidorach, ku coraz większej ucieście pani Jagi. Zmrużyła szelmowsko żółte oczy.

– Prezerwatywy?

– Nie no, pani starsza!!!

– Ach, przepraszam! Jak to się teraz mówi... gumki?

– Jezu słodki! – jęknął Niedaś, rozglądając się w popłochu, czy aby nikt znajomy ich nie podsłuchuje. – Nie, nie gumki – na wszelki wypadek rzucił szeptem przejmującym i przejętym.

– Szkoda. Tylu tu się kręci dziarskich kawalerów z odzysku, przydałoby się odnowić zapas... – odparła z szerokim, rozmarzonym uśmiechem i zapaliła nowego papierosa. Pełna teraz autentycznej zgrozy mina Niedasia bawiła ją niemożebnie. – Nic to! Gdzie ty, tam ja, bez wyjątków.

- A-ale...
- Zapomnij. Chyba że ci tęskno za intymnością w klimatach więziennych, wtedy droga wolna. Ale na twoim miejscu najpierw kupiłabym te gumki.
- No ale pani starsza... – jęknął przejmująco, gotów tu i teraz paść przed nią na kolana i niczym miękki ninja błagać o zmiłowanie.
- Za. Po. Mniej. Idziemy!
- Człowiek człowiekowi panią z dziekanatu – westchnął ciężko Niedaś i począł za panią Jagą w stronę przystanku.

\*\*\*

- Rzeczywiście, dziwna sprawa – stwierdził Bartek, obrywając po nerkach kolejną siatą.

Deszcz lał się z nieba nieprzerwanie przez cały piątek, dlatego zrezygnowali ze spaceru na rzecz szybszego, ale też wyjątkowo zatłoczonego o tej porze tramwaju. Wśród terkotów, zgrzytów i huków wiekowego składu, zmęczonych ludzkich głosów i dudniących muzyką wszechobecnymi zestawów słuchawkowych Salka relacjonowała Bartkowi wszystkie osobliwości, na jakie natknęła się w domu sióstr Bolesnych. Od samych sióstr Bolesnych poczynając, rzecz jasna – osiemdziesięcioletnie, identyczne trojaczki niewątpliwie zaliczały się do kuriozów na dowolną skalę. Do tego dochodziły nieustające szepty w radiu i przedpotopowym telefonie, łacińskie psalmy w internecie, turkoty w zamkniętym pokoju, nieodgadnione źródła informacji i osobliwi goście willi przy Lipowej pięć, zwykle mniej lub bardziej roztrzęsieni. Choć raczej bardziej.

- Na tym tle papuga o imieniu Roy Keane chyba przestaje mnie dziwić – podsumował Bartek, wysłuchawszy historii do końca.

- Zupełnie nie łapię dowcipu...

Bartek zaśmiał się cicho.

- Był kiedyś taki piłkarz, Irlandczyk – wyjaśnił. – Znaczący nadal jest, bo żyje, ale od paru lat już nie gra. Zasłynął między innymi z tego, że podczas derbów Manchesteru zemścił się na piłkarzu, który swego

czasu brutalnie go sfaulował. Ogólnie średnio przyjemny gość – dodał.

– Ale jaki to ma związek z papugą?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może ktoś jej kiedyś wyrwał wafelka i gorzko tego pożałował?

Pokręciwszy głową, Salka już miała coś odpowiedzieć, kiedy tramwaj zatrzymał się na wysokości dworca kolejowego i nastąpiła szybka wymiana pasażerów. Wśród kłębowiska kurtek i płaszczy gdzieś na wysokości pachy mignęła naraz fala długich, złocistych włosów.

– Hej! – krzyknęła bez zastanowienia Salka i zaczęła przedzierać się na drugi koniec wagonu. – Hej, ty! Eee... mała!

Z prędkością atakującej kobry złota głowa odwróciła się w jej kierunku.

– Mała?!

– Przepraszam, Niedaś wspominał, jak masz na imię, ale...

Z filigranowej dziewczyny uszło nieco powietrza.

– Basia – odparła już spokojniej. – A ty jesteś ta, no, Salka?

– Zgadza się. – Zerknęła na Bartka, który przepraszając na każdym kroku, zdołał wreszcie się do nich przedostać. – Bartku, to jest Basia, teoretyczna ofiara Niedasia. Znaczy – zreflektowała się natychmiast – nie Niedasia. Nieniedasia? Nie, dwa minusy dają plus, znaczy co, Dasia?... Yyy, a to jest Bartek, uratował mnie z Odry.

– Nie Odry?

– Nie, Odry Odry.

– Nawet fajnie się składa – powiedziała Basia, gdy przywitała się z Bartkiem. – Właśnie do was jadę.

– Eee... do nas?

– Umówiłam się z panią Jagą i Niedasiem na całonocny maraton z battlegroundami. – Poklepała czule wielgachną torbę na laptopa, którą przewiesiła sobie przez pierś. – Muszę nabić trochę honor pointów.

Salka gapiła się na nią niczym ciełę na malowane wrota, próbując ogarnąć, dlaczego dziewczyna, która zaledwie przed paroma dniami usiłowała zatłuc jej brata parasolem, teraz zamierza spędzić z nim noc



na czymś tam gdzieś tam, nabijając coś tam? Również Bartek przyglądał jej się z pewnym zmieszaniem. Najwyraźniej Basia czytała w ich myślach albo w chwilowo średnio inteligentnym wyrazie twarzy, bo pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Pani Matylda powiedziała... – zaczęła, lecz nie było jej dane skończyć.

– Aaa! – zakrzyknęli zgodnie.

– Jasne – dorzucił Bartek, który miał już pewne pojęcie, jakimi zdolnościami negocjacyjnymi i siłą przebicia dysponuje najstarsza z sióstr Bolesnych. Na sam widok jej zde gustowanej miny najbardziej zdeterminowani terroryści zapewne mdleliby z trwogi niczym lilije.

– To wszystko tłumaczy – przytaknęła mu Salka, jeszcze lepiej zorientowana w temacie. – Znaczy przesłaś na Lipową stronę mocy?

– A owszem. Ha! Bo ja coś wiem! – oznajmiła z dumą Basia. – Mój dziadek jest taksówkarzem!

– Dopiero teraz się zorientowałaś?

– Ha, ha, bardzo śmieszne. Mój dziadek jest taksówkarzem, a taksówkarze mają to do siebie, że wiedzą to i owo na każdy temat. Również o Lipowej pięć – dodała, zniżając głos.

– Na przykład gdzie się znajduje? – zapytała kaśliwie Salka. – Zauważyłam, że tutejsi taksówkarze mają z tym drobnym szczegółem poważny problem.

– Może to przez jakieś błędy w GPS-ie? – podsunął Bartek. – Lokalna anomalia?

– Ta, i co jeszcze? Zagięcie czasoprzestrzeni?

– Otóż nie! – Basia uniosła triumfalnie palec. – O tym adresie od dziesięcioleci krążą po mieście legendy, i to jeszcze z czasów, kiedy zamiast Wrocławia było Breslau. A konkretnie nie o samym adresie, tylko o trzech siostrach, które pod nim mieszkają.

– I cóż takiego te legendy mówią?

Tu Basia uśmiechnęła się tajemniczo, powiodła wzrokiem po ich skupionych twarzach, a następnie odparła, zniżywszy stosownie głos:

– Że siostry Bolesne to czarownice.

Salka zamrugowała raz i drugi, a potem popatrzyła to na Bartka, to na Basię. Po głowie zaczęły jej się tłuc kwestie z *Jasia i Małgosi*, których

słuchała w dzieciństwie – „Więc te dziwy się nie dzieją? Czarownice nie istnieją?”. Przecież to jakiś absurd. Żart. Bujda na resorach.

Czarownice nie istnieją.

Czarownice nie istnieją.

Ale siostry Bolesne...

– Wiecie co? – odezwała się w końcu. – W co jak w co, ale w to chyba jestem w stanie uwierzyć.

– Salko, bądź poważna – zachnął się Bartek. – Mówimy o identycznych trojaczkach, które przyszły na ten świat... kiedy? Przed drugą wojną światową? W trakcie? Nawet w dzisiejszych czasach wzbudziłyby wielką sensację, a co dopiero wtedy. Cud, że w ogóle przeżyły i poród, i wojnę. Już to samo w sobie wystarczy, żeby je okrzyknięto czarownicami, zanim jeszcze nauczyły się chodzić. Nic dziwnego, że całe miasto plotkuje o nich od dziesięcioleci, dla wtajemniczonych pewnie są taką samą atrakcją jak Panorama Raławicka. I chyba niewiele młodszą.

– A szepty? A psalmy? A te objawienia pani Matyldy? – wyliczała z lekkim rozgorączkowaniem.

– No i co jeszcze? Śmietana zwarzyła się w lodówce? Automat na wydziale nie daje kawy? Trawa przed domem krzywo rośnie? Salko, naprawdę, bądź poważna.

Wysiedli z tramwaju na tym samym skrzyżowaniu, na którym pierwszego dnia pobytu we Wrocławiu Salka zaliczyła nieplanowany postój w taksówce, po czym płataniną uliczek i alejek dotarli na Lipową, milcząc przez całą drogę. Przodem szła Basia ze swoim wielofunkcyjnym parasolem. Wciąż miała na twarzy promienny, triumfalny uśmiech, choć przy każdym kroku obrywała w udo swoją wielką torbę. Za nią dreptała lekko naburmuszona Salka z Bartkiem. Kulili się we dwoje pod jedną parasolką. Chłopak podziwiał stare wille w nastrojowym blasku latarni, dziewczyna zaś myślała intensywnie.

Przekroczywszy wreszcie próg domu, wcisnęli mokre parasole do stojaka i zaczęli miotać się po przedpokoju, uwalniając się z okryć wierzchnich i ubłoconego obuwia. Żadne z nich nie zauważyło, kiedy w progu salonu stanęła wysoka postać i zaczęła obserwować całe to

zamieszanie. Sękata dłoń miarowo głaskała siedzącą na jej ramieniu papugę. Dopiero nagły okrzyk, który wyrwał się z ust zaskoczonych Salki, uświadomił pozostałym, że nie są sami.

Bartkowi aż coś się w środku zrobiło. Cała pewność, z jaką nie tak dawno tłumaczył Salce, że z tymi czarownicami to jedna wielka ściema, ulotniła się gdzieś bezpowrotnie. Próbował przywołać wszelką zdobytą na studiach, przypadkiem bądź zamierzenie, wiedzę na temat obłaskawiania i obsługi tych miłych pań. Nic z tego. Przełknął ślinę. Jeszcze raz. Żółte oczy świdrowały go nieustępliwie, sekunda za sekundą.

Krew uderzyła mu do mózgu. Raz kozie śmierć!

– Pani Matyldo, czy pani jest czarownicą? – wypalił.

Dziewczyny aż się zatchnęły na taką impertynencję. Zgroza, jaka zapanowała, wstrzymała Ziemię i ruszyła Słońce, plomby i kostkę brukową w promieniu kilometra. Znieruchomieli na podobieństwo słupów soli, zapatrzeni w upiorne żółte oczy Matyldy Bolesnej.

I gdy już wszyscy troje zaczęli powoli godzić się z nad wyraz mizernym losem, jaki niechybnie ich czeka, stało się coś, czego żadne z nich się nie spodziewało.

Matylda Bolesna roześmiała się w głos.

A potem jak gdyby nigdy nic poszła do kuchni, zostawiając w przedpokoju troje zdjętych autentycznym strachem młodych ludzi.

## Rozdział 12, w którym mnożą się pytania i giną te przeklęte alianse

Gdy pani Matylda wróciła z kuchni, jak zwykle z filiżanką herbaty, towarzystwo w przedpokoju wciąż z wolna dochodziło do siebie.

– Salomeo, mamy gościa – rzuciła niby to przelotnie.

Na te słowa Salkę nie tyle coś tknęło, ile dźgnęło potężnie niczym dzidą. Odzyskała władzę nad odnóżami, choć wewnętrznego otumanienia wciąż nie przemogła, i poszła za panią Matyldą do salonu. Pozostali z ociąganiem ruszyli w jej ślady.

Przy stole siedział zlany potem, blady jak śmierć prokurator Wołeczko i kompulsywnie pochłaniał ze szklanej patery czekoladowe ciasteczka.

– Dobfy – wymamrotał na widok znajomej rudowłosej dziewczyny.

– Ach, dzień dobry. Czy Niedaś... – zaczęła, jednak umilkła na dyskretny, acz stanowczy gest pani Matyldy.

Basia tymczasem odstawiła torbę pod ścianę i wystąpiła przed szereg. Bez swoich ciężkich gланów, w wąskich džinsach i tunice do kolan wydawała się jeszcze drobniejsza, zabiedzona wręcz, a bez makijażu na dziecinnej twarzy wyglądała bardziej na mocno spłoszoną gimnazjalistkę na gigancie niż pełnoletnią studentkę, która bezlitośnie chlasta facetów manikiurem po gębach. Dygnęła grzecznie, po czym zwróciła się do najstarszej z sióstr:

– Ja tylko chciałam pani powiedzieć, że przemyślałam całą tę sprawę z maszynką do mięsa jeszcze raz i dzisiaj rano wy-cofałam oskarżenie – rzuciła na wydechu, a potem westchnęła ciężko. – Szwagier mnie zastrzeli, jak się dowie...

Dłoń prokuratora Wołeczki znieruchomiła nad paterą.

– A kim jest twój szwagier? – zainteresowała się pani Matylda.

– Policjantem – odparła Basia posepnym głosem.

Prokurator Wołeczko posiniał dyskretnie.

– Ach, tak. – Starsza pani pokiwała głową ze zrozumieniem. – Więc

to stąd wiedziałaś, kiedy się zaczać na Niedasia.

– Szwagier dał mi cynk, że go wypuszczają – przyznała dziewczyna, po czym jej piwne oczy rozbłysły szelmowsko. – A czy ja się w końcu dowiem, skąd pani wiedziała o moich paznokciach?

Z gardła przytkanego ciastkami prokuratora Wołęczki wyrwał się zduszony charkot. Pani Matylda i Salka wymieniły ukradkowe spojrzenia.

– Powiedzmy, że to moja słodka tajemnica.

– To ja... ja może już pójdę – wyrzeźił spurpurowiały prokurator, gramoląc się pospiesznie zza stołu. – Dzie... dziękuję za gościnę, pani profesorko. I gdybym mógł prosić...

– *Est tempus loquendi, est tempus tacendi*<sup>14</sup>.

– *Tempus, temporis...* – Wołęczko podrapał się po głowie w głębokiej zadumie nad dawno zapomnianym słownictwem. – Ach! Tak, właśnie tak, pięknie dziękuję, tak. Do widzenia państwu.

– ...dzenia! – zawołali chórem, lecz prokurator ich nie usłyszał, bo już minął drzwi wejściowe i w strugach deszczu pędził w stronę furtki, jakby go ktoś ścigał z użyciem psów gończych.

Wyposażywszy się w kubki z herbatą i paterę z niedobitkami ciasteczek, zostawili panią Matyldę w salonie i udali się na piętro w poszukiwaniu Niedasia. Trzeba przyznać, że prezentowali dość osobliwy widok. Wzrok potencjalnego obserwatora na dobry początek musiałby poszybować dość wysoko, gdyż na czele pochodu stąpała dostojnie Salka. Dostojność ta wyszła jej zupełnie przez przypadek, gdyż dziewczyna zwyczajnie usiłowała nie oblać się wrzątkiem, za to doskonale komponowała się z rozległą powierzchnością, którą przy odrobinie dobrej woli można by nazwać posągową. Następnie obserwator musiałby spuścić wzrok o dobre trzydzieści centymetrów, ponieważ na tej właśnie wysokości zaczynała się Basia, która dreptała jako druga, z paterą w objęciach, i łakomym wzrokiem pożerała ciasteczka. Prawdopodobnie bardzo by się zdziwił, gdyby wiedział, ile czekolady potrafi w sobie pomieścić jej filigranowa postać. Pochód na trzeszczących z wysiłku schodach wieńczył pełnowymiarowy Bartek z dwoma kubkami – na tle ostro kontrastujących ze sobą dziewczyn osobliwie wręcz zwyczajny. Ot, kolejny okularnik w swetrze, jakich

wielu.

– Więc będziecie...? – zagaił, gdy kolejno brali zakręt.

– Farmić honor pointy na battlegroundach – odpowiedziała Basia, rozpromieniając się z miejsca.

– W celu...?

– W celu żeby mieć ich więcej.

– Czyli... to jakiś obiekt kolekcjonerski, tak?

– Neeee. Rany, człowieku, skąd ty się urwałeś?

– Z tej samej choinki co ja – mruknęła pod nosem Salka, dotarłszy w końcu na piętro, i bez pukania, za to z impetem, wparowała do pokoju brata.

Po czym wyparowała z niego, odprowadzona rykiem, od którego cała willa zatrzęsała się w swych zmurszałych posadach.

Niedaś.

Pośrodku pokoju.

Pólnagi.

Z tym tam... no...

– Siostra! – ryknął Niedaś, wypadając po chwili na korytarz i pospiesznie zapinając koszulę. – Mogłabyś pu... o, siemka. – Wyszczерzył się promiennie do Basi, po czym znów rozwarł paszczę na starszą siostrę. – Mogłabyś pukać, co?! Trochę poszanowania dla cudzej intymności!

Słyszając z ust brata o „poszanowaniu” w jednym zdaniu z „intymnością”, Salka poczuła, jak pomалу wyrastają jej rogi. I kopytka. I ogonek.

– A cóż takiego intymnego tam porabiałeś, Niedasiu? – zaćwierkała tak słodko, że aż ją samą zemdliło.

Niedaś jakby zmienił kolorystykę na nieco bardziej buraczaną. Nerwowym gestem przeczesał zmierzwiłone włosy palcami.

– To... to nieistotne! – burknął.

– Och, przecież nie masz się czego wstydzić. – Rogi rosły dalej w najlepsze i właśnie brały ostry zakręt.

– Siostra...

– No co ty, Niedasiu, wielu facetów w twoim wieku to robi...

– Siostra!

– ...zwłaszcza dotkniętych długotrwałym i bolesnym stanem wolnym...

– Siostra!

– ...taki tu Bartek pewnie też niejedną raz był zmuszony...

– Yyy... ja?! – Wzmiankowany Bartek drgnął, rozlewając herbatę.

– ...a raz nawet przyłapałam ojca...

– SIOSTRA!!!

– ...jak sam prasował sobie spodnie – dokończyła gładko Salka.

Nie dało się ukryć, że w tym momencie Bartek odetchnął z ulgą.

– Już zaczynałem mieć skojarzenia...

– Zaczynałeś? – powtórzyła zdumiona Basia. – A ty co, szachista?

– Gorzej. Filolog.

Salka przyglądała się bratu, walcząc dzielnie z kpiącym uśmieszkiem, który usiłował wypełznąć jej na usta. Wzrok dla odmiany nie barani, ale cielecy. Potajemne zmagania z wytrzaśniętym nie wiadomo skąd żelazkiem, którego aż do tej pory nigdy się nie tykał, woląc raczej ponieść śmierć przez zagniecenie, niż własnoręcznie wyprasować sobie odzież. I koszulę miał jakąś taką dziwnie czystą i mało aromatyczną...

– No dobra, będziemy tak stać czy rozbijamy obozowisko? – odezwała się Basia. Ciasteczka z patery wzywały ją po imieniu, w co najmniej sześciu językach. Zdażyła już wypatrzeć to z największą liczbą kawałków czekolady i była bliska ślinotoku.

– Rozbijamy. U mnie – postanowiła Salka, litościwie odpuszczając bratu. – Nadmiar intymności w pokoju Niedasia mógłby nas przytłoczyć albo przyprawić o jakąś egzotyczną odmianę grzybicy – dodała. Cóż, litość też ma swoje granice. Zresztą kto wie, może Niedaś z rozpędu zawrze w końcu znajomość nie tylko z żelazkiem, ale też z odkurzaczem?

Ostrzeżeni zawczasu przed morderczymi zakusami sufitu rozmieścili się strategicznie w pokoju Salki i w pierwszej kolejności przystąpili do konsumpcji dóbr. Pozbawiony własnego kubka z płynem Niedaś, z kiepsko skrywaną błogością, obserwował miniaturowy obiekt swych westchnień, podczas gdy ten wciągał ciasteczko za ciasteczkiem, nie zważając na krwiożercze kalorie, które

już czyhały na jego obwód bioder.

Uporawszy się z zawartością naczyń, cała czwórka spojrzała po sobie. Tradycyjnie zapadła krępująca cisza, którą Bartek przerwał w końcu heroicznym odchrząknięciem.

– Więc ty jesteś Niedaś?

Istotnie, Niedaś był Niedasiem, dlatego przytaknął grzecznie. W tym momencie Bartkowi, który nie chciał zaczynać tak od razu z grubej rury, czyli od motywów rzecznych, skończyły się koncepty. Basia trawiła intensywnie, więc pałeczkę przejęła Salka.

– Niedasiu, odzyskałeś komórkę?

Jej brat odruchowo poklepał się po pośladku, gdzie między warstwami dżinsu trzymał telefon.

– No, nawet zdążyłem naładować. A co?

– A to, że czeka cię misja specjalnej troski. Zadzwoń do babci Isi i spróbuj wybadać, dlaczego na dźwięk mojego głosu miota słuchawką na odległość. Tylko ani słowa o... no, wiesz. – Przewróciła wymownie oczami.

Niedaś zamrugał.

– Wiem?

Ze wsparciem Bartka Salka napędce uświadomiła brata, jakich tematów ma za żadne skarby nie poruszać w rozmowie z własną babcią, począwszy od A jak „areszt”, a skończywszy na Z jak „zabiję-cię-jeśli-tylko-coś-piśniesz”.

Z wrodzoną beztróską Niedaś wybrał numer z pamięci komórki.

– Babciaaa?! – ryknął. Z jakiegoś powodu uważał, że w trakcie rozmów telefonicznych do starszych pań należy przemawiać głośno, wyraźnie i najlepiej na migi. – Siemka, babcia! Babcia, powiedz, czemu ty olewasz Salkę ciepłym moczem?

Wzmiankowana Salka, a wraz z nią Basia i Bartek zgodnie palnęli się w czoło.

– Ej, rozłączyła się! – stwierdził ze zdumieniem mistrz dyplomacji.

– Wcale jej się nie dziwię...

– No co? Co ja takiego powiedziałem?

– Sądzę, że popełniłaś błąd taktyczny – wtrącił Bartek, zwracając się do Salki. – Należało zacząć od jasnego i wielokrotnego



zdefiniowania czasownika „wybadać”, najlepiej wspartego licznymi przykładami.

– Obrazkowymi chyba...

– Te, Bartolini! Ty nie bądź taki do przodu, bo coś tam, coś tam! – burknął urażony Niedaś.

– Właśnie! – poparła go Basia na czekoladowym hajcu. – Ty nawet nie wiesz, co to honor pointy!

– Nie wie? – zdumiał się szczerze Niedaś. – Seryjnie?

– Seryjnie! Myślał, że to jakieś pokemony!

Młody Przygoda z wyraźnym niesmakiem pokręcił głową.

– Ludzkość nie docenia naszych wysiłków w walce ze ścierwami aliansu... A, właśnie! Zassałaś dzisiejszego patcha?

Dziewczyna energicznie potrząsnęła złotą główką.

– Zassa... aaa, niech to szlag, nie zapdejtowałam addonsów!

Po tym wstrząsającym odkryciu nastąpiło małe poruszenie, gdy Basia i Niedaś pospiesznie wypadli z pokoju, by po chwili wrócić ze swoimi laptopami w objęciach. Zamigotały monitory, zaszumiały dyski, powietrze zgęstniało od internetu.

– Wyczesany headset – mruknął z podziwem Niedaś, taksując wzrokiem sprzęt koleżanki, która grzebała intensywnie w ustawieniach i nie dosłyszała komplementu. Zamiast tego zmarszczyła chmurnie maleńkie czoło. Czółko. Czółeczko. Czółenko...

Umysł Niedasia zapętlił się nieco w poszukiwaniu dalszych zdrobnień i zdrobnień zdrobnień, więc sam element zachmurzenia umknął mu rączym krokiem, dopóki nadobnych ust Basi, Basieńki, Basienieczki i tak dalej nie opuścił bardziej uchwytny efekt dźwiękowy:

– Ej, no co jest?

– Jakiś konflikcik? – zainteresował się natychmiast, gotów do czynów i poświęceń.

– Nie, chyba grafika mi siada albo co. Ki diabeł? Nic z tego nie rozumiem...

Niedaś bez wahania rzucił się z pomocą.

– A, to – mruknął nie bez pewnego rozczarowania, zerknąwszy na ekran, w którego dolnym lewym rogu przesuwali się jeden za drugim

czarne wersy dialogów. – Też tak mam. – Chwycił swojego laptopa i podsunął Basi, by mogła porównać. – Widzisz? Najpierw myślałem, że to przez patcha albo sterowniki. Siostra obstawia trefne wi-fi z wiosny średniowiecza, no ale ona sama jest z tego samego rocznika, więc... Ale ty, czekaj no, czekaj...

– Co jest? – zainteresowała się Salka, która dotychczas siedziała cicho, wespół z Bartkiem obserwując abstrakcyjne dla nich poczynania pozostałej dwójki. Przez dłuższą chwilę Niedaś łypał to na własnego laptopa, to na laptopa Basi, a zmarszczki na jego nieskażonym głębszą myślą czole pogłębiały się coraz bardziej w niespotykanej dotąd zadumie.

– Nie no, jak w mordę strzelił.

– Ale co w mordę strzelił? – dopytywała Salka.

– No weź rzuć patrzalką, siostra.

Salka i Bartek w okamgnieniu zawisli nad Basią i Niedasiem niczym dwa mocno zdezorientowane sępy.

– Czat – puk palcem w jeden ekran – i czat – puk palcem w drugi ekran.

Bartek uniósł brew, wciąż nic nie pojmując, Basia również wyglądała na zagubioną niczym pijane dziecko we mgle, lecz Salka natychmiast nachyliła się bliżej. Po paru sekundach zmarszczyła czoło.

– Jesteście w tym samym miejscu?

Palec znów zbeczcześcił obydwie ekrany.

– Dokładnie w tym samym. To ona, a to ja. Łapiemy te same kanały.

– Vanhealsing? – przeczytał głośno Bartek. – Nazywasz się Vanhealsing? Przez e-a?

– Przez e-a jak healer, Bartolini. To się rozumie samo przez się. – Szybki namysł. – Się przez ę. Taka bystra żaluzja, czaisz?

– Filolog... – burknęła Basia. – Gdzie te wasze słynne horyzonty?

– Na ziemi? Przez zet?

– Dobra, cicho już z tym alfabetem – fuknęła Salka. – To jest w ogóle możliwe?

– No właśnie nie.

– Ale CO no właśnie nie? – jęknął Bartek.

– Skoro oboje jesteśmy zalogowani jednocześnie, na tym samym serwerze, stoimy w tym samym miejscu i gramy w tej samej frakcji, to powinniśmy łapać te same ogólne kanały czata – wyjaśniła szybko Basia. – A nie łapiemy, widzisz? U mnie jest to – postukała długim paznokciem w wersy, które przewijały się w rogu ekranu – a u Niedasia to.

Przez pierwszą chwilę Bartek zmagał się z lekkim oczopląsem, jakiego doznał na widok feerii barw w okienku czata, w końcu dostrzegł jednak to, co dotychczas mu umykało. Filologiczne trybiki zaskrzypiały i ruszyły z kopyta.

– Ach, to na czarno, tak? Rzeczywiście, wyświetla się inny tekst. Po polsku, po niemiecku i po... po łacinie, o ile mnie wzrok nie myli... I to nie jest tekst gry?

– Po łacinie? *Warcraft*? Bartolini, ciebie Bóg opuścił czy jak?

– Raz wyświetlały się nawet jakieś psalmy – wtrąciła Salka.

– Psalmy? – zdziwił się Niedaś, wciąż dysząc nieco świętym oburzeniem.

– Uhm. Pani Matylda mi powiedziała, że to był psalm. Psalm któryś tam, leciał... jakoś tak... panie, coś tam, coś tam... coś ze słuchaniem...

– Panie, słuchaj głosu mego. *De profundis clamavi ad te, Domine, exaudi vocem meam, fiant aures tuae intendentes in vocem deprecationis meae...*<sup>15</sup> – Bartek urwał, zauważywszy zdziwione spojrzenia pozostałej trójki. Wzruszył ramionami. – No co? Jestem polonistą. Bez znajomości łaciny nie zaliczyłbym literatury staropolskiej, uczyłem się też o zwyczajach godowych szympanów i altannikach, wiem, co to jest potlacz, potrafię napisać stronę WWW w HTML, a obudzony w środku nocy miotam cytatami z romantyzmu w tematyce dowolnej.

– Ale nie masz pojęcia, co to jest *Warcraft*.

– Najmniejszego. Z tego, co już raz opowiadała mi Salka, rozumiem jednak, że tak nie powinno być? – Wskazał ręką na obydwa laptopy.

– A skąd...

Wchodząc sobie nawzajem w słowo, rodzeństwo opowiedziało przybyszom – przy czym Niedaś sypał jak nic obelgami typu enpec

czy inne ememo – wstrząsającą historię o dziwnych czarnych wersach nękających *Warcrafta* w willi przy Lipowej pięć, a także szumach, trzaskach i szeptach słyszalnych we wszystkim, co miało głośnik. Basia i Bartek spojrzeli po sobie.

– I wy nadal twierdzicie, że te tutaj siostry Bolesne to nie czarownice? – zapytała dziewczyna, unosząc jasne brwi na znak powątpiewania.

– Tak, a te wersy i szepty to pewnie głosy ich ofiar dobiegające z za grobu i błagające o pomstę za doznane krzywdy? – prychnęła Salka. – Nie wiem, co bierzesz, ale może lepiej zmniejsz dawkę – dodała.

Tyle że wcale nie była znowu taka pewna, czy Basia nie ma choć promila racji. Co prawda i te wersy, i szумы, trzaski i szepty, i osobliwych gości w willi przy Lipowej zapewne dałoby się bez większego trudu racjonalnie wytłumaczyć, ale...

Tu wzrok Salki bezwiednie zboczył z Basi na siedzącego obok brata, który na próżno zmagał się z ustawieniami *Warcrafta*, usiłując się wykazać inteligencją i pomyslnikiem przed miniaturowym obiektem swych pełnowymiarowych westchnień.

...ale skąd pani Matylda wiedziała, gdzie go szukać? Owszem, znała tego prokuratora o pokreconym nazwisku, lecz to w końcu nic dziwnego. Ludzie znają ludzi, którzy znają ludzi i tak dalej. Fakt, że nawet dekady później ów prokurator reagował żywiołowo na obecność swej łacinniczki z czasów licealnych, również nie był żadnym zaskoczeniem. Pani Matylda miała już to do siebie, że budziła w ludziach podobne reakcje. Tylko skąd jej przyszło w ogóle do głowy, że musi udać się właśnie do niego, aby odnaleźć Niedasia? Domyśliła się? Strzelała, i to tak fartownie?

Wiedziała?

Nie, przecież nie mogła wiedzieć. Przecież...

Czarownice nie istnieją.

\*\*\*

Podczas gdy Basia i Niedaś zaspokajali swe krwiożercze instynkty, grasując z panią Jagą po battlegroundach w poszukiwaniu tych

przeklętych aliansów celem ich ubicia, znaki zapytania wyrastały jeden za drugim jak mechate plamy pleśni w źle wietrzonej łazience i Salka gubiła się coraz bardziej w ich gąszczu – a wszystko przez jakieś upiorne staruszki i ich słynne na całe miasto dziwactwa. Jakby nie miała dość zmartwień z domniemanymi wyczynami domniemanego Niedasia. Albo z pacierzami babci Przygodowej...

Pożegnawszy się z Bartkiem, którego bladym świtem czekały zajęcia ze studentami, Salka wlała do wanny z gorącą wodą i zaczęła dumać, przy okazji traktując piętę pumeksem. Po pierwsze – Niedaś. Odnaleziony, cały, zdrowy i niewinny niczym noworodek. Jak zwykle... No dobra, może przemawiało przez nią rozgoryczenie – owszem, solidnie podmurowane wieloletnim doświadczeniem w tej kwestii, ale jednak rozgoryczenie – i nie była sprawiedliwa w stosunku do brata. Może rzeczywiście tym razem nie narozrabiał, może to wszystko to tak naprawdę tylko pokręcony zbieg okoliczności, cała ta Basia, kąpiel w Odrze, a im się tylko wydawało, że widziały właśnie jego, nikogo innego, tylko Niedasia we własnej osobie... Zresztą wystarczyła jedna pogawędka z siostrami Bolesnymi, żeby Basia zmieniła zdanie, ale Salkę wciąż dręczyły wątpliwości. Coś jej tu nie grało, tylko co? Przecież znała Niedasia niemal całe swoje życie. Doskonale wiedziała, do czego jest zdolny, a do czego nie – przede wszystkim jednak wiedziała, jak wygląda. No, z drobnymi wyjątkami, rzecz jasna, lecz zasadniczą część znała na pamięć. Wiedziała też, co widziała wtedy, na bulwarze nad Odrą, przez te przerażające, koszmarne sekundy, zanim...

„Nie chcę wracać do tamtego koszmaru!”

O jakim koszmarze mówiła babcia Przygodowa? Co takiego sprawiło, że zaczęła ciskać słuchawką, klepać pacierz za pacierzem i histeryzować?

Może to opary wody z płynem do kąpieli o zapachu całej tablicy Mendelejewa, może szorstki pumeks, który zboczył z pięty i przejechał po łydce, a może po prostu zwykły przypadek sprawił, że umysł Salki wykonał energiczne salto i nagle dodał dwa do dwóch.

Prawie wypadła z wanny, próbując się z niej wydostać, przy wycieraniu zrobiła kilka efektownych piruetów, a wkładając piżamę,

tradycyjnie wpakowała obydwie nogi do tej samej nogawki i o mało nie rozstała się przy tym z częścią uzębienia, ale koniec końców wypadła z łazienki mniej więcej sucha i ubrana, po czym zbiegła na parter. I tym razem do pokoju pani Jagi pokierowały ją szaleńcze okrzyki, choć już nie na jeden, ale na aż trzy głosy ludzkie i papugę.

– Healuje dziada!!! – pruć się Niedaś z kanapy, gdzie rozsiadł się ze swoim laptopem i zgrzewką red bulla. – Silencuj go, Jadźka, silencuj!!!

– Pięć sekund, jestem na cooldownie! – odwarknęła pani Jaga, skupiona na sianiu bólu, cierpienia i śmierci we wraźnych szeregach, z przejścia niemal przegryzając papierosa. Naraz popiół i żar posypały się szciodrze na jej klawiaturę, gdy zakrzyknęła: – Jasna cholera, gnom mnie zestunował!

– Ściągam go, ściągam! – zapiszczała z podłogi Basia i wówczas jej laptop ryknął: „GET OVER HERE!!!”, aż basy w głośnikach wydały z siebie potężny zgrzyt.

– Mortal Kombat, kartofle!!! – zawtórował im Niedaś, łomocząc w klawisze.

Tymczasem Roy Keane, zajmąwszy strategiczną pozycję na monitorze pani Jagi, młócił powietrze skrzydłami i darł się, jakby mu kto zadek z piór oskubywał:

– Killnij gaaadaaaa! Forrr de horrrrd! Forrr de horrrrd!!!

Zestunowana bez użycia gnoma Salka spędziła dłuższą chwilę w drzwiach pokoju, skąd obserwowowała, jak rozszalałe towarzysztwo – czyniąc przy tym raban niezrozumiały dla niej tak pod względem terminologicznym, jak i emocjonalnym – próbuje zatłuc własne komputery. W końcu rozległ się chóralny ryk triumfu, gdy battleground zakończył się miażdżącym zwycięstwem strony jedynie słusznej, po czym gracze pomału odzyskali łączność z rzeczywistością. Niedaś spojrzał na siostrę pytającym wzrokiem.

– Jak skończysz, sprawdź w necie poranne pekaesy. Jedziemy jutro do domu – oświadczyła bez ogródek.

– Po kij?

– Żebyś miał zagadkę egzystencjalną na długie jesienne wieczory. Muszę się poważnie rozmówić z babcią Isią, a coś czuję, że mną już

nie ciśnie tak łatwo jak słuchawką. W tę i z powrotem, pojedziemy rano, wrócimy wieczorem.

Lecz Niedaś już kręcił głową i cmokał z niesmakiem, jakby mu proponowała co najmniej wesoły turnus w Alcatraz.

– Nie da się, siostra... Widzisz, ja mam życie, towarzyskie i w ogóle. Obowiązki wobec ludzkości. Mój świat nie kończy się na Kotlinie.

– Kotlinie? Znaczy się Kłodzkiej? – upewniła się Basia z błyskiem w oku. – Mogę pojechać z wami? Chętnie się ruszę na weekend za miasto, dopóki szwagier nie ochłonie... Poza tym mam samochód pod ręką, nie musielibyście się tłuc peka-eseem – dodała na zachętę.

– No to komu w drogę, temu aviomarin! – Nagle rozpromieniony Niedaś Przygoda klasnął energicznie, w ułamku sekundy doznawszy głębokiej przemiany duchowej i prze-wartościowania życiowych priorytetów. – Majty w garść i jedziemy, siostra!

– Wstrzymaj konie, chłopcze. – Pani Jaga, traktując zapalniczką nowego papierosa, z miejsca ostudziła jego entuzjizm. – Dziewczyny dziewczynami, ale ty na pewno nie pojedziesz.

– Czemu?

– Temu, że ja się nigdzie nie wybieram.

– Ej, no bez jaj! Pani starsza się nie pietra, obrócimy raz-dwa i jeszcze zdążymy natrzaskać tych przeklętych aliansów...

– Nie w aliansach rzecz. Matylda osobiście za ciebie poręczyła i mowy nie ma, żebyś przekroczył próg tego domu beze mnie na doczepkę. Co prawda obeszałam z tobą pół miasta w poszukiwaniu ideału żelazka godnego twej wspaniałej odzieży, ale tym razem nigdzie się nie wybieram – powtórzyła.

– Ale czeemuuu?

Średnia siostra Bolesna przez chwilę skupiła się na starannym emitowaniu papierosowego domu w ziemską atmosferę.

– Ja też muszę się jutro z kimś rozmówić – odparła lakonicznie. – W sprawie Mili.

Niedaś już rozwierał paszczkę, by znów zaprotestować jękliwie, lecz jego siostra, która kojarzyła fakty nieco szybciej i potrafiła liczyć nie tylko kufle z piwem, zgromiła go wzrokiem.

– A my z Basią nie wystarczymy? – zapytała. – Upilnujemy go, obiecuję. No, babcia Isia w razie czego nie poświadczy, bo nie chcemy jej o niczym...

– Babcia jaka? – Starsza pani weszła dziewczynie w słowo.

– Słucham?

– Babcia jaka? Isia? Dobrze zrozumiałam, nie przesłyszałam się? Wasza babcia ma na imię Isia?

– W zasadzie to Izydora, ale prababcia Renata zawsze mówiła na nią Isia i... i tak się już utarło. W rodzinie i tak dalej.

Zanim pani Jaga wreszcie pokręciła głową, wpatrywała się w Salkę długo i intensywnie, aż ta zaczęła się niepokoić.

– Matylda dała słowo, że będziemy go mieć na oku – odezwała się w końcu. – My, czyli ona i ja. Albo przekładacie tę wycieczkę na przyszły tydzień, albo jedziecie same, a Niedaś zostaje tutaj i tłucze ze mną alianse, prasuje, haftuje albo... albo... – Tu pani Jaga zamyśliła się, marszcząc wyskubane brwi.

– Albo? – błyskawicznie podchwycił Niedaś.

Kolejny obłok dymu zatruł środowisko.

– Albo namówicie Matyldę, żeby się z wami zabrała.



## Rozdział 13, w którym pani Matylda rusza na Berlin

Tuż po ósmej rano pani Jaga przywdziała pelerynę i kapelusz z woalką, uzbroiła się w parasolkę i wymaszerowała do szpitala, gdzie była umówiona na rozmowę z ordynatorem w sprawie pani Mili.

– Postaraj się nie przyprawić go o ciężką nerwicę – rzuciła jej na odchodnym pani Matylda.

– Bez obaw – odparła wesoło pani Jaga. – Sądząc po tym, jak się jąkał przez telefon, jeszcze nie doszedł całkiem do siebie po naszym ostatnim spotkaniu. A ty... – Urwała i zerknęła raz jeszcze na starszą siostrę. Ta uniosła brew.

– Tak, Jaguś?

– Już ty dobrze wiesz, Matyldo – odparła nad wyraz spokojnie pani Jaga.

Kwadrans później przed willi odjechało małe fioletowe auto w kształcie kanciastej mydelniczki. Zza kierownicy dyskretnie wystawała jasnowłosa głowa Basi, obok której umościł się Niedaś w stanie ewidentnego upojenia feromonami. Na tylnym siedzeniu cisnęły się Salka z panią Matyldą, po półce zaś za ich zagłówkami w tę i z powrotem przechadzał się Roy Keane, z upodobaniem fundując jadącym za mydelniczką kierowcom senne koszmary na następny rok.

Basia, choć marnej postury, nogę miała ciężką, i to nie tylko z powodu obuwia. Mydelniczka przemknęła przez miasto slalodem między tirami, po czym popruła krajową ósemką w stronę Kotliny Kłodzkiej. Przez całą godzinę Basia trajko-tała, żywo gestykulując, także oburącz, Niedaś emanował szczęściem, Salka w zamyśleniu kontemplowała krajobraz, Roy Keane niezmiernie pozdrawiał innych uczestników ruchu, a pani Matylda siedziała nieruchomo na swoim miejscu. Zaciskała mocno tak dłonie, jak i usta, jako że za motoryzacją ogólnie nie przepadała, a co dopiero mówić o puskach na kółkach rozwijających zawrotne prędkości.

Wreszcie kierowana przez rodzeństwo Basia zboczyła z głównej

trasy. Wąska szosa, którą teraz jechali, snuła się i wiła, jakby próbowała samą siebie zająć cichaczem i dopaść za kolejnym z niezliczonych ostrych zakrętów. Jednocześnie pięła się coraz wyżej we wszędobylskim półcieniu, po zboczach porośniętych strzelistymi świerkami i rozłożystymi paprociami. Tu i ówdzie rozpychały się między nimi jasne, przysadziste skały o cudacznych kształtach, często zwieńczone wyjątkowo upartym drzewkiem, które rosło tam na przekór wszystkim i wszystkiemu, od prozaicznego braku gleby począwszy. Gdzieś tam spomiędzy grubej warstwy opadłego zbrązowiałego igliwia wystawały masywne korzenie. Przypominały szpony, powykręcane artretyzmem, omszałe, upstrzone dziwnymi guzami i wyciągnięte łapczywie ku szarej wstędze asfaltu.

Wbrew cichym obawom części pasażerów mydelniczka dalej bez trudu pokonywała kilometr za kilometrem. Tylko gdy z naprzeciwka zbliżał się drugi samochód, Basia minimalnie zwalniała i zjeżdżała na wyboiste pobocze, aż żwir strzelał spod kół na wszystkie strony. Wkrótce wąska droga zakończyła mozolną wspinaczkę i skrzyła łagodnym łukiem. Po lewej wciąż wyrastało zbocze kolejnej góry, za to po prawej, za szpalerem oznaczonych biało-czerwonymi pasami drzew, rozpostarł się szeroki widok na kotlinę, przed nimi zaś już mniej imponujący widok na traktor z przyczepą pełną pociętych gałęzi.

Basia pokręciła głową i zredukowała bieg. Na tym odcinku szosa była za wąska, a pobocze – zbyt dziurawe i pozapadane, żeby dało się bezpiecznie wyprzedzić cokolwiek większego od średnio szczupłego rowerzysty. Zrezygnowana mydelniczka powlokła się w ślad za terkoczącym zawalidrogą.

Po pięciu minutach Basia, która na co dzień przemieszczała się komunikacją, za przeproszeniem, publiczną, gdyż w mieście nie mogła rozwinąć satysfakcjonującej ją prędkości, miała ochotę wysiąść, na piechotę wyprzedzić traktor i wdając się w anatomiczne szczegóły, poinformować jego kierowcę, co sądzi o takim stylu jazdy. Ograniczyła się jednak do cichego mruknięcia.

– Palant...

Pani Matylda słuch miała jak nietoperz. Albo i całe stado

nietoperzy.

– Co tam burczysz pod nosem?

– Nic, nic.

Starsza pani prychnęła kpiąco.

– Strasznie buntownicze to twoje nic. Powiedz mi, dziecko, czy bunt przeciwko traktorowi to taka współczesna moda, podobnie jak noszenie obuwia ortopedycznego przez młode, zdrowe na ciele dziewczęta? Czy może wyraz ponadczasowej głupoty?

Nieskrywana irytacja, jaką bez trudu wyczuwało się w jej głosie, sprawiła, że Salka aż odwróciła głowę od okna i spojrzała ze zdziwieniem na panią Matyldę. Może nigdy się szczególnie z nikim nie cackała, od fałszywej przymilności woląc zdrową szczerotę ze szczyptą orzeźwiającej złośliwości, rzadko jednak odzywała się do kogokolwiek tak obcesowo. Ale wystarczył pobieżny rzut oka na jej stężałą twarz i pobielające kłykcie, by stwierdzić, że pani Matylda jest osobliwie spięta.

– O co pani chodzi? – Basia nadeła się odruchowo, jednocześnie wystawiając kolce niczym jeżówka.

– Mnie? – Wzruszyła sztywno ramionami pani Matylda. – O sens. Zwykły sens. O nic więcej. A tobie?

Zamiast skłecić w miarę składną odpowiedź, Basia nagle dodała gazu. Mydelniczka tylko zawyła silnikiem, po czym posłusznie wystrzeliła na przeciwległy pas, o centymetry minęła przyczepę traktora, ścięła zakręt i zjechała w lewo, prosto w przyczajoną między drzewami jeszcze bardziej boczną drogę. Pod oponami zachrząściła gruba warstwa żwiru. Kurczowo trzymając się zbocza, jechali wąską serpentyną, która powiodła ich przez gęsty las, by po paru kilometrach błędzenia wreszcie minąć łuszczącą się zieloną tablicę z nazwą miasteczka.

Zaczął kropić deszcz.

Gdy dziesięć minut później zatrzymali się przed kamienicą, w której mieszkała babcia Isia, z zasnutego sinymi chmurami nieba lały się już strumienie lodowatej wody. W wielkim pośpiechu wygramolili się z samochodu i przemknęli chodnikiem, by schronić się przed deszczem w ciemnej bramie. Salka zerknęła jeszcze w górę.

W kuchennym oknie paliło się światło, a więc babcia Przygodowa raczej była w domu.

Otworzył im ojciec.

– A wy co tu robicie? – zdziwił się na widok własnego potomstwa.

Rzecz jasna, zapanował ogólny harmider, kiedy rodzeństwo pokrętnie tłumaczyło, skąd ten niezapowiedziany nalot, i jednocześnie dokonywało prezentacji nadprogramowych gości w postaci pań i papugi, którzy to goście witali się jedno przez drugie. Kurtki i płaszcze trafiły na wieszak, po czym nastąpił zbiorowy przemarsz z zatłoczonego przedpokoju na salony, gdzie doszło do rozproszenia sił. Salka z Basią zniknęły zgodnie w kuchni, żeby zaparzyć dla wszystkich herbatę, Paweł Przygoda poszedł po swoją matkę, Niedaś klapnął na wysłużoną kanapę i zaczął wertować program telewizyjny, a Roy Keane w najlepsze myszkował po kątach. Jako ostatnia do pokoju wkroczyła pani Matylda, rozglądając się uważnie po skromnym, acz przytulnym mieszkaniu. Jej wzrok natychmiast przykuły rozliczne zdjęcia w przeróżnych ramkach, które zdobiły całą ścianę naprzeciwko drzwi i ustawioną pod nią szeroką komodę. Podeszła do nich pomału, nieco mocniej niż zwykle wspierając się na swojej lasce, gdyż po półtoragodzinnej przejażdżce w ciasnej mydelniczce cała była boleśnie zdrętwiała.

Naraz zeszywniała jeszcze bardziej.

– Niedasiu, pozwól no na chwilę – poprosiła głosem cichym, lecz tak sugestywnym, że Niedaś zerwał się z kanapy i przybiegł do niej w podskokach. Sękaty palec powędrował w stronę jednego ze starszych, czarno-białych, popękanych zdjęć z białą, ząbkowaną obwódką. Przedstawiało dwie kobiety, najwyraźniej spokrewnione, bo podobne do siebie. Młodsza, krótkowłosa, miała jakieś dwadzieścia lat. Z pulchnym, może rocznym berbeciem na rękach stała za krzesłem, na którym siedziała starsza od niej, drobna kobieta w ciemnej sukience, z długim, grubym, jasnym warkoczem przewieszonym przez ramię.

– Kto to?

– Ten berbec to tata – wyjaśnił Niedaś. – Ta tutaj to babcia Isia – wskazał młodszą kobietę – a ta na krześle to jej mama, znaczy się

prababcia Piotrowiczowa. Tej, no, świętej pamięci.

– Piotrowiczowa?

– No. Reńka. Znaczy się Renata. Rany jeża, pani starsza! – syknął, gdyż naraz na jego ramieniu zacisnęła się jak imadło chuda dłoń. Podniósł wzrok. – Ej, no bez jaj, pani starsza chyba mi tutaj nie zejdzie?!

Błada jak ściana Matylda Bolesna zachwiała się, wsparta ciężko o swoją laskę i zdumionego Niedasia. Ze świstem wciągnęła powietrze, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Chłopak nie zdążył jednak zapytać o nic więcej, gdyż z głębi mieszkania dobiegły ich histeryczne krzyki, które zwieńczył huk zatrzaskiwanych drzwi. Do salonu wrócił skonsternowany Paweł Przygoda.

– Mówi, że nie chce cię widzieć – zwrócił się do Salki, która wypadła z kuchni. – I że możesz sobie wracać do tego swojego Wrocławia... – odetchnął – ...bo ona nie ma ci nic do powiedzenia.

– Ach, doprawdy? – rozległ się suchy głos pani Matyldy. – Może w takim razie znajdzie coś do powiedzenia mnie.

I zanim ktokolwiek zaprotestował, puściła Niedasia i niczym Rudy 102 prący na Berlin z owczarkiem niemieckim na pokładzie stanowczym krokiem pokonała krótki korytarzyk między salonem a resztą mieszkania, po czym załomotała ciężką dębową laską w zamknięte drzwi.

– *Öffne die Tür, Ilse Peters!* – huknęła głosem nieznoszącym sprzeciwu. – *Sofort!*<sup>16</sup>

Paweł Przygoda jako pierwszy ze wszystkich zgromadzonych u wylotu korytarzyka odnalazł język w gębie. Cała reszta dalej sterczała na wzór słupów soli.

– Ja najmocniej przepraszam – bąknął nieśmiało – ale moja matka... moja matka nie mówi... znaczy nie zna...

Wówczas zgrzytnął klucz w wysłużonym zamku. A potem zaskrzypiały wiekowe zawiasy, gdy drzwi uchyliły się pomału, ukazując wymizerowaną twarz babci Przygodowej.

Salce o mało nie pękło serce.

Babcia Przygodowa przypominała raczej cień dawnej siebie. Włosy, które zwykle kręciła na wałki i pieczołowicie układała, teraz miała

w nieładzie i oklapnięte, jakby od tygodnia nie zaznały szamponu, twarz zaś zapadniętą i poszarzałą. Oczami poczerwieniałymi ani chybi od płaczu i permanentnego niewyspania wpatrywała się w górującą nad nią Matyldę Bolesną, poruszając przy tym bezgłośnie ustami.

– *Mein Gott...* – szepnęła wreszcie. – *Leben Sie doch?*<sup>17</sup>

– O w mordę! – zakrzyknął Niedaś, niechcący wyrażając bardzo trafnie to, co na te słowa zakotłowało się w duszach jego siostry i ojca.

– *Wir leben alle drei, Ilse*<sup>18</sup> – odparła spokojnie pani Matylda.

– *Mein Gott... Und sie...* – Tu babcia Przygodowa spojrzała na syna i wnuki. – *Wissen sie das?*<sup>19</sup>

– *Nein, noch nicht*<sup>20</sup>.

Tymczasem Niedaś, z rozpędu wprawiwszy szare komórki w ruch, przemógł sklerozę i dokonał epokowego odkrycia.

– Ej, tamta też szwargotała po niemiecku!

Pani Matylda odwróciła się błyskawicznie. Niesamowite żółte oczy załśniły złowieszczo. Salka usłyszała, jak Basia i ojciec z wrażenia wstrzymują oddech.

– Czarownice nie istnieją, czarownice nie istnieją, czarownice nie istnieją... – mamrotała pod nosem, jakby usiłowała czym prędzej zakląć rzeczywistość.

– Tamta? – powtórzyła pani Matylda, marszcząc brwi.

Gdyby Niedaś Przygoda miał trochę więcej rozumu lub lat, zapewne w tej chwili sam by się opamiętał. Albo posłuchałby cichego wewnętrznego głosu, który zasugerował mu nieśmiało, by lepiej ugryzł się w język i czym prędzej potulnie spuścił wzrok albo zmienił temat. O, na przykład taka pogoda – cóż za wdzięczny przedmiot konwersacji! Dzisiaj co prawda ziąb i deszcz, ale jutro kto wie, może słońeczko zaświeci w najlepsze, ptaszki pośpiewają aż miło, w kałużach będzie można poskakać... Lecz święcie przekonany o własnej wyższości moralnej, intelektualnej i technologicznej chłopak ani myślał ustąpić, niczym Titanic II rzucający wyzwanie losowi, i parł prosto na spotkanie z górą lodową wielkości Mount Everestu.

- No ta tamta, smężna taka. Ta, co się byczy w szpitalu.
  - Mila? Rozmawiałaś z Milą?
  - No przecież właśnie mówię, nie?
  - Kiedy?!
  - Nooo... – Niedaś zasepił się nieco, gdy przetrzepywał porośnięte kurzem i pajęczynami zakamarki dziurawej pamięci. – No chyba... wtedy rano?
  - Wtedy? Tamtego dnia, kiedy zabrało ją pogotowie?
  - No tak, chyba tak. A co?
- Pani Matylda nic nie odpowiedziała, tylko pomału zamknęła oczy.
- Niedaś, coś ty znowu narobił? – wyszeptała Salka, wlepiając w brata przerażony wzrok.

\*\*\*

Grobowa cisza, jaka panowała przy stole, aż dzwoniła w filiżankach z resztkami herbaty. Niedaś dyskretnie przeżuwał herbatnika, zwinąwszy go sprzed dzioba Royowi Keane'owi, który samodzielnie pochłonał już pół paczki. Po raz pierwszy, odkąd Salka sięgała pamięcią, babcia Przygodowa w ogóle nie zwracała uwagi na wszędobylskie okruszki. Zamiast tego od kwadransa starannie unikała spojrzenia żółtych oczu.

- Paweł Przygoda w końcu nie zdzierzył i odchrząknął.
- Może... to może toaścik? Za... hm... spotkanie po latach?
  - Babunia wiedziała, prawda?
- Babcia Przygodowa drgnęła, lecz nie podniosła wzroku, tylko z uporem miętosła w rozdygotanych dłoniach ukochaną serwetę.
- To wtedy po raz pierwszy babunia rzuciła słuchawkę – ciągnęła Salka, wciąż wpatrując się w resztki herbaty na dnie swojej filiżanki.
  - Kiedy wspomniałam, gdzie teraz mieszkam. Przy Lipowej. Dopiero wczoraj to do mnie dotarło. Że wy się znacie.
  - Owszem, znamy – odparła krótko pani Matylda.
  - Dlaczego nic pani o tym nie wspomniała?
  - Bo do mnie również dotarło to dopiero wczoraj, Salomeo. Gdy Jaga namawiała mnie, abym wam dzisiaj towarzyszyła, i wspomniała

niby to mimochodem, jak ma na imię wasza babcia. Poza tym ty i twój brat znacie ją jako Izydore Przygodową... ja zaś jedynie jako Ilse Peters. Śmiertelnie przerażoną małą dziewczynkę z Festung Breslau, która pewnego wieczoru przyszła do nas ze swoją matką.

– Z babcią Renatą? – zdumiał się Paweł Przygoda. – Poznała pani moją babcię?

– Wtedy nazywała się jeszcze Renate Peters. Podczas oblężenia ludzie z gruzowisk przy Kaiserstrasse mówili o niej Złota. Złota Renate. Miała najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałam. Takie jak Basia – skinęła na dziewczynę – bardzo długie i jasne, ale o niebo piękniejsze. Wszędzie bym ją roz-poznała, nieważne, na ulicy czy na zdjęciu... Wszędzie.

– Dosyć – sapnęła babcia Przygodowa. – Już dosyć. Ja nie chcę... nie chcę do tego wracać, rozumie pani?

– Ja również nie mam na to ochoty, Ilse. Sęk w tym, że oprócz niej nie mamy też innego wyjścia. Teraz, gdy Mila... – Tu urwała i tylko odetchnęła głęboko. Najwyraźniej ta rozmowa i ją sporo kosztowała.

– No dobra. – Niedaś przełknął ostatni kęs herbatnika i siorbnął herbaty. – Wszystko to pięknie i bardzo cacy, ale tak w zasadzie to o co kaman, bo nie jarzę? Że babcia szwargocze po szwabsku? Nauczyła się na stare lata, o co to wielkie halo?

– Jeśli dobrze zrozumiałam – odezwała się ostrożnie Basia, która do tej pory milczała konsekwentnie, chłonąc z szeroko rozwartymi oczami to, co się wokół niej działo – to twoja babcia szwargocze po szwabsku tak jakby... z natury, tak?

Babcia Przygodowa niechętnie skinęła głową.

– Moi rodzice oboje byli Niemcami – wychrypiała. – Nie nazywali się Ryszard i Renata, tylko Reinhard i Renate. Reinhard i Renate Peters. A ja urodziłam się jeszcze w niemieckim Breslau jako Ilse.

– Jak to w Breslau? W jakim znowu Breslau? – Paweł Przygoda aż się wyprostował, wlepiając w matkę oszołomiony wzrok. – Przecież mama w dowodzie ma wpisany Lwów!

Babcia machnęła lekceważąco ręką.

– A tam, w dowodzie... Tak chciała moja matka, więc tak zostało wpisane. Nie my pierwsze i nie ostatnie zmieniłyśmy po wojnie



wszystko. Dom, nazwisko, język, pochodzenie... Na szczęście matka dobrze mówiła po polsku, nauczyła się jeszcze w rodzinnym domu, a i ja byłam pojętna. Wymazałyśmy całą naszą przeszłość i wymyśliłyśmy ją na nowo.

– Ale... ale dlaczego? Po co?

Po zapadniętych policzkach babci Przygodowej spływały łzy.

– Żeby... żeby już nigdy, przenigdy... *Mein Gott... Fräulein Mathilde, ich fleh' Sie!*<sup>21</sup> Na wszystko, co święte, niech im pani nie mówi! – wydusiła.

– Ja? Dobrze, ja nic nie powiem, skoro tego chcesz. Ale w takim razie sama będziesz musiała to zrobić.

– Nie!

– Albo ty, albo ja, Ilse. – To powiedziawszy, pani Matyllda nachyliła się nad stołem i spojrzała babci Przygodowej prosto w zażawione oczy, nieubłagana i zacięta, gotowa na wszystko, byle zmierzyć się z przeszłością raz a dobrze. – Ty nic złego nie zrobiłaś, rozumiesz? Pamiętasz? To nie ty zapukałaś do naszych drzwi. To nie była twoja wina, Ilse. Tylko moja. – Kilkakrotnie uderzyła otwartą dłoń w swoją pierś. – Moja... i jej.

## Rozdział 14, w którym pada jeden nieistotny widelec i jedno kluczowe pytanie

Ciche pukanie wyrwało babcię Przygodową z odrętwienia.

– Babuniu? – Uchyliwszy drzwi, Salka zajrzała nieśmiało do środka.

– Wejść, dziecko, wejść. – Szybko przytknęła bawełnianą chusteczkę do zapłakanych oczu, po czym wyprostowała się na wąskim tapczaniku w ujmującym buraczkowym kolorze. Wnuczka ostrożnie przysiadła obok. Po rozlicznych twardych lądowaniach na parkiecie pamiętała już, jak bardzo zaskakujące dla zmysłu równowagi potrafią być wysłużone sprężyny tego starego mebla.

– Tata zabrał Niedasia i Basię na poszukiwania obiadu – wyjaśniła cicho.

– A... a ona?

– Odpoczywa.

Babcia pokiwała głową.

– Babuniu...

– Tak?

– Babunia musi z nią porozmawiać. Dla siebie. Ja... ja nie wiem, co między wami kiedyś zaszło, i wcale nie muszę wiedzieć, ale przecież widzę, że babunię to ciągle gryzie.

– Boże, Saleczko... Żebyś ty wiedziała... – Do zapuchniętych oczu babci Przygodowej napłynęła nowa porcja łez.

– No to niech mi babunia powie. Jeśli babunia chce.

– Nie, nie! – zaprotestowała babcia, lecz słabo, jakby z każdym kwadransem coraz bardziej godziła się z tym, co nieuniknione.

W mikroskopijnej sypialni w głębi mieszkania zapadła cisza. Wzrok Salki błędził w zamyśleniu po krzywym regaliku z płyty paździerzowej, zapchanym harlequinami, którymi babcia zaczytywała się z upodobaniem, zwłaszcza tymi niby to historycznymi, z nadobnymi dziewojami w przeróżnych powłóczystych gieźlach na okładce. Paweł Przygoda co prawda śmiał się z gustu matki, jako że

sam preferował literaturę znacznie bardziej ambitną i mniej zrozumiałą dla przeciętnego przedstawiciela ludzkości, mimo to bez słowa sprzeciwu przynosił jej kolejne tomiki. I nikt poza nim i Salką nie wiedział, że zdobywał je po cichu nie kto inny, jak jego własna małżonka, której seniorka rodu tak bardzo nie znosiła, a która uważała jej zamiłowanie do choćby wyimaginowanego romansu za wzruszające, chwalebne i inspirujące.

– Wiesz, pewnie bym go nawet nie poznała.

– Kogo takiego? – Zaskoczona Salka poderwała głowę, którą wsparła na dłoniach, wbiwszy poobijane łokcie w uda.

– Tamtego domu. Najpierw było tak ciemno, tak... tak... – Westchnęła. – W trakcie obłączenia, kiedy zapadał zmierzch, całe miasto chowało się panicznie w tych ciemnościach przed nalotem jak... jak w jakimś bagnie, obrzydliwym, cuchnącym strachem i trupami bagnie... I nasłuchiwało. Czekają... nadlecą tej nocy czy nie. A rano... Rano człowiek wystawiał głowę i zamiast światła, jaki dotąd znał, widział tylko śmierć i gruzy. Gruzy. Wszędzie gruzy. Miałam wrażenie, że brniemy przez nie całą noc, a ta noc już nigdy się nie skończy, a my już zawsze tak będziemy iść w stronę tego ognia i huk i iść, i iść...

– My?

– Matka i ja. Wymknęłyśmy się po zmierzchu. Przez większość drogi nic nie widziałam, więc trzymałam się jej kurczowo, a i tak co chwilę o coś się potykałam. Strasznie sobie wtedy pokaleczyłam nogi na tym gruzowisku. – Bezwiednie przejechała dłonią po łydce skrytej pod grubą cielistą pończochą. – Boże ty mój, jak ja się bałam...

– Bomb?

– Nie, nie bomb. Ani ognia. Jej.

– Jej? – Salka w pierwszej chwili nie zrozumiała. – Jakiej... Znaczący prababci?

– Miałam siedem lat, niewiele z tego wszystkiego rozumiałam, ale... ale w głębi ducha czułam, że nie zawróci, choćbym nie wiem jak płakała, prosiła... Więc nie płakałam. Zresztą... wtedy nie potrafiłam już płakać. Pamiętałam tamte krwawe strzępy na jej rękach, a w głowie wciąż słyszałam tamten krzyk. Nie, nie krzyk –

poprawiła się natychmiast. – Wycie. Koszmarne, koszmarne wycie. Jakżebym mogła płakać ze zwykłego strachu czy bólu po tym, jak ona tak przeraźliwie wyła? Nie, mnie nie wolno było już płakać. Ona wylała wszystkie nasze łzy, dla mnie nic nie zostało.

Dziesiątki pytań cisnęły się Salce na usta, lecz milczała uparcie, wpatrując się tylko w babcię. Czekwała.

– Za pierwszym razem tak, płakałam – podjęła po chwili babcia Przygodowa. – Kiedy matka waliła w te drzwi, kopała i krzyczała, żeby nas wypuścić, żeby pozwolił nam odejść. Ale był na to zbyt dumny. Niemiec nie pies, żeby uciekał z podkulonym ogonem, tak mówił. Tu jest nasz dom, a domu trzeba bronić za wszelką cenę. Jak honoru. Honoru! – parsknęła. – Pamiętam, jak patrzyliśmy przez okno na tę ludzką rzekę, jak płynęła wszystkimi ulicami godzina za godziną, przy trzaskającym mrozie. Wszyscy uciekali, starcy, kobiety i dzieci. A my nie. My byliśmy zamknięci, matka, Adi i ja. Adi i ja tkwiliśmy w oknie, matka przy tych drzwiach. Były naprawdę wielkie i ciężkie, wiesz, takie dwuskrzydłowe, dębowe, z zamkami jak w jakimś skarbcu z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Nie ustąpiły, chociaż waliła w nie długo, z całych sił. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby tak błagała, wrzeszczała, żeby tak... tak złorzeczyła. Płakałam, a Adi mnie pocieszał. Kochany Adi... O nim też musiałyśmy zapomnieć – dodała z goryczą, po czym znów urwała, ze wzrokiem wbitym gdzieś w ścianę. „Kobiety i dzieci... Adi nie jest już dzieckiem”. Tak właśnie powiedział. „Rozkaz to rozkaz, Adi nie jest już dzieckiem, musi iść”. Więc poszedł. Razem z matką. Bez niego, oczywiście, przecież on miał... obowiązki. Wracali późno, poranieni, umęczeni, cali w pyle i we krwi, własnej, cudzej, sama nie wiedziałam, chyba nawet nie chciałam wiedzieć... Aż któregoś dnia poszli na Kaiserstrasse i matka wróciła już stamtąd sama. To wtedy zabrakło dla mnie łez. Boże, Saleczko... – Z piersi babci Przygodowej nagle wyrwał się gwałtowny szloch. – Nawet nie było czego pochować, rozumiesz? Tak wtedy powiedziała, ciągle pamiętam jej słowa, jakbym usłyszała je wczoraj. Nie było czego pochować, więc on też grobu mieć nie będzie. Jak pies. Jak pies. Za ten honor, co to był dla niego ważniejszy niż własna rodzina!

Salka zastygła w bezruchu jak głaz, nie wiadomo czym po-rażona bardziej – potokiem słów, który wylewał się z jej ukochanej babci, czy też wypieraną przez dziesiątki lat rozpaczą, jaka teraz malowała się na tej udreżonej, starej twarzy. A jednocześnie próbowała zrozumieć, co takiego wydarzyło się wtedy, przed laty, w obleżonym Breslau.

Zza drzwi dobiegły ożywione głosy. Ucho Salki natychmiast wyłapało pośród nich świdrujący trel matki, co oznaczało, że ją samą lada moment czeka gorączkowe przesłuchanie, babcia zaś zaszyje się w sypialni już na amen i nie wyściubi z niej nosa za żadne skarby. Z drugiej strony przyszło jej naraz do głowy, że matka ma przecież pod ręką drugą, świeższą ofiarę do maglowania w postaci Basi... Salka wątpiła bowiem, by nadprogramowe zbaraniecie Niedasia w obecności jasnowłosej dziewczyny uszło czujności rodzicielki. W zasadzie to mogłoby być nawet zabawne, takie małe starcie tytanów – wyszczekana panna uzbrojona w manikiur kontra wcielenie tantrycznego chaosu z zestawem wewnętrznych głosów na doczepkę. A zatem Salka mogła mniej więcej bezpiecznie dołączyć do towarzysztwa... tylko nie chciała zostawiać babci. Nie teraz.

Babcia Przygodowa jak zawsze czytała w jej myślach.

– Idź, dziecko – powiedziała, gdy już otarła twarz. – Matka to matka, jakakolwiek by była. Najważniejsza. Kto to wie, kiedy się znowu zobaczycie.

– Zostanę z babunią – odparła cicho Salka, lecz babcia nie chciała o tym słyszeć.

– Było, minęło. Ważne, co jest teraz, o, tam. – Wskazała palcem drzwi. – Rodzina, Saleczko.

– A babunia to co, pies? – wypaliła i natychmiast ugryzła się w język, co nie umknęło babci Przygodowej, która uśmiechnęła się blado.

– Idź, dziecko – powtórzyła. – Ale... ale najpierw bądź tak dobra i... przynieś mi niciarkę.

Salka, choć zdziwiona tą prośbą, posłusznie poszła po przedmiot, o który prosiła babcia. W salonie zastała samotną panią Matyldę nad świeżą filiżanką herbaty. Pozostali, z Royem Keane'em włącznie, kłębili się w maleńkiej kuchni, skąd oprócz gwaru ich rozmów

dobywały się również nieziemskie aromaty obiadu. Nos Salki bezbłędnie rozpoznał woń gotującej się kaszy gryczanej i gulaszu i mimo poruszenia opowieścią babci dziewczyna poczuła, jak głód ściska jej żołądek.

– Salomeo?

– Tak? – Złapawszy za niciarkę, przystanęła i spojrzała na panią Matyldę.

Najstarsza z sióstr Bolesnych wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę, próbując znaleźć słowa. W końcu pokręciła głową.

– Potem.

– Dobrze, pani Matyldo.

Wróciła do sypialni i zamknawszy cicho drzwi, usiadła obok babci, po czym podała jej starą, drewnianą skrzyneczkę.

– Zawsze mnie zastanawiało, na co ona babuni – bąknęła.

Zamiast odpowiedzieć, babcia Przygodowa postawiła sobie niciarkę na kolanach i rozsunała pomału, z dziwnym namaszczeniem. Dwie górne szufladki, które skrywały przeróżne tasiemki, gumki recepturki i babcine święte agrafki, ustąpiły z cichym zgrzytem zastałych zawiasów, odsłaniając dolną, tę największą, zakurzoną i pustą.

Lecz wtedy palce babci wcisnęły się najpierw w jeden na-rożnik, potem zaś w drugi i niespodziewanie uniosły dno.

Pod spodem spoczywała niewielka, pożółkła koperta.

– To jedyne, co zabrałyśmy ze sobą z Breslau.

– Ta niciarka?

– Nie. Niciarka miała nam tylko przypominać. A może jej? Nie wiem. – Wydobywszy kopertę ze skrytki, babcia Przygodowa wręczyła ją Salce. – Weź. Może kiedyś... może kiedyś zrozumiesz. Może pani Matylda wyjaśni ci to wszystko lepiej, bo ja, Saleczko... ja, niestety, nie potrafię.

Salka zaczekała, aż zmęczona płaczem babcia uśnie głęboko, po raz pierwszy od wielu dni, po czym opatulila ją kocem i wyszła na palcach, zamykając za sobą drzwi. Miała wrażenie, jakby opuściła jeden świat i wkroczyła prosto do drugiego, oślepiającego mnogością dźwięków i barw. Dwaj Przygodowie dyskutowali głośno nad miską z buraczkami na ciepło – to znaczy ojciec rozprawiał o czymś

w najlepsze, pohukując co chwilę, podczas gdy Niedaś pochłaniał co popadnie i tylko niemo przytakiwał – Basia paplała jak nakręcona, piskliwym głosikiem, ani chybi siejąc zgrozę wśród okolicznego ptactwa i nietoperzy, a każdy z setek gestów Kaliny Przygody podkreślało dzwonienie i brzęczenie dziesiątek różnobarwnych bransoletek, wisiorków, koralu i kolczyków, którymi tradycyjnie się obwiesiła.

Salka jak zaczarowana zajęła ostatnie wolne miejsce przy stole, między jedzącą w milczeniu panią Matyldą a coraz bardziej rozemocjonowanym ojcem. Siedzący naprzeciwko Niedaś łypnął w jej stronę.

– O, babka szasta kasą? – zainteresował się natychmiast na widok koperty w dłoniach siostry. – Łupy do podziału czy na wyłączność?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Rany, siostra, no to co tak siedzisz jak ta sierota! – Błyskawicznie sięgnął ponad stołem, próbując wyrwać łup, lecz tym razem Salka wykazała się refleksem. Na samą myśl, że Niedaś miałby położyć łapska na skarbie babci, włosy stawały jej dęba.

– Zostaw!

Powoli, by nie uszkodzić starego papieru, rozchyliła kopertę i wyciągnęła z niej czarno-białe zdjęcie. W przeciwieństwie do tych, które zdobiły ścianę w mieszkaniu babci, to wyglądało, jakby nikt nigdy nie trzymał go w dłoniach. Jak gdyby raz włożone do skrytki w niciarce spoczywało w niej nieprzerwanie przez dziesiątki lat.

Salka tylko zerknęła na fotografię i nagle poczuła, jak opuszcza ją głód, a nachodzą mdłości.

Widelec pani Matyldy z brzękiem uderzył o parkiet.

\*\*\*

Rodzice byli niepokieszeni, Niedaś wciąż głodny, a pani Matylda nieugięta. Naciągnawszy płaszcz, czekała cierpliwie, aż młodzież zbierze się do wymarszu. Protesty ze strony Przygodów zbyła krótko.

– Bardzo dziękuję za gościnę, ale na nas już pora. Musimy znaleźć

Reinharda Petersa, zanim będzie za późno.

– Pani wybaczy – rzekł Paweł Przygoda, wpieryw odchrząknawszy, co zwykle świadczyło o jego konsternacji – ale na to jest już chyba za późno. I to od dosyć... no, dawna. Dziadek Rysz... znaczy dziadek Rein... znaczy mój dziadek, jak zwał, tak zwał, zmarł po długiej i ciężkiej chorobie jeszcze w latach trzydziestych, kiedy mama miała trzy lata.

Na te słowa pani Matylda uśmiechnęła się kpiąco.

– Co też pan powie. A jakaż to była choroba, jeśli wolno spytać?

– No... – bąknął Paweł Przygoda, łypiąc w kierunku żony w poszukiwaniu ratunku – no cóż... długa... i ciężka.

– Ach, no tak. Dość częsta przypadłość w tamtych niełatwych czasach. Tak czy owak, miło było państwa poznać. Proszę przekazać matce... – Tu urwała i zamyśliła się na chwilę.

– Tak?

– Proszę jej przekazać, że może już spać spokojnie.

– Oczywiście, oczywiście, przekażę. Yyy... Ona zapewne zrozumie, w czym rzecz?

– Niestety.

Basia tymczasem walczyła o oddech w czułym uścisku dzwoniąco-rozświergotanej pani Kaliny, która zdążyła już zdjąć z niej miarę na zimowe sari, zmienić fryzurę na „mniej konserwatywną”, zaplanować ceremonię ślubną w trzech obrzędkach i omówić najciekawsze pozycje do poczęcia wnucząt w odniesieniu do koniunkcji planet i poziomu wilgotności powietrza, z uwzględnieniem niezbędnej rozgrzewki i ziołowych suplementów diety. Ten ostatni element szczęśliwie umknął Niedasiowi, który porzucił przyszłą matkę swych dzieci na rzecz słoików z wałówką i pognał z nimi na dół, zanim ojciec zmieni zdanie i dojdzie do wniosku, że ani myśli dzielić się buraczkami z wygłodniałym potomstwem. W rezultacie na ratunek Basi musiała przyjść Salka, bardziej zaprawiona w bojach z matką i jej atakami wylewności, dzięki czemu już kwadrans później dotarły do samochodu. Mydelniczka popruła z powrotem do Wrocławia, choć tym razem z nieco mniejszą energią, jako że szybko zapadał zmierzch.

Podczas gdy na przednich siedzeniach życie towarzyskie toczyło się



w najlepsze przy trzaskach łąpiącego częstotliwość radia, z tyłu panowało posępne milczenie. Salka wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w coraz ciemniejszy krajobraz, który przemykał za oknem, a pani Matylda siedziała ze śpiącym Royem Keane'em na kolanach, sama też z pozoru pogrążona w drzemce.

– ...tylko?

Otworzyła natychmiast oczy i zobaczyła, że Niedaś siedzi odwrócony do tyłu i czeka na reakcję z jej strony.

– Pani Matylda? Mała zwiecha?

– Tak, Niedasiu?

– O, jest kontakt! Niezła akcja z tym całym kom na hałze kinder machen i w ogóle spoko czad, ale tak sobie z braku laku konwersujemy z koleżanką i paru kawałków nie łąpiemy. – Skinął głową na Basię, a ta z zaciekawieniem zerknęła na panią Matyldę we wstecznym lusterku. – Znaczą oprócz tych wszystkich wstawek po szwabsku. Tobie wina, mnie wina...

– Nie wina, tylko wina. – Basia weszła mu w słowo.

– A co ja powiedziałem?

– Że wina wina.

– No! Jej też wina i tak dalej. Ej no, to wyście się znały czy jak? Z babką pra i nie pra?

– W zasadzie nie – odparła spokojnie pani Matylda.

– W zasadzie nie, czyli jak?

– W przypadku Jagi przelotem. W przypadku moim i Mili zaś wcale.

– No... no to... – Niedaś zawiesił się z lekka, a potem z jego ust padło pytanie, którego Salka, po rozmowie z babcią, za nic nie chciała zadać, pani Matylda natomiast usłyszeć. – No to po co tak w ogóle one do was przyszły?

\*\*\*

Niedługo potem zatrzymali się na stacji benzynowej, do której przylegała niewielka kawiarnia. Basia została na zewnątrz, żeby zatankować mydelniczkę, a pozostali schowali się w środku. Złożyli

szybko zamówienie i zajęli stolik najdalej od bufetu, w ciemnym kącie. Przed panią Matyldą raz-dwa pojawiła się szklanka obowiązkowej herbaty. Podziękowała za nią krótkim skinieniem głowy i w milczeniu oddała się systematycznemu podtapianiu torebki. Tymczasem Roy Keane chrupał swoje ukochane wafelki, które wyciągał jej z kieszeni, a Niedaś sączył cukier z dodatkiem kawy, zagryzając go tygodniowym sernikiem z polewą czekoladową i czymś, co z daleka wyglądało na rodzynki, choć wykazywało się nietypową jak na bakalie ruchliwością. Salka zaś na wszelki wypadek poprzestała na wodzie gazowanej. Za bardzo trzęsły jej się ręce, żeby ryzykowała z wrzątkiem.

Po paru minutach dołączyła do nich Basia ze swoją herbatą i zeschniętą jagodzianką.

– Paskudna pogoda – mruknęła, ściągając beret. Jasne włosy naelektryzowały się od włóczki i co drobniejsze kosmyki utworzyły aureolkę wokół jej głowy. – No dobra, to na czym stanęło?

– Babka szwargocze w obcych narzeczach, prababka fałszowała paszporty, a ta tutaj pani starsza zamierza robić za Tomb Raidera trzeciego wieku – podsumował szybko Niedaś. – Albo nawet czwartego.

– Racja, prawie wyleciało mi ze łba, a tego też nie rozumiem! Pani Matyldo, po co pani tak w zasadzie pradziadek nieboszczyk sprzed... przepraszam, ilu lat?

– Sześćdziesięciu sześciu.

Niedaś przydławił się serem.

– Czad... – wycharczał. – Czujecie ten okultyzm?

– Popij, dziecko – poradziła pani Matylda, po czym skupiła spojrzenie na Basi. – Powiedzmy, że mamy pewne niedokończone sprawy.

– Obawiam się, że raczej trudno je będzie pani domknąć. Żywi inaczej z reguły słabo współpracują. A ci całkiem sproszkowani to już w ogóle...

– Owszem. Coś o tym wiem.

Przy stoliku zapadła cisza. Basia wpatrywała się niepewnie w starszą panią, która jak gdyby nigdy nic delektowała się herbatą.

– Eee... pani Matyldo, ja... ja żartowałam?

– A ja nie.

– No dobra, zostawmy już te zwłoki – rzekł Niedaś, uporawszy się z resztkami sernika. – Ja nadal nie łapię, o co biega. Wychodzi mi, że obijamy sobie tyłki na jakichś wertepach, bo pierdylion lat temu nasza babka z prababką wpadły do pani na wino?

Matylda Bolesna wzięła głęboki wdech.

– Po pierwsze, nie do mnie, a do nas. Do całej naszej trójki, Jagi, Mili i mnie.

– Luzik.

– Po drugie zaś, nie wpadły na żadne wino.

– No to po co?

– Żeby głupi miał zagadkę – mruknęła posepnie Salka, lecz nie zwrócili na nią uwagi, zgodnie zapatrzeni w Matyldę Bolesną, która wyraźnie zbierała się w sobie.

– Przyszły dokładnie po to samo – podjęła po chwili – co wszyscy obcy, którzy do nas przychodzą od wielu, naprawdę wielu lat.

Na te słowa Salce stanęła przed oczami zapłakana kobieta od kurtki z futerkiem w cętki, a w uszach rozbrzmiały słowa, jakie wtedy padły z jej ust.

– Gdy już nie widzą innego wyjścia? – zapytała.

– Tak, Salomeo. Zazwyczaj właśnie wtedy.

– A pani je widzi?

– Zawsze. Ale nie zawsze mogę je im wskazać. Sęk w tym, że oni zwykle nie zdają sobie z tego sprawy i nie przyjmują odmowy do wiadomości.

– Ciekawe, skąd pani to wie...

– Po prostu wiem. Zawsze wiem. Widzę i wiem. – Spuściła wzrok na swoje dłonie o długich, sękatych palcach. – Wszystko.

– Wszystko, tak? – powtórzyła chłodno Salka. – W takim razie na pewno wie też pani, kto jest na tej fotografii. – Położyła na stole kopertę babci Przygodowej.

Upłynęło kilka minut, zanim pani Matylda po nią sięgnęła i wyjęła ze środka zdjęcie. Siedzący po drugiej stronie stolika Basia i Niedaś wyciągali głowy, lecz i tak nie widzieli nic poza palcem wskazującym

pani Matyldy, który wędrował od postaci do postaci.

– Renate Peters. Ilse Peters. Adalbert Peters.

– Adalbert? Adi?

– Tak, zdrobniale Adi. A to... – Odetchnęła, gdy jej palec zastygł nad fotografią. – A to, jak się domyślam, jest Reinhard Peters. Wasz pradziadek.

I po tych słowach Matylda Bolesna położyła fotografię na stole, tak by wszyscy mogli ją dobrze widzieć.

– O ja pierrr...

– Niedaś!

– ...rrrdziele.

Wykonane w atelier fotograficznym zdjęcie uwieczniło rodzinę Petersów w odświeżonych strojach – Renate, uśmiechnięta, ze swym słynnym warkoczem przewieszonym przez ramię, tak jak pamiętały ją prawnuki, choć znacznie młodsza, trzymała na kolanach małą, zawstydzoną dziewczynkę z loczkami, w której z trudem rozpoznali babcię Przygodową. Obok nich, z jedną dłonią na oparciu krzesła, na którym siedziały, stał szczupły chłopiec, na oko dwunastoletni, może nieco starszy. Z twarzy uderzająco przypominał matkę, odziedziczył po niej również jasne włosy. Patrzył prosto w obiektyw wielkimi oczami, w których na wieki zastygła figlarna, zadziorna iskra.

Po drugiej stronie zaś, górując nad pozostałymi członkami rodziny, stał prosto niczym struna Reinhard Peters w swego rodzaju mundurze, ciemnym i schludnym, ze lśniącoymi guzikami. Wysoki, posepny i srogi.

Niedaś zbladł, a Basia pozieleniała do kompletu.

– To... to wszystko prawda – wydusiła przez ściśnięte strachem gardło. Aż zakreśliło jej się w głowie od chaotycznych wspomnień, słów i dźwięków.

Krążące po mieście legendy o trzech siostrach ze starej willi przy Lipowej pięć, które usłyszała od dziadka. Dziwne szmery, szepty i inne odgłosy. Czarne wersy w różnych językach w *Warcrafcie*. I jeszcze te niewytłumaczone objawienia pani Matyldy.

A teraz – to. Twarz, której nie zapomnialaby za nic w świecie, o przerażających, płonących jakimś wewnętrznym żarem oczach.

Twarz człowieka rzekomo martwego od kilkudziesięciu lat. Naprawdę martwego. Tak całkiem całkiem. Na śmierć.

Człowieka, który ją napadł.

Pani Matylda wiedziała, że to nie był Niedaś.

Wiedziała od samego początku.

Ale... ale przecież twierdziła, że nigdy nie poznała Reinharda Petersa...

Tą okrężną drogą Basia Węgrzyn doszła wreszcie do konkluzji, od której poczuła w żołądku lekki uścisk i nadchodzące mdłości.

– Pani... pani naprawdę... Rany boskie, pani naprawdę jest... czarownicą?

Matylda Bolesna uśmiechnęła się blado. Odruchowo zaczęła głaskać po łebku Roya Keane'a, który wpakował jej się na kolana.

– Gorzej, dziecko – odpowiedziała cicho. – Znacznie gorzej.

Z fotografii spoglądał na nich złowrogo sobowtór Niedasia Przygody.

## Rozdział 15, w którym siostry Bolesne biorą sprawy w swoje ręce

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, czym całkowicie ją zaskoczyły. Spodziewała się co najmniej złowieszczego zgrzytu, brzęku, czegoś, co dźwiękiem oddałoby dławiający ją strach, czegoś równie przerażającego jak huk nieodległych dział. Tymczasem na progu stanęła korpulentna kobieta z lampą w dłoni.

– Tak?

– Ja chciałam... – Niemka zaczęła po polsku, lecz urwała, słysząc swój głos. Zachrypnięty. Obcy. – *Ich möchte diese drei junge Damen in einem wichtigen Fall sehen*<sup>22</sup>. Bardzo ważnej.

– Oczywiście, oczywiście. – Kobieta ze zrozumieniem pokiwała głową, po czym zerknęła za siebie. – Tyle że... widzi pani...

– Błagam panią! Przyszliśmy tu z Memellandstrasse, ja muszę się z nimi zobaczyć!

– Aż z Memellandstrasse? Pod samiuśki front? – zdumiała się kobieta i w tym samym momencie dostrzegła, że z za drobnej Niemki wygląda blade, wystraszone dziecko, kurczowo uczepione jej płaszczu. – Panienko przenajświętsza! – zakrzyknęła i natychmiast skuliła się jakby w przestkach. – Taki kawał, na dodatek z tą kruszyną? Wejdźcie, wejdźcie, tylko cicho, na litość boską...



Pospiesznie poprowadziła je ciemnym korytarzem i usadziła przed wygaszoną już kuchnią z fajerkami, od której wciąż jeszcze buchało przyjemne ciepło, po czym zakrzęta-nęła się przy kredensie. Po chwili wręczyła dziecku wysoki kubek.

– Masz, ptaszyno, pij na zdrowie.

– *Mutti!* – pisnęła dziewczynka, wpatrując się wielkimi z zaskoczenia oczami w drogocenną zawartość naczynia. – *Es ist ein Milch, Mutti! Ein echter Milch!*<sup>23</sup>

– *Danke der Dame, Ilse*<sup>24</sup>.

– *Danke, ich danke Ihnen sehr!*<sup>25</sup>

– Na zdrowie, ptaszyno, na zdrowie. Musicie poczekać – wyjaśniła Niemce. – Córki przyjmują... gościa. Kogoś bardzo... – Tu zawahała się i na okamgnienie uniosła zatroskany wzrok w stronę sufitu. – Bardzo ważnego.

– Rozumiem, *Frau Bolesna*.

Siedziały przy kuchni w całkowitej ciszy, jedynie przy świetle lampki. Okna były zabite deskami, a ogień starannie wy-gaszony na noc, by unoszący się z komina dym nie przyciągnął niepożądaney uwagi. Ilse pomału piła mleko, rozkoszując się każdym chłodnym łykiem, i patrzyła, jak w dłoniach starszej kobiety migają druty, spod których rząderek za rządkiem spływała robótka.

Naraz gdzieś nad nimi zadudniły kroki. Ciężkie. Szybkie.

Kroki żołnierza.

Pani Bolesna rzuciła przybyłej ostrzegawcze spojrzenie i przytykając palec do ust, dała znak dziewczynce, by ani pisnęła.

Wówczas na piętrze z hukiem otworzyły się drzwi i potok warkoczącej niemczyzny zalał cały dom.

– ...*schamlose Dirne!* – rzucił rozwścieczony męski głos. – *Du... du polnische...*<sup>26</sup>

– *Mutig, Herr Gauleiter. Genieren Sie sich nicht!*<sup>27</sup>.

Niemka w ostatniej chwili zasłoniła usta dłonią, dusząc w nich okrzyk przerażenia. Samochód! Dopiero teraz uświadomiła sobie, że gdy skręciła w Lindenallee, na końcu ulicy przelotem dostrzegła jakiś samochód osobowy. Samochód! Tu, w Breslau! W trakcie oblężenia, kiedy nieprzyjaciel był już niemalże u drzwi okolicznych domów! Boże wszechmogący!

Pani Bolesna zamknęła oczy. Modliła się bezgłośnie.

Cisza.

– *Sind Sie sicher?* – odezwał się męski głos, wciąż wzburzony, lecz



tym razem zamiast wściekłości dźwięczał w nim niepokój. – *Gibt es keine Hoffnung?*<sup>28</sup>

– *Nein, Herr Gauleiter. Nur der Tod wartet auf Sie in Breslau*<sup>29</sup>.

– *Und wenn... Und wenn ich aus Breslau flüchten würde?*<sup>30</sup>

– *Man kann manchmal vor etwas fliehen wollen, aber nicht immer flüchten darf, Herr Gauleiter*<sup>31</sup>.

Kroki zadudniły raz jeszcze, wpierw na schodach, potem zaś w korytarzu. Trzasnęły drzwi wejściowe.

– Jezusie Nazareński... – załkała pani Bolesna, chowając twarz w dłoniach. – Słodki Jezu, uchowaj nas przed podłością tego człowieka.

– *Mutti? Was ist passiert?*<sup>32</sup>

– *Nichts, meine Liebe, nichts*<sup>33</sup>. – Niemka pospiesznie uspokoiła córkę, po czym zwróciła się do starszej kobiety: – To był... to był on?

– Jeśli ma pani na myśli miłościwie nam panującego gauleitera Hankego, to owszem – odpowiedziała jej wysoka panna, która wkroczyła do kuchni, niosąc oburącz średnich rozmiarów paczkę.

– Na litość boską, Matyldo! – zakrzyknęła na jej widok pani Bolesna. – Mało nam nieszczęść, że chciałaś ściągnąć kolejne, prowokując tego człowieka?

– Mama niepotrzebnie się przejmuję. Nic by mi nie zrobił. Niech mama się raczej martwi tymi, którzy za dzień czy dwa zapukają do naszych drzwi.

– A skąd ty możesz wiedzieć, czy...

– Mogę – przerwała jej córka i postawiła paczkę na stole. – W przeciwnym razie jego stopa nie stanęłaby w tym domu. Tak samo jak stopa tej pani. – Skinęła głową na Niemkę. – Dobry wieczór.

– Dobry wieczór, *Fräulein*.

– Pani zapewne do nas?

– Tak, *Fräulein* – odparła. Nie mogła oderwać wzroku od tych niesamowitych żółtych oczu, które wpatrywały się w nią z przenikliwością nieprzystającą do młodego wieku panny Bolesnej. Nie, nie panny, zaraz poprawiła się w myślach. Siostry. Tak właśnie wszyscy o nich mówili, czy to głośno, czy to szeptem, czy to

półgębkiem, wypluwając z siebie przekleństwa. Siostry Bolesne.

– Siostry są w salonie. Zapraszam zatem, skoro wie pani, na co się pisze.

Kobieta próbowała wstać, lecz świadomość tego, po co tu przyszła, naraz przygniotła ją całym swym ciężarem, unieruchamiając na kuchennym krześle. Nie umknęło to uwadze siostry Bolesnej. Córka także spojrzała na nią z przestrawieniem.

– *Mutti?*

– *Das ist nichts, Ilse. Ich bin einfach müde*<sup>34</sup>.

Podźwignęła się wreszcie.

– *Ilse, bleib hier*<sup>35</sup>.

– *Aber ich will mit Ihnen gehen!* – zaprotestowała rozpaczliwie dziewczynka. – *Bitte, Mutti! Lassen Sie mich nicht allein!*<sup>36</sup>

Kobieta spojrzała niepewnie na siostrę Bolesną.

– To pani dziecko, a więc i pani decyzja.

– Nie będzie przeszkadzać?

Wzruszyła ramionami.

– Nam? Nie, nam nie. My mamy czyste sumienia.

Niemka już otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz zaraz zamknęła je z powrotem. Spojrzała na swoje dłonie, całe w zaschniętych, rdzawych plamach. Mimowolnie zacisnęła pięści.

– *Komm, Ilse*<sup>37</sup>.

Zostawiwszy w kuchni panią Bolesną, która pospiesznie zabrała się do rozpakowywania paczki, przeszły w całkowitej ciemności do salonu, gdzie przy lampie siedziały dwie młode dziewczyny. Jedna z nich nachylała się w słabym świetle nad grubą książką, jak gdyby niedawne wrzaski gauleitera nie zrobiły na niej żadnego wrażenia, druga zaś w zamyśleniu zwijała w motek wełnę z wiklinowego kosza, który stał u jej stóp.

– Proszę. – Matylda gestem nakazała kobiecie i dziewczynce, by usiadły na sofie pod ścianą.

Zaczytana siostra podniosła głowę.

– Ach. Więc przyszła pani. – Z nieskrywaną niechęcią zamknęła książkę. – Sądziłam, że udało mi się przemówić pani do rozsądku.

– Dobry wieczór, *Fräulein* Jadwigo.

– Dobry wieczór. Pamiętasz, Matyldo, opowiadałam ci?

Ta przytaknęła, zajmując miejsce w fotelu pod oknem. Zmarszczyła brwi.

– Owszem, pamiętam. Lecz my nie wskrzeszamy zmarłych, *Frau* Peters. Nawet tak... świeżych.

Przed oczyma Renate Peters mignęły wspomnienia z Kaiserstrasse, wciąż żywe i krwawe. Zadygotała.

– Wiem – odparła przejmującym szeptem, opanowując się z wielkim wysiłkiem. Poczowała na swym nadgarstku drobną dłoń Ilse. – I nie o zmarłych mi chodzi, *Fräulein*, ale o żywych. – Wciągnęła powietrze, a potem wypuściła je głośno przez nos. – O żywych, którzy powinni zapłacić za wyrządzone zło.

Jaga i Matylda długo patrzyły po sobie, a potem ta druga zapytała cicho:

– O co nas pani prosi, *Frau* Peters?

Kątem oka spojrzała na córkę. Ilse słabo rozumiała po polsku, więc jeśli zachowa ostrożność, jeśli będzie ważyć słowa, to może... może...

– O sprawiedliwość.

– Nie – odparła stanowczo Jaga. – O zemstę.

– Pani wybaczy, ale dla mnie to bez różnicy. Była tam pani. Słyszała ten piekielny wizg i widziała, co wczoraj zrobiły pociski na Kaiserstrasse. Widziała pani te... – zachłysnęła się powietrzem i raz jeszcze zacisnęła pięści, aż pobielewały jej kłykcie – te strzepy... które zostały z mojego syna. Jeden z nich przykleił się jakiemuś żołnierzowi do buta, a on... on strzepnął go z obrzydzeniem, jakby to było psie...!

– Przełknęła ostatnie słowo razem z łzami.

– Żyjemy w twierdzy, *Frau* Peters – odparła spokojnie średnia siostra. – Od miesiący obleganej przez radzieckie wojska. Ludzie giną tu dzień za dniem. Dziesiątkami. Setkami.

– Adi nie musiał. Mógłby żyć, gdyby... gdyby tylko on pozwolił nam się ewakuować, zanim Breslau ogłoszono twierdzą.

– Ewakuować? – prychnęła Jaga. – Pod lufami karabinów? Pieszko, na dwudziestostopniowym mrozie, starców, kobiety, dzieci? Nie, *Frau* Peters, nie nazwałabym tego ewakuacją. Prędzej masowym mordem.

Równie dobrze mogła pani opłakiwać swego syna nie wśród gruzowisk Kaiserstrasse, tylko gdzieś u podnóża Sudetów, w jakimś przydrożnym rowie... albo paść trupem obok.

– Pani tam była, *Fräulein* Jadwigo!

– Tak, byłam. Wie pani, ile takich ludzkich strzępów widziałam przez te ostatnie miesiące? Ile krwi? Ile łez? Ile rozszarpanych ciał, w których nierzadko wciąż rozpaczliwie tliło się życie? A pani chce tak po prostu...

Z każdym słowem Jagi Bolesnej jasna głowa Renate Peters pochylała się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie z jej gardła wyrwał się niski, przeciągły skowyt.

Siostry Bolesne siedziały w milczeniu i patrzyły, jak zapłakana kobieta wyje przeraźliwie w objęciach przerażonej, oniemiałej córeczki, jedyne dziecko, jakie jej zostało.

– Nie możemy – rzekła Jaga półgłosem.

– Możemy – odparowała Matylda. – Pozostaje jedynie pytanie, czy to zrobimy.

– Ty się zastanawiasz?! Oszalałaś, Matyldo? Już zapomniałaś?

– Muszę zobaczyć.

– Matyldo!

– Muszę.

Zanim Jadwiga zaprotestowała gwałtowniej, jej starsza siostra zerwała się z fotela i pospieszyła na piętro, pomimo ciemności bez trudu znajdując drogę. Korytarz. Schody. Korytarz. Drzwi.

Przystanąła tuż za progiem. Wyciszyła się. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Wdech...

Tam.

Paroma krokami dopadła komódki w odległym kącie. Pewnie wyłuskała z szufladki właściwą szpulkę, po czym pomału, z namaszczeniem zaczęła rozwijać nić między palcami.

Czuła.

Widziała.

I już wiedziała.

Nagle jakaś dłoń złapała ją za nadgarstek i rozległ się wzburzony syk Jagi:

– Chcesz wymierzać sprawiedliwość? Bawić się w zbawcę? Więc czemu nie Hanke? Czemu nie on, tylko jakiś...

– Reinhard Peters. Tramwajarz – dopowiedziała szybko. – Jest tramwajarzem. I złym człowiekiem, Jaguś. Bardzo, bardzo złym...

– Matyldo!

– ...zgłosił się na ochotnika do Brandkommandos, rozumiesz? Ale go nie wzięli, więc wstąpił do Volkssturmu i teraz...

– Matyldo, nie! Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Słyszę.

– Ale nie słuchasz, w tym sęk! Jak zawsze!

– Możemy coś zmienić!

– Nie! Nie możemy! Nie wolno nam!

– Taka jesteś mądra? No to śmiało, zejdź tam i powiedz tej kobiecie prosto w twarz, że nie pomścisz jej dziecka, bo nie! Bo ci nie wolno!

– Wiesz, ile takich kobiet jest w całym Breslau? – zapytała Jaga nieco bardziej opanowanym głosem. – Ile dzieci radzieckie pociski i bomby poszatkowały na kawałki, których nie dało się nawet zeszkrobać z chodników i złożyć do trumny? Ilu starców spłonęło żywcem, bo nie zdążyli uciec przed ogniem Brandkommandos, albo zginęło pod walącymi się kamienicami? Chcesz ich wszystkich pomścić?

– Nie!

– Nie? – zdziwiła się Jaga. – A dlaczego nie? W czym ten chłopiec jest lepszy od tamtych? Czym jego śmierć różni się od tysięcy innych śmierci, które nas otaczają dzień po dniu?

– Tym, że ona do nas przyszła – wycedziła Matylda Bolesna, prostując się odruchowo. – Jego matka. A winę za jego śmierć ponosi nie ogień, nie pocisk, nie sterta gruzu, tylko własny, rodzony ojciec. Ojciec! – Uniosła szpulkę. – A wiesz, co w tym wszystkim przeraża mnie najbardziej, Jaguś? Że on tego w ogóle nie żałuje. Wręcz przeciwnie. Poświęci też i córkę dla tego przeklętego Festung Breslau, jeśli tylko znajdzie sposób, żeby posłać ją na pewną śmierć. Ku chwale ojczyzny, Jaguś.

Oddychała ciężko, ściskając szpulkę w dłoni. Nić niemal parzyła jej skórę, jakby uśpione w niej zło próbowało przegryźć się przez ciało

do krwi i dalej, do mózgu, do serca, do całej duszy. Miała ochotę cisnąć ją na ziemię i zdeptać niczym obrzydliwe robactwo.

– Sama i tak nic nie zrobisz – odezwała się głucho Jaga po chwili ciszy, która aż dzwoniła im obu w uszach. – Nie możesz. A Mili nie przekabacisz.

– Ach, czyżby?

Było ciemno – tak przez następne lata, wbrew protestom średniej siostry, powtarzała uparcie Matylda Bolesna, gdy tamte chwile wracały do nich jak zły sen. Okna w całym domu przesłaniały deski i ciężkie kotary, a przecież one nie zabrały na górę żadnej, choćby najmniejszej lampy, przyzwyczajone do poruszania się w mroku. Było ciemno. Potknęła się czy zachwiała, już sama nie pamięta. Zresztą czy to istotne? Tak czy owak, spadła. Zatrzymała się dopiero na balustradzie półpiętra, uderzając prosto o zdobione tralki z żeliwa, a przeszywający ból zaparł jej dech w piersiach. Powyżej słyszała krzyk Jagi, poniżej – krzyki matki i Mili. I dziecka. Krzyki. Nic, tylko krzyki. Ze wszystkich stron.

Tak, było ciemno. A to był wypadek. Potknęła się. Ot, zwyczajny pech.

Pamiętała, jak leżała na kanapie w salonie, a nad nią pochylały się matka z Milą, trzymając wysoko lampy, tak by Jaga miała jak najwięcej światła. Łzy uporczywie napływające do oczu średniej siostry. I tamto dziwne uczucie, kiedy gruba nić przedzierała się przez jej ciało w ślad za igłą i ściągała brzegi rany. Najlepiej jednak pamiętała to, co było potem.

Jaga już nie protestowała.

Mila tylko skinęła głową, cicha i potulna jak zawsze.

A Renate Peters zatrzymała się jeszcze na progu salonu, z usypiającą ze zmęczenia i przerażenia Ilse na rękach, wciąż całych w zaschniętej krwi syna, spojrzała na trzy siostry niewidzącym wzrokiem i rzekła:

– *Es war sogar nichts zu begraben... also er wird keinen Grab haben. Wie ein Hund*<sup>38</sup>.

## Rozdział 16, w którym Niedaś zajada stres

Rany boskie, rany boskie, rany boskie... – bełkotał w kółko Niedaś, od kwadransa gapiąc się na pradziadka.

– Co się działo na tym... coś tam strasse? – zapytała cicho Salka.

– Kaiserstrasse. – Basia z przejęcia zapiszczała jeszcze bardziej niż zwykle, po czym odkaszlnęła, zażenowana. – Czyli dzisiejszy plac Grunwaldzki, począwszy od mostu i dalej. Jeśli dobrze pamiętam, to w trakcie oblężenia Festung Breslau wydano rozkaz wyburzenia okolicznych kwartałów i budowy lotniska.

Pani Matylda skinęła głową.

– W całym mieście oddziały Brandkommandos wypędzały ludzi z ich domów, oblewały je paliwem i podpalały – dodała. – Ulica po ulicy, dzielnica po dzielnicę. A potem tych samych ludzi zmuszano, by pod radzieckim ostrzałem budowali ten przeklęty pas startowy, wedle życzenia gauleitera Hankego. Ginęli jak muchy.

– Wielu?

– Według historyków... niech no pomyślę... o ile mnie pamięć nie zawodzi, nawet trzynaście tysięcy. W tym Adi, brat waszej babci. – Postukała palcem w zdjęcie. – Na swoje nieszczęście miał ojca z przerostem patriotyzmu i skończone dwanaście lat. W sam raz, by pierwszego dnia zginąć dla sterty gruzu na oczach rodzonej matki. Wszak nie od dziś wiadomo, że *dulce et decorum est pro patria mori...*<sup>39</sup>

– A pani postanowiła go pomścić?

Starsza pani zacisnęła usta.

– Tak – odparła wreszcie. – I do końca swych dni będę tego gorzko żałować.

Oszołomiona Basia pokręciła głową.

– Nie, ja nic z tego nie rozumiem. Dlaczego go po prostu... nie wiem, nie otruła? Tradycyjnie żony chyba tak pozbywały się mężów skurczysynów, nie?

– Rany boskie, rany bos... Nie, ja muszę coś zjeść! – rzucił

niespodziewanie Niedaś, po czym zerwał się z miejsca i po-pędził z powrotem do bufetu.

– Zajada stres – wyjaśniła krótko Salka. – W czasie sesji żywi się głównie cukrem w kostkach.

– Pewnie była za słaba, żeby zabić go własnymi rękami, nawet gdyby miała tylko dosypać nimi truciznę do kawy – stwierdziła pani Matylda. – A ja... cóż, byłam za silna, żeby jej odmówić. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Dziewczyny wymieniły niepewne spojrzenia. I jednej, i drugiej tłukło się po głowie to samo pytanie – lecz ani jedna, ani druga nie mogła się przemóc, żeby je zadać.

W roli rycerza w lśniącej zbroi, który wziął niebezpieczeństwo na klatę, wystąpił Niedaś z tacą zastawioną ciastami na różnym etapie świeżości – były tam drożdżowe z kruszonką i kolejna porcja sernika z polewą czekoladową, i jeszcze drugi sernik, tym razem na zimno, zwieńczony roztrzęsioną galaretką, i potężny kawał krówki, i lekko zapadnięta wuzetka, i prozaiczna szarlotka, i kilka centymetrów rolady owocowej, a do tego dwa ptysie z zeszłego tygodnia i wielka eklerka.

– Nie mieli seromaku – oznajmił smętnie, klapnąwszy ponownie na swoje miejsce. – Ani makowca. Co to za życie bez makowca? – Westchnął, po czym wpakował do ust pół krówki i skupił się na przeżuwananiu. Po chwili cukier chyba uderzył mu już do głowy, puszczając w ruch odpowiednie trybiki i kojąc skołatane nerwy, bo Niedaś najpierw się rozluźnił, a potem zmarszczył czoło w głębokim zamyśleniu. – No dobra, wszystko cacy. Dziadunio był szuja pierwszej wody, więc prababcia postanowiła wynająć kilerów, żeby go profesjonalnie sprzątnęli. Spoko kredens, bywa i tak, łatwiej drania odstrzelić, niż dostać rozwód. Ja wszystko rozumiem. Tylko tak sobie, hm, tak sobie myślę... czemu polazła z tym do was?

– Przez Jagę. – Pani Matylda parsknęła gorzkim śmiechem. – Jaga już wtedy miała nie po kolei w głowie. Nie bała się ani Niemców, ani Rosjan, ani żadnych pocisków i całymi dniami snuła się po najciężej ostrzeliwanych dzielnicach. Chciała zostać lekarzem, potrafiła to i owo, więc ratowała, kogo się tylko dało. Kiedy wojsko zaczęło



spędzać ludzi z nakazem pracy na Kaiserstrasse, chodziła głównie tam. Pierwszego dnia wróciła wyjątkowo późno, długo po zmierzchu, usiadła w kuchni i po prostu zalała się łzami. Nigdy wcześniej, przez całą wojnę, przez całe oblężenie nie uroniła choćby jednej łzy, aż tu nagle... – Rozłożyła ręce, po czym delikatnie opuściła je z powrotem na kolana, gdzie drzemał Roy Keane. – Tamtego dnia widziała na własne oczy, jak na Bogu ducha winnych mieszkańców miasta posypały się radzieckie pociski i niemiecki gruz. Straciła rachubę, ilu rannych przyszło jej opatrywać. To wtedy poznała waszą prababkę.

– Prababcia została ranna?

– O dziwo, nie.

– Czemu o dziwo?

– Bo stała jakieś dwa metry od swojego syna, z którego nie zostało zbyt wiele.

Na te słowa Niedaś wsadził sobie do ust całą eklerkę.

– Niemcy nie zapędzili pani Jagi do robót? – zdziwiła się Basia.

– Bali się tknąć nas choćby palcem.

– Dlaczego?

W tym momencie pani Matylda uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu godzin.

– Zwykle przez Hankego. Miał do nas... słabość.

– A kim był ten cały Hanke? – zapytał Niedaś, który przymierzał się do ptysia.

– Gość miał ksywę „kat Breslau” – burknęła Basia. – Mówi ci to coś?

– Owszem, subtelnie sugeruje to i owo.

– No to resztę sobie wyguglaj.

– A niezwykle? – nagle odezwała się Salka.

– Słucham?

– Powiedziała pani, że zwykle bali się przez Hankego. A niezwykle?

Przez chwilę patrzyły sobie prosto w oczy. Wiele je różniło, nie tylko wiek, lecz obie z pewnością były tak samo uparte.

Niespodziewanie pani Matylda złożyła broń.

– Rozumiem. Przyszła pora na całą prawdę, czy tak?

Salka wzruszyła ramionami. Sprawiała wrażenie przytłoczonej tym

wszystkim, co się wokół niej działo. Z jej bladej twarzy zniknął wszelki wyraz.

– Odkryłam dzisiaj, że moja babcia jest z pochodzenia Niemką, że miała brata, który zginął w średnio ciekawych okolicznościach, a prababcia postanowiła w odwecie zamordować pradziadka, bo go winiła za śmierć syna. Ach, no i ten pradziadek wygląda jota w jotę jak Niedaś. Znaczący raczej w drugą stronę, to Niedaś wygląda jak pradziadek... Zresztą nieważne. Nie, niczym pani tego nie przebiję, pani Matylde. Ale chyba wszyscy chcielibyśmy się w końcu dowiedzieć, dlaczego prababcia Renata przyszła z tym do was, zamiast przekupić pierwszego lepszego zakapiora, żeby zatłukł jej męża cegłą w jakimś ciemnym zaułku, albo po prostu zaczekać, aż Rosjanie wejdą do miasta i załatwią sprawę.

– Rany, siostra, wyluzuj...

– A ty choć raz daruj sobie te twoje durne komentarze! – fuknęła na brata, który położył uszy po sobie i pochylił się nad resztkami ptysia, po czym zwróciła się z powrotem do starszej pani. – Więc jak będzie, pani Matylde?

Matylde Bolesna potrzebowała paru minut, żeby zebrać się w sobie.

– Zawsze jesteśmy trzy – zaczęła ściszone głosem. – Trzy siostry. Identyczne. Cóż, Jaga pewnie zaraz by mnie poprawiła, że nie identyczne, tylko jednojajowe, ale dla mnie to bez różnicy. Nie w tym rzecz. Nie przychodzimy na świat zbyt często, raz na pół miliona urodzeń. To spada na nas nagle i równie nagle się kończy, gdy... – Urwała.

– Gdy?

– Gdy nadchodzi ten dzień, kiedy jedna z nas umiera – dokończyła niechętnie pani Matylde. – Wtedy gdzieś na świecie inne trzy siostry ni stąd, ni zowąd odkrywają, że pewne nici w ich dłoniach zaczynają... cóż. Żyć.

Cała trójka gapiła się na nią tępo. Niedaś odruchowo sięgnął po kolejny kawałek ciasta.

– No dobrze – westchnęła. – To może spróbujemy inaczej.

Z czeluści torebki wyciągnęła małe metalowe pudełko, które postawiła między nimi na stole. Uniosła ostrożnie wieko, ukazując im

trzy różnobarwne szpulki. Wzięła do prawej dłoni pierwszą z brzegu – wąską, złocistą – i pomału zaczęła rozwijać, jednocześnie okręcając nić na palcu lewej dłoni. Jej żółte oczy zalśniły...

– Masz siostrę – odezwała się nagle, zerkając przelotem na Basię, po czym znów skupiła się na nici.

– To chyba logiczne. – Dziewczyna prychnęła nieufnie. – Skoro mam szwagra, o czym doskonale pani wie, to muszę mieć i siostrę.

– Jest przewodniczką – ciągnęła pani Matylda niezrażona. – Oprowadza niemieckie wycieczki po Wrocławiu. To od niej wiesz o Hankem, o lotnisku na Kaiserstrasse... o całej historii Festung Breslau.

– Skąd pani... – pisnęła Basia, lecz nagle utkwiała wzrok w złocistej nici, którą starsza kobieta nieprzerwanie owijała wokół palców. Jej piwne oczy otwierały się coraz szerzej i szerzej, aż osiągnęły rozmiar bez mała spodków. – O Jezu...

– Kiedy miałaś osiem lat, zmarł twój pradziadek. Biegałaś po klasie z jego zdjęciem, podtykałaś dzieciom pod nos i powtarzałaś: „Mój pradziadek nieboszyk nawiedzi cię tej nocy”. Z całego pogrzebu pamiętasz tylko... – zmarszczyła czoło – pamiętasz tylko... tak, paznokcie. Pytałaś mamę, dlaczego pradziadek ma fioletowe paznokcie, ale ona nie potrafiła albo nie chciała ci tego wyjaśnić.

– Później się dowiedziałam – szepnęła Basia, wpatrzona w nić. – Przez niedotlenienie. Miał raka płuc, po prostu się udusił i... i stąd ten kolor...

Dłonie pani Matyldy znieruchomiały, a wraz z nimi zatrzymała się nić o barwie złota.

– Norny. Mojry. Parki. Różnie na nas mówili. Trzy siostry. Zawsze trzy. Ta, która przędzie, ta, która strzeże, ta, która przecina. Z chwilą gdy choć jedna z nas umiera, pozostałe natychmiast tracą swoją moc, a nasze miejsce zajmują inne trzy siostry.

– A-ale że co, że jak? – Basia z emocji aż podskoczyła na swoim miejscu. – Że... że niby wy? Te tam... te całe...?

– Tak.

– A pani robi co? – wychrypiała Salka, gdy pierwsza odzyskała jaką taką władzę nad własną krtanią.

– Strzeżę.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, usiłując wyskrobać z pamięci mizerne resztki tego, co w szkole wbijano jej do głowy na lekcjach polskiego.

– Przecież jest pani najstarsza, nie powinna pani pruć?

– Nie. Nie sztuką jest zacząć życie ani je zakończyć. Najtrudniej go strzec i nie dać się przy tym zwieść na manowce.

– A pani się dała.

– Raz. Jeden jedyny raz. – Zwinęła starannie nić i z powrotem zamknęła w pudełku. – Ci, którzy o nas wiedzą, czasem przychodzą i proszą o różne rzeczy. Zwykle o szczęście albo zdrowie, często też o pieniądze... Żebyśmy coś zmieniły w ich życiu, uprzedły je na nowo, tak jak oni by tego chcieli.

– Możecie?

– Pytasz, czy potrafimy? Czy raczej: czy nam wolno?

– I to, i to.

– Owszem, potrafimy. I w pewnych sytuacjach wolno nam to zrobić. Wolno nam uprząść fragment nici na nowo, choć nie jest to łatwe.

– A przeciąć? – zapytała Salka tak cicho, że pozostali z trudem ją dosłyszeli. – Możecie ją przeciąć, jeśli ktoś o to prosi? Jeśli chce na przykład wymierzyć sprawiedliwość waszymi rękami?

– Nie, Salomeo. Tego nam robić nie wolno. Nigdy, przenigdy.

– Ale zrobiłyście to. – Powoli w głowie Salki wszystko zaczynało się układać w spójną całość. – Na prośbę prababci. Przecięłyście nić pradziadka Pio... Petersa.

– Tak.

– I świat się jakoś nie zawalił.

– Nie.

– Więc dlaczego pradziadek? A nie ten cały Hanke? Albo Hitler? Himmler? Stalin? Pol Pot? Dlaczego nie przecięłyście ich nici, a jego tak? Za mało mieli krwi na rękach?! – Ostatnie zdanie prawie wykrzyczała, bliska hysterii. Czuła bolesny ucisk w skroniach.

– Nie tym tonem, Salomeo! – syknęła pani Matylda, prostując się gwałtownie z groźnym błyskiem w żółtych oczach i o mały włos nie

zrzucając przy tym z kolan drzemiącej papugi. – Miałyśmy po piętnaście lat, kiedy obudziłyśmy się pewnego ranka i odkryłyśmy, że cały świat stanął na głowie. Nie objawił się nam żaden bóg, anioł czy demon, który wręczyłby nam szczegółową instrukcję i regulamin. Nie mogłyśmy złożyć reklamacji. Po prostu... nagle wszędzie zaroilo się od nici, a my widziałyśmy i potrafiłyśmy coś, czego nie widział i nie potrafił nikt inny. Ale nie miałyśmy żadnych drogowskazów. Same musiałyśmy dojść, co jest słuszne, a co nie. – Odetchnęła, wzięła łyk herbaty. Po raz pierwszy, odkąd Salka ją poznała, pani Matylda wyglądała na swój wiek, jakby ten powrót myślami do dawno minionych czasów wyrył nowe zmarszczki na jej twarzy i pogłębił stare. – Wokół toczyła się wojna. Nagle zostałyśmy same. Ojciec od nas odszedł, bo nie mógł znieść myśli o tym, kim stały się jego córki. A taki był dumny, że Jaga taka zdolna, że chce zostać lekarzem, podobnie jak on, że pewien młody oficer stara się o rękę Mili... Bardzo miły człowiek, przystojny, z klasą. Często zapraszał nas wszystkie do Haasego albo do Cafe Vaterland. Cóż. Przestał się starać, gdy po mieście zaczęły krążyć pierwsze plotki na nasz temat. Ojciec też zrejterował. W tajemnicy przed matką postanowiłyśmy więc uprząść jego nić na nowo, żeby to zmienić. I wrócił. Naprawdę wrócił! Boże, jak myśmy się z początku cieszyły! Tyle że... to nie był już ten sam człowiek. Jakby po domu krążyła pusta, wypalona skorupa. Aż w końcu... cóż, w końcu powiesił się w ogrodzie.

Basia krzyknęła cicho, Salka tylko rozdziawiła usta, oniemiała, za to Niedaś z całych tych nerwów o mało się nie za-dławił, usiłując upchnąć w ustach ptysia i sernik z galaretką jednocześnie.

Pani Matylda mówiła dalej.

– Wtedy do nas dotarło, że nie jesteśmy wszechmocne. Nie wolno igrać z ludzką wolą. Chciał, to odszedł. Trudno. Nie mogłybyśmy zmienić tego, co zrobił, nie zmieniając jego samego. Teraz też przychodzą do nas kobiety, mówią: „Mój mąż pije, bije, zmieńcie go. Albo niech się stanie coś, co go zmieni”. Nie zdają sobie sprawy, że zawsze jest coś za coś. Że za odmianę ich męża ktoś będzie musiał zapłacić. Że on przestanie pić czy bić czyimś kosztem, bo jedna zmiana pociągnie za sobą drugą w czyimś życiu. Ja to widzę. Nie

wszystko, nie zawsze, ale widzę. Tyle że wtedy, za pierwszym razem, nawet nie spojrzałam... – Otarła czoło lnianą chusteczką. – Tak, myślałyśmy o tym. Za każdym razem, gdy przez nasz dom przewijał się Hanke albo inna szuja, kusilo nas, żeby wziąć tę nić i... Ale wtedy już wiedziałyśmy, że skutki mogą być straszne, że mogą dosięgnąć wielu osób, zbyt wielu, abyśmy zdołały to przewidzieć, rozważyć wszystkie za i przeciw. Tak jak nie przewidziałyśmy z ojcem. I tylko ten jeden jedyny raz pomyślałam – zróbmy to. Przecinając przedwcześnie nić takiego Hitlera czy Stalina, w miejscu, w którym nie był im jeszcze pisany koniec, lecz wcześniej, nawet znacznie wcześniej, zmieniłybyśmy losy całego świata, ale co takiego zmieni śmierć jakiegoś tam zwykłego tramwajarza z Breslau... Dopiero po latach pojęłam, że na swój sposób chciałam wtedy ukarać i naszego ojca za to, co zrobił. Jaga z początku protestowała, lecz ustąpiła po... po tym całym wypadku. Nie przeciwstawiała się, kiedy robiłam Mili wodę z mózgu, ani nie próbowała nas powstrzymać, gdy ja rozciągałam nić na kołowrotku, a Mila sięgnęła po nożyce...

Umilkła.

– I co zmieniła śmierć tramwajarza z Breslau? – zapytała Basia po chwili ciszy.

– Nas. Mnie, Jagę, Milę... Zwłaszcza Milę. Dzień czy dwa później przeszedł front. Wkrótce potem Hitler popełnił samobójstwo. Twierdza skapitulowała i z niemieckiego Breslau stała się polskim Wrocławiem. Ja ukończyłam filologię klasyczną i zaczęłam uczyć łaciny, Jaga została lekarzem, tak jak zawsze chciała. Poznała tego swojego Tupatajkę, wyszła za niego i przez kilka lat nawet była szczęśliwa. Ale on też nie wytrzymał, odszedł. Nie próbowałyśmy go zatrzymać. Potem zmarła matka. A tymczasem Mila... Mila pomału, niepostrzeżenie zamykała się w sobie. Nic, tylko siedziała przy oknie w swoim pokoju i haftowała. Praktycznie przestała się do nas odzywać. Odróżniać dzień od nocy. Poznawać ludzi.

– Alzheimer?

– Nie, Salomeo. Sumienie. Smutna prawda jest taka, że moja najmłodsza siostra nie udźwignęła ciężaru, który osobiście złożyłam na jej barkach, i po prostu się pod nim złamała. A skoro już o niej

mowa... – Wbiła w Niedasia intensywne spojrzenie. – Co się wtedy stało?

– Eee... wtedy znaczy kiedy?

– Kiedy Mila, jak to ująłeś, szwargotała do ciebie po niemiecku. Tego samego dnia, gdy trafiła do szpitala.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Wpadłem na nią, gdy wychodziłem z łazienki. Wybałuszyła na mnie gały, coś tam poszwargotała, poszwargotała, dała mi jakąś nitkę i tyle ją widziałem.

– Nitkę?!

– No. Czerwoną taką. Przydała się, nie powiem. – Złapał za kurtkę.

– O, proszę, guzik sobie nią przyszyłem. – Zaprezentował jak gdyby nigdy nic.

– Jezus Maria... – jęknęła pani Matylda, wpijając palce w blat stołu, aż jej kłykcie pobielwały. – Niedasiu...

– No?

– Co on zrobił? Pani Matyldo, co on takiego zrobił? – dopytywała Salka, której z miejsca udzielił się namacalny niepokój siostry Bolesnej. – Coś ty zrobił?!

– Nic, jak mamunię kocham! Guzik sobie przyszyłem!

– Odciąłeś czy oderwałeś?

– Co?

– Odciąłeś czy oderwałeś? – powtórzyła pani Matylda przez zaciśnięte zęby.

– Ale co?

– NIĆ! Kiedy przyszywałeś guzik. Odciąłeś ją od szpulki czy oderwałeś?

– No oderwałem, a co?

– Jezus Maria... – Matylda Bolesna skryła twarz w dłoniach, drżąc na całym ciele.

– Niedaś, coś ty znowu zrobił?! – ryknęła Salka.

– Nic, siostra, po prostu przyszyłem sobie guzik!!! Na litość boską, to już człowiek nie może sobie przyszyć guzika jak człowiek?!

Nagły tumult przy stoliku przyciągnął uwagę bufetowej, która widząc poruszenie starszej kobiety, natychmiast przybiegła z kolejną herbatą i kroplami walerianowymi w dawce zdolnej uspokoić stado

słoni na amfie. Zapewniwszy ją, że panują nad sytuacją, „babci” nic nie jest i naprawdę, ale to naprawdę nie trzeba wzywać do niej karetki ani księdza, znowu zostali sami, choć bufetowa co rusz zerkała czujnie w ich stronę ze swego stanowiska, gotowa w każdej chwili ruszyć z odsieczą i wrzątkiem.

Przejęta Basia aż podciągnęła nogi na krzesło i przysiadła na piętach jak mała dziewczynka.

– Pani Matyldo – pisnęła. – Pani Matyldo, błagam, niech pani nam powie, o co chodzi z tą nicią.

– Nie wolno zrywać nici. Nieważne, czy żywej, czy martwej, nigdy nie wolno jej zrywać.

– Dlaczego?

– Żeby nie został żaden strzęp. Boże, teraz już wszystko rozumiem...

– No to git, bo my jak zwykle nic nie rozumiemy – stwierdził beztróska Niedaś.

Żółte oczy niemal wypaliły w nim dwie skwierczące dziury. Z trudem przełknął resztki ciasta.

– Nić nie zawsze umiera razem z człowiekiem – zaczęła pani Matylda cichym, choć pełnym napięcia głosem. – Z pozoru staje się taką samą nicią jak te, które można kupić w pierwszej lepszej pasmanterii. Ale czasem pozostaje w niej cząstka życia czy ludzkiej duszy, więc nie można jej tak po prostu wyrzucić.

– O w mordę... – Niedasiowi przemknęły przed oczami wszechobecne w domu sióstr Bolesnych poduszki, kapy, makatki i inne wytwory rękodzieła, co do jednego pokryte misternymi haftami. – Urządzacie sobie taki mały recykling? Haftujecie poduszki trupami?

– Niedasiu, czy ciebie już całkiem rozum opuścił? – zapytała sucho Salka. Nie mogła się przy tym oprzeć wrażeniu, że jest to pytanie retoryczne.

– Ty pomyśl logicznie – dodała Basia. – Ilu ludzi na całym świecie umiera każdej minuty? Wyobrażasz sobie, ile musiałyby tych poduszek wyhaftować, żeby zużyć choć część tych trupów?

– Gawędzimy tu sobie przy ciasteczku o mojrach czy innych



karkach...

– Parkach.

– ...majstrujących przy ludzkim życiu, a ty mi każesz myśleć logicznie?

– Cóż, może nie nazwałabym tego dosłownie haftowaniem trupami – rzekła z ociąganiem pani Matylda – ale co do istoty rzeczy Niedaś ma rację. Tak, właśnie tymi nićmi haftuje Mila...

Cała trójka wydała z siebie zgodny okrzyk ni to grozy, ni to obrzydzenia.

– ...ale nie są to trupy *sensu stricto*. Raczej... dusze, które nie chcą do końca opuścić tego świata. Bywają uciążliwe, zwłaszcza w dobie współczesnej komunikacji...

Na Salkę spłynęło olśnienie.

– Głosy! To te szepty i szmery w telefonie! I w radiu! I te tam psalmy czy co to tam było w *Warcrafcie*!

– Owszem – przytaknęła spokojnie starsza pani, łyknąwszy herbaty.  
– Jak już mówiłam, bywają uciążliwe, ale nie potrafimy ot tak się ich pozbyć. Więc nauczyłyśmy się z nimi żyć.

– Okej – wtrąciła Basia. – Czyli co, pani Mila, znaczy ta siostra ksero, której nie poznałam, tymi nićmi haftuje. Ale przecież sama pani mówiła, że nie można ich zrywać, prawda? Bo zostają te, no, strzępy. A to źle.

– Dlatego Mila je tnie.

– Tak po prostu czy jakimś superwypasionym magicznym sprzętem?

– Zwykłymi nożycami – odparła oschle pani Matylda. – Nie liczy się samo narzędzie, tylko ręce, które je trzymają. Wtedy dusza trwa dalej.

– A jeśli nić się zerwie?

– Wtedy dusza wraca.

Troje młodych ludzi z wolna przetrawiało to, co właśnie usłyszeli z ust pani Matyldy.

– Ani Jaga, ani ja nigdy nie widziałyśmy Reinharda Petersa – ciągnęła po chwili, nie doczekawszy się z ich strony żadnej reakcji. – Ale Mila... Tamtej nocy, po tym jak przecięłyśmy nić, Mila zniknęła. Wróciła następnego dnia, bez słowa. Odmieniona. Dopiero po latach,

kiedy zaczęła tracić kontakt z rzeczywistością, usłyszałam raz, jak płacze i... Cóż, z jej chaotycznych słów wynikało, że wbrew woli Renate Peters poszła go wtedy pochować.

– Przecież nie mogła wiedzieć, gdzie pradziadunio padł trupem – zdziwił się Niedaś.

– Mogła. Miała jego nić, w której wciąż tliła się iskra życia. Znalazła ciało i pochowała. Jako jedyna z nas wiedziała, jak wyglądał.

– Więc kiedy zobaczyła Niedasia – podjęła Salka – była przekonana, że to pradziadek? Że wrócił?

– I sfiksowała do końca... – burknął Niedaś.

– To dlatego oddała mu nić! – podsumowała triumfalnie Basia. – Z jego duszą! Żeby zostawił ją w spokoju czy coś!

– A ta sierota zwana moim bratem – ciągnęła Salka – tak po prostu tę nić zerwała, żeby przyszyć sobie guziczek...

– ...i wtedy pradziadek naprawdę powrócił z za grobu! – Basia klasnęła w dłonie, aż nagle dotarło do niej, co właśnie powiedziała. – O szlag!

– Rany boskie – szepnęła Salka, a pani Matylda z powagą skinęła głową.

– Owszem. Wszystko wskazuje na to, że Reinhard Peters rzeczywiście powrócił z za grobu.

Niedaś przymknął oczy, posiniawszy subtelnie.

– Znaczący, że... – wymamrotał, po czym nie bez trudu przełknął ślinę – że po mieście zapitala sobie teraz nasz upiorny pradziadunio w stanie... lekkiego rozkładu?

– Czyli że... że ja... że ja miałam... – tu Basia zatrzepotała histerycznie rękami, wciąż wpatrując się w swoje dłonie – że ja miałam... trupa tu, o, tu, pod tymi paznokciami?

– Ja pierdzie... – wydusił Niedaś, lecz nagle zacisnął usta i cały aż spurpurowiał. – NIE! – ryknął i zerwał się na równe nogi. – A właśnie że nie pierdzie! Najzwyczajniej w świecie pierdołę! Ja pierdołę! JA PIERDOŁĘ!!!

## Rozdział 17, w którym Niedaś ma przegwizdane, a Salka emanuje

Tym razem nikt już nie miał głowy do napawania się pięknem krajobrazu, ten zresztą zniknął za ścianą nocy i deszczu. Odkrywszy, że lała po gębie mocno przechodzonego nieboszczyka, Basia z wrażenia niemal zapomniała, jak się zmienia biegi, dlatego przez resztę drogi do Wrocławia sunęli pięćdziesiątką, ściągając na siebie mnogość klątw z ust innych kierowców. W rezultacie zanim fioletowa mydelniczka, cud koreańskiej motoryzacji, zatrzymała się wreszcie przy pogrążonej w ciemności Lipowej pięć, było grubo po dwudziestej drugiej.

Pożegnali się zdawkowo, pospiesznie, po czym Basia odjechała, zgrzytając niemiłosiernie katowaną skrzynią biegów, aż po całej uśpionej ulicy niosło się echo, od którego zdrząły nawet pobliskie latarnie.

Pani Matyllda bez słowa udała się do swojej sypialni w towarzystwie Roya Keane'a, Niedaś natomiast pognął do kuchni, by urządzić nalot na lodówkę. Salka, wykończona minionym dniem, poczłapała na górę, zgarnęła piżamę i zamknęła się w łazience. Miała cichą nadzieję, że litry gorącej wody z mydłem w jakiś sposób pomogą jej pozbyć się choć trochę tych wszystkich przygnębiających myśli, które oblepiły jej świadomość niczym smoła.

Szorowała się od stóp do głów, aż zaczęła przypominać raka woniejącego brzoskwinia. Wypełznawszy z wanny, wytarła się i nasmarowała waniliowym mazidłem. W łazience zrobiło się parno i słodko. Na szczęście zdążyła włożyć piżamę, gdy do środka wpadł Niedaś z talerzem kanapek i jak gdyby nigdy nic klapnął na zamknięty sedes.

– Jak miło, że pukasz – rzuciła zjadliwie, rozczesując mokre rude włosy grzebieniem ze szczodrą porcją odżywki o zapachu truskawek.  
– Przecież mogłabym tu świecić golizną jak latarnia w Kołobrzegu.

– Spoko majonez, siostra! Nie takie abominacje się w instancjach rąbało! – Pociągnął nosem i skrzywił się straszliwie. – Siostra, jak rany, przystopuj trochę z tą aromaterapią... Zalatujesz jak fabryka słodczy.

– I to mówi facet, który dopiero co wsunął pół tony ciasta...

– Ale się w nim nie tarzałem! Są pewne granice przyzwoitości – dodał i odgryzł pół pierwszej kanapki z grubą warstwą masła orzechowego, po czym westchnął rozdzierająco. – Siostra, tobie też tak to zryło берет?

– Ale co?

– No tooo. – Zatoczył ręką łuk, rozsiewając po łazience okruszki. – W sensie, że wszystko. Całe te hocki-klocki, sranie w banie i takie tam. Zwyczajnie tego nie ogarniam, siostra. Aż mi się zwoje prostują, jak sobie pomyślę, że te trzy antyki potrafią... no, wiesz. Takie rzeczy. Ryje берет, i to ostro...

Salka wzruszyła ramionami, zapatrzona w swoje niewyraźne odbicie w zaparowanym lustrze.

– A z tym naszym pradziadostwem – ciągnął Niedaś, sięgając po drugą kanapkę – to już w ogóle pełen odpał. Czaisz? Pradziadunio zmartwychwstał, a teraz pomyka sobie po mieście i straszy laseczki.

– Nie straszy, tylko napada.

– Jeden pies...

– Nie! – Z furią cisnęła grzebień do umywalki i odwróciła się gwałtownie na pięcie. – Wcale nie jeden pies! Tylko trzeba mieć choć trochę więcej rozumu we łbie niż pierwsza lepsza kupa liści przy drodze, żeby to ogarnąć! Jedną z nich zabił, dociera to do ciebie? Zabił!

Ta myśl pomału torowała sobie drogę przez zryty берет Niedasia. Zamrugał, gdy w końcu dotarła do celu i padła tam wycieńczona.

– Znaczy... że tak na śmierć?

– Nie, tak na niby!!! Oczywiście, że na śmierć! Tę twoją miniaturkę też mógł zabić, gdyby mu nie spuściła łomotu, nie dociera to do ciebie? Że o sobie samej przez skromność nie wspomnę, choć jeszcze mi się wodą z Odry odbija. A teraz uwaga, uwaga, sprężasz zwoje, bo zaraz odkryję Amerykę. On to będzie robił dalej, rozumiesz?

Niedaś gapił się na siostrę jak wypisz wymaluj ciełe na malowane wrota.

– Seryjnie? Ale po kij?

Uspokoiwszy się nieco, Salka przysiadła na brzegu wanny, otoczona chmurą słodkich aromatów.

– Całą drogę o tym myślałam – odezwała się po chwili. – Ten prokurator... Jak u niego byliśmy, pani Matyllda go przycisnęła i zdradził nam, że ta pierwsza dziewczyna, ta martwa... że ją i Basię coś łączy. Dlatego uznali, że to sprawka tego samego faceta, czyli niby ciebie. Obie są... znaczy były... znaczy nie, Basia nadal jest... no, rany boskie! – Pokręciła głową, zaplątawszy się doszczętnie. – Dobra, od nowa. Drobną blondynką. Z warkoczem. Długim, jasnym warkoczem. Świta ci coś?

– A powinno?

– Powinno. Chodź.

Powędrowali do jej pokoju, gdzie Salka wyciągnęła z torebki kopertę od babci Przygodowej.

– A teraz świta? – zapytała, podstawiając bratu zdjęcie rodziny Petersów pod sam nos.

Z kanapką w zębach Niedaś niechętnie przyjrzał się foto-grafii, która już raz porządnie nim wstrząsnęła.

– No... pradziadek...

– Olać pradziadka – przerwała mu siostra. – Pamiętasz, co mówiła pani Matyllda? Złota Renate. Tak ją nazywali. Złota. Nie miedziana, srebrna czy platynowa, tylko złota. Była jasną, długowłosą, drobną blondynką. Tak samo jak Basia, rozumiesz? I ta dziewczyna, którą znaleźli jako pierwszą. Martwą.

– Znaczy... znaczy, że co? Że on, w sensie, że pradziadek...

– Nie napadł ich bez powodu. Szuka właśnie takiej kobiety: młodej, drobnej, długowłosej blondynki. A konkretnie to naszej prababci.

– Ale przecież prababcia tak jakby nie żyje, nie? Konkretnie nie żyje. Chyba że ona też...

– Niedaś, skup się! Facet powstał z grobu, do którego złożyła go własna żona.

– Nie, nie żona, tylko ta, jak jej tam, ta trzecia kserokopia...

– Metaforycznie złożyła! A upiory szukające zemsty chyba rzadko zaczynają zabawę od ustalenia dokładnej daty swojego zmartwychwstania, nie sądzisz? Jemu się pewnie wydaje, że to nadal Breslau, czterdziesty piąty rok, a każda napotkana blondynka z długimi włosami to prababcia.

– Ej, no chwila, moment! Ciebie też napadł, siostra, a nawet po ciemku trudno cię pomylić z drobną blondynką! Z niemieckim tankiem to może, ale...

– A lufą w łeb chcesz? Mnie nie napadł. Znaczący owszem, napadł, ale nie dlatego, że mu się pomyliłam z prababcią. Sama go zaczepiłam. Stałam mu na drodze, więc mnie z niej usunął, do Odry i pozamiatane. A teraz wysił ten swój zryty beret raz jeszcze. Napadł dwie dziewczyny. Żadna z nich nie była prababcią, więc z zemsty na razie nici. Jak sądzisz, czy nasz upiorny pradziadek podda się albo znudzi i wróci do grobu, żeby baraszkować sobie w najlepsze z robaczkami, czy też może będzie szukał dalej?

Niedaś stał z na wpół opróżnionym talerzem w dłoniach i gapił się tępo na starszą siostrę.

– Obstawiam, że będzie szukał – wydusił w końcu.

– Brawo, marchewka dla bohatera. No to teraz drugie pytanie. Jak sądzisz, do kogo zapuka przemiły pan prokurator w asyście policji, kiedy pojawi się kolejna blond ofiara, mniej lub bardziej nieżywa?

– Do mnie?

– Do ciebie. – Skinęła głową. – No to teraz wnioski końcowe, dasz radę. Dopóki pradziadek szaleje sobie w najlepsze, latając po Breslau i tłukąc panienkę za panienką, to ty...

– ...mam przegwizdane jak czajnik na pełnym gazie – dokończył słabym głosem Niedaś.

\*\*\*

– Jak tam wycieczka? – zagaiła pani Jaga, wchodząc bladym światłem do kuchni.

Rozczochrana, opatulona szlafrokiem Salka podniosła smętny wzrok znad kubka z kawą.

- Aż tak udana?
- Nawet pani sobie nie wyobraża... – bąknęła bez namysłu.
- O co zakład? – Średnia siostra usiadła na krześle naprzeciwko i zapaliła pierwszego tego dnia papierosa.
- Fakt. Zapomniałam, że pani już ma w tym sporą wprawę.
- Pani Jaga przyjrzała się dziewczynie z uwagą, pomalutku wydychając dym.
- Rozumiem, że już wiecie.
- Salka przytaknęła niemrawo.
- Jadłaś coś?
- Nie miałam nawet głowy...
- W takim razie ja coś raz-dwa przygotuję, a ty mi w tym czasie opowiedz, czego się wczoraj dowiedzieliście od waszej babci.
- Kiedy na stół wjechała szczodra porcja jajecznicy na boczku, którą nawet wyjątkowo wygłodniały pułk wojska najadłby się po same uszy, pani Jaga była już wtajemniczona w ostatnie wydarzenia.
- Kto by pomyślał... – Pokręciła w zamyśleniu głową nad bochenkiem, odkrawając kromki. – Popatrz, Salko, jakie to życie bywa przewrotne. Jak to się wszystko poplątało, splotło jedno z drugim... Nigdy bym nie przypuszczała, że pewnego dnia pod naszym dachem zamieszkają prawnuki Reinharda Petersa.
- Ale jak to możliwe, że pani Matylda nie zobaczyła tego w nici Niedasia? Bo popatrzyła wtedy, prawda? Stąd wiedziała, że Niedaś nikogo nie napadł. Z jego nici.
- Nie, Salko, to tak nie działa. Ach, gdzie ja mam głowę! Wyjmij z łaski swojej masło z lodówki, niech trochę odtaje, inaczej trzeba je będzie rąbać siekierą. Jak by ci to wyjaśnić? Matylda widzi samotną nic, a nie cały kobierzec. W przeciwnym razie dotarłaby przez was do waszej babci, od niej zaś do jej rodziców. I wtedy, owszem, natrafiłaby też na nas, choć nie wiem, czy od razu by wszystko zrozumiała. Ale to tak nie działa, niestety...
- Czemu niestety?
- Pani Jaga uśmiechnęła się lekko.
- A jak sądzisz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.
- Sądzę, że wtedy nie popełniłybyście paru błędów.

– Albo wprost przeciwnie, popełniłybyśmy ich więcej. Tego się nigdy nie dowiemy.

– Myśli pani, że ona zrobiła to specjalnie? Znaczą pani Matylde? – zapytała Salka po długim namyśle, grzebiąc widelcem w jajeczniczy.

– Co takiego?

– Spadła. Z tych schodów. Żeby was zmusić do... do przecięcia tej nici.

– Nie – odparła stanowczo pani Jaga. Postawiła przed Salką talerz z chlebem i wróciła na swoje krzesło. – Matylde nie spadła ze schodów. To ja ją z nich zepchnęłam. W tamtej chwili byłam gotowa na wszystko, byle nie dopuścić do przecięcia nici waszego pradziadka. Tak, również na doprowadzenie własnej siostry do kalectwa. I ją, i mnie zgubiła wtedy pycha. Ale ona za nic w świecie tego nie przyzna, tylko idzie w zaparte, że to był zwykły wypadek. Uważa to za część swojej... pokuty czy kary za to, co wtedy zrobiła. Cała Matylde.

– Zmusiła was, żebyście zabiły pradziadka. – Salka nie owijała w bawelnę.

– Owszem, można by to tak ująć – zgodziła się pani Jaga spokojnie.

– A można by też inaczej.

– Niby jak?

– Że to my jej na to pozwoliłyśmy. Dałyśmy się przekonać. Bez nas, bez naszej zgody i pomocy, sama nic by nie zrobiła, taka prawda. Świat rzadko kiedy jest czarno-biały, Salko. Odpowiedzialność zwykle rozkłada się na wiele barków. Każda decyzja pociąga za sobą następne, a we wszystkim z zapalem miesza zwykły przypadek.

Wtedy Salka przypomniała sobie, jak rozmawiała z panią Matyldą, siedząc przed aresztem śledczym i czekając na zwolnienie Niedasia. Jak pani Matylde obsztorcowała ją, że prowadzi brata na smyczy i żyje jego życiem, zamiast skupić się na swoim. Czy wówczas doszły do głosu jej własne doświadczenia?

– Jesteście do siebie podobne – dodała pani Jaga, jakby czytała dziewczynie w myślach.

– Słucham?

– Ty i Matylde. Cierpicie na chroniczny przerost odpowiedzialności



za innych. Nie dociera do was, że każdy ma swój rozum, swoją wolę... Tobie się w zasadzie nie dziwię, jesteś młoda i naiwna, ale Matylda powinna okazać więcej zdrowego rozsądku. Zwłaszcza po tym, co stało się z naszym ojcem. Wróć. Co my z nim zrobiliśmy – poprawiła się. – Cóż, bywa. Takie życie. – Zdusiła niedopałek w popielniczce i sięgnęła po nowego papierosa.

– Pani tego nie rozpamiętuje tak jak ona? – zdziwiła się Salka.

– Nie. Co nie znaczy, że nie pamiętam.

– O czym nie pamiętasz? – zapytała pani Matylda, wchodząc do kuchni. Pół dnia w samochodzie mocno dało jej się we znaki, bo wciąż wyraźnie utykała.

– O wyjęciu masła z lodówki. Znow zamarzło na kamień.

– *Memoria minuitur nisi exercetur*<sup>40</sup>, Jaguś.

– A wetknij sobie w pantofle te swoje mądrości!

Przysłuchując się jednym uchem ich polsko-łacińskim przekomarzaniom przy jajecznicy i obligatoryjnej herbacie, Salka pomału uświadamiała sobie, że choć przypadł im w udziale wielki ciężar do taszczenia przez życie, w dodatku wyjątkowo wyboistą drogą, to siostry Bolesne ciągnęły go wspólnie, bez względu na to, ile która do niego dołożyła i o co mogły mieć do siebie nawzajem pretensje czy zwykły ludzki żal.

Wtedy usłyszała coś, co wyrwało ją z zamyślenia.

– ...u tego twojego ordynatora? – zapytała pani Matylda, z pozoru skupiona na starannym smarowaniu kromki masłem. – Pytałaś go o Milę?

– A tak, pytałam.

– I cóż powiedział?

Pani Jaga powoli, z rozmysłem zaciągnęła się papierosem, przymknęła na chwilę oczy, a potem wypuściła dym nosem. Milczała.

– Jadwigo Wiktorio Bolesna-Tupatajkowa, co powiedział ordynator?

– To pani nie wie? – ośmieliła się zapytać Salka. – Nie może pani tego...

– Nie, Salomeo. Nić każdej prządki jest nietykalna, nie potrafiłabym jej nawet odnaleźć pośród innych nici, a co dopiero

odczytać. Jaguś, co powiedział ordynator?

– Że to już tylko kwestia czasu – odparła cicho Jaga Bolesna, spoglądając prosto w oczy najstarszej siostry.

\*\*\*

– Umiera? – zapytał Bartek Tokarski i zastygł nad swoją filiżanką.

– Na to wygląda – przytaknęła smętnie Salka. – Leży w tym szpitalu i tak sobie gaśnie pomalutku, po cichutku.

– No cóż... Ma już swoje lata... – Siedział z cukiernicą w jednej dłoni i łyżeczką w drugiej, przymierzając się do posłodzenia herbaty i szukając słów, które nie trąciłyby na kilometr banałem czy, nie daj borze szumiący, patosem. Od patosu dostawał pokrzywki, chociaż regularnie zażywał końskie dawki rodzimego romantyzmu i teoretycznie już powinien był zyskać odporność. – W zasadzie to... to... Cholera. Przykra sprawa.

– Przykra – zgodziła się Salka.

Około południa przy Lipowej niespodziewanie zadzwonił telefon. Bartek skończył niedzielne zajęcia i pytał, czy może wpaść. Był bardzo ciekaw, jakie rezultaty dała wycieczka do Kotliny Kłodzkiej. Siostry Bolesne nie miały nic przeciwko jego wizycie – chociaż pani Matylda nie omieszkała przewrócić wymownie oczami nad swoją krzyżówką i mruknąć pod nosem coś o jakimś makaronie. Salka uznała jednak, że nie chce im zakłócać spokoju w takiej chwili i lepiej będzie, jeśli spotkają się gdzieś na mieście. Umówili się więc po szesnastej w kawiarni nieopodal Rynku. Odłożywszy słuchawkę, Salka wróciła do swojego pokoju i jak gdyby nigdy nic wpadła w panikę.

Po pierwsze, nie miała się w co ubrać.

Po drugie, nie miała się w co ubrać.

Po trzecie, nie miała się w co ubrać!!!

Na dobry złego początek stanęła przed lustrem i spojrzała prawdzie w oczy. Istne dzieło sztuki. Z figury Rubens, z fryzury Tycjan, z gęby zaś wypisz wymaluj Picasso. Nic, tylko się powiesić – w muzeum, znaczy, najlepiej w jakimś ciemnym kącie. Westchnęła. No dobrze, wątpliwą figurę można zawsze zamaskować grubą warstwą wełny

i sztruku czy innym poncho, fryzurę uklepać, ulizać i teoretycznie ułożyć, a gębę gruntownie zaszpachlować podkładem, trudno to jednak nazwać kreowaniem wizerunku. A już na pewno nie wizerunku kobiety. O, takiej Buki to już prędzej, zwłaszcza jeśli się uśmiechnie. Tylko czy chciała iść na prawie randkę jako Buka właśnie?

Salka odsunęła od siebie tę wizję na bezpieczną odległość i wzięła się do przetrząsania komody. Po kwadransie nie miała już żadnych wątpliwości. Była stuprocentową kobietą.

Najpierw wyciągnęła dzinsową spódnicę, lecz zaraz się zorientowała, że nie ma do niej żadnych butów. Jedyne czółenka od września stały w kącie i czekały cierpliwie, aż raczy je w końcu zanieść do szewca, żeby naprawił złamany obcas. Z kolei w trzewikach wyglądały jak skrzyżowanie Mary Poppins ze Złą Czarownicą ze Wschodu, czyli średnio powabnie. Zrezygnowała więc z prezentowania łydek i zaczęła szukać spodni. Znalazłszy te najmniej znoszone, odkryła, że żadna bluzka do nich nie pasuje. Gdy już wybrała bluzkę, która odpowiednio eksponowała to i owo, jednocześnie maskując tamto i owamto, okazało się, że wystaje jej spod kurtki, co Salka uważała za dyskredytujący przejaw ogólnego niechlujstwa. A na dodatek jedyna bardziej elegancka torebka nie pasowała jej absolutnie do niczego...

Koniec końców zjawiała się o szesnastej w kawiarni nie w charakterze emanującego seksapilem bóstwa, zdolnego samym swym wyglądem sprowadzić Bartka do parteru, lecz zwykłej Salki Przygody w stroju absolutnie, aż do bólu codziennym, ze szczątkowym makijażem i włosami jak zawsze zaplecionymi w rudy warkocz. Żadnych zwiewności i niebotycznych obcasów eksponujących kształtne odnóża, żadnych przepastnych dekoltów odsłaniających apetyczne krągłości – proste sztruksy, wcięta w talii koszula w kratkę i te koszmarnie trzewiki.

A jakby tego było mało, już na samym progu z gracją potknęła się o listwę i niczym ten umierający łabędź zaliczyła niekontrolowany i całkowicie nieplanowany kontakt z podłożem, który teraz bolesnym echem odbijał się w jej kolanach.

Bartek w końcu rozstał się z cukiernicą i zamieszał swoją herbatę.

– Wiesz co... – zaczął, lecz zaraz urwał. – Wiesz co, ja wiem... To znaczy ja rozumiem, czucie i wiara, te sprawy, siedzę w tym przecież po same uszy, ale...

– Ale co?

– Ale nie wiem, czy to kupuję – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Całą tę historię. Znaczy nie mam przecież powodów, żeby ci nie wierzyć, ale... ale mojry? Hanke? Upiór pradziadka?

– Uwierzyłbyś, gdybyś rozmawiał z moją babcią – odparła spokojnie Salka. – Miała wtedy siedem lat, a przeżywa to do tej pory. Nie umiałyby tak kłamać, nikt by nie umiał.

– Wiesz, cała ta wojna, potem jeszcze oblężenie i śmierć brata na pewno były dla niej wielką traumą, może tak wielką, że... że pewne sprawy...

– Uroiła sobie? – dopowiedziała, unosząc brew.

– Może nie tyle uroiła, ile źle zinterpretowała – odparł Bartek dyplomatycznie. – Sama przecież mówiła, że nie znała wtedy zbyt dobrze polskiego, mogła coś pomieszać, mylnie zrozumieć.

– A siostry Bolesne? One też coś mylnie rozumiały czy tak zgodnie im się pomerdało?

– Salko, ja się co prawda ani na trojaczkach, ani na medycynie specjalnie nie znam, ale skoro jedna z nich ma alzheimera, to kto wie, może i pozostałe...

Po chwili zastanowienia Salka sięgnęła do torebki.

– A to twoim zdaniem jest urojenie, nadinterpretacja czy alzheimer? – zapytała, kładąc przed Bartkiem starą fotografię.

Zamrugął. Odchrząknął. Znów zamrugął. A potem przysunął sobie zdjęcie bliżej, ostrożnie, z wyraźnym wahaniem, jakby mogło mu odgryźć palec albo i całą rękę za jednym zamachem.

– To jak będzie z tym czuciem i wiarą? – odezwała się Salka, gdy Bartek nadal milczał jak zaklęty i tylko wpatrywał się w ponurą twarz pradziadka Petersa.

– Rzeczywiście, podobieństwo jest... jest... rany boskie... – Nerwowym gestem przejechał dłonią po twarzy. – Rany boskie, Salko... Nie, czekaj. Jesteś pewna, że to nie fotomontaż? Może

Niedaś... może... Cholera, sam już nie wiem.

– Wcale ci się nie dziwię. Sama pewnie też bym pomyślała, że to jakiś kolejny durny dowcip Niedasia, ale to zdjęcie dała mi babcia. Poza tym aż do tej pory nikt w rodzinie nie wiedział, jak wyglądał pradziadek. Nie zachowały się żadne fotografie sprzed czterdziestego piątego roku. Bo niby wojna i tak dalej...

– I tak dalej... – Bartek powtórzył odruchowo, marszcząc w zamyśleniu czoło. Potem ściągnął okulary, przetarł je rękawem swetra i wsunął z powrotem na nos.

– Poza tym jak by się zastanowić – ciągnęła z rozpędu Salka – to wszystko zaczyna mieć sens.

– Co takiego? – zainteresował się Bartek.

– Odkąd pamiętam, u babci Isi w mieszkaniu nigdy nie było ani skrawka nici. Miała tę swoją starą niciarkę, pamiątkę po prababci, ale trzymała w niej tylko agrafki, tasiemki i takie tam różne drobiazgi. Żadnych igieł czy nici. Jak coś jej się popruło, rozdarło albo po prostu odpadł guzik, czasem niosła to do krawcowej do naprawy. A zazwyczaj po prostu wyrzucała. Raz nawet kupiłam jej taki mały zestaw, wiesz, taki podróźny, w ładnym pudełku, kilka igieł, tycie szpuleczki i tak dalej, bo pomyślałam, że może szkoda jej pieniędzy czy coś... Następnego dnia wypatrzyłam go w koszu na śmieci, pod obierkami z ziemniaków. No i...

– No i co?

Odetchnęła.

– Babcia nigdy nie przepadała za moją matką – wyjaśniła. – Wiesz, trochę jak w dowcipach, teściowa kontra synowa, odwieczne starcie tytanów. Albo może zwykły konflikt charakterów, w końcu matka jest... hm... specyficzna. W zasadzie nic w tym dziwnego, co nie? Ale teraz zaczynam podejrzewać, że to nie o to chodzi...

– No tak. Przecież twoja matka jest krawcową – domyślił się Bartek.

– A w naszym domu zawsze było pełno nici – dokończyła Salka. – Myślisz, że moja babcia zachowywałaby się w ten sposób konsekwentnie przez długie lata, gdyby nie miała naprawdę dobrego powodu? Jasne, można zwalić wszystko na wrodzone zdziwaczenie,

na wojenną traumę, na zbiorowe urojenia czterech starszych pań, na alzheimera, na co tam jeszcze chcesz. Ale jakkolwiek nieprawdopodobnie brzmiałaby ta cała historia z prządkami i pradziadkiem, to wyjaśnia wszystko. Wszystko. I zachowanie babci Isi – wyliczała na palcach – i rozdwojenie Niedasia, i podobieństwo Basi oraz tej drugiej dziewczyny, i moją pomyłkę, i głosy w telefonie czy radiu, i łacińskie psalmy w *Warcrafcie*, i te pielgrzymki na Lipową, i taksówkarskie plotki, i na koniec to, że pani Matylda zawsze wie. Zawsze. – Po tych słowach chwyciła szklanę i pociągnęła z niej solidny łyk mrożonej kawy, po czym odstawiła naczynie z dobitnym hukiem z powrotem na stolik i spojrzała na Bartka sponad kleksa z bitej śmietany, który ozdobił czubek jej nosa. – Więc albo to prawda, choć brzmi niewiarygodnie i z trudem mieści się w głowie, albo tym razem przypadek naprawdę ostro zaszalał.

## Rozdział 18, w którym pada wiele trudnych słów i nawet jeden cytat

My... my tylko... ten... tego... – Uwolnwszy się błyskawicznie z płataniny kabli i kończyn, Niedaś poderwał się z łóżka, przy okazji zrzucając obydwaj laptopy na podłogę.

– ...synchronizowaliśmy rotację! – dokończyła Basia świdrującym piskiem. Wyprostowała się jak struna, odgarniając zmierzwiłone włosy z twarzy.

Salka i Bartek spojrzeli po sobie wymownie.

– Słyszałeś? To się teraz nazywa „rotacja”.

– No, coś synchronizowali, to pewne...

– Chyba im szło średnio, bo jacyś tacy zadyszani...

– A może wprost przeciwnie?

– Ej, weźcie się... weźcie! – burknął naburmuszony Niedaś. – Wam też by nie zaszkodziła mała rotacja. Od razu zrobilibyście się luźniejsi w kroku...

– My wolimy „snuć miłość, jak jedwabnik nić wewnątrz swym snuje” – odparł wesoło Bartek.

– No, to wiele tłumaczy... – Pozbierawszy sprzęt z podłogi, Niedaś cisnął go z powrotem na łóżko, po czym podniósł głowę, by po chwili przechylić ją na znak głębokiego zaintrygowania. – Eee, siostra, a co ty masz na twarzy? W sensie oprócz twarzy?

Salce z lekka pociemniało przed oczami. Bez słowa okręciła się na pięcie i poszła do łazienki, gdzie spędziła dłuższą chwilę, kontemplując dwa rozmazane mżawką zacieki z tuszu do rzęs, z którymi przejechała pół miasta, usiłując jednocześnie oczarować filologa swoich marzeń.

– Chłopaki chcą herbaty – rozległo się nagle tuż za jej plecami.

Basia sterczała na progu i łypała nieśmiało na Salkę.

– Wszystko gra?

– Wyglądam jak szop pracz – odparła głucho Salka, w głębi duszy

wsluchujac sie w loskot walacych sie zludzen. – Szop pracz na sterydach. To chyba srednio podpada pod seksapil, co?

– Ale czemu pod seksa... aaa! – Doznawszy olsnienia, Basia weszła do łazienki, przymykając drzwi. – Dobra, nie bój żaby, nie jest źle. Może nic nie zauważył.

– Ty kpisz czy o drogę pytasz?

– Ej, powaga. – Basia raz-dwa upolowała waciki kosmetyczne i słoiczek kremu, po czym wspięła się na palce i przystąpiła do energicznego usuwania zacieków z twarzy Salki. – Idea makijażu przerasta większość facetów. Mój szwagier jeszcze do niedawna był głęboko przekonany, że cienie pod oczami też się specjalnie maluje. Siostra go prawie zatłukła, jak jej palnął komplement przy ludziach. A żebyś widziała jego minę, jak zobaczył zalotkę...

– A co to takiego?

– Yyy... Ty tak poważnie?

Salka westchnęła żałośnie.

– Jestem blada jak śmierć, ruda, średnio szczupła, wzrostu przeciętnego faceta, a seksapil znam głównie z opowieści – wyrzuciła w nagłym przypiływie szczerości. – Bardzo barwnych, szczegółowych i opatrzonych licznymi przykładami z życia wziętych opowieści mojej rodzonej matki, która w ogóle najchętniej pozwoliłaby mi na wszystko, z seksturystyką w ramach letnich wakacji włącznie. Tyle że ku jej rozpaczy ja nigdy nie byłam tym wszystkim szczególnie zainteresowana. Skończyłam dwadzieścia pięć lat, wiem, co to jest czakram, sutasz i techniki tantry, za to nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi z tą zalotką, jak się malować bardziej na człowieka niż na klauna, nie zabić się na obcasach wyższych niż centymetr albo zwrócić uwagę fajnego faceta, nie robiąc z siebie przy okazji ostatniej sieroty, nierozgarniętej lebiegi albo... albo przerośniętego szopa pracza...

Basia wrzuciła brudne waciki do śmietnika pod umywalką i zakręciła krem.

– Na początek zmień tusz na wodoodporny – poradziła. – A potem naucz się mieć to i owo w odwłoku.

– Ale moja matka...



– Moja matka jest księgową typu pani Halinka. – Basia weszła Salce w słowo. – Z zawodu i natury. Jak strzeli focha, to w promieniu kilometra zamiera wszelkie życie. Jak Boga kocham, nawet mówi do ludzi w trzeciej osobie! „Weźmie i pójdzie, a potem wróci”, wyobrażasz sobie? Jak ją najdzie ochota na wielkie emocje, kupuje sobie paczka z toffi zamiast z różą albo nie wyciąga łyżeczki ze szklanki, kiedy pije herbatę. Ma czterdzieści parę lat, a wygląda na sześćdziesiąt. Chodzi w brązowych garsonkach z bazaru, uważa, że ondulowany baranek w kolorze wielkanocnego kurczątka to najlepsza fryzura dla kobiety z jej pszenno-buraczaną cerą, a ja powinnam się wreszcie ustatkować, bo ona „w moim wieku” miała już dwoje dzieci, stanowisko, do którego się przyspawała na amen aż do emerytury, i radośnie pączkującą nadwagę.

– Jak poszłam do liceum, moja matka zaczęła mi wsuwać do drugiego śniadania paczkę prezerwatyw. Zgadnij, ile razy wypadła mi z plecaka przy całej klasie?

– Moja matka do tej pory znosi mi z bazarów bawełniane staniczki i majtusię. Białe w kwiatuszki. Majtusię, czaisz? A w tych staniczkach moje cycki wyglądają, jakby szykowały się do podboju kosmosu.

– Moja za to kupiła mi *Kamasutrę* na czternaste urodziny. Bogato ilustrowaną fotografiami rodem z niemieckiego porno z lat osiemdziesiątych.

– Moja matka latami sklejała mi w „Bravo” strony z listami do redakcji.

– A moja wtajemniczała w moje mało erotyczne życie wszystkich teleankieterów, akwizytorów i naszego listonosza. I świadków Jehowy.

– O... To miło z jej strony. Chyba nie wracali zbyt często?

– Wprost przeciwnie. Doszliśmy w ten sposób do czegoś?

– Chyba do wniosku, że „każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka, i swojego zająca, którego się boi” – podsumowała Basia.

– I matkę, która robi mu wstyd przy ludziach i doprowadza do obłędu.

– Bingo. Chodźmy lepiej zrobić tę herbatę.

Powędrowały razem do kuchni, niczym front jedności przeciwko

makiawelicznym matczynym machinacjom, skąd wróciły w pełnym rynsztunku – Salka dźwigała kupione po drodze z Rynku ciasto i talerzyki, Basia zaś tacę z kubkami pełnymi herbaty. Tak uzbrojone dotarły niemalże do celu, gdy naraz Salka zastygła tuż przed uchylonymi drzwiami na dźwięk nieskrępowanego rżenia młodszego brata.

– ...czaisz? Jak w tym tam Potterze, że niby Komnata Tajemnic, nie?

– Rzeczywiście, udana analogia – przyznał Bartek. W jego głosie dało się wychwycić subtelną nutę rozbawienia.

– Udana jak cholera! – zakrzyknął Niedaś entuzjastycznie. – Normalnie cała szkoła darła łacha, nawet nauczyciele tak na nią zaczęli mówić. Komnata! Ja pierdziu, to był dopiero sukces! Mistrzostwo marketingu! Komnata Przygoda!

Basia, która także nasłuchiwała pod drzwiami, dostrzegła, że Komnata, znaczy Salka Przygoda, przybrała barwę dojrzałej malinówki, gotowa lada moment na nowo rozpląnąć się we łzach razem z niedobitkami makijażu. Niewiele myśląc, drobna dziewczyna wkroczyła rażno do pokoju, odstawiła kubki na pierwszą powierzchnię płaską, jaka wpadła jej w oko, i z całych sił, tak od serca, grzmotnęła Niedasia srebrzoną tacą po zakutym łbie.

– Za co?! – rozdarł się rozpaczliwie obiekt jej krwiożerczego ataku.

– Za jajco! – wrzasnęła, a potem niczym Messi zgrabnym ruchem ominęła wątlą obronę Niedasia i grzmotnęła raz jeszcze, tak dla pewności. – Ty mistrzu! – Poprawiła z lewej. – Marketingu! – Strzeliła z prawej. – Jeden!!!

Bartek zerwał się na równe nogi.

– Rany boskie, przestań, może to rodzinna pamiątka!!!

– Co, Niedaś?!

– Nie, jaki znowu Niedaś! Taca!

– Ojoj!

Basia i Bartek pochylili się zgodnie nad tacą, by oszacować ogromniszczeń, podczas gdy sponiewierany Niedaś, posykując z bólu, obmacywał głowę w poszukiwaniu kielkujących guzów. To dało Salce chwilę, żeby się pozbierać z głębin poniżenia, otrząsnąć ze

wspomnień z ponurych czasów podstawówki i wkroczyć do pokoju wraz z ciastem i godnością osobistą, jak gdyby nic się nie stało.

Gdy ciasto zostało pożarte co do okruszka, a herbata po-malutku znikająca z kubków, Bartek łagodnym, acz stanowczym gestem odsunął nieco zdemolowaną tacę wraz z talerzykami i widelczykami spoza zasięgu Basi, żeby jej nie kusiło.

– Zachowajmy może energię na grzmocenie pradziadka, dobrze? – zasugerował z uśmiechem, na co Niedaś aż opluł się herbatą.

– Bartolini, jak rany jeża, nie przy jedzeniu!...

– A temu jak zwykle wszystko się z rotacją kojarzy – mruknęła pod nosem jego siostra.

– Grzmocenie pradziadka? Ale że niby w jakim celu? – zdziwiła się Basia.

– Bardzo prostym – odparł krótko Bartek, po czym dopił swoją herbatę i rozwinął temat. – Jeśli założymy, że wasz niemiecki protoplasta pod postacią z martwych powstałej istoty rzeczywiście przemierza nocami wrocławskie ulice w poszukiwaniu swej połowicy celem dokonania zemsty na tejże...

– Co?

– Pradziadek szuka prababci, żeby ją ukatrupić – streściła bratu Salka.

– A!

– ...skłania nas to do logicznego wniosku, że dopóki owej zemsty w rzeczy samej nie dokona, dopóty żadna długowłosa blondynka drobnej postury nie może spokojnie chodzić nocami po mieście, a obecny tu nasz Niedaś ma poważny problem natury prawnej – ciągnął niezrażony Bartek. – Co prawda literaturze nieobcy jest wątek złowrogiego doppelgängera, wątpię jednak, aby policja i prokuratura uznały to wyjaśnienie za wiarygodne i odstąpiły od oskarżeń.

– Wątek złowrogiego czego?

– Doppelgängera.

– A tak bardziej po naszymu?

– Sobowtóra.

– A! Już łapie! – Niedaś z rozpędu klepnął się w czoło i syknął, trafiwszy na ślad po tacy. – Znaczy tobie chodzi o to, że pradziadunio

robi mi czarny PR, a ja mam przez to przerąbane jak w ruskim czołgu. Dobra, kontyngentuj! – Błysnął użębieniem i intelektem.

– Kontyngentując – podjął Bartek, zdusiwszy uśmiech, który już chciał wypełznąć na jego oblicze – cały ambaras w tym, aby nasz Niedaś, uosobienie niewinności, mógł się raz na zawsze ze wzmiankowanego ruskiego czołgu wydobyć i oczyścić z podejrzeń. W tym celu szanowny pradziadek musi czym prędzej zaznać spokoju natury wiecznej, a wzięwszy pod uwagę jego dotychczasową skuteczność, uważam, że przydałaby mu się mała pomoc.

– Że co? – Salka wybałuszyła na niego oczy. – Pomoc? Jaka znowu pomoc?

– Znaczy co? Że mam się teraz sama zatłuc czy jak? – zapytała zdezorientowana Basia.

– O w mordę! Wykopiemy prababcie?!

– Nikogo nie będziemy wykopywać ani tłuc... – zaczął cierpliwie Bartek.

– No jak? – Niedaś natychmiast wszedł mu w słowo. – Przecież sam zacząłeś od grzmocenia!

– ...nie będziemy również składać ofiar z dziewic, kotów i chrześcijańskich niemowląt.

– Słyszysz, siostra? Możesz spać spokojnie.

– Chodzi mi o to! – huknął Bartek, zezując nerwowo to na spurpurowiałą Salkę, to na Basię, która znów łypała wściekle w stronę tacy, co nie wróżyło niczego dobrego. – Chodzi mi o to – powtórzył już ciszej – że skoro Niedaś dokonał teoretycznie niemożliwego i niechcący zmartwychwstał pradziadka, to na pewno istnieje inny teoretycznie niemożliwy sposób, żeby go wyekspediować z powrotem.

– Niedasia?

– Pradziadka. Tak podpowiada logika. Tak, wiem – dodał szybko – powoływanie się na logikę w kontekście mojr i chodzących po mieście trupów z czasów Festung Breslau wydaje się średnio sensowne, ale skoro zmartwychwstaliśmy pradziadka, to musimy go teraz... zmartwych... odzmartwych... wmartwychpołożyć?

– Zabić? W sensie, że bardziej? – upewniła się Salka.

– Coś w ten deseń.

– Killniemy gada osikany kołkiem? – Podekscytowany Niedaś aż się poderwał z podłogi.

– Może niekoniecznie osikany, ale owszem, jest to jedna z metod, jakie możemy wziąć pod uwagę. Co prawda przed wyborem narzędzia, które zagwarantuje nam pożądany efekt, trzeba by przeprowadzić szczegółową kwerendę celem ustalenia ontologicznej natury pradziadka...

Brat spojrział na Salkę z głębokim niesmakiem.

– Siostra, skąd ty go wytrzasnęłaś? Z biblioteki?...

– Bartolini chce chyba przez to powiedzieć – odezwała się Basia – że tak na dobrą sprawę nie wiemy, czym jest teraz pradziadek, a od tego zależy, czym da się go killnąć bądź... jak to szło?

– Wmartwychpołożyć – podsunął usłudźnie Bartek.

– O, właśnie.

Zaskoczywszy, o co chodzi, Niedaś wziął ontologiczną naturę pradziadka pod głęboką rozważkę.

– No... jak to, czym jest? Chyba trupem, nie? Takim średniej świeżości?

– Osikany... wróc, osikowy kołek podziałałby na wampira, tak? Ale nie przypominam sobie, żeby pradziadek próbował mnie kasać. Salka, a ciebie?

– Mnie tylko spławił. Dosłownie i w przenośni.

– Czyli wampir raczej odpada... Zombi? W końcu to chodzący truposz, no nie? Jak się zabija zombi?

– Bierze głodem?

– Niedaś, jak rany, skup się trochę! A jak nie zombi, to co? Duch?

Bartek stanowczo pokręcił głową.

– Duch odpada, bo to byt pozamaterialny, a pradziadek manifestuje się aż za bardzo namacalnie. Nie wiem, może strzyga? Albo upiór? „Serce ustało, pierś już lodowata, ścięły się usta i oczy zawarły...”

– Bartolini, a może by tak jakiś przypis dla tych słabiej nadążających za zestawem lektur?

Bartek zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym wyrecytował:

Serce ustało, pierś już lodowata,

Ścięły się usta i oczy zawarły;  
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata!  
Cóż to za człowiek? – Umarły.

Patrz, duch nadziei życie mu nadaje,  
Gwiazda pamięci promyków użycza,  
Umarły wraca na młodości kraje  
Szukać lubego oblicza.

Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,  
Usta i oczy stanęły otworem,  
Na świecie znowu, ale nie dla świata;  
Czymże ten człowiek? – Upiorem.

– *Upiór* Mickiewicza – dodał, rozjaśniając filologiczne mroki. – Z tym że upiora z wiersza przywróciła do życia nadzieja i nieszczęśliwa miłość, nie żądza krwawej zemsty na długo-włosej blondynce mizernego wzrostu.

– A czy ten cały Mickiewicz napisał też może instrukcję, jak takiego upiora dyskretnie anihilować? – spytała Basia. – Może być nawet wierszem, jakoś to zniosę. W sensie, że instrukcja tym wierszem, nie anihilacja. Chociaż gdyby tak nad tym dłużej pomyśleć... Mickiewiczem można by całkiem skutecznie zabijać, w zasadzie to tylko kwestia czasu.

– No, jeśli trzymać się litery literatury, że tak powiem, to na pewno nie sztyletem – odparł Bartek. – Nie, bez kwerendy na pewno się nie obędzie, i to obszernej. Trzeba by zacząć od mitów, wierzeń ludowych... Chyba że wy siedzicie mocniej w temacie przez tego waszego *Warcrafta*? – Z nadzieją potoczył wzrokiem po pozostałej trójce.

Niedaś wzruszył ramionami.

– Może gdybym pykał w *Diablo*...

– Akurat w *Warcrafcie* to żaden problem, wystarczy dobra rotacja, mały krit i pozamiatane – dodała Basia. – O, i jeszcze nie wolno stać

na zielonym. Nigdy nie wolno stać na zielonym.

– A co robi zielone?

– Zwykle krzywdę.

– Ach, rozumiem... Znaczy nie rozumiem, ale zaczynam się przyzwyczajać. Salko, a ty? – Odwrócił się do dziewczyny. – Masz może jakiś pomysł?

Salka siedziała po turecku z pustym już kubkiem w dłoniach i dumiała w najlepsze, zapatrzona gdzieś w przestrzeń, jakby w ogóle nie słyszała pytania, które przed chwilą padło. Naraz zamrugła gwałtownie.

– Mam – oświadczyła. – To znaczy nie mam, ale mam. Chodźcie.

Poderwali się za jej przykładem i zbiegli na parter, prosto do salonu, gdzie siedziały siostry Bolesne, obydwie pogrążone w lekturze. Słyszając rumor na schodach, a potem na korytarzu, zgodnie podniosły wzrok.

– Mówiła pani, że musimy go znaleźć, zanim będzie za późno – wypaliła z marszu Salka, zwracając się do pani Matyldy. – Wczoraj, kiedy zegnaliśmy się z rodzicami. Że musimy znaleźć Reinharda Petersa, naszego pradziadka. Pani znowu wie, prawda? Wie pani, co trzeba zrobić, żeby się go pozbyć raz na zawsze.

Wsunąwszy zakładkę między strony, pani Matylda zamknęła książkę, po czym odłożyła ją na stolik obok fotela i rzuciwszy przelotnie okiem na zegar, spojrzała na młodych ludzi z lekką kpina.

– A już zaczynałam sądzić, że nigdy na to nie wpadniecie i trzeba wam będzie wszystko wyłożyć jak krowie na rowie. Cztery młode głowy wespół w zespół dumwały nad tym godzinę z okładem...

– ...a dwóm starszym paniom zajęło to kwadrans przy herbatce – dokończyła nie bez dumy pani Jaga, po czym obie westchnęły zgodnie:

– Ach, ta dzisiejsza młodzież...

## Rozdział 19, w którym Bartek sięga po tajną broń filologa

Znalazłem!!! – pół godziny później po wiekowej willi przy Lipowej pięć poniosło się echo triumfalnego ryku Niedasia.

– Alleluja... – piętro niżej mruknęła pod nosem pani Matylda, odstawiając filiżankę i zerkając na zegar dyskretnie tykający w kącie salonu. Dochodziła dwudziesta pierwsza. – Najwyższy czas.

Z tętentem godnym spłoszonego stada bizonów Niedaś przygnał z powrotem do salonu, dumnie dzierżąc w dłoni szpulkę czerwonej nici oblepioną całym mnóstwem okruszków, kłaczków i kotów z kurzu.

– Znalazłem! – powtórzył z szerokim uśmiechem. – Waląła się za łóżkiem. O, i jeszcze natknąłem się na taki drobiażdżek. – Podniósł drugą dłoń, ukazując wszystkim zebranym parę jasnoniebieskich damskich majtek z koronką. – Fikuśne, co nie?

O mały włos Salka wyrwałaby mu je razem z ręką.

– Możesz mi wyjaśnić, co robiłeś z moimi majtkami? – wysyczała.

– Seryjnie chcesz wiedzieć, siostra?

W okamgnieniu przemyślała sprawę.

– Nie. Zaraz wracam – dodała i pospieszyła do kuchni, żeby zutilizować bieliznę zbrukaną braterskim łapskiem i czort jeden raczy wiedzieć czym jeszcze i po co. Gdy wróciła, pozostali wisieli już niczym sępy nad panią Matyldą. Posługując się bardzo wąskim szydełkiem, w wielkim skupieniu rozwiązała maleńki supełek, a potem delikatnie, milimetr za milimetrem, zaczęła uwalniać oderwany kawałek czerwonej nici z ukochanej kurtki Niedasia.

Wreszcie guzik z brzękiem opadł na drewnianą podłogę.

– Gotowe – rzekła cicho pani Matylda, kładąc uwolnioną nić na białej papierowej serwetce, którą trzymała jej siostra. – A teraz szpulka.

Przez długą chwilę obracała odzyskaną szpulkę w sękatych palcach.



– I co? – zapytała pani Jaga.

– Nie wiem. Spróbuję, ale... – Jej siostra pokręciła głową, po czym spojrzała na Niedasia. – Jesteś absolutnie pewien, że to jedyny kawałek, który oderwałeś? Nie wyrzuciłeś niczego do śmieci?

– Nie no, urwałem, przyszyłem guzik...

– Skoro jest guzik, to jest też i pętelka – przerwał mu Bartek. – Zrobiłeś pętelkę, kiedy skończyłeś przyszywać, ale nie ma bata, na igle musiało coś zostać. Chyba tego nie zjadłeś?

Niedaś bez słowa pobiegł z powrotem do swojego pokoju.

– A jeśli jednak zjadł? – zapytała głucho Salka. Za dobrze znała swojego brata, by nie brać tej możliwości pod uwagę.

Siostry Bolesne obrzuciły ją jednakowym niewzruszonym spojrzeniem.

– Wtedy z całego planu nici – odparła pani Jaga.

– Nomen omen – dodała pani Matylda i sięgnęła po swoją filiżankę.

Czekali w milczeniu, co rusz popatrując w napięciu na sufit, skąd dobiegały przeróżne trzaski, huki, tupoty i inne łomoty, kiedy Niedaś raz jeszcze przetrząsał każdy niemiłosiernie zagracony i zakurzony zakamarek swojego pokoju.

Sądząc po efektach dźwiękowych, jakie nastąpiły potem, nie wyrobił się na wyślizganych schodach i niewiele brakowało, by dalszą drogę na dół przebył w charakterze kolekcjonującego obrażenia kłębowiska tułowia i kończyn. W ostatniej chwili zdołał jednak wyhamować. Przez korytarz przeszedł już znacznie wolniej, rozcierając poobijane plecy.

– Wymiękła w starciu z materia, zaraza – sapnął i podał pani Matyldzie złamaną igłę, z której zwisał smętnie kawałek czerwonej nici.

Pani Matylda obejrzała go uważnie, kilkakrotnie przeciągając między palcami.

– Powinno się udać – mruknęła pod nosem. Zgarnęła serwetkę z obydwojma oderwanymi kawałkami, szpulkę, swoją laskę i ruszyła stanowczym krokiem w kierunku schodów. Na ten widok z piersi zadyszanego Niedasia wyrwał się cichy jęk rozpacz.

Kawalkada dotarła do celu, akurat gdy pani Matylda przekręcała

klucz w zamku. Z dłonią na klamce spojrzała na nich przez ramię.

– *Audi, vide, sile* – rzekła cicho i pchnąwszy drzwi, zniknęła w mroku, a za nią pani Jaga.

– Że he?

– Słuchaj, patrz i zachowaj milczenie – przetłumaczył szeptem Bartek. – To co? Wchodzimy?

– Myślisz, że tam... – Basia przełknęła ślinę – że one tam?...

Skinął pomału głową.

– Tak myślę. I chyba... chyba chcę to zobaczyć.

Odetchnął głęboko, jak przed skokiem w nieznaną głębie, i pierwszy przekroczył próg, a za nim weszli nieco spięta Salka i Niedaś, który co prawda miał lekkiego pietra, ale za nic nie przepuściłby takiej okazji.

– A ty nie idziesz? – zdziwił się, widząc, że Basia wciąż stoi na korytarzu, jakby zapuściła tam na amen korzenie i przymierzała się do pierwszych wiosennych pączków.

Pokręciła głową.

– Chyba sobie daruję tę część wycieczki.

– No co ty, Baśka? – Zaśmiał się łagodnie. – Złałaś trupa po pysku, aż mu w trumnę poszło, a boisz się paru szpulek? No chodź. – Wyciągnął do niej rękę.

– Lepiej trzymaj te swoje łapy przy sobie – fuknęła, rumieniąc się delikatnie. – Żebyśmy zaraz nie mieli kolejnego upiora na karku.

Ich oczy potrzebowały chwili, by przyzwyczać się do półmroku i wyłowić z niego kształty najeżonych szufladkami niezliczonych szafek i szafeczek, wąskich i szerokich, wysokich i niskich, starych i jeszcze starszych. Krok za krokiem ruszyli przez labirynt, zagłębiając się w niego coraz bardziej i bardziej, klucząc to w lewo, to w prawo, to wreszcie zawracając, aż naraz przytłoczyło ich nieprzeparowane wrażenie, że przemierzają przestrzeń o wiele większą, groźniejszą, bardziej tajemniczą niż zwykły pokój na piętrze przedwojennej willi przy Lipowej pięć. Basia bez zastanowienia przykleiła się do pleców Niedasia.

Wtedy gdzieś z oddali dobiegł ich wyraźny stukot drewna o drewno. Podążyli szybko w tę stronę. Jeden zakręt, drugi, trzeci –

i nagle półmrok przemienił się w światłość, a oni wpadli prosto na Salkę i Bartka.

Pani Jaga trzymała zapaloną lampę wysoko ponad głową siostry, która siedziała na krześle i rozwijała nić pradziadka Petersa ze szpulki prędkimi, płynnymi ruchami. Przed nimi, na podłodze, stał najprawdziwszy kołowrotek. Ruch za ruchem, ruch za ruchem, nić przemykała z dłoni do dłoni, czerwona niczym krew – i jak krew tryskająca z żyły rozpływała się z pojedynczej przędzy z powrotem w potok kądzieli, a światło lampy odbijało się złowieszczym blaskiem w żółtych oczach sióstr Bolesnych.

Czas płynął nieubłaganie, ale dokąd i po co, tego żadne z nich nie wiedziało. Stali niczym zahipnotyzowani i patrzyli, jak siostry zamieniają się miejscami. Teraz to pani Jaga usiadła na krześle i sięgnęła po kołowrotek. Delikatnie wyłowiła właściwe pasmo z kądzieli, skręciła, po czym przewlekła koniec przez otwór we wrzecionie, na którym spoczęła szpula. Rozległ się cichy, miarowy turkot, gdy pedał wprowadził kołowrotek w ruch. Lecz naraz pani Jaga przerwała i znów zajęła miejsce nad głową pani Matyldy, która usiadła i zaczęła prząść, na powrót przeistaczając kądziel w nić na drewnianej szpuli. Czerwień mknęła między jej palcami, jarzyła się to mocniej, to słabiej, jak gdyby tętniąc życiem, podczas gdy kołowrotek turkotał i turkotał, a żółte oczy płonęły skupieniem, mądrością i mocą.

Zapatrzona w siostry Bolesne i ich magię, Salka nawet nie zdała sobie sprawy, kiedy wyciągnęła rękę i chwyciła Bartka za dłoń, a on ścisnął ją mocno.

I naraz ostatnie dwa pasma kądzieli zjednoczyły się z czerwoną nicią. Kołowrotek umilkł. Pani Matylda prędko zdjęła szpulkę i przeciągnęła palcami wzdłuż pierwszych centymetrów nici...

A potem pokręciła głową.

Z rezygnacją.

– Nie widzisz? – Nabrzmiała oczekiwaniem cisza pękła od głosu pani Jagi.

– Nie. Widzę ulice, domy, ogień, wszędzie ogień... Widzę śmierć, ale...

– A czego pani szuka? – ośmielił się zapytać Bartek.  
– Grobu.  
Na dźwięk tego słowa Basia aż podskoczyła z piskiem.



– Dziecko, co ty? – Pani Jaga uśmiechnęła się do niej ciepło. – Nie

ma się co bać, groby naprawdę nie gryzą.

– W przeciwieństwie do pradziadków, którzy z nich wyleźli! – odparowała dziewczyna.

– Owszem, oni bywają kaśliwi...

– Bez grobu nic nie zdziałamy – rzekła pani Matylda. Wsunęła nić do kieszeni swetra i spojrzała na rodzeństwo. – Przykro mi. Nic więcej nie poradzę.

– Nie pozbedziemy się upiora? – zapytała z niedowierzaniem Salka.

– Nie. Do tego musiałybyśmy spalić tę nić wraz z duszą mniej więcej w miejscu wiecznego spoczynku ciała. W nici widać życie i śmierć, ale nie grób. O nim wie tylko Mila... i on. Wasz pradziadek.

– I ani jedno, ani drugie raczej nam w poszukiwaniach nie pomoże – odpowiedziała Salka, a pani Matylda tylko pokiwała głową.

Spochmurniały Niedaś zmarszczył czoło.

– Znaczy... znaczy, że co? Że równie dobrze mogę iść się spakować i wracać do aresztu, beknąć za wyskoki nieświętej pamięci pradziadka?

– Niekoniecznie.

Wszyscy jak jeden mąż zwrócili wzrok na Bartka.

– Niekoniecznie – powtórzył, ściskając dłoń drżącej Salki. – Myślę, że istnieje jeszcze jeden sposób.

Pani Matylda zmrużyła oczy.

– Co ty nie powiesz – rzekła oschle. – A jakież to sposób, jeśli mogę zapytać?

Bartek Tokarski uśmiechnął się szeroko, a światło lampy odbiło się w jego okularach.

– Tajna broń każdego filologa, pani... profesor – odparł nie bez uszczypliwości, od której brew pani Matyldy drgnęła niemal niepostrzeżenie. – Kwerenda.

\*\*\*

Dochodziła ósma rano, gdy Salka wysiadła z tramwaju przy placu Nankiera i stanęła grzecznie przed pasami, czekając na zielone światło. Przed zabytkowym budynkiem wydziału studenci kłębili się

już jak mrówki, mimo to bez trudu dostrzegła charakterystyczną sylwetkę Bartka.

– Gotowa? – Uśmiechnął się na powitanie. – Wyglądasz na mocno niewyspaną.

– Siedzieliśmy z Niedasiem prawie do drugiej i próbowaliśmy coś wygugłać.

– I co? – Gestem wskazał jej kierunek. Ruszyli pomału Grodzką wzdłuż Odry, zostawiając za plecami budzący się do życia Ostrów Tumski i jego okolice. Tego ranka deszcz wyjątkowo dał sobie spokój i zza chmur wyjrzało nawet coś na kształt słońca.

– I nic. Nawet gugiel wymiękł.

– Nawet gugiel, powiadasz? No dobrze. Pokażę ci, jak to robią zawodowcy... mięczaku – dodał, szczerząc się od ucha do ucha.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy skręcili w kutą bramę zabytkowego budynku, zwieńczoną ozdobnym złotym napisem. Za nią ciągnął się długi, zacieniony zaułek, a zaraz po prawej widniały wysokie drzwi. Bartek otworzył przed Salką jedno skrzydło i zaprosił ją do środka.

– To jakaś biblioteka, tak? – zapytała z nieskrywanym zachwytem, kiedy porzuciwszy większość dobytku na łaskę sympatycznej szatniarki, wspinali się szerokimi, rzęsiście oświetlonymi schodami, które chyba nie miały końca. Przy swoim wzroście Salka nie musiała nawet stawać na palcach ani wchodzić na wyższe stopnie, by przez wielkie okna na półpiętrach widzieć piękną, kremowo-czerwoną elewację od strony kameralnego wewnętrznego dziedzińca.

Bartek przystanął przy kolejnych wielkich drewnianych drzwiach z napisem „CZYTELNIA”.

– To, moja droga, jest Ossolineum – odparł takim tonem, jak gdyby prezentował jej bez mała Świętego Graala. – Jeśli gdziekolwiek znajdziemy choćby poszlaki, w jakim miejscu podczas oblężenia Festung Breslau młoda dziewczyna mogła dyskretnie pogrzebać zwłoki, to właśnie tutaj.

– Znaczą tam szklaną kulę w katalogu podręcznym?

– Mają książki. Mnóstwo, mnóstwo książek. I ciszę. Zapewniam cię, że to wystarczy.

O tej porze czytelnia świeciła jeszcze pustkami. Podczas gdy Bartek gawędził półszepem ze starszym bibliotekarzem, Salka rozglądała się z nieskrywanym zachwytem. Coś w tym wysokim, jasnym pomieszczeniu z elegancką sztukaterią, zabytkowym w sposób przyjazny człowiekowi, sprawiało, że miała ochotę rozgościć się tu na dłużej, chociaż na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało zwyczajnie, jak w każdej innej czytelnicy – ot, rzędy prostych stołów z wygodnymi krzesłami, dyskretnie nowoczesne lampki, regały niższe i wyższe, wbudowane w ściany albo wolno stojące, a na nich książki, dziesiątki, setki książek...

– Salko, daj dowód – rzucił przez ramię Bartek.

Z niechęcią oderwała wzrok od regałów i podała mu dokument.

– Salomea Klementyna?

– Co? – W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co ją pyta.

– Salomea Klementyna? – powtórzył, machając plastikowym dowodem.

Salce aż zmroziło. Dałaby sobie obciąć dowolną kończynę, że przez twarz Bartka cichaczem przemknęło rozbawienie. Niczego w tym momencie nie pragnęła równie mocno, jak zadusić własnych rodziców równie własnymi rękami. Albo zatłuc ich dowolnym wydaniem wielkiej księgi imion, byle tylko w bardzo twardej i ciężkiej oprawie. Albo zakrzyczeć i zatupać na śmierć. Utopić w rzece goryczy i żalu, że w przyływie obłędu bądź zbyt twórczej inwencji zafundowali jej podobne upokorzenia. Przy odrobinie wysiłku... No dobrze, nie odrobinie, ale mogła przecież nauczyć się robić sobie makijaż, a nawet nie rozmazywać go przy byle okazji. Chodzić na obcasach jak na obcasach, a nie niczym przyczajony tygrys na szczydłach. Przywdziewać kreacje, zamiast chować się w bezkształtnym worku. Nie bąkać pod nosem, rumieniać się jak rak we wrzątku, tylko konwersować z przedstawicielami płci przeciwnej w sposób mniej więcej błyskotliwy i dowcipny lub przynajmniej normalny. Ale co, do diabła kosmatego, miała niby zrobić z tymi przeklętymi imionami, które ciągnęły się za nią przez życie niczym smród za wojskiem? Zmienić? Chyba razem z całą rodziną, bo na pewno nie dadzą jej o tej przeklętej Komnacie nigdy, przenigdy

zapomnieć...

– Tak, a co? – zapytała cierpko. Zbyt cierpko, by uszło to jego uwadze.

– A nic, nic. Chodź, musisz się tu podpisać.

Podpisawszy cyrografy, Salka zgarnęła tymczasową kartę, Bartek zaś chwycił stos zamówionych już poprzedniego wieczoru książek i numerek. Trafił im się wygodny stolik w głębi czytelnicy, pod oknem, a nie w jednym z rzędów ciągnących się przez środek pomieszczenia czytelnicy.

– No dobrze – rzekł, otwierając notes, gdy oboje już wygodnie usiedli. – Zacznijmy od tego, co wiemy.

– Tyle co nic?

– Wprost przeciwnie. – Obrzucił stos czujnym spojrzeniem, wyłowił z niego jedną książkę i szybko przekartkował. – O, proszę. Kalendarium. Zacznijmy może od tego. Wiemy od twojej babci, że Petersowie nie opuścili Breslau podczas ewakuacji, którą ogłoszono...

– palec Bartka powędrował w dół strony – ...dziewiętnastego stycznia czterdziestego piątego roku. Idźmy więc dalej. Wiemy też na pewno, że Adi zginął dwudziestego trzeciego lutego.

– Dlaczego na pewno?

– Bo to właśnie wtedy Niemcy zaczęli demolkę w rejonie Grunwaldu – wyjaśnił Bartek i pokazał jej odpowiedni punkt kalendarium. – Pamiętasz, co mówiła wam Basia? Hanke nakazał wyburzenie części dzielnicy i budowę nowego lotniska. Żeby utrzymać tak zwany most powietrzny z Rzeszą, widzisz? Wiesz, zaopatrzenie, te sprawy. No. A babcia Przygodowa wspominała ci przecież, że Adi zginął pierwszego dnia robót na Kaiserstrasse. Nie „gdzieś na samym początku robót” czy „w pierwszych dniach robót”, tylko konkretnie, pierwszego dnia, zgadza się?

– Zgadza.

– No to teraz sama popatrz. Dzień wcześniej, dwudziestego drugiego lutego, zaczął się szturm na południowe dzielnice Breslau, więc z tym nadciągającym frontem to też by się zgadzało. A więc mamy już ramy czasowe, między dwudziestym trzecim...

– W zasadzie to dwudziestym czwartym – poprawiła Salka. –



Prababcia i babcia przyszły na Lipową dzień po śmierci Adiego. Więc skoro zginął dwudziestego trzeciego lutego...

– Racja. Czyli pradziadek... powiedzmy, że rozstał się z życiem i został pochowany prawdopodobnie nocą z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego lutego. Niech no jeszcze zerknę... o, tu jest. Do końca lutego Niemcy stracili południowe dzielnice Breslau. Chyba wszystko się zgadza.

– No dobrze, ale co nam to daje?

– Wiemy od pani Matyldy, że pani Mila zniknęła tej samej nocy i wróciła już następnego dnia, prawda? Czyli możemy chyba założyć, że daleko nie zaszła.

– Nie, dlaczego? Mogła w tym czasie obejść pół miasta.

Bartek pokręcił głową.

– Dzisiaj owszem, ale nie w trakcie walk, Salko. Weź pod uwagę realia – trwało przecież oblężenie, bombardowania, miasto obracało się w ruinę. No i mówimy o młodej dziewczynie. Nie, raczej nie odeszła daleko. Wiemy też od pani Matyldy, że jeszcze wtedy ich dom nie był na linii frontu, bo inaczej Hanke by do nich w żaden sposób nie dotarł. Rosjanie zjawili się niedługo później. Więc w tej kwestii opowieść sióstr Bolesnych pasuje do opowieści twojej babci.

Salka przytaknęła.

– Babcia mówiła... Babcia mówiła, że szły z matką w ciemności w stronę ognia i huk.

– Czyli na bank w stronę frontu. A więc nie jest źle, oprócz ram czasowych mamy też ramy przestrzenne. Ówczesna linia frontu przebiegała przez Borek, Krzyki i okolice, zaraz ci to może pokażę na mapie. Wszystko się zgadza.

– Nie zmienia to faktu, że nadal zostaje nam jakieś pół miasta na północ od tej linii – zauważyła Salka.

– Owszem, dlatego myślimy dalej. Pani Matylda wspominała również, że wasz pradziadek został przez panią Milę pochowany. Zresztą w przeciwnym razie nie byłoby w ogóle mowy o żadnym grobie, zgadza się? A szczerze wątpię, żeby szła przez obleżone miasto jak gdyby nigdy nic, ze szpadlem w dłoni, albo zaangażowała do pomocy jakiegoś uczynnego grabarza, który akurat wałęsał się po

okolicy i nie miał nic ciekawszego do roboty...

– Czyli co? Traf chciał, że nieopodal już czekała grzecznie jakaś wyrwa w ziemi, w sam raz na zwłoki pradziadka Petersa?

– Cóż, brzmi to absurdalnie...

– Jak większość tej historii, jeśli nie całość.

– ...ale owszem, podejrzewam, że tak. Pytanie tylko gdzie.

– Tylko. – Salka zaśmiała się gorzko, a Bartek cicho jej zawtórował.

– Wszystko pięknie, ale potrzebujemy jakiegoś konkretnego punktu zaczepienia, a ja tu żadnego nie widzę. Pani Matylda wiele nam nie mogła powiedzieć, no a poza panią Milą nikt nie zna... – Naraz urwała i zapatrzyła się w okno przed stołem. – Nie, co ja bredzę...

– Nie, czemu? – zdumiał się Bartek.

– Oczywiście, że bredzę! – zakrzyknęła Salka.

– Ciii!

– O, przepraszam... Oczywiście, że bredzę – powiedziała raz jeszcze przyciszonym głosem. – Poza panią Milą jest jeszcze jedna osoba, która wie, gdzie szukać. Pradziadek!

– Pradziadek?!

– A tak, pradziadek. Zamiast szukać grobu nie wiadomo gdzie i jak, poszukajmy samego pradziadka. Bo o nim też coś wiemy, prawda? I to coś bardzo ważnego. Szuka prababci Renaty, tak?

– No tak.

– A gdybyś ty szukał swojej żony, już pal sześć, w jakim celu, to gdzie? Gdzie byś chodził?

– Tam, gdzie... tam, gdzie... gdzie ona bywa! – dokończył z triumfem, gdy wreszcie zrozumiał, o co Salka chodzi. – Dom, może miejsce pracy, pewnie też kościół...

– Przecież wiemy, gdzie mieszkali! Przy Memellandstrasse!

Bartek natychmiast sięgnął po kolejną książkę ze stosu.

– Czekaj, tu gdzieś jest chyba skorowidz nazw... Nie, nie tutaj, w Peikercie... – Wyciągnął małą białą książeczkę i przewertował od końca. – Marien... Martha... Martini... Mauritius... o, Memellandstrasse! Piastowska. Dzisiejsza Piastowska! Cholera, przydałby się teraz współczesny plan Wrocławia, nie pomyślałem...

– Ha! – rzuciła Salka, po czym nie bawiąc się w wyjaśnienia,

pognała na dół do szatni, skąd wróciła prędko ze składanym planem, który nosiła w torebce, praktycznie odkąd zamieszkała we Wrocławiu. Rozłożyli go przed sobą. Bartek, który lepiej znał miasto, szybko znalazł i pokazał jej Piastowską.

– No dobrze, i co to nam daje? Pani Mila na pewno nie zawędrowała tak daleko przez jedną noc...

– Mają tu gazety? Takie normalne, codzienne, te aktualne, a nie sprzed stu lat? Mają tu? – dopytywała Salka. – Babcia Isia wspominała mi coś o artykułach na temat napadów...

Pół godziny później oboje wertowali z zapalem październikowe numery trzech wrocławskich dzienników, szukając w nich informacji o napadach.

– Mam coś! – oznajmiła w końcu Salka. – Tu piszą, że przed mostem Grunwaldzkim, w okolicach budynków Politechniki Wrocławskiej, znaleziono zwłoki młodej kobiety. Czas by się zgadzał, mniej więcej wtedy Niedaś wyparował. Gdzie to?

– Czekaj, czekaj... – Stolik, choć sporych rozmiarów, już dawno został cały zarzucony papierami, więc Bartek musiał najpierw zgarnąć oprawione gazety i odłożyć gdzieś na bok, żeby dostać się do planu. – Tu masz most Grunwaldzki – pokazał wreszcie – a tu Piastowską.

– Niedaleko. To by się zgadzało!

– Na to wygląda – przyznał Bartek. – Dobra, to kto był drugi? Ty czy Basia?

– Basia. Gdzieś przy jakimś basenie czy aquaparku...

– Jeśli aquapark, to tylko Borowska. Czyli... czyli... czyli tu. – Zaprezentował jej na planie. – O, to niedaleko was... A ciebie spławił tutaj. – Drugim palcem wskazał most Piaskowy. – Więcej napadów na razie nie było, odpukać, w przeciwnym razie twój brat znów by pewnie zbijał bąki w areszcie. Na szczęście ani wasza prababcia, ani Basia nie podchodzą pod atak klonów, więc nie tak łatwo mu znaleźć pasującą ofiarę.

– Pod co? – zainteresowała się Salka.

– Atak klonów. No, wiesz, kiedy coś się staje modne i nagle pół miasta tak samo się czesze, nosi ten sam krój albo kolor ubrań... Na przykład gdyby wasza prababcia była anorektyczką w stylistyce emo,

z upodobaniem do asymetrycznych grzywek, lateksowych getrów albo dziwnych trampek na koturnie, trup słałby się gęsto po całym Wrocławiu. Zwłaszcza w okolicach okupowanych masowo przez gimnazjalistów...

Z jakiegoś powodu Salce po tych słowach zrobiło się odrobinę cieplej na duszy. Czego jak czego, ale nikt nie zdołałby jej zarzucić, że dołączyła do jakiegokolwiek ataku klonów. Nawet gdyby bardzo się starał.

Pewna myśl wciąż jednak nie dawała jej spokoju. Miała wrażenie, że coś jej umyka, coś bardzo ważnego...

– Czego mógł szukać w tych dwóch miejscach? – Bartek głowił się dalej, wpatrując intensywnie w plan miasta. – Myślisz, że twoja babcia zapamiętała z dzieciństwa jeszcze jakieś adresy? Rodziny, przyjaciół? Pomogłaby nam?

– Szczerze? Wątpię, ale spróbować zawsze można. Zadzwoń do niej po pracy. No, tak na upartego to do mostu można dotrzeć z tej Piastowskiej, nie?

– Na upartego tak, ale Borowska jest już nieco dalej... – Jego palec rytmicznie stukał w miejsce opisane jako Wzgórze Andersa.

Salka w zamyśleniu przesunęła wzrokiem dalej na południe, wzdłuż wyrysowanej Borowskiej, aż dotarła do skrzyżowania z aleją Armii Krajowej. Wówczas dostrzegła nieopodal znajomą nazwę, którą usłyszała swojego pierwszego dnia pobytu we Wrocławiu – Wiśniowa. Stamtąd był już tylko rzut beretem na Lipową. W końcu sprawdziła to osobiście, taszcząc własny plecak.

– Myślisz... – Przełknęła ślinę. Nagle poczuła nieprzyjemną suchość w gardle i ustach. – Myślisz, że...

– Że co?

Koniuszkiem palca zakreśliła okrąg wokół Lipowej na planie.

– A co, jeśli on szuka nie tylko prababci?

Bartek spojrzał z powagą na Salkę.

– Sądysz, że szuka także ich? Sióstr Bolesnych?

– A co innego miałyby robić w okolicy?

## Rozdział 20, w którym dominuje wątek krajoznawczy z subtelną nutą pomarańczy

Och, całe mnóstwo rzeczy – gdzieś pomiędzy kłębow papierosowego dymu rozległ się głos pani Jagi. – Przed wojną te okolice były naprawdę cudowne.

Późnym popołudniem, po pracy, Salka już tradycyjnie przyprowadziła na Lipową Bartka. Z kolei Basia jak zwykle wykazała się inicjatywą i po skończonych wykładach przyszła sama. Zasiadli wszyscy razem w salonie i przystąpili do zbiorowej konsumpcji płynów, po czym Salka z Bartkiem streścili pozostałym wnioski, do jakich doszli podczas trzech przedpołudniowych godzin spędzonych w czytelni Ossolineum.

– Mogli bywać chociażby w Parku Południowym – ciągnęła pani Jaga. – Jak połowa mieszkańców tego miasta. U Haasego, na Reitbahnie, w pawilonie Schottländera... – Westchnęła melancholijnie. – Tyle piękna szlag ciężki trafił.

– Przez wojnę? – zapytał Bartek, odrywając na chwilę wzrok od notatek, które sporządził pospiesznie, powróciwszy po zajęciach ze studentami do czytelni, podczas gdy Salka marnowała jeszcze czas w pracy.

– Ach, dziecko, żeby tylko! Często to, co przetrwało wojnę, zmieniało się w gruzy już dawno po nastaniu tak zwanej wolnej Polski. O, chociażby w latach sześćdziesiątych, prawda, Matyldo?

– Nawet mi nie przypominaj! – fuknęła najstarsza siostra, a na jej zazwyczaj blade policzki wystąpiły rumieńce wzburzenia. – Barbarzyńcy!

Reakcja pani Matyldy wzbudziła powszechne zainteresowanie.

– Kto taki? I co takiego zrobili? – chciał wiedzieć Niedaś, któremu barbarzyńcy kojarzyli się głównie ze zwalistym Conanem i piersiastymi dziewczynami w szcątkowym odzieniu.

– Władze powojennego Wrocławia – wyjaśniła pani Jaga. – Czyli

polские władze. W latach sześćdziesiątych stopniowo likwidowały stare poniemieckie cmentarze, łącznie ponad czterdzieści na terenie całego miasta. Że niby ewangelickie to nieużywane, więc na co one komu w katolickim mieście.

– Nie że ewangelickie, tylko przede wszystkim niemieckie – syknęła jej siostra. – Niemieckie cmentarze w polskim Wrocławiu! Kto to widział!

– Oj, Matyldo.

– Nie „oj, Matyldo”, tylko tak! Niemcy, Polacy, Żydzi, nieważne, to byli ludzie! Nasi krewni, przyjaciele, sąsiedzi! Żyli w tym mieście i w nim umarli, chodzili jego ulicami, własnymi rękami je budowali, a ci barbarzyńcy ot tak postanowili sobie, że zniszczą wszelką pamięć o ich istnieniu. Bo na co komu te stare cmentarze, jak przecież trzeba poprowadzić drogę albo postawić osiedle ku chwale nowego ładu. Mów, co chcesz, Jaguś, dla mnie to jest hańba! Żeby tak groby... A! – Z irytacją machnęła ręką.

– Nooo... ale Niemcy przegrali tę wojnę, nie? – rzucił Niedaś, unosząc przy tym powątpiewająco jedną brew. – Zresztą tak jakby na własne życzenie.

Słyszając to, pani Matylda pogroziła mu laską i nie było w tym geście ani krztyny żartu.

– Jeszcze powiedz, że zwycięzców się nie sądzi, a jak siostry rodzone kocham, do końca życia mnie popamiętasz! Zmarli to zmarli, koniec kropka. Nieważne, Polacy czy Niemcy, to byli breslauerzy tacy jak my i należy im się pamięć. I bezwzględny szacunek, bo oni nie mogą się już sami bronić ani przed ludzką głupotą, ani przed podłością.

– No ale taki Hitler czy inna gestapowska gnida...

– Co zrobili za życia, to zrobili, tego nikt nie neguje. – Pani Matylda przerwała Niedasiowi. – Ale z chwilą gdy wyzionęli ducha, ich rachunek został zamknięty raz na zawsze. Nieważne, na plusie czy na minusie. Zapłacili go własnym życiem.

– Ale nie spłacili – zauważyła Basia.

– To prawda. – Starsza pani gładko przyznała jej rację, po czym znów uczepiła się nieszczęsnego Niedasia. – Ale to, jak traktujemy

dzieci i zmarłych, świadczy o naszym człowieczeństwie albo zbydlęceniu. Naszym! Nie ich.

– Matyldo, nie dręcz już tego biednego dziecka – wtrąciła łagodnie pani Jaga.

– Nie jestem dzieckiem! – Niedaś natychmiast zapłonął oburzeniem.

– Oczywiście, dziecko, oczywiście. – Spławiwszy go subtelnie, zwróciła się do starszej siostry. – I nie zapominaj, że to nie tak zwana wolna Polska zapoczątkowała dzieło zniszczenia.

Matylda Bolesna prychnęła.

– Sądzisz, że mogłabym o tym zapomnieć?

– O czym takim? – zainteresowała się Basia.

Pani Jaga zdusiła w popielniczce wyssany do cna niedopałek i sięgnęła po świeżą ofiarę.

– Zimą czterdziestego piątego... Przepraszam, widział ktoś moją...? A, już mam. – Wyłowiła zaginioną zapalniczkę spod gazety. – Otóż zimą czterdziestego piątego, na samym początku szturm, generał von Ahflen, to jest ówczesny komendant miasta, zarządził, że każdy nagrobek i grobowiec z okolicznych cmentarzy ma posłużyć na budowę barykad. Rozkaz, rzecz jasna, wykonano, w końcu tędy przebiegał front... Niemcy zresztą inteligentnie rozstawiali w pobliżu baterie armat, w które Armia Czerwona tłukła z upodobaniem jak w bęben. W ten sposób nad wyraz zgodnie obracali w ruinę cmentarz za cmentarzem. Z kolei na takim Lerchenbergu spędzono raz wielkie stado bydła, które biegło samopas po mieście...

Bartek zastygł z notesem w dłoni.

– Przepraszam, na czym?

– Na Lerchenbergu. Friedhof Am Lerchenberg. Po polsku to będzie cmentarz na Skowroniej Górze.

– Skowronia Góra? Coś mi dzwoni... Salko, dasz plan miasta?

Pochylili się zgodnie nad planem Wrocławia rozpostartym na stole. Odłożywszy na chwilę papierosa, by nie siać żarem zniszczenia, pani Jaga zmarszczyła brwi.

– No, trochę się to zmieniło, nie powiem. Matyldo, może tak małe wsparcie taktyczne?

– Tutaj. – Pani Matylda zdecydowanie przesunęła palcem wzdłuż krótkiego odcinka Borowskiej, skręciła w Działkową, a potem jeszcze raz, w Spiską. – To właśnie jest Skowronia Góra, ten obszar.

Salka przyjrzała się bliżej, wczytując w maleńkie literki.

– Dzisiaj jest tam... cmentarz?

– Cmentarz żołnierzy Armii Czerwonej, a poza tym ogródki działkowe i park. Park Skowroni.

– A co tu było przedtem?

– Cmentarz na cmentarzu – odparła krótko pani Matylda. – Niech no pomyślę... Neuer Friedhof St. Mauritius, czyli nowy cmentarz św. Maurycego, tu i tu. Poza tym Neuer Friedhof St. Maria Magdalena, no i dwa Salwatory, nowy i stary. Na północy Alter Friedhof St. Salvator und St. Johannes, a Neuer dalej na południe.

– Nie zapominaj o Armii Krajowej – wtrąciła pani Jaga, wskazując teren na północ od szerokiej alei, oznaczony jako park Andersa. – Dorota, stary Maurycy, stara Maria Magdalena... I jeszcze parę innych. Łącznie ile?

– Licząc z żydowskim i tak dalej? Ze dwanaście jak nic.

– Dwanaście cmentarzy? Właśnie tutaj, w tej okolicy? – upewnił się Bartek. – I wszystkie zostały zlikwidowane po wojnie?

– No, zlikwidowane to chyba za dużo powiedziane – mruknęła pani Jaga, łypiąc na starszą siostrę, która aż zacisnęła usta. – Części grobów w ogóle nie ekshumowano, ograniczono się do zniszczenia i zasypania tego, co wystawało nad ziemią.

– Że co?! – ryknęli jednym głosem Salka i Bartek, wlepiając w siostry Bolesne oszołomione spojrzenia.

– Rany jeża, a wy co się tak drzecie? – zdziwił się Niedaś, jednak nie zwrócili na niego uwagi, zapatrzeni w starsze panie, jakby z ich ust spływały właśnie prawdy objawione.

– Ile? Kilkanaście lat temu? W każdym razie nie tak znowu dawno, podczas rozbudowy Armii Krajowej, robotnicy znaleźli szczątki ludzkich szkieletów – wyjaśniła pani Jaga. – W zajezdni to samo. Boże, przecież całe Huby stoją na cmentarzu! Kto to wie, ile nietkniętych grobów pozostało pod asfaltem i wielką płytą. Pod starym kąpieliskiem na Ślężnej. Pod lodowiskiem...



– Albo w obu parkach – dodała cicho pani Matylda. – Jeszcze ze dwadzieścia lat temu zdarzało się, że w trakcie zabawy dzieciaki natykały się tam na ludzkie kości. A nagrobki i pozostałości ogrodzeń po dziś dzień wyglądają dyskretnie spomiędzy niektórych drzew. W listopadzie chodzimy tam i stawiamy znicze.

Salka i Bartek spojrzeli po sobie.

– Myślisz o tym co ja? – zapytał.

– Sama nie wiem... – Pokręciła głową w zamyśleniu. – Teoretycznie to by nam pasowało, ale... Ale to równie dobrze może być zwykły zbieg okoliczności.

– Jaki znowu zbieg okoliczności! – oburzył się Bartek i czym prędzej przystąpił do wyliczeń. – To niedaleko stąd, więc pani Miła zdążyłaby znaleźć ciało, zawlec w odpowiednie miejsce, pochować i wrócić. Zbliżał się front, tak?

Pani Jaga przytaknęła.

– Dzień czy dwa później miałyśmy na podwórku Armie Czerwoną.

– Ha! A Niemcy potrzebowali nagrobków, płyt nagrobnych i tak dalej na barykady, więc pewnie wiele mogił niespodziewanie stało otworem i można było coś do nich dyskretnie dorzucić. Zresztą czytałem dziś o tym u Peikerta, mam tu gdzieś notatki... O! Posłuchajcie tego. Czwartek, dwudziesty drugi lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. „Kościelny donosi mi o ohydnych wandalizmie na naszym starym cmentarzu św. Maurycego”. Stary Maurycy! I dalej: „Zburzono ogrodzenie, kamieni z nagrobków i grobowców użyto do budowy barykad. Wspaniałe, artystycznie wykonane grobowce na skrajach cmentarza, których piękno znane było całemu miastu, zostały zburzone. Ponieważ zbudowane były z mocnego kamienia, wysokie tylne ściany grobowców oplatano stalowymi linami i ciągnąc końmi, przewracano je”<sup>41</sup>. A we wpisie z następnego dnia wspomina o wielkim spustoszeniu na cmentarzach przy Steinstrasse... czyli przy...

– Kamiennej – podsunęła pani Jaga. – Biegnie tu, na północ od cmentarza.

– I co, pradziadek tak sobie przypadkiem przechodził w okolicach frontu i przy okazji padł tam trupem, jak mu starsze panie sznureczek

przecięły? – wtrącił z powątpiewaniem Niedaś.

– Peters był w Volkssturmie – rzuciła naraz pani Matylda. – Był w Volkssturmie i był bardzo gorliwy. Na pewno nie chował się gdzieś na tyłach, tylko pchał na sam front. Do pierwszej ławki. Może nawet ciągnął z zapalem za te stalowe liny.

– A skoro ciało z tamtego cmentarza rzeczywiście nie ekshumowano po wojnie, to znaczy, że i sama mogiła, i szczątki nadal gdzieś tam są. Dlatego pradziadek mógł powrócić do Wrocławia w roli upiora, prawda?

– Ale wcale nie jest powiedziane, że to właśnie nagrobek pradziadka grzecznie gdzieś sobie wystaje i czeka, aż się o niego potkniemy – zauważyła Salka, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Zapomnij – stwierdziła stanowczo pani Jaga. – Wasz pradziadek na pewno ma grób, ale wątpię, żeby Mila przy okazji postawiła mu gustowny nagrobek zastępczy i wyryła na nim epitafium. Albo zamieściła stosowny dopisek, który na dodatek raczył łaskawie przetrwać do dziś.

– No właśnie. Nie wiemy nawet, gdzie szukać. Bardziej w Andersie? Czy bardziej w Skowronim? A przetrząśnięcie takiego terenu na oślep, bez żadnych dokładniejszych wskazówek, zajmie nam całe dni, tygodnie, może nawet miesiące...

Niedaś łypnął z zainteresowaniem na plan miasta.

– A co, aż taki duży ten park?

– Spory – odparła Salka i wtedy jak grom z jasnego nieba spadło na nią wspomnienie, którego od dłuższego czasu bez przerwy szukała w pamięci. – Zresztą co ty mnie pytasz, przecież wiesz! – fuknęła. – Byłeś tam.

– Gdzie? W parku?

– No tak, od strony zajezdni. Widziałam cię przecież.

– Siostra, gdybyś powiedziała, że widziałas, jak pływam pieskiem w rynsztoku, przebrany za Myszkę Miki i nawalony jak marabut, to pewnie bym się nie wypierał, ale po parkach na pewno się nie szwendam. Mam swoją godność.

– Ty masz co najwyżej sklerozę, a nie godność, łajzo jedna. Pamiętam doskonale, to było tuż po tym, jak mi się zważył na głowę

i *Warcraft* zaczął ci się buszyć.

– Krzaczyć.

– Bez różnicy. Widziałam cię z tramwaju i nawet się zastanawiałam, czemu się szlajasz wieczorem po parku, skoro miałeś niby odsypiać te swoje nocne łazęgi.

– Siostra, to nie byłem ja. – Niedaś szedł w zaparte.

– Wiem, co widziałam!

– Seryjnie? Nad Odrą też?

Salka otworzyła usta, żeby coś mu odparować, i w ostatniej chwili ugryzła się w język. Jej wahanie nie umknęło jednak uwadze brata. Założył ręce na piersi i ze zmarszczonym czołem wbił w Salkę pochmurne spojrzenie.

– Siostra! Ty chyba w końcu załapałaś, że tam nad Odrą to nie byłem ja, co nie?

Salka umknęła wzrokiem. Niedaś o mało się nie zatchnął.

– Ej, siostra, no bez jaj! – zakrzyknął z oburzeniem. – To nie jest śmieszne!

– No co ty nie powiesz? – parsknęła. – A czy ja się tarzam ze śmiechu po parkiecie?

W końcu Niedaś zajarzył.

– Siostra, ty mi zwyczajnie nie ufasz! Ja ci daję słowo, a ty je masz gdzieś!

– Brawo, Sherlocku. Zajął ci to co prawda dwadzieścia lat, ale wreszcie załapałeś. Jestem z ciebie dumna!

– Jeszcze mi tu wyskocz z pomarańczami! – wrzasnął Niedaś, przybierając sinawy odcień bladości, w którym wciąż było mu jednak do twarzy.

– A pewnie, że wyskoczę! – odwrzasnęła Salka, dla kontrastu purpurowiejąc, co niespecjalnie jej służyło. – Wszystkie zawsze zżerałeś sam, jak jakiś karaluch nienażarty, chociaż cię prosiłam, żebyś mi zostawił. No to zostawiałeś, pestki i skórki! Łaskawca jeden!

– Rosłem, potrzebowałem witamin!

– Ja też rosłam, wyobraź sobie!!!

– No tak, ale głównie wszerek, a ja...

– A Panem Kleksem w dekiel chcesz?! Och, wybacz, nie dostaniesz,

choćbyś chciał, bo jakiś palant zamienił mojego Pana Kleksa na kretańskie plastikowe żołnierzyki!!!

– To była kretańska edycja kolekcjonerska, a nie żaden plastik, a ty go i tak nie czytałaś!!!

– MILCZEĆ! – huknęła pani Matylda. – Oboje! Na litość boską, co w was wstąpiło? Rodzeństwo powinno się wspierać!

– Właśnie! – Niedaś natychmiast podpiął się pod autorytet starszych pań. – One zaciukały razem pradziadka włóczęką i jakoś z tym żyją, a ty mi jakieś durne pomarańcze do usranej śmierci będziesz wypominać!

– Wiesz, jak cię dobrze zmartwychwstanę, to nawet dłużej!

– Wstyd, siostra, wstyd!

– A żebyś wiedział, że wstyd!!! – ryknęła Salka pełną pierśią, a w jej oczach zaszklily się zdradzieckie łzy. – Całe życie nic, tylko wstydu się przez ciebie najadam zamiast tych pomarańczy, gadzino parchata! Musiałeś mi go narobić nawet przy... – Urwała i przełknęła ślinę. – Świnia jesteś i tyle – wydusiła. – Tak, wiem, że tam nad Odrą to nie byłeś ty. A skąd wiem? Bo tak mi podpowiada logika. I tak, z tych samych powodów mogę założyć, że to rzeczywiście nie ty szlajałeś się koło tej zajezdni, tylko pradziadek. Ale nie dziw się, że nie mam do ciebie za grosz zaufania, bo pracowałeś sobie na to długo i uczciwie! – rzuciła na zakończenie, po czym okręciła się na pięcie i wybiegła z salonu, zanim w ślad za łzami popłynęły nieokiełznane strumienie kataru, kompromitując ją do reszty.

– Salko! – Bartek już chciał za nią biec, lecz Basia przytomnie złapała go za łokieć.

– Chęci są dobre, ale pomysł gorszy. Ty tu lepiej zostań i główkuj dalej. Nieźle ci idzie. – Poklepała chłopaka po ramieniu i pobiegła za Salką, żeby ratować jej twarz, dosłownie i w przenośni.

W salonie zapadła grobowa cisza, którą przerwało dopiero ciche, acz energiczne drapanie pazurków o parkiet. To nadciągnął półprzytomny Roy Keane, brutalnie wyrwany z drzemki. Zaskrzeczał z wyraźnym potępieniem, dając hałaśliwemu towarzystwu do zrozumienia, że gardzi nim głęboko do siódmego pokolenia w tę i w tę, a potem podreptał do kuchni.

– Wafelki są na stole! Tylko nie nakrusz! – krzyknęła za nim pani Matylda. – No dobrze, na czym to skończyliśmy?

– Na pomarańczach – burknął nadąsany Niedaś.

– Na Andersie – odparła jednocześnie pani Jaga.

Ale Bartek zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie. Na zajezdni. Na tej zajezdni. – Pokazał na planie skrzyżowanie Kamiennej ze Ślężną. – Tu były cmentarze, prawda?

Siostry Bolesne przytaknęły.

– A tu pradziadek Peters napadł Basię. Pradziadek Peters... pradziadek... który... – Rozpromienił się nagle. – Ha! No tak, wszystko jasne!

– Bardzo możliwe – zgodziła się z nim pani Jaga – tylko co konkretnie?

– Zastanawialiśmy się z Salką, czego pradziadek szukał w tych stronach. Założyliśmy, że może pań, ale teraz mnie olśniło! Przecież pradziadek Peters był tramwajarzem! Ta zajezdnia istniała już w czterdziestym piątym?

– Istniała, jeszcze zanim my przyszyliśmy na świat. Ma dobrze ponad sto lat.

– Ha! A więc bardzo możliwe, że pradziadek tu pracował. Dlatego się tu kręcił! Zyskalibyśmy kolejny punkt odniesienia... Ty! – Wskazał palcem Niedasia. – Masz zadanie specjalne. Bierzesz telefon, dzwonicz do waszej babci i nie odkładasz go, dopóki się czegoś nie dowiesz.

Co prawda Niedaś nie do końca za nim nadażał, posłusznie wyciągnął jednak komórkę z kieszeni i wybrał numer babci Przygodowej. Odchrząknął niespokojnie, wsłuchując się w miarowy sygnał i nieustające szумы w tle.

– Babciaaaa? A, no siema, tato! Słuchaj no, tato, my tu mamy taki mały zagwizdek i bez babci ani rusz... Cooo?

Widząc jego skrzywioną w wyrazie absolutnej bezmyślności twarz, pani Matylda straciła cierpliwość.

– Na litość boską! – syknęła i wyrwała chłopakowi komórkę z ręki. – Halo? Dzień dobry, panie Pawle, mówi Matylda Bolesna... Tak, ta Bolesna. Muszę zamienić parę słów z pańską matką. W tej chwili. Tak. Dziękuję, oczywiście. – Czekaając, aż babcia Przygodowa podejdzie do

telefonu, wpatrywała się w Bartka. – Ilse?! – zakrzyknęła nagle po długiej chwili milczenia, aż pozostali drgnęli z zaskoczenia. Z kuchni dobiegło oburzone skrzeczenie Roya Keane’a. – Ilse, potrzebuję odpowiedzi na jedno pytanie. To bardzo ważne, skup się z łaski swojej. Czy pamiętasz, na jakiej linii jeździł twój ojciec? Nie? Albo chociaż jakimi ulicami? Też nie...

Słyszając to, pani Jaga westchnęła i sięgnęła z rezygnacją po nowego papierosa, a Bartek pokręcił smętnie głową. Lecz pani Matylda ani myślała składać broni.

– A pamiętasz może, czy jeździł w okolicach Steinstrasse albo Südparku?

– Rodzina! – Bartek podsunął teatralnym szeptem.

– A może mieliście w tych okolicach jakąś rodzinę, znajomych? Słucham? – Wyprostowała się nagle i obrzuciła pozostałych triumfalnym spojrzeniem. – Jesteś pewna? Tak, to nam bardzo pomoże. Dziękuję, Ilse. Dobrej nocy. Masz – podsunęła telefon Niedasiowi – wyłącz to przekłete ustrojstwo.

– I co? Czego się pani dowiedziała? – dopytywał zniecierpliwiony Bartek.

– Nie pamiętała numeru linii ani samej trasy – odparła, rozsiadając się na powrót w swoim fotelu – ale trzech rzeczy była pewna. Po pierwsze, nie mieli w okolicy żadnych krewnych ani znajomych. Po drugie, Reinhard Peters nigdy nie jeździł na południowych trasach. Po trzecie zaś... – tu zawiesiła głos i uśmiechnęła się samym kącikiem ust – ...po czterdziestym trzecim jeździł przez Sandbrücke i dalej Burgstrasse aż do Rynku.

– Sandbrücke? Czyli most Piaskowy, tak? – upewnił się Bartek.

– Owszem, most Piaskowy. Ale na pewno nie miał nic wspólnego z zajezdnią przy Steinstrasse.

Bartek zastygł nad stołem, popatrując to na plan miasta, to na notes, który trzymał w dłoniach. Na jego szczupłej twarzy malował się głęboki namysł, przeplatany odrobiną dezorientacji i niepewności.

– Adres.

– Co proszę? – Siostry Bolesne nadstawiły uszu.

– Czy on mógł znać wasz adres?

– Jaguś?

– Mowy nie ma – odparła stanowczo pani Jaga. – Renate Peters znała go ode mnie i nikomu nie przekazywała. A już na pewno nie jemu. Była zdesperowana, ale nie głupia. W każdym razie nie aż tak.

– No to wszystko jasne – stwierdził Bartek, zamykając notes i odkładając go na stół. Uśmiechnął się z satysfakcją. – Skoro pradziadek nie miał nic wspólnego z zajezdnią przy Steinstrasse i nie wiedział, że mieszkacie przy Lipowej, znaczy, Lindenallee, a był w tych okolicach widziany co najmniej dwukrotnie, to może oznaczać tylko jedno.

Spojrzał na siostry Bolesne, które zgodnie pokiwały siwymi głowami. Tylko Niedaś jak zwykle został w tyle i gapił się na Bartka niczym cieleń na malowane wrota.

– Znaczy, że co?

– Znaczy, że tu ma, jak by to ująć... swoją bazę wypadową – odparła pani Jaga.

– Czyli że co?

– Grób, Niedasiu. Grób.

\*\*\*

Tramwaj telepał się po torach, straszliwym rumorem budząc bez mała pół miasta i strącając z nocnego nieba nietoperze w locie.

– Jezuu, co za dziadostwo! – stęknęła dziewczyna, po tym jak po raz kolejny zarzuciło składem, a ona poleciała bezwładnie do przodu i przydzwoniła użębieniem o własne kolana. Natychmiast potulnie, choć nie bez obrzydzenia, spuściła nogi z siedzenia na lepką od brudu podłogę. Aż jej dudniło w głowie, choć nie potrafiła powiedzieć, od czego bardziej – nadwyżki alkoholu w organizmie, nieplanowanego kontaktu szczęki z kolanem czy od tego niekończącego się huku i bujania w tę i w tę, które odbijało się gromkim echem aż w żołądku. Niepotrzebnie usiadły na samym końcu, tam przecież kołysało najmocniej. Westchnęła. Kolokwia to zło. Wspólna nauka to zło. Tramwaje też. I sangria. I pizza. Zwłaszcza hawajska, dodała w myślach, czując w ustach skwaśniały od soków żołądkowych smak

ananasa.

Na siedzeniu przed nią kiwała się swobodnie jej bardziej znieczulona koleżanka i raz po raz wydawała z siebie chichot godzien nadpobudliwej hieny. Spędziły na przystanku chyba całą wieczność, modląc się, żeby ostatni tramwaj nie wystawił ich do wiatru, inaczej musiałyby pół miasta drałować na piechotę. W końcu podjechał awaryjny skład – stara, rdzewiejąca stopiątka, wygrzebana z zajezdni i odkurzona na rozgrzewkę przed zbliżającym się dniem Wszystkich Świętych. Sunęła torami chyba już tylko siłą przyzwyczajenia. „A skądże to, jakże to, czemu tak gna? A co to to, co to to, kto to tak pcha?” Nagle – pisk. Nagle – wizg. A potem błoga, upragniona cisza, gdy skład z umęczonymi wyteżoną konsumpcją i nauką pasażerkami wyłonił się spod wiaduktu i zatrzymał na następnym przystanku. Koleżanka chichotała wariacko, nie przestając się bujać. Nie mogła na nią patrzeć, bo aż ją mdliło, więc ostrożnie, nie za szybko, przesunęła wzrok na bardziej stateczny widok za szybą.

Dochodziła północ. Po całodziennym obleżeniu skrzyżowanie świeciło pustkami, mokrym asfaltem i pulsującą niespiesznie sygnalizacją. Pobliski dworzec Pekaesu przysnął na chwilę, a wraz z nim dziesiątki autobusów upchniętych na parkingu. Pewnie gdzieś tam, na którymś peronie przechadzali się niemrawo pasażerowie, korzystając z krótkiego postoju, by dotlenić płuca szczodłą porcją nikotyny, a przy okazji rozruszać kończyny i pośladki, zdrętwiałe podczas długiej jazdy. Ktoś przemknął szybko przez pasy, ciągnąc za sobą dwie walizki na kółkach, po czym zaczął się z nimi tarabanić do stopiątki. Dalej, po prawej, dumnie wznosiła się opustoszała świątynia konsumpcjonizmu, upstrzona kolorowymi neonami i szyldami. Na jej widok dziewczyna poczuła głęboką potrzebę oddania hołdu. Wielokrotnego. Najlepiej przed kasą w obuwniczym.

Naraz coś ją tknęło i nie była to wcale mroczna żądza nowych trampek z ćwiekami. Oderwawszy niechętnie wzrok od galerii handlowej, spojrzała nieco niżej. Potrzebowała dłuższej chwili, by na wąskim chodniku za jezdnią, na tle jakiegoś komisum samochodowego czy parkingu, dostrzec postać. Stała tam sobie i... Nie, nie stała. Zamarła. Zastygła. W bezruchu. W całkowitym, dziwnym bezruchu,



który pomalutku przeszył ciało dziewczyny niezrozumiałym dreszczem, podnosząc kolejno każdy, nawet najmniejszy włoszek...

– Da-aleko jeszszszcze? – czknęła koleżanka i dziewczyna odruchowo rzuciła okiem w jej stronę. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, lecz gdy znów popatrzyła na chodnik, postać zniknęła. Dziewczyna odetchnęła z niezrozumiałą dla siebie ulgą. Pewnie coś jej się przywidziało. Za dużo pizzy. Tak, to na pewno to. Przecież nie była aż tak pijana, żeby...

W ostatniej chwili zdusiła wrzask, który podszedł jej do gardła, ciągnąc za sobą zawartość wzburzonego żołądka.

Była tam. Tuż za brudną, porysowaną szybą. Nie tam, na chodniku oddzielonym od przystanku jezdnią i barierką, kilkanaście metrów dalej – lecz tu, tuż przed nią, na wyciągnięcie ręki. Znieruchomiała, złowroga postać. Nie dzieliło ich nawet pół metra, choć przecież ułamek sekundy temu...

Przełknęła ślinę.

Facet. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak dokładnie wyglądał, w co był ubrany ani ile mógł mieć lat. Ale to na pewno był facet. Wysoki. Ciemnowłosy. Bardzo blady, z dziwnymi szramami na policzkach – niewiele więcej zdążyła dostrzec, zanim trzeci pasażer wciągnął ostatnią walizkę do środka i drżący z wysiłku tramwaj ruszył w dalszą drogę przy akompaniamencie łoskotów i zgrzytów, umykając prosto spod dłoni, którą facet na zewnątrz zdążył jeszcze na okamgnienie przytknąć do szyby.

Nigdy jednak nie zapomniała dwóch szczegółów tamtego przelotnego spotkania tuż po północy, w samym sercu śpiącego Wrocławia – tych płonących oczu rodem z najgorszego koszmaru, z przerażającą nieustępliwością wpatrujących się w jej długi, jasny warkocz. I tej tramwajowej szyby, na której niczym piętno wypalone na skórze został ślad jego dłoni. Starej szyby. Brudnej. Porysowanej. I popękanej, jakby w tym miejscu ktoś z całych sił uderzył w nią kamieniem.

## Rozdział 21, w którym nic nie raczy wypełznąć

Sześć hektarów! – ryknęła Salka, próbując przekrzyczeć koszmarny hurgot, z jakim mijał ich kolejny sznur ciężarówek ciągnących na Bielany. – Sześć hektarów! Tyle ma sam Anders. A Skowroni wiecie ile? Mizerne dwadzieścia pięć! Razem trzydzieści jeden hektarów, co to dla nas!

Stali na chodniku przy zatłoczonej alei Armii Krajowej, która wyznaczała granicę między obydwoma parkami. Poranny szczyt komunikacyjny dyskretnie, acz konsekwentnie przymierzał się do gładkiego przejścia w szczyt południowy, równie hałaśliwy i cuchnący spalinami. Wyjątkowo nie padało, ale w powietrzu unosiła się nieprzyjemna wilgoć, która do spółki z wiatrem sprawiała, że co rusz dygotali mimo ciepłych ubrań. Bartek nie miał tego dnia zajęć, a Basia beztrąsko urwała się ze swoich, uznawszy, że wykłady powtarzają się przecież co tydzień, w przeciwieństwie do polowań na upiornych pradziadków. Salka natomiast niecnie wykorzystwała dobre serce szefowej i wyżebrała dwa dni wolnego, zasłaniając się zawrotami głowy, które rzekomo nie dawały jej wciąż spokoju po uderzeniu w skroń. Z uwagi na dokuczające biodro – choć nie przyznałaby się do tego za żadne skarby – pani Matylda stanowczo odmówiła wielogodzinnej przechadzki w tych warunkach atmosferycznych i została w domu z marudnym Niedasiem. Za to pani Jaga raz-dwa przygotowała się do wyjścia z młodzieżą i teraz przechadzała się wzdłuż drogi w tę i z powrotem w fantazyjnej, wściekle czerwonej pelerynie, staroświeckim kapeluszu z fikuśną woalką, z parasolem w garści i Royem Keane'em na ramieniu, a za nią ciągnęły się gęste smugi dymu. Salka miała wrażenie, że kamery przy przejściu dla pieszych na wysokości Spiskiej zamiast ruchu na drodze od kwadransa śledzą rozbawioną starszą panią, mało im soczewki i podzespoły nie wypadną.

– Skowroni na początek możemy sobie chyba darować – stwierdził Bartek, nie odrywając wzroku od upstrzonego bazgrołami notesu. –

Peikert wyraźnie wspominał o cmentarzach przy Steinstrasse.

– A od sióstr ksero wiemy, że wciąż można się tam natknąć na pozostałości niemieckich nagrobków – dodała Basia. Z przewieszzonej na skos torebki wyciągnęła złożoną na czworo kartkę. – Ja też coś mam. Współrzędne.

Salka zamrugnęła zmieszana.

– Nagrobków?

– A tak, nagrobków! Uwierzysz? W sieci naprawdę można znaleźć wszystko. Wyszukałam i zdjęcia, i współrzędne kilku płyt nagrobnych i fragmentów ogrodzenia wkomponowanych trwale w krajobraz. Odpalimy GPS i po sprawie. – Pomachała wesoło komórką.

– Nie żebym nie wierzyła w cuda współczesnej technologii – odparła Salka – ale szczerze wątpię, czy ten twój GPS ma funkcję namierzania powstających z grobu upiórów.

– Oj tam, oj tam. – Basia już grzebała w ustawieniach aplikacji. – Najważniejsze, że nie będziemy się poruszać całkiem na oślep.

– No i co z tego? Nie chodzi o to, żeby znaleźć pierwszy lepszy grób z tego tam starego Maurycego czy innej Doroty, tylko ten jeden konkretny, z nadprogramowym dodatkiem w postaci pradziadka! Niby jak to zrobimy? Wam się naprawdę wydaje, że w tym miejscu z ziemi będą do nas złowrogo machały jakieś macki? Albo rozkładająca się szponiasta dłoń? Że ni stąd, ni zowąd otworzy się mroczny portal i nas wessie? Albo splunie pradziadkiem? Albo że nagle wejdziemy na jakieś robiące krzywdę zielone?

– Nie mirmiłuj, Salko – wtrąciła pani Jaga, mijając ich spacerkiem w oparach substancji smolistych. – W najgorszym razie będziemy się tak szwendać po parku do świtu i może jedno z nas przyuważy, skąd wypełza Reinhard Peters.

– A w najlepszym?

Z głębin peleryny pani Jaga wyciągnęła znajome metalowe pudełko. Zagrzechotało cicho, gdy nim potrząsnęła.

– W najlepszym razie powinnam coś wyczuć, kiedy znajdę się w pobliżu – odrzekła. – Przyjdzie mi to co prawda nieco trudniej niż Matyldzie... ale powinnam.

– Powinna pani? Czyli nie ma pani pewności? – Mina Salki

wyrażała jedynie czyste, nieskażone powątpiewanie w powodzenie całej tej wyprawy.

Podrasowane kredką brwi pani Jagi uniosły się wysoko, a czubek parasola dźgnął przycisk uruchamiający zielone światło dla pieszych.

– A niby skąd? Doprawdy, Salko, trudno powiedzieć, abym miała jakiegokolwiek doświadczenie w dochodzeniu po nitce do upiora.

Nie widząc specjalnie innego wyjścia, przekroczyli chwilowo znieruchomiałą na czerwonym świetle aleję i znaleźli się w parku Andersa.

Po pierwszej godzinie, spędzonej na ślamazarnym przemierzaniu pierwszego skrawka w pobliżu jezdni, mieli już serdecznie dosyć. Znikąd macek, znikąd szponów, znikąd robiącego krzywdę zielonego, a nic w kieszeni pani Jagi nie raczyła nawet się z lekka zmechacić lub splątać, nie mówiąc już o bardziej spektakularnych efektach, które by sygnalizowały obecność pradziadka. Zrobili więc szybką rundkę wokół kortów i lodowiska, zgodnie jęknęli na widok wszędobylskich ogródków działkowych, po czym skręcili w lewo, by stanąć twarzą w twarz z główną częścią parku.

Bartek nawet przez chwilę nie wypuszczał notesu z rąk. Teraz znowu zerknął do swoich zapisków.

– Czyli tak. – Podniósł lewą rękę i z nosem w notatkach pokazywał kolejno. – Zaczynając od lewej, mamy Marię Magdalенę, potem Maurycyego i na koniec Dorotę. A za zajezdnią, na wysokości starego kąpieliska MOSiR-u przy Ślężnej, był cmentarz ewangelicko-reformowany...

– Tamtych nieboszczyków raczej ekshumowali przy kopaniu basenu – stwierdziła Basia, zerkając w kierunku wspomnianego kąpieliska.

– Raczej tak – zgodził się z nią Bartek. – Poza tym cały ten teren i tak jest ogrodzony, więc tamtą część sobie darujemy. Na Dorocie jest teraz zespół szkół, więc też odpada. Nas interesuje przede wszystkim stary Maurycy. Myślę, że możemy poprzestać na całym tym kawałku na wysokości zajezdni, wzdłuż Kamiennej. Ścieżki parkowe chyba pokrywają się mniej więcej z dawnymi ścieżkami cmentarnymi...

– A z tego co czytałam, jeden z tych sterczących nagrobków jest w pobliżu głównej alejki – wtrąciła Basia z błyskiem w oku.

Pani Jaga skinęła głową.

– Owszem. I znajdę ci go bez tych twoich dziopiesów. No dobrze. To najpierw snujemy się do Kamiennej grzecznie ścieżkami, jak na spacerowiczów przystało, a potem wracamy w tę stronę ławą – zdecydowała. – Rozejść się, drużyna! Wypatrywać anomalii, dziwactw i innych macek, a w razie czego drzeć się na całe gardło jak potępieniec.

Po tych słowach zagłębili się w stary, zastygły w jesiennym bezruchu park.

Cztery godziny później padli ciężko na pierwszą zdezelowaną ławkę, jaka się napatoczyła, przemarznięci, wściekli i zniechęceni. Od strony zespołu szkół dobiegały młode męskie głosy. Pozostałości nagrobków i ogrodzeń, owszem, znaleźli, prowadzeni przez GPS i panią Jagę, lecz nic z nich nie sterczało, a nić pradziadka uparcie odmawiała współpracy. Roy Keane natomiast, zamiast wytropić poszukiwane przez nich miejsce za pomocą swych zwierzęcych instynktów urodzonego mordercy owoców, orzechów i innych wafelków, w najlepsze tarzał się w stertach opadłych, mokrych liści i straszył jeże.

– Czy on nie powinien umierać z zimna przy takiej pogodzie? – dziwił się Bartek, obserwując papugę, która skrzeczała teraz przyjaźnie pod drzewem przy próbie zakolegowania się z mocno dezorientowaną wiewiórką. – W końcu to tak jakby egzotyczny gatunek...

– Nie żebym znowu mirmiłowała, ale wiedziałam, że tak będzie. – Salka wygrzebała z torby kanapki owinięte w papier i rozdała współtowarzyszom niedoli. – Musielibyśmy mieć niesamowitego fuksa, żeby natknąć się na pradziadka, jak właśnie wstaje sobie z grobu. Przecież... Przecież my nie wiemy nawet, jak on to w ogóle robi! – Odwróciła się do Bartka. – Co na to ta twoja poezja? Czy upiory się materializują? Jak mgła? Czy raczej ryją tunele jak krety? Albo te, no, dżdżownice?

– Obawiam się, że nie znam zbyt wiele poezji traktującej o dżdżownicach.

– Taki duży kopiec na pewno byśmy zauważyli, nie ma bata –

bąknęła zapatrzona w przestrzeń Basia, przeżuwając niemrawo chleb z serem. – Nie mówiąc już o tym, że dziadyga chodziłby po mieście mocno utyłany. A nie przypominam sobie, żeby się z niego sypał czarnoziem.

Wlepili we trójkę tępe spojrzenie w panią Jagę. Starsza pani wyraźnie się zasepiła.

– Nic pani nie czuje? – zapytał Bartek z nadzieją.

– Sęk w tym, że właśnie czuję. I to bez chwili przerwy, odkąd postawiłam stopę w tym parku. Jakby... jakby skóra na całym ciele swędziała mnie od podszewki. – Pokręciła pomału głową, a potem machinalnie sięgnęła po wsparcie w postaci nikotyny, rozglądając się po sposepniałym parku. Krajobraz zaliczał się raczej do tych mało nachalnych estetycznie i nie przyprawiał o nadmierną chęć do życia. Ponad ich głowami wyłysiały korony drzew odcinały się ostro na tle szaroniebieskiego nieba, pod stopami zaś mokre liście przeplatały się z połaciami błota i burych kałuż, które czyhały na zbłąkanych przechodniów. Pani Jaga spuściła wzrok na własne trzewiki. Zdołała je oryginalna mozaika z błota w różnym stopniu przyschnięcia, strzępów liści i drobniutkich gałązek. – To na pewno gdzieś tutaj, gdzieś w tym parku... Tyle że to swędzenie nie prowadzi mnie nigdzie konkretnie, w żaden punkt czy choćby stronę. Po prostu sobie jest i jest niemiłosiernie irytujące. Trzeba będzie jednak przywlec tu Matyldę...

Jak na zawołanie pozostała trójka doznała wizji, w której na widok najstarszej siostry Bolesnej wiekowe drzewa i krzewy w całym parku stają na baczność, grzecznie wskazując drogę prościuteńko do poszukiwanego przez nią grobu, a ziemia w te pędy wypluwa upiornego pradziadka u jej stóp. Chyba żadne z nich nie byłoby tym szczególnie zdziwione.

– Ależ potem będzie zmierzła... – dodała pani Jaga w zamyśleniu.

– W sensie... bardziej niż zwykle? – odważyła się pisać Basia, uprzednio rozejrzawszy się dla pewności, czy pani Matylda właśnie skądś nie nadciąga.

– A tak, bardziej, o wiele bardziej – przytaknęła pani Jaga i zachichotała. – Choć owszem, wydaje się to niemożliwe. A jednak!

Cud, cud mniemany. – Zachichotała raz jeszcze.

Salka zmarszczyła brwi.

– Dlaczego?

Pani Jaga zatoczyła ręką łuk, szcudrze posypując mokrą ziemię popiołem z papierosa.

– Oba te parki, Anders i Skowroni, przypominają jej, jak wiele wokół nas zmieniła wojna. Jak wiele zniszczyła, odebrała... jej, nam, całemu temu miastu. I nie chodzi tylko o te wszystkie cmentarze w całym mieście, chociaż Matylda szcudrze opłakała chyba każdy nagrobek.

– A o co?

– O cały nasz świat – odrzekła pani Jaga, z cichą nutą melancholii w głosie. – Dzień za dniem, ulica za ulicą nasze rodzinne miasto obracało się stopniowo w ruinę. Aż w końcu przyszło tak zwane wyzwolenie i zapanowała pustka. Nasi przyjaciele, znajomi, sąsiedzi musieli opuścić Breslau, które nagle stało się Wrocławiem. Wokół nas zaczęły rozbrzmiewać nowe, zupełnie obce nam głosy.

– Polskie głosy – dopowiedział Bartek. – A przecież panie też jesteście Polkami.

– Dziecko drogie, ty wiesz, ilu Polaków żyło przed wojną w Breslau? Może z pięć tysięcy. A Niemców chyba ze sto razy tyle. Dla nas zresztą nie byli Niemcami, Polakami czy Żydami, tylko breslauerami, mieszkańcami naszego ukochanego, rodzinnego miasta, tak jak my. I oni wszyscy musieli stąd odejść, bo komuś nie pasowali do koncepcji. Najpierw Żydzi, potem Niemcy... Co rusz ktoś stąd kogoś wypędzał, nierzadko na pewną śmierć. Niemcy Żydów, Niemcy Niemców, Polacy Niemców... A po wojnie? Nadciągnęli Polacy i razem z nieocenioną Armią Radziecką zaprowadzili własne porządki. Niemców zostało może z tysiąc, bo przecież na początku potrzeba było na przykład takich inżynierów, ale też tramwajarzy i listonoszy, którzy potrafiliby odnaleźć ulice w całej tej ruinie. Im też na koniec kazali się wynosić, kiedy tylko stali się zbędni. Naszego świata, tego z czasów naszej młodości, już nie ma. Nie ma ludzi. Nie ma zmarłych. Nie ma nawet cmentarzy. Tamten świat został zrównany z ziemią i zalany socjalistycznym betonem – dokończyła

z goryczą i zaciągnęła się papierosem.

Bartek uśmiechnął się pod nosem, pucując okulary, mokre od unoszącej się w powietrzu mżawki.

– Jak to ujęła pani Matylda? Zwycięzców się nie sądzi. Choć czasem szkoda...

– Co ty nie powiesz?

– Jestem z Gdańska, pani Jadwigo – rzekł takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Ach! Więc rozumiesz...

– Rozumiem.

Basia tylko pokiwała głową, za to tak energicznie, jakby zamiast szyi miała sprężynę.

– A ja jestem z Kotliny i nie rozumiem – wtrąciła Salka.

– Widzisz, Salko... Pewnie zabrzmiało trochę jak drętwe gładzenie przedwojennej pani trącej naftaliną, ale co mi tam. To się tylko tak łatwo mówi, że zwycięzców się nie sądzi. Że Niemcy są sami sobie winni, bo to oni wybrali Hitlera i wywołali wojnę, a taka Steinbach powinna już za życia smażyć się w piekle za to, co wygaduje. Ale powiedz mi, tak z punktu widzenia przeciętnego, szarego człowieka, czym różnili się breslauerzy wypędzani z własnych domów od takich lwowiaków? Albo od warszawiaków? Narodowością? A cóż to takiego jest ta narodowość, jeśli nie czystym przypadkiem? Wypadkową serii zbiegów okoliczności, na które i tak nie mamy wpływu, tak jak na płeć czy kolor oczu, z którymi się rodzimy. Breslau, Lwów czy Warszawa, dla tych ludzi to było rodzinne miasto! Ukochane miejsce na ziemi. Dobrzy czy źli, mądrzy czy głupi, chcieli tam dalej żyć. No, ale ktoś teoretycznie mądrzejszy zdecydował za nich inaczej. A my z biegiem lat coraz bardziej zapominamy, że historia w takim najprostszym, ludzkim wymiarze nigdy nie jest czarno-biała, zwłaszcza historia takich miejsc jak Wrocław, Lwów czy właśnie twój Gdańsk, Bartku. Na papierach podpisywanych przez polityków i generałów wszystko wydaje się proste. Temu zabrać to, tamtemu dać tamto, tę granicę przesunąć tam, a tamtą tu. Lecz w tym najprostszym, ludzkim wymiarze, daleko od frontów, zawsze w czyimś sercu pozostaje głębokie poczucie niesprawiedliwości. A gdy



na dodatek zwycięzcy podnoszą rękę na Bogu ducha winnych zmarłych... – Skrzywiła się. – Matylda zawsze powtarza, że z perspektywy czasu i wygodnego fotela nawet największe tragedie i dylematy historii bardzo łatwo się ocenia. My je przeżyliśmy. Wy o nich tylko czytacie. A znajdują się i tacy, którzy tego nie przeżyli, nie czytają i na dodatek nie myślą, za to chętnie wydają kategoryczne sądy, chociaż powinni być mądrzejsi o doświadczenia naszego pokolenia. Tak, my mogliśmy wtedy nie wiedzieć, do czego koniec końców doprowadzi Hitler i jemu podobni, choć to nas też wcale nie tłumaczy. Ale wy... wy już nie macie żadnych wymówek. Musicie wiedzieć, myśleć i przede wszystkim pamiętać.

Na parkowej ławce zapadła cisza. Nawet papier śniadaniowy w ich dłoniach przestał szeleścić. Bartek w zadumie wpatrywał się w niebo i myślał o swoim rodzinnym mieście i jego równie zagmatwanej historii. Z kolei Salka zastanawiała się, ile prababcie ni to Peters, ni to Piotrowiczową musiało kosztować wyrzeczenie się własnej tożsamości i słodko-gorzkiej przeszłości, która nierozzerwalnymi więzami łączyła znienawidzonego męża z ukochanym synem. A natchniona poszukiwaniami cmentarnych pozostałości Basia rozważała, czyby nie rzucić dotychczasowych studiów w cholerę i nie pójść w ślady starszej siostry.

Naraz gdzieś w głębi parku podniósł się jazgot z piekła rodem. Pani Jaga wyprostowała się, jakby ją ktoś dźgnął w pośladek, i rozejrzała na wszystkie strony.

– Gdzie jest Roy Keane?!

Jazgot przybrał na sile, gęsto przetykany świdrującym, furiackim skrzeczeniem papugi.

– Jezus Maria!

Wystartowali! Na czele peletonu, z drobną przewagą nad resztą zawodników, dziarsko kłusowała pani Jaga, szykując bojowy parasol do starcia z nieznanym przeciwnikiem. Tuż za nią, z lewej flanki, ponad kałużami sadziła susy Salka, podczas gdy z prawej na złamanie karku pędził Bartek. Tyły zabezpieczała drobna Basia, przebierając z całych sił nogami w ciężkich glanach i modląc się, by przypadkiem nie nadepnąć na jakiegoś jeża. W tym układzie dotarli do źródła

jazgotu, który niósł się echem pośród parkowej roślinności, a przez niego przebijał się jękliwy kobiecy krzyk:

– Kajtuuusiuuu! Kajtuuusiuuu!

Wybiegli zza gęstwiny i znieruchomieli na widok tęgawej jejmości w karakułach i eskimoskach, rwącej ondulowane włosy z głowy. Przed nią zaś, pośród wzbijających się co rusz w powietrze liści, toczyła się zacięta walka na śmierć i życie.

– Forrr de horrrd! Forrr de horrrd! – darł się Roy Keane. Bił skrzydłami powietrze i gonił zaciekle za przerażonym, zasapanym mopsem, zapewne rzeczonym Kajtuuusieem. Bez krztyny litości na przemian to wyrzucał z siebie wojenne okrzyki, to szczypał twardym dziobem chudy psi zadek. Mops sapał, dziób kłapał, jejmość jęczała, liście się kłębiły, a peleton gapił się oniemiały.

Jako pierwsza zdrowy rozsądek odzyskała Salka i rzuciła się na ratunek zrozpaczonemu psiakowi. Rzuciła w pełnym tego słowa znaczeniu, gdyż po paru metrach biegu poczuła nagle, jak jedna jej noga wystrzeliwuje w kosmos, druga gnie się pod osobliwym kątem, odwłok mknie w kierunku podłoża na bliskie z nim spotkanie, a świat wokół niej wywija energicznego koziołka. Ułamek sekundy później leżała jak długa na nieszczęsnym zmaltretowanym Kajtusi, na niej zaś podskakiwał Roy Keane i pruł się na całego, próbując dosięgnąć wroga karzącym dziobem sprawiedliwości, aż pierze latało na wszystkie strony.

– Mój Kajtuś!!! – zapała jejmość.

– Kajtuś srajuś! – sapnęła w odpowiedzi Salka, gdyż czuła, jak ptasie pazury masakrują jej kurtkę. Jeden nawet zahaczył o podbródek. – Zdejmijcie ze mnie tę przeklętą papugę!!!

Jakimś sposobem pani Jaga zdołała w końcu okiełznać Roya Keane'a i jego mordercze instynkty, choć przyplącała to własną woalką, a Bartek pomógł Salce wygrzebać się spomiędzy liści i błota, podczas gdy Basia przytomnie ustalała wersję wydarzeń. Jejmość, tuląc rozdygotanego i obolałego Kajtusia do roztrzęsionej piersi, w przyptywie ulgi przyznała, że agresorem z początku był psiak, który postanowił skubnąć nieco nieznanego przysmaku w postaci kolorowych piór i wziął się ochoczo do dzieła, zanim jego pani

zdażyła zareagować. Żadne z nich nie podejrzewało, że role odwróca się w okamgnieniu i to Kajtusiowi przyjdzie salwować się ucieczką przed szatańskim ptaszyskiem.



– Rany boskie – jęknęła Salka, zerkając przez ramię na swoje

ubranie. Od stóp do głów cała była oblepiona błotem, które chlupotało jej wesoło w butach i kieszeniach kurtki. Bartek i Basia, uzbrojeni w paczki chusteczek higienicznych, ruszyli z odsieczą, nie zdało się to jednak na wiele. Tyle dobrego, że oskubali ją z gałązek, liści, piór i innego tałatajstwa i mniej więcej wytarli z wierzchniej warstwy lepkiego błota. Nie dało się jednak ukryć, że przemoczona na wylot, ubrudzona Salka przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz.

– Chyba pora zwijać żagle – bąknął Bartek, obrzucając dziewczynę współczującym spojrzeniem.

Nagle pani Jaga schyliła się i podniosła z ziemi jakiś śmieć.

– Salko, to twoje?

Wszyscy natychmiast wlepili spojrzenie w jej wyciągniętą dłoń, na której spoczywał niepozorny, wymiętoszony papierek.

– Wypadło ci z kieszeni? – zapytała pani Jaga.

Salka pokręciła głową.

– Nie, na pewno nie. Musiało już tu leżeć.

– To może któremuś z was? – zwróciła się do Bartka i Basi, lecz i oni zaprzeczyli.

– Co to takiego?

Poprawiwszy sobie Roya Keane'a pod pachą, starsza pani pomału wyprostowała podniszczony papierek. Z jednej strony był bury i ubłocony, z drugiej zresztą również, ale miał jakby inny odcień. Spomiędzy brudu wyzierały jakieś rysunki.

– To, drogie dzieci – rzekła spokojnie pani Jaga – o ile mnie starczy wzrok nie myli, jest bilet tramwajowy za dwadzieścia fenigów. Prosto *aus Breslau*.

Pochylili się oszołomieni nad tym skromnym strzępem przeszłości.

– Salko, jesteś genialna – stwierdził Bartek, jednocześnie zaskoczony i zachwycony. – Trzy stare cmentarze, sześć hektarów parku i jedynie mgliste pojęcie o wyobrażeniu, gdzie być może, ale niekoniecznie spoczywa pradziadek. A koniec końców wystarczyło wywinąć orła na mopsie.

## Rozdział 22, w którym przygoda goni przygodę

Drzwi otworzył im Niedaś.

– O w mordę! – Zmierzył siostrę wzrokiem. – Zapasy w błocie? Przy twojej figurze?

– A wiesz, gdzie mnie możesz cmoknąć? – odwarknęła, bez pardonowo przepychając się w drzwiach.

– Na pieszczoty to sobie trzeba zasłużyć! – rzucił w ślad za nią. – I najpierw zadbać nieco o higienę!

Salka już miała ciętą ripostę na końcu języka i prawie się nią zadławiła, gdy pośrodku korytarza zobaczyła znajomą postać, która machała do niej wesoło na powitanie.

Z nawałnicą loków przefarbowaną tym razem na wściekłą czerwień Kalina Przygoda przypominała żywy płomień. Na dodatek bez przerwy podskakiwała na krześle, wierciła się i kręciła ze słuchawką starego telefonu przy uchu, pobrzękując przy tym etniczno-eklektyczną biżuterią, a ta nieprzerwana ruchliwość jeszcze pogłębiała pierwsze wrażenie. Oprócz kilogramów bransolet i paciorków ze wszystkich stron świata miała na sobie dzieło własnych rąk, czyli ciemnoczerwoną suknię mieszczki krakowskiej, z długim rękawem i śmiesznymi otworami na łokciach, przez które prześwitywała śnieżna biel koszuli. Z rozanielonym wyrazem twarzy wsłuchiwała się w głosy szepczące do niej z drugiej strony słuchawki.

– Fenomenalne! – zwróciła się do córki przejmującym szeptem. – Bezpośrednie połączenie ze zmarłymi, i to w ramach zwykłego abonamentu! Koniecznie musimy zmienić z ojcem operatora!

Pomalutku, nieświadomie wstrzymując oddech, Salka odwróciła się z powrotem do brata, a ten oznajmił z dumą:

– Sprowadziłem wsparcie!

Głosy w korytarzu wywabily z salonu Pawła Przygodę.

– Ach, jesteś wreszcie, Saleczko! – ucieszył się na widok córki. – Uwierzysz? Mama od godziny konwersuje sobie z nieboszczykami, a pani Matylda recytuje mi *Metamorfozy* w oryginale. Fascynujący

dom! Musimy tu częściej przyjeżdżać. – Dostrzegł za córką znajomą, choć nie do końca znaną mu twarz i natychmiast domyślił się, z kim ma do czynienia. – A to zapewne pani Jagoda?

– Jadwiga.

– A tak. I słynny David Beckham.

– Roy Keane.

– A tak, tak. O, jest i panna Basia, dzień dobry. A... a to? – Utknął przy Bartku. Zanim Salka zdążyła zareagować, Niedaś dokonał błyskawicznej prezentacji:

– A to jest Bartolini, pogromca upiorów i fatygant siostry. Albo na odwrót.

Na hasło „fatygant” Paweł Przygoda niemal eksplodował od przyływu wewnętrznej szczęśliwości, która zabuzowała w nim jak ciepła cola w potrząsanej butelce.

– Miło mi poznać młodego człowieka! – huknął, chwytając dłoń Bartka i ściskając ją serdecznie. – Przygoda! Technik elektronik, agnostyk, empirysta!

– Tokarski! – odhuknął Bartek odruchowo. – Filolog polski, ateista, romantyk.

– Romantyk? – Brązowe oczy aż się roziskrzyły. – „Chorobą zgubną mówię: jest melancholija i zamyślenie się zbytnie o rzeczach duszy...”

– „Dwie są bowiem melancholije: jedna jest z mocy, druga z słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się”<sup>42</sup> – dokończył gładko Bartek.

Paweł Przygoda o mało nie pęknął, czując, jak wraz z tym cytatem łączy ich marynarskimi węzłami lina okrętowa w postaci całego dziewiętnastego wieku z przyległościami.

– Synu! – wydusił przez ściśnięte wzruszeniem gardło. – Mów mi ojcze!

Salka jęknęła cicho i przymknęła oczy.

– Czy to on? – Wyczuwszy woń świeżej ofiary, Kalina Przygoda cisnęła słuchawkę na widełki i czym prędzej dołączyła do męża, który wciąż nie puszczał dłoni spłoszonego Bartka. – Ten adwokat?

– Nie adwokat, mamó, tylko papuga... – poprawiła słabym głosem ich ubłocona córka. – Znaczy to jest Bartek. Filolog. A to jest papuga

– zaprezentowała subtelny różnicę między filologiem a ptakiem.

– Ach, David Beckham?

– Nie Beckham, mam, co wy z tym Beckhamem... Roy Keane.

– Jak zwał, tak zwał, ważne, żeby seks był udany! – stwierdziła radośnie pani Kalina, tym samym doprowadzając Salkę na sam skraj rozpaczycy najczarniejszej z czarnych. – Silne nasienie i regularna owulacja to podstawa związku, zawsze to powtarzam!

Porzuciwszy wszelką nadzieję, Salka bez słowa poczłapała na piętro, żeby się przebrać w coś mniej ubłoconego. Jeszcze przy drzwiach pokoju dobiegł ją głos matki rodzonej i wyrodnej, gdyż ta jak zwykle zmieniała każde zdanie w świdrujący uszy i mózg okrzyk.

Gdy zeszła do salonu, osaczona przez prawie teściową i zalewana mową Basia wyglądała, jakby miała ochotę skurczyć się jeszcze bardziej, najlepiej do rozmiarów kieszonkowych, i schować w mysiej norze, Bartek usiłował nadażyć za wniebowziętym Pawłem Przygodą, który przepytował go z twórczości romantyków krajowych w odniesieniu do siedemnastowiecznego dramatu algierskiego oraz duńskich cymbalistów ludowych, Niedaś natomiast w spokoju pochłaniał domowe ciasto. Siostry Bolesne w filozoficznej zadumie przyglądały się całemu towarzystwu wspólnie z Royem Keane’em bądź Davidem Beckhamem, chrupiącym dla odmiany orzeszki arachidowe.

Pani Matylda zerknęła przelotnie na zamurowaną w progu Salkę.

– Pod waszą nieobecność Niedaś z nudów zaczął myśleć – odpowiedziała, prawidłowo odczytując jej smętną minę. – Zanim się zorientowałam, co się święci, już dzwonił do waszej matki.

– Jak trwoga, to do Boga, a jak zaświatów zagadki, to do ojca i matki! – zakrzyknął Paweł Przygoda i uśmiechnął się jowialnie do córki.

Salka uniosła sceptycznie brew.

– Tato, ty tak poważnie? Twojemu synowi wciąż grozi wieloletnia odsiadka, bo twój niespodziewanie niemiecki dziadek, podobny do niego jak dwie krople wody, lata po mieście w charakterze powstałego z grobu upiora i próbuje zaciukać niespodziewanie niemiecką babcię, a ty sobie beztrąsko rymujesz?

– Oj tam, oj tam, nie szukaj problemów tam, gdzie ich nie ma,

Saleńko – odparł niezrażony Paweł Przygoda, niedbałym machnięciem zbywając jej wątpliwości. – Dziadka się odprawi odmownie bez względu na pochodzenie i po kłopotcie.

– Poza tym, Salko, nie bądź taka skostniała – wtrąciła pani Kalina.  
– Przecież starsi ludzie, choćby i nieco martwi, też mają prawo do swoich dziwactw i odrobiny aktywności fizycznej!

– Tylko że ta aktywność fizyczna odbija się innym ostrą czkawką...

Pani Kalina nie zwróciła jednak uwagi na niemrawe burczenie córki, bo już dała się ponieść wizji. Podzwaniając, pobrzękując i szeleszcząc, zaczęła miotać się po salonie.

– Ach, nieszczęsna dusza! Udęczona! Niezaspokojona! Przemierzająca po nocach zaułki miasta, by zaspokoić żądzę krwi niewieściej! Mroczne tajemnice wreszcie wychodzą na jaw! Po jednej stronie barykady młodzi kochankowie, których pragnie rozdzielić zły los... – wyciągnęła dłoń w stronę Basi, która rzuciła Salce błagalne spojrzenie – ...po drugiej zaś złowrogi szermierz śmierci! Kto zwycięży? – Trzepot rzęs. – Komu przyjdzie polec? – Powtórka z trzepotu. – Spełnienie! Odkupienie! Zemsta! Namiętność! I papuga!!! Ach! – Teatralnym gestem złapała się za głowę i zastygła tak na dobrych kilkanaście sekund, po czym podskoczyła parę razy, klaszcząc jak mała dziewczynka.

Pani Matylda odchrząknęła i gładko przeszła do porządku dziennego nad tym nagłym atakiem melodramatyzmu z lekką nutą zdziennienia.

– Jeśli dobrze zrozumiałam naszego Niedasia, pani ponoć wie, co począć z naszym... przepraszam, jak to szło?

– Złowrogim szermierzem śmierci – podsunął usłużnie Bartek.

– A tak, dziękuję. Właśnie nim.

– Ach, oczywiście, że wiem! Co więcej, wiem nie tylko, co z nim począć, ale przede wszystkim – kiedy!

– Kiedy więc?

– Jest taka noc... – wyszeptwała pani Kalina, garbiąc się dla odmiany niczym wiedźma nad kociołkiem i tocząc po zebranych roziskrzonym wzrokiem – ...kiedy zaciera się cienka granica między zaświatami a światem żywych... kiedy dusze, czy złe, czy dobre, powstają ze



swych mogił, by raz jeszcze kroczyć pośród nas... Jest taka noc...!

– Na litość boską, kiedy?! – Salka nie wytrzymała i ryknęła pełną pierśią.

Pani Kalina spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– No jak to? Oczywiście, że pojutrze!

– A co takiego jest pojutrze? – zapytała Basia.

– Sobota?

– Jest taka noc...

– Noc z trzydziestego pierwszego października na pierwszego listopada – przerwała jej pani Matylda, by uciąć w zarodku kolejny atak dramaturgii i poszatkowanych wielokropkami zdań.

– Halloween! – zapał Niedaś. – Zrobimy dziada w dynię?

Bartek klepnął się dłonią w czoło.

– No jasne! Dziady! Czemu ja wcześniej o tym nie pomyślałem?

– Chyba pradziady?

– Dziady, taki stary ludowy obrządek. „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie”, kojarzysz? Kiedy jak kiedy, ale w tę noc pradziadek na pewno wylezie. A my dzięki Salce już wiemy na bank, że wylezie w północnym Andersie!

Widząc zdziwioną minę rodziców, Niedasia i pani Matyldy, zażenowana Salka pokrótce przedstawiła im swoje niedawne spotkanie z Kajtusem, które doprowadziło ich na namacalny ślad pradziadka, a ją samą do kolejnej wizerunkowej klęski. Na dowód pani Jaga wyciągnęła bilet z torebki i zaprezentowała siostrze.

Obejrawszy go, pani Matylda w pierwszej chwili z widoczną rezerwą pokręciła głową.

– Wygląda na prawdziwy. Osobiście byłabym jednak ostrożna w wyciąganiu daleko idących wniosków...

– Och, na litość boską, Matyldo! – przerwała jej pani Jaga. – Mówisz tak, jakbyśmy za każdym razem znajdowały w tym parku całe bloczki przedwojennych biletów!

– Jaguś, przecież wiesz, że to równie dobrze może być czysty zbieg okoliczności, a nie żaden dowód.

– Oczywiście, że tak! Nie sądzisz jednak, że jak się je zbierze razem do kupy, to tych wszystkich zbiegów okoliczności jest już nieco za

dużo jak na zwykły przypadek? Poza tym tak szczerze, Matyldo. Czy my w ogóle mamy jakieś inne wyjście? Wolisz dalej szukać i liczyć, że zdążymy znaleźć absolutnie niezbity dowód, zanim Peters znowu kogoś skrzywdzi, zanim Mila... – Urwała, wpatrzona w starszą siostrę.

Wykorzystując milczenie pani Jagi i wahanie pani Matyldy, Bartek klasnął energicznie.

– No dobrze! Skoro więc wiemy, kiedy i mniej więcej gdzie, to musimy jeszcze znaleźć odpowiedź na ostatnie pytanie.

– Czyli?

– Czyli jak. Jak odeślemy pradziadka na tamtą stronę?

Siostry Bolesne tym razem zgodnie spojrzały po sobie, po czym uśmiechnęły się jak odbicie w lustrze, pomału, niespiesznie, zmarszczka za zmarszczką, identycznie mrużąc przy tym roziskrzona żółte oczy.

– Znajdź grób i pradziadka, a resztę zostaw nam.

\*\*\*

– Ale dlaczeeeego? – jęknął po raz enty zrozpaczony Niedaś.

Jego siostra przewróciła oczami i westchnęła, z trudem wciągając na nogę wysoki kalosz.

– Niedaś, ruszże trochę głową, jęczyduszo jedna. Pradziadek nie wylezie z grobu na krótką przebieżkę po parku, tylko na polowanie. Jeśli się zagapimy, może znowu komuś zrobić krzywdę, a wtedy ty wrócisz za kratki. I to na długo. Tak ci tęskno do kumpli spod celi?

– Ale ja też chcęęę...

– Mowy nie ma. – Pani Matylda ucięła dalszą dyskusję. Opatuliła się dokładnie szalem i wzięła z kąta swoją nieodłączną laskę. – Wracasz tu zaraz z Basią w rącznych podskokach i nosa za próg nie wyściubiasz. Inaczej będziesz miał ze mną do czynienia, słyszysz? Poręczyłam za ciebie i ani myślę się potem gęsto tłumaczyć, dlaczego w środku nocy wałęsasz się po parku.

Salka zachichotała złośliwie.

– Zamiast tego możecie w spokoju poćwiczyć sobie rotację.

– Siostra, ty nie bądź taka do przodu, bo cię sznurówki wyprzedzą!

Tupnęła znacząco kaloszem.

– Myślę, że to mi raczej nie grozi.

Gdy Basia w końcu zajechała przed willę, spóźniona zaledwie o kwadrans, skompletowani Przygodowie z siostrami Bolesnymi i Bartkiem stali już przed furtką, zwarci i gotowi. Dochodziła szesnasta, robiło się coraz ciemniej i zimniej. Z nieba uparcie sączyła się mżawka. Raz-dwa rozeszli się do obydwu samochodów – w jednym usiedli Przygodowie z panią Jagą i Bartkiem, a w drugim Basia, Niedaś, pani Matyllda i Salka – po czym odjechali niemalże z piskiem opon.

– Wyszadzicie nas przy Wzgórzu Andersa i natychmiast wracacie do domu – po drodze pani Matyllda poinstruowała Basię i Niedasia. – Żeby wam do głowy nie przyszło wałęsać się po okolicy!

Niedaś tylko przewrócił oczami i mruknął coś pod nosem.

– Tak, pani Matylldo – pisnęła Basia. Chociaż największe emocje miały ją ominąć szerokim łukiem, i tak cała drżała z podekscytowania. W rezultacie krótki dystans z Lipowej na Kamienną pokonali w nad wyraz dynamicznym tempie. Pani Matyllda i Salka wysiadły w autobusowej zatoczce za światłami, naprzeciwko ceglanego budynku starej zajezdni, i pomału ruszyły w stronę parku. Mydelniczka pojechała dalej za Wzgórze Andersa i aquapark, żeby tam zawrócić zgodnie z poleceniem, podczas gdy citroen Przygodów już dawno przemierzył Kamienną i skręcił w prawo, w ulicę Borowską.

Plan był prosty. Równy ze zmrokiem zamierzali wejść do parku od trzech stron jednocześnie – pani Matyllda z Salką od północy, pani Jaga z Bartkiem od południa, a Przygodowie od wschodu – i wypatrywać powstającego z martwych pradziadka. Uznali, że w takim układzie prędzej czy później któreś z nich musi się na niego natknąć. Pani Kalina wspólnie z Bartkiem prześledzili źródła i ustalili, co będzie im potrzebne, żeby raz na zawsze uporać się z upiornym protoplastą, a Basia zrobiła niezbędne zakupy.

– Może jestem dziwna – odezwała się ponurym głosem Salka, gdy zatrzymały się na chodniku i spojrzały na ciemny park, który rozciągał się za linią światła rzucanego przez uliczne latarnie – ale

zaczynam wątpić, czy tealight to aby na pewno najlepsza broń na upiora.

– Tealight to tylko przynęta – odrzekła spokojnie pani Matylda. – Bronią jesteśmy my. Jaga i ja.

– A co jeśli go przeoczymy? Jeśli wyjdzie z parku?

– Tak czy owak, będzie musiał do niego wrócić przed świtem.

– Ale przecież do tego czasu może znowu kogoś napaść!

– Owszem, Salomeo. I właśnie dlatego lepiej, żebyśmy go jednak nie przeoczyły. Chyba się ze mną zgodzisz?

Pobladła Salka przełknęła ślinę i zacisnęła dłoń na pasku wypchanej do granic torby, po czym poszła błotnistą ścieżką w ślad za panią Matyldą.

\*\*\*

Mydelniczka zatrzymała się daleko przed światłami, na samym końcu sznureczka samochodów. Po prawej, skąpany w różnobarwnym blasku, dumnie prężył się aquapark. Tuż za nim majaczyło Wzgórze Andersa, namacalny ślad Festung Breslau. Przytłoczone nowoczesną bryłą, bezlitośnie wyparte przez nią z powszechnej świadomości jako najważniejszy punkt odniesienia w tych stronach, stare wysypisko powojennego gruzu zdawało się kulić, kurczyć w sobie, tak jak w zbiorowej pamięci mieszkańców miasta pomału kurczyła się pamięć o jego przeszłości. Mało kto spośród kierowców, pasażerów czy pieszych, którzy dzień w dzień mijali to miejsce w pośpiechu mniejszym lub większym, miał świadomość, skąd się tu w ogóle wzięło. Nawet Basia nigdy nie zaprzętała sobie tym specjalnie głowy, chociaż teraz, gdy myślami wciąż błędziła wokół oblężenia sprzed ponad sześćdziesięciu lat, jakieś przelotne wspomnienie przemknęło jej przez głowę.

– No tak. Szesnasta we Wrocławiu... – Westchnęła i spojrzała na zapatrzonego w boczną szybę Niedasia. – Oj, no weź się już tak nie nadymaj. Jakoś to zleci. Zrobimy sobie herbaty, gwizdniemy z kuchni resztki ciasta, zapuścimy *Warcrafta*...

– Jasne – prychnął Niedaś. – Moja zdolna inaczej siostra idzie

właśnie na prawdziwego bossa, chociaż nawet nie wie, co to ten boss, a ja co? Będę pomykał mamutem po Dalaran jak ostatnia sierota w kierpcach?

– Ale czemu akurat w kierpcach? – zdziwiła się Basia.

– Aaa bo mi takie ciulate buty ostatnio w instancji spadły.

– Możemy pójść do Wintergrasp i zrobić aliansom małą demolkę – zaproponowała. – Albo... albo... coś tam innego porobić. Wiesz, przez najbliższych parę godzin mamy cały dom dla siebie...

Delikatna aluzja o podtekście rotacyjnym odbiła się rykoszetem od zafiksowanego na bossie umysłu Niedasia.

– W ciul z taką robotą – mruknął. – Mam przetentegowane, bo siostrze ksero już całkiem się pod deklem pomerdało, a pradziadek, dziadyga jeden, nie mógł sobie wybrać innej facjaty. To ja powinienem pójść i go po niej osobiście sprać. Powinienem...

– Nie da się, Niedasiu.

I wówczas nastąpił cud w skali mikro. Drgnąwszy niespodziewanie, Niedaś odwrócił się w stronę Basi, a na jego przystojnej twarzy bodajże po raz pierwszy w jego dwudziestoletnim życiu malowało się najprawdziwsze olśnienie, wypchnięte porami skóry potęgą niespotykanego intelektualnego wysiłku.

– A właśnie, że się da! – oznajmił triumfująco. – Gaz do dechy, Baśka!

– Jest czerwone.

– Ej, no weź, cały efekt idzie się bujać!

Na sygnalizatorze przed nimi zapaliło się żółte światło.

– Niedaś, co ty kombinujesz?

– Baśka, nooo!

Bez zastanowienia przekręciła kluczyk, gasząc silnik, i włączyła awaryjne. Ułamek sekundy później za nimi rozległ się zgodny chór klaksonów i złorzeczeń.

– Będę tu stać choćby do zakichanej śmierci – oświadczyła dobitnie – jeśli mi nie powiesz, co znowu kombinujesz.

Niedaś zerknął przez tylną szybę na samochody w popłochu manewrujące za mydelniczką, żeby zdążyć na zielonym świetle.

– Jedziemy do szpitala. – Machnął ręką w stronę ciągnącej się

przed nimi Borowskiej.

– Ale po co?

– Do siostry ksero.

– Czyś ty zdurniał?! Przecież ona nie kontaktuje! Ledwo dycha!

– No i git, bo jakby już całkiem nie dychała, to dopiero miałbym przesrane! Nie czaisz? Wtedy na mój widok zakontaktowała, chociaż już dawno zerwała łączność ze światem. Może teraz też zaskoczy?

– I coś nam powie!

– Dajesz w palnik, laska!!!

Mydelniczka stęknęła, ryknęła i z wyciem silnika przemknęła przez skrzyżowanie na ciemnopomarańczowym z subtelną nutą czerwieni.

## Rozdział 23, w którym interwencji nie będzie

Nie chciałym wyjść na defetystę – wydyszał Bartek, gdy już tak łązili w tę i we w tę od dłuższej chwili, pilnie wyglądając zmartwychwstającego pradziadka – ale czy naprawdę nie mogliśmy wziąć... bo ja wiem... wersji kieszonkowej?

Pani Jaga skierowała na niego światło latarki. Stał po kostki w błocie, wygięty pod dziwnym kątem, spurpurowiałały, spocony mimo wieczornego jesiennego chłodu i z zaparowanymi okularami. Sprawiał wrażenie kogoś, kto właśnie usilnie pracuje nad wyhodowaniem dodatkowych kończyn drogą ekspresowej ewolucji. I może jeszcze drugiego kręgosłupa, najlepiej z tytanu. Cóż, co jak co, ale kołowrotek, którym został obarczony, na pewno nie należał do szczególnie poręcznych. A w dodatku z drugiej strony, dla równowagi, chłopakowi ciążył wypchany po brzegi plecak.

– Nie chciało się nosić teczki, trzeba dźwigać woreczki – zachichotała radośnie.

– Czy pani wie, co to litość, pani Jadwigo?

– A wiem, wiem! Widziałam raz hasło w słowniku! – Zachichotała ponownie, po czym wykazała się nie tyle zmiłowaniem, ile zdrowym rozsądkiem. W końcu nie mieli pojęcia, jak długo jeszcze przyjdzie im się tak szwendać po parku. Mdlejący ze zmęczenia Bartek byłby średnio przydatny. – Chodź – wskazała latarką – tam jest jakaś ławka, odsapniesz sobie. Ech, ci wątli humaniści...

Chwilę później rozsiedli się we trójkę na zdezelowanej ławeczce, starsza pani, młody filolog i wiekowy kołowrotek. Wyciągnięty z czeluści damskiej torebki termos z herbatą znacznie poprawił nastroje. Bartek przetaił okulary i z ulgą przyjął od pani Jagi kubeczek z parującą zawartością.

– Długo już tak krążymy?

Pani Jaga odchyliła brzeg rękawiczki i przyświecając sobie latarką, zerknęła na zegarek.

– Jest po siódmej. Ponad trzy godziny.

Westchnął ciężko. Opary herbaty natychmiast osiadły mu na szklach.

– Trzy godziny i nic.

– Oj tam, od razu nic. A ten miły jogin, którego prawie przyprawiliśmy o zgon na miejscu, wyskakując zza krzaka?

– Nie jogin, tylko... hm... jogginger?

– Pomylenieć – skwitowała krótko. – Nikt normalny nie biega po parku przy takiej pogodzie.

– My też biegamy po parku przy takiej pogodzie – zauważył nieśmiało Bartek.

– Toteż nigdy nie twierdziłam, że jestem normalna!

– Szczerze mówiąc, zaczynam wątpić w powodzenie tego całego dziadowania.

– Nie marudź, tylko szykuj sprzęt. Nie przyszedł Mahomet do góry, to może góra raczy się pofatygować.

Odstawiwszy kubeczek, Bartek wyciągnął z plecaka paczkę tealightów i stalową latarenkę, jedną z kilkudziesięciu, które poprzedniego dnia zgarnęli z półki w Ikei, wykupując cały sklepowy zapas. Po chwili na ławce migotało już małe światełko.

Wtedy Bartkowi coś zaświtało w głowie. Przecież, jakkolwiek by patrzeć, byli na cmentarzu. Zlikwidowanym, zrównanym z ziemią, owszem, tyle że nie ekshumowanym. Gdzieś głęboko, pod ich stopami, wciąż spoczywały doczesne szczątki nie tylko Reinharda Petersa, ale też paru innych nieboszczyków. A co, jeśli ogień przyciągnie nie tę duszę co trzeba?

Już miał o to zapytać, lecz wówczas pani Jaga przytknęła palec do ust, nakazując mu milczenie. Nasłuchiwała.

Szum nagich, posępnych drzew – jest. Smętny jęk wiatru gdzieś ponad ich głowami – jest. Szelest deszczu na mokrych, butwiejących liściach – jest. Sowa albo inny puszczyk drący dziób w ciemnościach – jest, jakżeby inaczej.

I naraz – cichy szept.

Jeden.

Potem drugi.

Trzeci, dziesiąty...



Już po chwili mrok wokół nich zdawał się wprost tętnić głosami – cichymi i głośnymi, wyraźnymi i mamroczącymi coś bez ładu i składu, po polsku, po niemiecku, po czesku, po łacinie, chyba w jidysz i dziesiątkach jeszcze innych języków, których nie potrafił rozróżnić. Bartek z trudem przełknął ślinę i rozejrzał się nerwowo, oczekując hordy nadciągających zewsząd upiorów. Naprawdę niewiele brakowało, by wrzasnął niczym potępieniec, gdy dłoń pani Jagi chwyciła go za nadgarstek.

– Spokojnie, dziecko, spokojnie. – Pstryknęła zapalniczka, papieros zapłonął, w rześkie wieczorne powietrze buchnęły kłęby dymu. – To dopiero początek.

\*\*\*

Śmiertelnie znudzony patrol zmotoryzowany snuł się zapomnianą przez Boga i wrocławian uliczką, wypatrując rzekomo grasujących po parku Andersa chuliganów, którzy napędzili strachu jakiemuś facetowi w getrach. Z opisu wynikało, że nie chodzi o chuliganów nurtu ortodoksyjnego, z rodzaju tych napakowanych koksem i testosteronem miłośników baseballu i szlachetnych sztuk walki, lecz o – dla pewności funkcjonariusze zerknęli raz jeszcze do notatek – starą wiedźmę w kocu i garbusa ze średnich rozmiarów młyńskim kołem. A to były już co najmniej dwa dobre powody, żeby wykazać mile widziane przez przełożonych zainteresowanie, bez żadnej obawy, że natkną się na ustawkę. Albo, co gorsza, gimnazjalistów.

Przejechali ciemną uliczką raz, intensywnie patrolując z za szyb samochodu. Dotarwszy do wylotu, zawrócili niespiesznie, nabrali tchu, sprawdzili liczebność i uzbrojenie, po czym ruszyli w drogę powrotną, rozglądając się bez większego zaangażowania po obrzeżach parku. Drzewa. Krzaki. Drzewa. Krzaki. Drzewa, tak dla odmiany. I wszędzie ciemno, choć oko wykol, nigdzie zaś śladu ani wiedźmy, ani garbusa, ani młyńskiego koła. Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, interwencji nie będzie. Pomału zaczynali się zastanawiać, jak by tu spędzić tak miło rozpoczętą służbę, kiedy nagle wśród chaszczy nieopodal drogi coś im mignęło. A potem znowu, uparcie, jak gdyby na znak, że

o świętym spokoju i kawie z drive-thru mogą na razie zapomnieć. Stanęli więc na poboczu i po średnio szybkiej konsultacji społecznej wysiedli, celując z latarek w migoczące chaszczę, które poruszały się z osobliwym dynamizmem, szeleściły i... zawodziły?

Najmłodszy stażem członek patrolu, prywatnie wielbiciel psychodelicznego rocka, puzzli 3D, najlepiej również psychodelicznych, i prostującego zwoje mózgowie kina grozy spod znaku rąbarki, nie wytrzymał napięcia i poleciał klasyką.

– Stój, bo strzelam!!! – wrzasnął na całe gardło.

Przekaz wyraźnie trafił do celu, bo chaszczę ucichły i znieruchomiały. Funkcjonariusz poczuł wiatr w żaglach.

– Wyjdź z rękami w górze!

Chaszczę znów zaszeleściły, po czym pomału, walcząc z oporem gałązek, wyłoniły się z nich dwie postacie. Gdyby nie gustowne kalosze, które wystawały spod zadartego skraju spódnicy, kobieta wyglądałaby jak żywcem wzięta z filmu historycznego – w dziwnej sukni i pelerynie, z burzą rozczochranych, wściekle czerwonych loków na głowie, spomiędzy których tu i ówdzie sterczały dyskretnie jakieś zbłąkane listki. W jednej ręce trzymała małą latarenkę. Mężczyźnie natomiast brakowało tylko krótkich spodenek i podkolanówek do kompletu z kapeluszem i średniej długości brodą, żeby mógł robić za żywy eksponat tyrolskiej mody ludowej. Spomiędzy pół kurtki wyzierały kraciasta koszula i szelki.

– Ręce do góry, powiedziałem! – ryknął funkcjonariusz.

Dwie pary rąk wystrzeliły posłusznie w górę, a na ziemię spadły jednocześnie trzy rzeczy – wysłużony skórzany plecak, płócienny woreczek i butelka po winie.

– Zboczeńcy! – stwierdził z niesmakiem jeden policjant.

– Jak już, to raczej namiętni kochankowie otwarci na eksperymenty! – poprawiła go dumnie kobieta.

– A tam, zboczeńcy, zwykle pijaki – prychnął drugi.

– Koneserzy, szanowny panie, koneserzy! – odparł mężczyzna w kraciastej koszuli.

– Nie, to chyba jacyś szataniści – poprawił trzeci policjant, zaglądnąwszy w chaszczę, gdzie płonęło kilkanaście zapachowych

tealightów w latarenkach, ustawionych w skomplikowanej konfiguracji. – Pewnie przyzywali tu jakiegoś Belzebuba czy innego Dumbledore’a.

– Czyli jednak orgia. Na dodatek z trawką! – dorzucił pierwszy, zajrzawszy ostrożnie do woreczka.

– Z dziurawcem!

– Jasne, jasne. I pewnie jeszcze na własne potrzeby. Zgarniamy towarzystwo!

Dziesięć minut później policyjna suka wiozła Kalinę i Pawła Przygodów na najbliższy komisariat.

\*\*\*

Z początku Basia obawiała się, że nikt ich do pani Mili po prostu nie wpuści, zwłaszcza o tej porze. Na szczęście Niedaś, zaciągnięty przemocą przez swojego anioła stróża, kilkakrotnie był już u niej na oddziale, a nazwisko Tupatajkowa, nawet wielokrotnie i twórczo przekręcane, działało cuda bez względu na godzinę i otwierało każde drzwi. Pielęgniarka poprosiła ich tylko o ciszę i zostawiła sam na sam z zastygłą w bezruchu staruszką w bezbarwnej sali.

Siedzieli tak już od paru godzin.

Najpierw mówił do niej Niedaś, potem pałeczkę przejęła Basia i tak na zmianę, raz za razem, próbowali wyrwać najmłodszą siostrę Bolesną ze stuporu. Kilkakrotnie opowiedzieli jej o wszystkim – o przerwanej nici, upiorze, napadach, wyprawach do parku i poszukiwaniach dawnych niemieckich cmentarzy. Wspólnymi siłami wrócili nawet do przeszłości i tamtej nocy, gdy nadciągał front, Renate i Ilse Peters cudem dotarły na Lindenallee, a Matylda Bolesna, wówczas butna i krzepka panna u progu młodości, zleciała ze schodów.

I nic.

Od pewnego czasu pielęgniarka zaglądała do nich coraz częściej, zerkając wymownie na zegarek, lecz twardo nie odstępowali samotnego łóżka zawieszanej gdzieś w innym świetle pani Mili. I nie mieli bladego pojęcia, co dalej począć z tym fantem.

– Już dziesiąta. – Basia bez większych nadziei rzuciła okiem na wyświetlacz komórki. Bartek obiecał, że da im natychmiast znać, jeśli coś dziająca, skrzynka odbiorcza świeciła jednak pustkami. – Ciągłe cisza w eterze. Co robimy?

Niedaś wzruszył ramionami.

– Jedziemy do domu? – dopytywała.

Niedaś milczał uparcie. Basia westchnęła, po czym podeszła do lustra nad umywalką i ściągnęła z głowy beret, żeby poprawić wymykające się spod niego włosy. W ramach profilaktyki śmiercionośnej duchoty w sali panował chłód, jako że na zewnątrz było niewiele na plusie, a kaloryfer, w ramach oszczędności administracyjnych, jeszcze nie zaznał rozkoszy sezonu grzewczego. Kilkoma wprawnymi ruchami wygładziła niesforne kosmyki, parę z nich okiełznała na powrót wsuwką.

– Dobra, zbieramy się, zanim wrócą z tego parku i nas nakryją – zarządziła i sięgnęła z powrotem po beret. – Nic tu po nas. Prędzej nawiążemy kontakt z obcą cywilizacją niż z nią.

– *Hast du ihm verzeihen?*<sup>43</sup>

W pierwszej chwili Basia nie rozumiała, co słyszy, a w drugiej o mało nie zabiła się o własne nogi, rzucając się z powrotem do szpitalnego łóżka. Niedaś dla odmiany zdębiał.

Tak błada, że niemal przezroczysta na tle opieczętowanej szpitalnej pościeli, pani Mila patrzyła na nich żółtymi oczami, w których pomału budziła się świadomość.

– *Hast du?*<sup>44</sup> – spytała raz jeszcze zachrypniętym głosem. Nic dziwnego, po tylu dniach w gardle miała pustynię.

Niedaś i Basia spojrzeli po sobie zmieszani. Tego nie wzięli pod uwagę – przecież żadne z nich nie znało niemieckiego. Kontakt kontaktem, ale jak niby mieli się teraz dogadać ze staruszką, która brała Niedasia za jego pradziadka, bądź co bądź rodowitego Niemca?

– Ryzyk-fizyk, nawijamy! Przecież bardziej się już nie zawiesi, nie? Pani starsza! – Niedaś huknął z przyzwyczajenia, lecz zaraz się opamiętał i zniżył głos, słysząc nad sobą syk Basi. – Pani starsza! Pani wie, jak to jest, po tylu latach w ziemi polskiej z odzysku... yyy... Te ichnie robaczki wysiorbały ze mnie wszystko, co niemieckie. Znaczy

tego... ja już nie szprechen. Nie szprechen! – powtórzył i na wszelki wypadek energicznie pokręcił głową.

Pani Mila w zamyśleniu przesunęła wzrokiem po jasnych włosach Basi. Mijały kolejne sekundy, potem minuty, a ona nic, tylko patrzyła i patrzyła. Niedaś zaczął nerwowo podrygiwać stopą.

– Wróciłeś po mnie?

W ostatniej chwili zdołali się opanować i nie przybili piątki, choć mieli na to naprawdę wielką ochotę. Basia jedynie trąciła Niedasia łokciem, żeby wspomóc jego skupienie.

– W zasadzie to nie. Chociaż... chociaż w zasadzie to tak. Trochę tak. Cholera, pogubiłem się z wrażenia.

– Pogubił się dosłownie – wtrąciła szybko Basia. – Chciałby zaznać spoczynku takiego już bardziej wiecznego, a nie może znaleźć sobie miejsca. Tego spoczynku, w sensie.

– W sensie, znaczy, posiałem gdzieś grób. No i mogiła. Z tym grobem znaczy.

– W sensie.

– Pani starsza, ale tak seryjnie. – Niedaś poprawił się dyskretnie na stołeczku, przerzucając ciężar ciała z jednego zdrętwiałego pośladka na drugi, w nadziei, że odzyska choć odrobinę krążenia. – Pani się teraz skupi, dobra? My musimy znaleźć ten grób, i to dzisiaj. Musimy odstawić dzisiaj te całe chłopy...

– Dziady.

– ...zanim pradzia... znaczy zanim ja znowu komuś zdefasonuję dekiel.

– My wiemy, że to było na cmentarzu przy Steinstrasse – wyjaśniła pospiesznie Basia, bo dostrzegła w oczach starszej pani cień zmieszania. – Ale tego cmentarza już tam nie ma, rozumie pani? Pamięta pani, pani Emilio? Jak podczas oblężenia Festung Breslau Niemcy zaczęli niszczyć nagrobki... – Urwała, wystraszona, widząc, jak pomarszczona twarz krzywi się raptownie i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu błędnie jeszcze bardziej.

– Czy ja pamiętam? – rzekła cichym, zmęczonym głosem pani Mila.

– A czy ja mogłabym zapomnieć o tym wszystkim, co się wtedy działo? – Umilkła na chwilę, na powrót zatapiając się we własnych

myślach. – Jaga raz opowiadała, jak wtedy ciągli tych... tych nieszczęśników na sterty, żeby tam czekali rozkładu. Brali zwykły ręcznik czy kawał innej szmaty, skręcali w taką jakby pętlę i tę pętlę zakładali trupowi na szyję. I tak go wlekli. Ja miałam ze sobą szalik. Zwykły biały szalik, dostałam go na święta od Jagi. Więc zrobiłam z niego pętlę. Dla ciebie... – Urwała i utkwiała wzrok prosto w wielkich oczach Niedasia, aż ten przełknął ślinę. Wystarczyła mała wzmianka o trupach i pętlach, by naraz uświadomił sobie, że to nie do końca są jaja jak berety, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Podszycanie się pod upiornego pradziadka zaczęło go z lekka uwierać, jak... jak ta pętla... na tym tam... gardle.

– I powlokła go pani? – zapytała Basia cichuteńkim głosem.

Staruszka przytaknęła ledwo dostrzegalnie.

– Na cmentarz przy Steinstrasse?

– *Auf Steinstrasse, ja...*

– Niemcy niszczyli wtedy tamtejsze nagrobki, prawda? Na starym Maurycym?

– Tak, tak, właśnie... właśnie tam. – Przy każdym słowie kiwała machinalnie siwą głową, a z każdym ruchem jak gdyby coraz bardziej oddalała się od nich myślami. – Stał tam taki piękny grobowiec z figurą. Jak gdyby... jak gdyby z aniołem. Doprawdy przepiękny...

– Pamięta pani, gdzie dokładnie? – zapytał Niedaś. – Albo chociaż od której strony?

Pani Mila zmarszczyła brwi, sięgając do najgłębszych zakamarków splątanej pamięci, którą z wolna na powrót zasnuwała mgła.

– Niedaleko... niedaleko... – Jej dłoń, drobna, koścista, naznaczona siateczką kruchych naczyń krwionośnych, błędziła wśród załamania szpitalnej pościeli, aż naraz wymacała krawędź łóżka i zacisnęła się na niej zachłannie, jakby tam szukała ratunku.

Albo wsparcia.

– Rany boskie, co pani robi?! – syknęła szeptem przejęta Basia, gdy pani Mila z wyraźnym wysiłkiem zaczęła się dźwigać z łóżka.

Najmłodsza z siostr Bolesnych podniosła głowę i popatrzyła na dziewczynę dziwnie lśniąco żółtymi oczami.

– Zaprowadzę go tam – odparła pewnym, mocnym głosem, na

którego dźwięk przez ułamek sekundy Basia i Nedaś dostrzegli w niej wreszcie tak dobrze im znane odbicie starszych sióstr. – Ten ostatni raz.

## Rozdział 24, w którym robi się cokolwiek tłoczno

Wyjaśnisz mi, o co chodziło z tymi nieszczęsnymi pomarańczami, Salomeo? – Nocną ciszę przerwał naraz głos pani Matyldy.

Salka westchnęła, dyskretnie poprawiając na ramieniu pasek torby, która ciążyła jej coraz bardziej. Taszczyła ją po tych parkowych alejkach i bezdrożach już kolejną godzinę i dałaby sobie rękę uciąć, że z każdym kwadransiem tealighty i latarenki z Ikei ważą coraz więcej i więcej, i więcej. Nie czuła własnego nosa ani uszu, a stopy w kaloszach przemarzły jej na kość, ledwo była w stanie kiwnąć palcem. Poza tym nie mogła się oprzeć wrażeniu, że składa się teraz głównie z pęcherza, rozdętego do granic ludzkiej wytrzymałości zawartością, która chlupała sobie radośnie przy każdym kroku, wywierając tu i ówdzie subtelny nacisk.

Mimo to Salce nawet raz nie przemknęło przez myśl, żeby pisnąć choćby słowem. Pani Matylda, starsza od niej o mizerne sześćdziesiąt lat, znosiła ten przeciągający się w nieskończoność spacer o wiele gorzej niż ona. Coraz ciężiej wspierała się na swojej lasce, a jej krok z każdą minutą zyskiwał na stateczności, jednocześnie tracąc na tempie. A jednak pani Matylda się nie skarżyła, tylko dalej przepatrywała okoliczną ciemność w poszukiwaniu upiora, Salka zaś zastanawiała się, jak by tu jej podsunąć usłużne, choć zdrewniałe z zimna ramię, żeby nie zostało to odebrane jako ciężka obraza majestatu.

– W zasadzie to o nic – odparła. – Znaczy jak tak teraz sobie o tym myślę, bo wtedy... wtedy to było jednak coś.

– A co konkretnie?

Salka wzruszyła ramionami.

– Tak w wielkim skrócie: jak się urodziłam, to były jeszcze lata osiemdziesiąte. W osiedlowym Społem raz na ruski miesiąc rzucali kubańskie pomarańcze albo bułgarskie brzoskwinie. Potem się poprawiło, ale za to w domu czaił się Niedaś, karaluch i egoista. Ile by ich matka czy babcia zdobyły i przytaszczyły do domu, on zawsze



wszystkie zeżarł. Nawet teraz, chociaż pomarańcze to już nie taki znowu rarytas, nawyk Niedasiowi pozostał. Za każdym razem zżera wszystko. Ja muszę obejść się smakiem.

– A rodzice nic?

– A jak pani myśli, kto mu te pomarańcze w dzieciństwie obierał? Pani nic nie rozumie, pani Matyldo. Dla moich rodziców Niedaś to jest święta krowa. Synuś ukochany. Wcielony ideał. Cokolwiek by zrobił, zawsze wzbudza zachwyt, bo przecież jest taki wspaniały, a jeśli rzeczywistość śmie wyglądać inaczej, to tym gorzej dla rzeczywistości. Zresztą sama pani słyszała. Niedasia mogą wsadzić za to, co wyprawia pradziadek, a oni beztrąsko machają na to ręką, bo skoro Niedaś mówi, że to nie on, to cały świat ma obowiązek uwierzyć mu na słowo. I nieważne, jak trudno byłoby wyjaśnić jakiemuś prokuratorowi całą tę hecę z upiorem, ważne, że Niedaś mówi... Mnie tata przez całe liceum powtarzał, że bez matury da się żyć, ważne, żebym nauczyła się pierogi lepić, to chociaż z głodu nie umrę. Za to teraz w kółko roztrząsa, co to będzie, jak genialny Niedaś zrobi doktorat. A ta sierota nawet obiadu w lodówce nie potrafi znaleźć, jak mu się garnek na inną półkę przestawi.

– Po prostu w niego wierzą, Salomeo.

– No to tak trochę jakby bez podstaw.

– Bo też na tym właśnie polega wiara – zauważyła spokojnie pani Matylda. – W przeciwnym razie byłaby wiedzą. Dostrzegasz różnicę? Twoi rodzice są pewni, że sobie w życiu poradzisz. Co prawda wykazujesz wyjątkową skłonność do fizycznych urazów, ale za to masz głowę na karku i mocny kręgosłup. A co do Niedasia... Cóż. W niego pozostaje im tylko wierzyć.

Salka przystanąła, wpatrując się w sylwetkę starszej pani, która majaczyła przed nią w parkowych ciemnościach.

– Tak pani myśli, pani Matyldo?

Pani Bolesna przystanąła i zerknęła na nią przez ramię.

– Nie myślę, Salomeo. Wiem.

Niewiele brakowało, by na te słowa Salka pękła od nieoczekiwanego przyływu radości – choć bardzo możliwe, że to raczej przepelniony pęcherz po raz kolejny dał o sobie znać. Już miała

wyciągnąć rękę, by mimo wszystko ująć panią Matyldę pod ramię, gdy naraz kątem oka dostrzegła, jak tuż obok z ciemności wyłania się z wolna jakaś obca postać – wysoka, mroczna i złowroga.

Dziewczyna znieruchomiała w ułamku sekundy, zdjęta panicznym strachem. W ustach poczuła nieprzyjemnie znajomy smak wody z Odry. Na samo wspomnienie tamtego chłodu i smrodu wstrząsnęły nią dreszcze.

– Wyskakujesz z tej torebki, niunia.

Słyszając niski, bełkotliwy głos, Salka z niewypowiedzianą ulgą wypuściła powietrze z płuc. Chwilę później zobaczyła sugestywny zarys łysej czaszki wieńczącej masywny tors. Kto jak kto, ale Reinhard Peters na pewno nie spędzał czasu w siłowni, szprycując się koksem i pracując nad masą mięśniową między jednym napadem a drugim. Przed nimi stał typowy przedstawiciel klasy wymuszającej – nastawiony może niezbyt przyjaźnie, za to w stu procentach żywy.

– O rany boskie... Chłopie, ale mnie wystraszyłeś! Już myślałam, że to on.

Bysio zamrugał. Pomału, z namysłem. Mimo najszczęśliwszych starań średnio ogarniał wszelkie odstępstwa od scenariusza, więc na wszelki wypadek powtórzył, tym razem z groźnym pomrukiem, za którym kryła się sugestia bólu, cierpienia i takich tam:

– Wyskakujesz, niunia!

– Aha, już się rozpędzam. – Salka prychnęła odruchowo. Krwiożercze upiory protoplastów swoją drogą, ale przed bysiami nigdy nie czuła większego respektu. Być może dlatego, że zwykle znacznie górowała nad nimi wzrostem. Wagą, niestety, też.

Wciąż upojona ulgą, jakiej doznała, nie wzięła jednak pod uwagę potęgi desperacji, wspomaganej tanim alkoholem. Uznawszy, że skoro siła argumentu zawiodła, to należy się powołać na argument siły, bysio sięgnął do tylnej kieszeni i nonszalanckim gestem zdradzającym sporą wprawę zaprezentował młodej damie klasyczną kosę. Choć zapewne poległby na całej linii, gdyby przyszło mu tą samą ręką słowo „nonszalancki” zapisać.

– Dziesięć centów stali w gardziółku, pasi? – wycedził sugestywnie. Dostrzegł, jak na ten widok dziewczyna prostuje się niespokojnie

i przyciska kusząco wypchaną torbę do ciała, i sam uśmiechnął się pokancerowanym przez trądzik półgębkiem. Już nie takim cwaniarom rzędła – kolejne trudne słowo – mina na widok jego wiernej...

Serdeczny cios prosto w krzyż stanowczo zakończył jego intensywne rozważania wewnętrzne. Wierna kosa upadła na ziemię, a w ślad za nią runęło sto kilogramów bysia.

– Metr dębiny w nerkach, pasi? – zapytała chłodno pani Matylda. Trzymała się na bezpieczną odległość od pojękującego i wijącego się z bólu bysia, mocno zaciskając dłoń na niezawodnej dębowej lasce, bardzo ciężkiej i bardzo, bardzo twardej.

Obrzuciwszy starszą panią zamglonym z bólu spojrzeniem, bysio posłuchał ryku pierwotnych instynktów i grzecznie znieruchomiał.

– Jezu... Jezu... sieee...

– Chciałbyś, synu. A teraz lepiej stąd zmykaj, pókim dobra. I módl się, żebyś mi się znowu pod rękę nie nawinał, bo będziesz biedny.

Przecież nie może wiedzieć, powtarzała w myślach Salka, patrząc, jak bysio gramoli się z ziemi i zgięty wpół ucieka, gdzie pieprz rośnie. Przecież nie może wiedzieć, z kim ma do czynienia i co tak naprawdę potrafiłaby z nim zrobić ręka pani Matyldy. Ale z drugiej strony – żeby taki kawał chłopca, z kosą na dodatek, spierniczał przed staruszką, bo machnęła raz ciut solidniejszym kijem...

Spojrzała na panią Matyldę w tym zamyśleniu i naraz przeszył ją dreszcz. W ostatniej chwili zapanowała nad wymęczonym pęcherzem.

Żółte oczy przewiercały ciemność nieustępliwym wzrokiem i zdawały się płonąć tym samym wewnętrznym ogniem co wtedy, gdy Matylda Bolesna pochylała się nad kołowrotkiem w zaciszu willi przy Lipowej. Jedną dłoń wciąż zaciskała na lasce, jeszcze mocniej niż dotąd, lecz drugą trzymała w kieszeni, w której spoczywało pudełko z czerwoną nicią.

– Jest.

– C-cco? – zaszczękała Salka, choć sama nie wiedziała, czy bardziej ze strachu czy z zimna.

– Reinhard Peters. Jest gdzieś tutaj. I to niedaleko.

Bez żadnego słowa czy jakichkolwiek już obiekcji Salka podeszła do starszej pani i mocno chwyciła ją pod ramię.

\*\*\*

Gdy transmitowany zza oceanu mecz koszykówki dobiegł końca, emocje opadły, a ostatnia kropla piwa rzuciła wyzwanie zmaltretowanemu wątrobowi, niejaki Wiktor Rudnicki, gorący orędownik teorii, jakoby cztery trzeźwe koła z zasady były lepsze niż dwie pijane nogi, pożegnał się z kumplami, po czym wsiadł za kierownicę i delikatnymi zakosami ruszył w drogę powrotną do domu. Szło mu całkiem nieźle. Co prawda samochodem bujało niczym łajbą podczas sztormu, ale od krawężników się nie odbijał, znaków drogowych nie kosił, więc w zasadzie żadna służba drogowa nie powinna mieć powodów do narzekań. Zatrzymały go dopiero światła na opustoszałym skrzyżowaniu, wrzucił więc luz i zaczął gmerać niespiesznie przy pokrętle nawiewu, by zrobić coś z zaszronioną przednią szybą. Radio smętnie zawodziło w tle dawno zapomniany przebój.

Okiełznawszy w końcu drania, który zaczął chuchać i dmuchać gorącym powietrzem zamiast arktycznym chłodem, Rudnicki wyprostował się z zadowolonym uśmiechem – i tak już zastygł.

Przed pasami, czekając grzecznie na zielone światło dla pieszych, stało wielkie, kolorowe ptaszysko.

Po paru sekundach kompletnego stuporu Wiktor Rudnicki ośmielił się zamrużyć.

Papuga.

W październiku.

W środku nocy.

Niemal w centrum Wrocławia.

Najprawdziwsza, żółto-niebieska papuga.

Przestępowała z nogi na nogę, raz czy dwa nawet rozprostowała skrzydła i co rusz łypała w stronę sygnalizacji, przekręcając przy tym łebek pod kątem nieosiągalnym dla przeciętnego człowieka w stanie tradycyjnie pojętej żywotności. Wreszcie dla pieszych zapaliło się zielone światło. Papuga zaskrzeczała, po czym podreptała przez pasy na drugą stronę jezdni, w kierunku pobliskiego parku, by po chwili zniknąć w ciemnościach.

Powolutku, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, wciąż oniemiały Wiktor Rudnicki zjechał na pobliską stację, gdzie zaparkował na uboczu, przekreślił kluczyk, wyciągnął go ze stacyjki i schował do kieszeni kurtki. A potem wezwał taksówkę nie tylko z trzeźwymi kołami, ale też trzeźwym kierowcą.

\*\*\*

Bartek dygotał jak osika w podmuchach cyklonu.

Nie czuł nóg, nie czuł rąk, nie czuł też twarzy ani pośladków, zgodnie zdrętwiałych od długotrwałego siedzenia na ławce. Dygotał jednak nie z zimna, ale ze strachu.

Miał wrażenie, że lada moment ogłuchnie albo oszaleje od tego nieustającego zalewu głosów, które szeptały, mówiły i krzyczały jeden przez drugi, odkąd tylko zapłonął pierwszy tealight. Od tamtej pory zdążyli już zużyć zdecydowaną większość zapasów, a pani Jaga wciąż nasłuchiwała. Nasłuchiwała, milczała i paliła papierosa za papierosem.

A wszystko dlatego, że zachciało mu się dziadować. Dusze na tamten świat wysyłać, by zaznały spokoju wiecznego. Tak jak w dawno już zapomnianych przez czytelników książkach, którymi dotąd żył w zaciszu używanego przez profesora gabinetu. I co, może jeszcze zacznie recytować przy tym wiersze na okoliczność? Mickiewicz od siedmiu boleści. Na co mu w ogóle to wszystko, to całe siedzenie, dygotanie, upiorów słuchanie? No na co? Po co mu to? I co takiego niby zrobi, jeśli pradziadek wyskoczy z nienacka zza jakiegoś krzaka i postanowi go zatłuc, jak tamtą dziewczynę z Grunwaldu? Ciśnie w niego kołowrotkiem? Zacznie strzelać cytatami? Odstawi średnią improwizację? Wykończy drania Kajsiewiczem?

No, w zasadzie...

Wtedy pani Jaga poruszyła się niespodziewanie, czym niemal przyprawiła Bartka o stan przedzawałowy. Nachyliła się nad latarenką i bez ceregieli zdmuchnęła płomień tealighta.

W tej samej sekundzie w parku zapadła cisza jak makiem zasiał. Bartek z wrażenia o mało nie osunął się z ławki prosto w błoto

u swych stóp.

– Rany boskie...

– Nie pora na wzdychanie, panie romantyku – ucięła pani Jaga bez litości, zgarniając zużyte tealighty do przepastnej torby. – On tam jest.

Mimo bolesnego odrętwienia Bartek w okamgnieniu poderwał się z ławki.

– On? Znaczy Peters?

– Nie, pan Tadeusz! – sarknęła w odpowiedzi. – Oczywiście, że Peters! Tyłek w troki, kołowrotek pod pachę i ruchy, ruchy, ruchy!

Nie marnując czasu na refleksję, Bartek dźwignął kołowrotek i popędził przez uśpiony park za dziarską panią Jagą.

Już po paru metrach odzyskał czucie i w rękach, i w nogach, i w pośladkach także, a po twarzy znów popłynęły mu strużki potu. Na domiar złego pod żebrami dźgała go kolka. Biegł tak i sapał, dyszał i dmuchał, żar z rozgrzanego mu brzucha buchał, w głowie zaś kłębiły się urywki poezji wszelkiej maści, epok i stylów. Dziwne, co wysiłek fizyczny potrafił zrobić z filologiem.

– Czy... my... naprawdę... musimy... to... taszczyć? – wysapał, dogoniwszy panią Jagę, która przystanęła, by się dobrze rozejrzeć. – Nie... o matko... nie mogliśmy... zostawić go z Salką... i panią... Matyldą... i biegać bez tego?

Pani Jaga pokręciła głową.

– Żeby Petersowi było łatwiej dorwać i nic, i kołowrotek? Błyskotliwe, nie powiem.

– Znaczy... znaczy on... on będzie nas szukał?!

– Oczywiście! Tak jak my czujemy jego, tak on teraz może wyczuć nas. Matyldę i mnie. Nic i kołowrotek. W przeciwnym razie cała ta dziadowska bieranina nie miałaby większego sensu, nie sądzisz?

Bartek wytrzeszczył oczy na starszą panią, mało mu okulary z nosa nie spadły.

– Znaczy... znaczy, że my... robimy za przynętę? Więc to dlatego się rozdzieliliśmy?

– Między innymi dlatego – przyznała pani Jaga bez ociągania. – Cały wic teraz w tym, żebyśmy dorwali Petersa, zanim on dorwie

któreś z nas.

I jak to zwykle w podobnych sytuacjach bywa, dosłownie w tej samej chwili nocną ciszę przerwał rozziewający krzyk. Zdecydowanie kobiecy. I przerażająco znajomy.

– Salka!!! – ryknął Bartek i nie oglądając się na panią Jagę, puścił się szaleńczym pędem przez noc, parkowe zarośla i błoto, z osobliwie lekkim kołowrotkiem w objęciach. Gnał, jakby go pół piekła goniło, przed siebie, na oślep, bo ani ciemność, ani uparcie zaparowane okulary nie ułatwiały sprawy. W duszy Bartka szalały emocje, w głowie przemykały dziadowskie cytaty, a w uszach dudniła krew, więc może dlatego nie słyszał wokół siebie nic poza echem tamtego krzyku – ani szelestu roztrącanych krzaków, ani trzasku gałązek, ani tętentu ciężkich męskich stóp, który zbliżał się do niego co-raz bardziej i bardziej. Aż wreszcie z zarośli po prawej wyskoczyła jakaś postać, nieomal go taranując, i otumaniony umysł filologa wreszcie uwolnił się od Mickiewicza, by zarejestrować to, co z bliska zobaczyły jego oczy. Błada, ściągnięta gniewem twarz. Skrzywione, rozchylone drapieźnie usta. Lśniące złowieszczo spomiędzy nich zęby. I te ciemne, płomieniste oczy.

Bartek z wrażenia wyszedł z siebie i stanął obok.

– Peters, dziadygo!!! – wrzasnął, po czym bez namysłu wziął zamach i z całych sił, jakie naraz w niego wstąpiły, wyrzucił kołowrotkiem w przeciwnika, aż ten nakrył się nogami.

– Jasna cholera, Bartolini!!! Czyś ty oczadział?!

– Matko Boska, zaczekaj! – zakrzyknęła pani Jaga, która wreszcie dopadła Bartka i w ostatniej chwili powstrzymała przed zadaniem z rozpędu kolejnych morderczych ciosów. Ten zastygł w pół ruchu, z rozdziawioną gębą, gapiąc się na domniemanego upiora.

– Nie... Niedość?

– Jasne, że Niedość!!! – odwrzasnął sponiewierany Niedość spomiędzy opadłych liści. – A ty co myślałeś?! Rany boskie, pani starsza, niech mu pani zabierze ten zabytek, zanim mi znów nim przydzwoni!

– Co ty tu robisz? – Ignorując jego obrażenia, pani Jaga natychmiast zażądała wyjaśnień. – Przecież Matylda kazała ci zostać

w domu!

- Siostra się darła, to lecę ją ratować.
  - Z domu lecisz?
  - A nie, stamtąd. – Machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.
  - Czy... czy stamtąd?
  - Rany boskie! A gdzie Basia?
  - Ha! – zakrzyknął Niedaś, podnosząc się energicznie na równe nogi. – Kazałem jej zostać przy dziadowskim grobie razem z...
  - Gdzie?!
  - Przy grobie – powtórzył i wyszczerzył się szeroko. – Przy grobie pradziadka Petersa. Znaleźliśmy drania!
- Wtedy rozległ się kolejny krzyk, tym razem gdzieś bliżej, ale też inny, niższy, bardziej chrapliwy.
- A drań znalazł Matyldę – szepnęła pani Jaga, blednąc śmiertelnie.



## Rozdział 25, w którym bohaterowie zgodnie killują gada, a gad równie zgodnie killuje ich

Rozdarta między pragnieniem rozwinięcia zawrotnej prędkości a potrzebą utrzymania tealighta w latarence mniej więcej w pionie i stanie nieprzerwanego zapłonu, Basia Węgrzyn dreptała w kierunku, z którego niedawno dobiegły obydwaj krzyki. A przynajmniej taką miała nadzieję. Choć w samym środku wielkiego miasta nie mogło być mowy o nieprzeniknionej ciemności, to nocą park Andersa wyglądał zupełnie inaczej niż za dnia. Już sam w sobie przyprawiał ją o gęsią skórę, a co dopiero okraszony wizją krążącego wśród drzew upiora.

Przystanąła, uniosła latarenkę, która szczęśliwie zaplątała się w przepastnym bagażniku mydelniczki, i rozejrzała się bezradnie w poszukiwaniu śladów życia. Najlepiej takiego niezbyt zmartwychwstałego. Owszem, raz już stanowczo załatwiła pradiadka odmownie, co wcale nie znaczyło, że śpieszno jej było do powtórki z tej mocno wątpliwej rozrywki. Z dwóch sobowtórów zdecydowanie wolała w pierwszej kolejności natknąć się na tego młodszego, który – zostawiwszy ją razem z panią Milą pośrodku niczego – od dobrej półgodziny kręcił się gdzieś po okolicy, wyglądając swego niemieckiego protoplasty.

Ponownie usłyszała krzyk, a zaraz potem drugi i trzeci.

– *It has begun...* – wyszeptała. Latarenka zakołysała się lekko w jej dłoni, przypominając o tym, co mówiły siostry Bolesne i pani Kalina, wsparte przez Bartka zestawem stosownych cytatów. Ogień. Żywy ogień. W taką noc jak ta ogień przyciągnie zbłąkaną duszę. Ogień wskaże jej drogę powrotną.

A potem ją zniszczy.

Było jednak coś, co z pewnością przyciągnie Reinharda Petersa lepiej niż jakikolwiek tealight czy inna gromnica, i Basia zamierzała pomachać mu tym przed jego trupim nosem. Z duszą na ramieniu

skierowała się w stronę rozbrzmiewających co rusz krzyków, klucząc między drzewami i napastliwymi krzakami.

Widok, który w końcu ujrzała, sprawił, że na kilka dobrych sekund skamieniała.

To pani Matylda tak krzyczała. Leżała na ziemi, cała brudna, w poszarpanym płaszczu i resztkami sił szamotała się zaciekle z Reinhardem Petersem. Szponiaste palce syczącego wściekłego upióra raz za razem próbowały dosięgnąć jej gardła, kaleczyły dłonie i twarz. Nieodłączna dębowa laska, teraz w postaci niezliczonych odłamków i drzazg, walała się wśród błota i liści w towarzystwie rozsypanych tealightów. Kawałek dalej, pod drzewem, wciąż oszołomiona otrzymanym od przodka ciosem Salka pomału dźwigała się na nogi. Strużki krwi, które ciekły jej z rozbitego nosa, nawet przy tym świetle odcinały się wyraźnie na tle białej jak płótno skóry dziewczyny.

Nigdzie ani śladu Niedasia czy reszty towarzystwa. Czyli znikąd ratunku.

W tej sytuacji Basia mogła zrobić tylko jedno. Zdecydowanym ruchem zerwała beret z głowy.

– Te, Reinhard!!! – rozdarła się piskliwym głosem, który z trudem przecisnął się przez jej zduszoną strachem krtań.



Nie puszczając pani Matyldy, Reinhard Peters błyskawicznie obrócił głowę w kierunku dziewczyny. A ta drżącą ręką pomału uniosła latarnkę na wysokość twarzy, tak by jak na dłoni zobaczył jej długi, jasny warkocz.

– Renate... – z gardła upiora wydobył się ten sam przerażający

szept co wtedy, na Borowskiej, lecz tym razem już zrozumiały, po nim zaś przeciągły dźwięk, ni to syk, ni to warkot, od którego pod Basią prawie ugięły się kolana. Wybór był jednak prosty. Jeśli teraz spietra, dla Salki i pani Matyldy ta noc na pewno nie skończy się na rozbitym nosie.

W ślimaczym tempie cofnęła się o krok, a drugą rękę zapraszającym gestem wyciągnęła do upiora.

– No chodź, gnojku jeden, dupku żołądny ty – wymamrotała pod nosem. – No chodź. – Cofnęła się o kolejny krok. Kolejny. I jeszcze jeden. Pod jej ciężkim glaniem trzasnęła gałąź. – No co tam, Reinhard? Co? Pękasz?

Reinhard Peters wyprostował się i ruszył powoli w jej stronę, porzucając wreszcie umęczoną panią Matyldę. Lecz starsza pani nie opuściła całkiem rąk, wątlých i drżących, tylko dysząc ciężko, wciąż trzymała je przed sobą, jakby czekała na następny atak. A przy tym ani przez moment nie odrywała wzroku od upiora, który sunął w stronę Basi i jej warkocza niczym ćma wabiona przez ogień.

Krok w tył.

Krok w przód.

Krok w tył.

Krok w przód.

Pomału, w zgodnym tempie, jedno za drugim poszli przez park – dziewczyna i upiór, przynęta i nie do końca żywy cel.

\*\*\*

Salka jak zahipnotyzowana wpatrywała się w smugi krwi znaczące jej dłoń, którą dopiero co przejechała pod nosem. Nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie się stało. Pamiętała tylko, że ni stąd, ni zowąd natknęły się na pradziadka, który wyrósł przed nimi jak spod ziemi, cuchnąc potwornie toczącym go rozkładem. Nic dziwnego, przecież mało któremu trupowi służy podobna aktywność. Pamiętała też, że w pewnym momencie skoczyła na pomoc pani Matyldzie. Czy też raczej skoczyła na upiora, tak dosłownie, z dzikim wrzaskiem lądując mu na plecach i z całych sił okładając go pięściami po łbie.

Chwilę potem leżała jak długa pod drzewem, a świat nad jej głową wirował jak wielki, pasiasty bączek w różnych odcieniach mroku, aż dostała mdłości.

Jakimś cudem nie zwymiotowała.

Jakimś cudem nie zemdląca.

Jakimś cudem podniosła się nawet spod tego drzewa, choć najchętniej została tam do wiosny, żeby zobaczyć, co z niej wyrośnie, skromny fiołek czy raczej baobab, i rozejrzała się średnio przytomnym wzrokiem. Pani Matyllda. Pradziadek. I...

Prababcia?

Aż syknęła z bólu, gdy zmarszczyła brwi w zdumieniu. Owszem, oberwała, ale żeby aż tak? Zebrała się w sobie, skupiła i po chwili rozpoznała obuwie ciężkiego kalibru na nogach rzekomej prababci.

– Baśka... – wybełkotała, plując krwią, która napływała jej z rozbitego nosa do ust. – Rany boskie, Baśka...

Bączek zwany światem zawirował raz jeszcze i Salka straciła chwilowo łączność z ciałem. Sekundę potem chwyciły ją silne dłonie, stanowczo odciągając od podłoża, do którego właśnie zmierzała. Zanim się obejrzała, siedziała już z kłębem chusteczek przy twarzy, wsparta o drzewo i kołowrotek, a Bartek z nerwową czułością gładził ją po obolałej głowie.

– Tylko mi tu nie mdlej, dobrze?

Spojrzała na niego wzrokiem bardziej baranim niż cielęcym.

– Bartuś... – wymamrotała wreszcie zza higienicznych hektarów.

– No?

– Chusteczek twoich nie godnam zakrwawiać.

Przyjrząwszy się jej bladej, wymizerowanej twarzy z krwawym kłębowiskiem celulozy chwilowo zamiast nosa, Bartek nie wytrzymał napięcia i parsknął śmiechem.

Za jego plecami pani Jaga pomagała właśnie starszej siostrze pozbierać się dosłownie i w przenośni. Zniecierpliwiona jej zabiegami pani Matyllda prychnęła i pełnym godności ruchem opatuliła się strzępami płaszcza.

– Na litość boską, przecież nic mi nie jest!

– Właśnie widzę...

- Co tam znowu mruczysz pod nosem?
- Jesteś pewna, że dasz radę iść? – zapytała głośniejszą pani Jaga.
- W najgorszym razie popełnę. Przestańże się wreszcie nade mną roztkliwiać, bo ich do świtu nie dogonimy! – Wskazała w ślad za migoczącym coraz dalej między drzewami światełkiem tealighta.
- Dogonimy. – Pani Jaga dalej w skupieniu przyglądała się obrażeniom na twarzy, szyi i rękach starszej siostry. – A może schowasz na chwilę dumę do kieszeni i z braku laski wesprzesz się jednak na mnie?
- Mnie tam bez różnicy. To próchno i to próchno.
- Przypominam, że jesteś ode mnie starsza o całe trzy minuty, Matyldo. A Peters naprawdę mocno cię poturbował.
- Nie jestem ze szkła. Do wesela się zagoi.
- Prędkiej do pogrzebu.
- Słucham?
- Nic, nic. – Pani Jaga obejrzała się przez ramię na Salkę i Bartka, a potem uśmiechnęła blado pod nosem. – Chociaż może z tym weselem to rzeczywiście nie taki najgorszy pomysł.
- Och, litości!
- Tak, tak, wiem, ciepłe kluchy. Ale masz rację, lepiej się pospieszmy. No, bez dyskusji! – Ujęła siostrę mocno pod ramię. Widząc, że się zbierają, Bartek to samo zrobił z Salką, pod drugą pachę wcisnął kołowrotek i we czwórkę pokuśtykali w ślad za oddalającym się światłem Basi.

\*\*\*

Krok za krokiem, krok za krokiem, krok za krokiem...

Pomału.

Byle się nie potknąć.

Nie przewrócić.

Z początku poruszała się klasycznym rakiem, co chwilę zerkając kontrolnie przez ramię, czy przypadkiem zaraz na coś nie wlezie, ale ta metoda kosztowała ją zbyt wiele nerwów. Wciąż nie opuszczało jej nieprzyjemne wrażenie, że wystarczy, by choć na ułamek sekundy

odwróciła wzrok, i coraz bardziej cuchnący śmiercią pradziadek już będzie przy niej, wyciągnie te szponiaste, lodowate ręce i dokończy to, co zaczął wtedy, za pierwszym razem. Dlatego z raka przerzuciła się na kraba i zaczęła iść bokiem, łypiąc to na sunącego jej śladem sinobladego, szczerzącego uzębienie upiora, to na przestrzeń, którą przyszło jej przemierzać krok za krokiem, krok za krokiem, krok za krokiem, i jednocześnie tocząc najdziwniejszą konwersację w swoim życiu:

– *Renate... Wo gehst du hin? Warte auf mich, Renate...*<sup>45</sup>

– No chodź, dziadu jeden, chodź.

– *Wo gehst du hin, Renate?*

– No ruszaj te swoje zgniłe kulasy, a żeby ci tak odpadły.

– *Warte auf mich, Renate!* – warknął, obnażając zęby.

– Renate srate – burknęła i naraz prawie pisnęła z radości, bo gdzieś za posyrującym w kółko te same słowa Petersem dostrzegła jego kopię – równie bladą, wściekłą i skupioną na niej, za to bez tej żądry krwi w ciemnych oczach. No i młodszą o mizerne dziesięciolecie.

Niedaś. Rany boskie, Niedaś!

Po raz pierwszy od wielu koszmarne długich minut odetchnęła głęboko. Może nie zalały jej ani fale, ani spienione bałwany ulgi, raczej zemdliło ją jeszcze bardziej, gdy pełną piersią wciągnęła w płuca ten koszmarne trupi smród, ale przynajmniej przestała się tak trząść. Odrobinę przyspieszyła kroku, bo kątem oka zaczęła wyławiać spomiędzy nocnych cieni znajome elementy krajobrazu. Była tu przecież. I to bardzo niedawno.

Już niedaleko.

Jeszcze tylko parę kroków.

No, może parędziesiąt.

Niedaś chyba pomyślał o tym samym, gdyż skinął pomалу głową, jakby chciał chociaż tak podtrzymać wystraszoną dziewczynę na duchu, dać znać, żeby jeszcze trochę wytrzymała. Wciąż trzymał się kawałek za syczącym upiorem. Byle cicho. Ostrożnie. Bez pośpiechu. Pośpiech mógł ich zgubić.

Zerknęła raz jeszcze za siebie i wreszcie dostrzegła między

zaroślami światło latarki, którą zostawiła pani Mili.

Jeszcze jeden krok.

Drugi.

Trzeci.

Światło prowadziło ją jak po sznurku, jasne i...

Basia odwróciła się z powrotem i zobaczyła, jak na twarzy Niedasia pomału maluje się w pierw niedowierzanie, po nim zaś strach.

...i nieruchome.

Zapalona latarka spoczywała na ziemi.

Pani Mili zniknęła.

Zaskoczona Basia stanęła jak wryta i to w zasadzie wystarczyło. Tak jak się obawiała, ułamek sekundy później Reinhard Peters zaatakował.

\*\*\*

Salka chciała biec. Naprawdę chciała. Ale bączek w jej głowie wciąż wirował, a rozbity nos tętnił bólem i krwią, więc wisiała tak, uczipiona zadyszanego, spoconego Bartka, który ugiął się pod podwójnym ciężarem dziewczyny i kołowrotka. I za nic w świecie nie mogła zmusić ociężałych nóg, by pognały na ratunek krzyczącej wniebogłosy Basi.

Bartek też chciał biec. Chciał cisnąć ten kołowrotek w najbliższe krzaki, ale nie mógł, po prostu nie mógł. W uszach wciąż mu rozbrzmiewały słowa pani Jagi, więc choć trząśł się z wysiłku, ścisnął ustrojstwo pod jedną pachą, usiłując jednocześnie utrzymać w jakim takim pionie słaniającą się na nogach Salkę.

A potem krzyk urwał się gwałtownie. Jakby czyjeś lodowate palce chwyciły za gardło, z którego się dobywał.

– Jezus Maria! – Pani Jaga stanęła jak wryta, zdjeta grozą.

Lecz pani Matylda, uwolniwszy rękę, jako jedyna pokuśtykała dalej i tylko sięgnęła szybko do kieszeni, by zacisnąć powybijane palce na bezcennym pudełku.

– *A verbis ad verbera...*<sup>46</sup> – szepnęła, a potem z błyskiem w oku



huknęła na pozostałych: – Nie stójcie tak, do diaska!!!

Nie bacząc na ból obitego, straszliwie zmęczonego ciała – przede wszystkim starego, kochana, bardzo starego ciała, kpił bezlitosny głosik świadomości gdzieś z tyłu jej głowy – parła przed siebie, w stronę światła, które to zniknęło, to pojawiało się znowu, ale wciąż w tym samym miejscu, jakby... jakby ktoś się przed nim szamotał, co rusz je przesłaniając.

Najpierw pani Matylda zobaczyła pod drzewem Basię. Zastygła w bezruchu i cichą, cichuteńką jak nigdy. Jasny warkocz spoczywał wśród butwiejących liści. Na ten widok serce pani Matyldy zamarło na krótką chwilę.

– Boże, błagam...

Nie! Potem. Najpierw napraw, coś spartoliła. Popłaczesz sobie potem.

Wraz z otrzeźwieniem wróciła stalowa wola. Pani Matylda zmusiła się, by mimo wszystko oderwać wzrok od filigranowej postaci, i wtedy jej uwagę przykuło kłębówisko.

Niedaś Przygoda wił się i miotał zaciekle po ziemi, walcząc z uściskiem bezlitosnych rąk własnego pradziadka i podchodzącą do gardła z powodu straszliwego trupiego smrodu zawartością żołądka. Obnażone zęby upióra lśniły, podobnie jak gorejące czystą, niezmierną nienawiścią oczy, które nie dostrzegały w spurpurowiałej z wysiłku twarzy chłopaka własnego odbicia. Dłoń pani Matyldy bezwiednie wyciągnęła z kieszeni metalowe pudełko, a potem wyłuskała z niego szpulkę czerwonej nici. Wystarczy tylko ogień, jeden żarłoczny płomyk...

I wtedy świadomość uderzyła w nią niczym grom z jasnego nieba – przecież wciąż nie wiedzą najważniejszego. Wciąż nie mają pojęcia, gdzie jest grób Reinharda Petersa. Tutaj? Nie tutaj? Gdzie, na litość boską?...

Basia wiedziała, tyle że leżała teraz tam, pod drzewem – nieprzytomna? Martwa?

Nie! Potem! Skup się, do diaska, skup!

A Niedaś właśnie pomalutku zaczął sinieć.

Pani Matylda przymknęła powieki. W jednej chwili wszystko do

niej dotarło. Miała osiemdziesiąt pięć lat. Osiemdziesiąt pięć bezlitosnych lat. I była zmęczona. Zmęczona, obolała i koszmarnie bezradna. Jak dziecko. Nie, nie jak dziecko – jak stary, uparty, bezsilny człowiek. Mogła tylko bezradnie patrzeć, jak te dzieciaki, głupie, bo głupie, ale dobre, płacą najwyższą cenę za błąd, który ona sama popełniła, gdy ich jeszcze nie było na świecie.

– Boże... – zdążyła tylko szepnąć.

Odpowiedź na jej modły przyszła ekspresowo, lecz nie od Boga, ale od nieco niżej umiejscowionej instancji.

– Killnij gaaada!!!

Niczym karzący grom z jasnego nieba na Reinharda Petersa spadła w swym dziewiczym locie żółto-niebieska błyskawica – niespełna kilogram pierza, ciała i kości, lecz przede wszystkim twardego dzioba i ostrych jak brzytwy pazurów, które bezlitośnie wbiły się w trupie ciało. Upiór zawył wściekle i puścił półżywego Niedasia, próbując oderwać napastnika od twarzy. Lecz to jeszcze bardziej rozwścieczyło Roya Keane'a, unoszonego potęgą srogiego gniewu. Olbrzymie skrzydła młóciły nocne powietrze, szpony zacisnęły się ze zdwojoną mocą, a dziób, pogromca wafelków o smaku śmietankowym, zaczął tłuc w niemiecką czaszkę.

– Matylldo, tutaj.

Jak we śnie Matyllda Bolesna oderwała wzrok od swojej rozszalałej papugi i powoli obróciła głowę w stronę znajomego, ciepłego głosu, od którego o mało nie pękło jej serce.

Unosząc w wątlej dłoni latarenkę z zapalonym tealightem, pani Mila uśmiechnęła się do najstarszej siostry. Nie drżała z zima, chociaż miała gołe nogi, a na sobie tylko szpitalną koszulę, kapcie i kurtkę, ukochaną kurtkę Niedasia, u której wciąż brakowało tego nieszczęsnego guzika.

– Tutaj – powtórzyła spokojnie.

Czas znowu ruszył z kopyta.

Półprzytomna Salka klapnęła ciężko na ziemię, gdy Bartek puścił ją i ostatkiem sił dopadł do pani Mili, by drżącymi rękami rozstawić kołowrotek. Tuż za nim popędziła pani Jaga, furkocząc swoją zawadiacką peleryną.

A potem w ciemności, tak samo jak przed sześćdziesięciu sześciu laty, zalsniły trzy pary żółtych oczu i rozległ się cichy terkot, gdy dłonie tej, co przędzie, rozwinęły nić, dłonie tej, co strzeże, rozciągnęły ją na kołowrotku, a dłonie tej, co przecina, uchyliły drzwiczki latarenki, odsłaniając żywy płomień.

– Wracaj, skąd przyszedłeś.

I zanim ostatnie słowo pani Mili wybrzmiało na dobre, rozległ się łopot bezradnych skrzydeł wraz ze szczerze zdumionym skrzeczeniem, gdy Roy Keane niespodziewanie wylądował na kaszłacym i charczącym Niedasiu, od stóp do głów obsypanym jeszcze ciepłymi prochami Reinharda Petersa.

\*\*\*

Niebo nad Wrocławiem pomału przygotowywało się do nadejścia świtu, gdy na skraju parku Andersa spomiędzy drzew wygramoliła się barwna, acz wyraźnie znękana bezsenną nocą grupa.

Na przodzie dreptał Roy Keane i dumnie prężył kolorową pierś. Tuż za nim człapała rozczochrana Salka, obraz nędzy i rozpaczy, malowany kleksami i smugami zaschniętej krwi. U jej boku, noga za nogą, włókł się Bartek z nieodłącznym kołowrotkiem i twardym postanowieniem zapisania się do jakiejś siłowni. Kawalek dalej szedł Niedaś, przyprószony pradziadkiem i wyszczerzony jak zwykle, troskliwie tuląc do piersi Basię, która sprawiała wrażenie absolutnie rozanielonej, choć trudno powiedzieć, czy przez to tulenie do dzielnej męskiej piersi, czy też chwilowe odcięcie od tlenu, jakie ów pradziadek zafundował jej nie tak znowu dawno. Na koniec, statecznym krokiem, wspierając się nawzajem, szły w milczeniu trzy siostry Bolesne. Wszyscy – no, może z wyjątkiem papugi, która myślała głównie o wafelkach – marzyli tylko o jednym. O kubku gorącej herbaty sączonej w ciepłym, wygodnym łóżku, choćby i takim z kapą haftowaną nieboszczykami. Po minionej nocy było im już w zasadzie wszystko jedno.

Od strony Ślężnej nadciągnął Kamienną jakiś zbłąkany samochód. Na wysokości zmaltretowanego towarzystwa wpierw zwolnił, po

czym ruszył dalej z piskiem opon.

Salka jęknęła cichutko, gdy kolejny zawrót głowy zakreślił okolicznym krajobrazem, i chwyciła się kurtki Bartka.

– Mam nadzieję, że już nigdy, przenigdy nie spotka mnie w życiu żadna przygoda.

– Obawiam się, że z twoim nazwiskiem masz na to mizerne szanse – odparł głucho Bartek. – To jak prowokacja. Pokuszenie. Onomastyczny wabik na ślepy los wraz z całym zastępem przygód, przypadków i przeżyć.

Usłyszawszy jednym uchem coś o pokuszeniu, Niedaś przystanął, marszcząc brwi.

– No dobra, pradziadek poszedł z dymem, wszystko gra i buczy, ale... – Urwał i rozejrzał się na wszystkie strony. – Ale gdzie tak w zasadzie są nasi rodzice?

## Epilog

Pani Mila odeszła trzy dni później, już we własnym łóżku, podczas błęgiego snu, nad którym aż do ostatnich chwil czuwały jej starsze siostry. Pokój pełen nici stał się na powrót zwyczajnym, pustym, trochę zakurzonym pokojem, a nadpalony kołowrotek w końcu rozsypał się ze starości.

Lecz w willi przy Lipowej pięć nawet przez chwilę nie panował spokój.

Znerwicowany ordynator, który doglądał pani Mili do samego końca, bez przerwy wpadał na swojego równie zestresowanego kolegę po fachu, który z kolei pilnował, by pani Matyllda nie forsowała się zbyt i dała choć cień szansy dwóm pękniętym żębrom. Obydwaj co rusz mijali się w progu z rodzinnym weterynarzem, odprężonym, bo doglądającym zaziębionego po intensywnych nocnych spacerach Roya Keane'a. Roy Keane zawsze dzielił się z nim wafelkiem. Weterynarz, jak się okazało, był sąsiadem prokuratora Wołeczki, tym razem przybyłego na wezwanie dawnej profesorki z odsieczą aresztowanym Przygodom, więc mieli parę razy okazję pogawędzić w korytarzu. Wzmiankowani Przygodowie, odzyskawszy wolność, postanowili, że do własnego domu wrócą dopiero po pogrzebie, zainstalowali się więc nieco trwalej w dopiero co zwolnionym przez nici pokoju. Jakby tych wszystkich gości – w kółko wchodzących, wychodzących i przechodzących – było jeszcze mało, pewnego ranka do drzwi nieśmiało zastukał ksiądz.

Salka wpuściła go do domu, zaanonsowała, po czym zostawiła na pastwę pani Matylldy, a sama schowała się w kuchni przed całym tym zgiełkiem. W salonie koczował Niedaś z rodzicami, z którymi dzielił się wspomnieniami spod celi. Pani Jaga nie wychylała nosa ze swojego pokoju, gdzie odreagowywała stres ostatnich dni, polując na aliansów na trzech różnych serwerach. Kuchnia przez większość czasu świeciła więc pustkami.

Z kubkiem herbaty w ręce Salka zmierzała właśnie w stronę

schodów, gdy ujrzała Roya Keane'a przycupniętego jak trusia na balustradzie. Niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w drzwi pokoju, zza których dobiegały stłumione głosy jego pani i najnowszego gościa. Na podłodze nieopodal leżał niedojedzony wafelek.

– A ty co znowu... – zaczęła Salka, marszcząc czoło, lecz wtedy drzwi skrzypnęły i ze słowami pożegnania na ustach w korytarzu stanął ksiądz.

– Jezus Maria!!! – poniosło się po całym domu, gdy Roy Keane dokonał desantu.

Odstawiwszy pospiesznie kubek obok telefonu, Salka pognała na ratunek krzyczącemu księdzu. Zapanowanie nad skrzeczącym kłębowiskiem piór nie przyszło jej łatwo, zwłaszcza gdy jedno z wielkich skrzydeł strzeliło ją prosto w opuchnięty nos. Ale wciąż świeże wspomnienie czaszki pradziadka, oranej papuzimi pazurami niczym pole na wiosnę, szybko przegoniło mroczki. Chwilę potem ze wsparciem przybyła pani Jaga i wprawnym chwytem obezwładniła rozszalałe ptaszysko, jednocześnie przepraszając księdza.

Ksiądz, ku głębokiemu zdumieniu Salki, w odpowiedzi zaczął żarliwie przepraszać papugę, która wciąż na niego posykiwała, łypiąc jednym okiem, po czym zmył się jak niepyszny.

Pani Jaga z westchnieniem pokręciła głową, a potem zaniosiła wciąż wzburzonego Roya Keane'a do pokoju siostry.

– Mógłbyś w końcu biedakowi odpuścić – ofuknęła go, sadzając na zaścielonym łóżku obok ukochanej pani.

Pani Matylda zerknęła na nią przelotnie znad książki.

– Widać uważa, że rachunki jeszcze nie zostały wyrównane.

– Jakie rachunki? – zapytała od progu Salka.

Starsza siostra wzruszyła tylko ramionami, więc ciężar złożenia wyjaśnień w tej kwestii spoczął na barkach młodszej.

– Dawno temu, kiedy nasz ksiądz Górski był jeszcze Górkim Maćkiem, chadzał w krótkich portkach zamiast w kiece i często gęsto spowiadał się przed moją siostrą z nieznamości gramatyki łacińskiej, zdarzyło mu się razem z kolegami po raz pierwszy i ostatni w życiu wykazać bezmyślnością i okrucieństwem. Pech chciał, że

trafiło na Roya Keane'a.

– Który wtedy nie był jeszcze Royem Keane'em, tylko Paproszkiem  
– wtrąciła pani Matylda, nie odrywając wzroku od książki.

– A tak, Paproszkiem – przytaknęła jej siostra.

– Co takiego zrobili?

– Okaleczyli mu skrzydła – odparła sucho pani Matylda. – To dlatego Roy Keane w zasadzie nie lata, jak zapewne zdążyłaś już zauważyć, Salomeo.

– Znalazłyśmy go dopiero po paru dniach, ledwo z tego wyszedł – ciągnęła pani Jaga. – Myślałyśmy z początku, że to może sprawka kota czy psa... I pewnie nigdy byśmy się nie dowiedziały, co właściwie zaszło, gdyby Roy, znaczy Paproszek, nie miał tak silnie rozwiniętego poczucia sprawiedliwości.

– Gdyby nie był mściwym ptaszyskiem. Nazywajmy rzeczy po imieniu, Jaguś.

– Ach! Więc to stąd ten cały Roy Keane! – zakrzyknęła Salka w przypiływie olśnienia. – Od tego piłkarza!

– A ty skąd wiesz, kto to taki? – zdziwiła się najstarsza siostra Bolesna.

– Bartek mnie wtajemniczył.

Pani Jaga zachichotała.

– Przestańże chichotać jak hiena nad padliną, tylko przydad się na coś! – fuknęła na nią siostra.

– Herbaty?

– Herbaty.

Nadal chichocząc pod nosem, pani Jaga pożeglowała do kuchni.

– A ty co? – Pani Matylda obrzuciła przelotnym spojrzeniem Salkę, która wciąż stała w progu pokoju. – Nie idziesz dziś do pracy?

Z ciętą ripostą na samym końcu języka dziewczyna przyjrzała się starszej pani. Zgodnie z lekarskim zaleceniem pani Matylda kolejny dzień nie ruszała się z łóżka. Liczne sińce i zadrapania na jej twarzy i szyi zaczynały już pomалу tracić kolor, mimo to na tle bladej, pomarszczonej skóry robiły wstrząsające wrażenie. Do tego dochodziły jeszcze popękane żebra i wybite palce, które też goiły się pomalutku. Lekarz przy każdej wizycie długo kręcił nad nią głową,

powtarzając, że będzie mogła mówić o wielkim szczęściu, jeśli kości w ogóle się zrosną. Bo w tym wieku... Na to hasło pani Matylda zawsze na niego prychała i obrzucała mrozącym krew w żyłach spojrzeniem, które sugerowało, by lekarz raczej nie ciągnął tego tematu. Tak dla własnego dobra.

Do Salki pomалу jednak docierało, że w tym wieku człowiek nie tylko rzadko kiedy się tak całkiem zrasta po złamaniach czy pęknięciach, ale też zwykle nie biega nocami po parkach, polując na upiory, a przede wszystkim nie rzuca się bez wahania na ratunek dwudziestopięcioletnim siksom, atakowanym przez bysiów czy zmartwychwstałych przodków, mając w dłoni jedynie dębową laskę.

Bez słowa wróciła po swój kubek, po czym usiadła w nogach łóżka, plecami oparta o ścianę. Roy Keane natychmiast wlaźł jej na kolana.

– Praca nie zajac, pani Matyldo.

Pani Matylda nic nie powiedziała, tylko zmierzyła dziewczynę nieodgadniętym wzrokiem, a potem jak gdyby nigdy nic wróciła do lektury.

– Jedno mnie tylko zastanawia – odezwała się Salka po dłuższej chwili milczenia, głaszcząc żółto-niebieskie pióra. – Rozumiem już dlaczego, ale... ale skąd tak w ogóle wziął się ten Roy Keane?

Z początku pani Matylda zdawała się nie słyszeć tego pytania. Lecz potem na jej twarzy pojawił się delikatny rumieniec.

– Był kiedyś... Był kiedyś w moim życiu pewien młody człowiek, wielki wielbiciel... – odchrząknęła – ...Manchesteru United.

– Manchesteru United? – powtórzyła Salka, po mistrzowsku unosząc brew.

Rumieniec przybrał na sile.

– Owszem, Manchesteru United. Przecież nie City, na litość boską!

– No przecież. I ten młody człowiek...?

– Odszedł – odparła krótko pani Matylda. – Jak wszyscy. Ale pasja pozostała.

Salka uśmiechnęła się ciepło, choć nie bez cienia smutku.

– Cóż... No to teraz, gdy już nic nie zakłóca wam fonii, może pani sobie sprawić wreszcie telewizor i oglądać ten swój... Manchester prawie na żywo.



– Istotnie. Teraz już mogę. – Westchnęła, a jej żółte oczy zaszkliły się odrobinę. Już dawno zdążyła pogodzić się z myślą, że nadejdzie kiedyś taka pora, gdy jednej z nich zabraknie, co wcale nie zmieniało faktu, że gdzieś w głębi serca czuła nieznośne ukłucie tęsknoty. Lecz zamiast ronić teraz łzy nad tym, co już utracone, uśmiechnęła się przelotnie do własnych wspomnień, po czym wróciła do rzeczywistości. – A ty, Salomeo?

Dziewczyna zamrugwała, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o czym mówi starsza pani.

– Ja?

– Co zamierzasz począć z tym swoim... Manchesterem?

Teraz i Salka oblała się rumieńcem, a potem obie zaśmiały się cicho.

\*\*\*

Przez dłuższą chwilę prokurator Wołeczko wpatrywał się w wydruk średnio inteligentnym wzrokiem. Kropla za kroplą na jego szczodrze zarysowanym czole zaczął perlić się pot, kiedy raz za razem czytał te same dwa słowa. Wciąż nie odrywając oczu od kartki, sięgnął po słuchawkę, po czym poprosił panią Krysę, żeby go natychmiast połączyła z laboratorium.

– Co to znaczy: „się spopieliała”? – wychrypiął, gdy po drugiej stronie w końcu odezwał się znajomy głos laboranta Ja-kubiaka.

Laborant odchrząknął.

– No... że się. Tak po prostu. Znaczą samoczynnie.

– Ale jak samoczynnie?

– Znaczą bez ingerencji czynników zewnętrznych, ludzkich czy... no, nieludzkich.

Prokurator Wołeczko przełknął ślinę, czując, jak drastycznie spada mu poziom cukru.

– Chcecie... – wychrypiął – ...chcecie mi wmówić, Jakubiak, że pobrana od ofiary próbka materiału biologicznego, dowód w sprawie, tak sama z siebie, bez ingerencji czynników zewnętrznych, się spopieliała? Się? Tak po prostu?

Przez parę sekund na linii panowała cisza.

– No... tak. Właśnie tak. Była próbka, jest popiołek. Całe DNA poszło z dymem, zanim zdążyliśmy je zbadać.

– Jesteście dziś w nastroju do żartów, Jakubiak – warknął prokurator.

– Przprszm... – wymamrotał laborant. – Szefie, pojęcia nie mam, co się stało. Naprawdę. Inne próbki leżą, jak leżały, a tę jedną szlag trafił, i to definitywnie. Ki czort?

Prokurator już otwierał usta, by splunąć ciętą ripostą, gdy naraz przyszedł mu na myśl jeden kandydat na czorta. Murowany pewniak – wiekowy, dystyngowany, o przeszywającym spojrzeniu intensywnie żółtych oczu. Tak, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Te oczy potrafiły obracać dowolny cel w popiół, jak również wniwecz, w gruzy i w perzynę.

Tak, na odległość też.

Zresztą kim był, żeby dyskutować z bądź co bądź fachową ekspertyzą? Się spopielilo, koniec kropka. Przełoży się wnioski końcowe na łacinę, to będzie jeszcze bardziej fachowo i ekspercko, a przy okazji nikt nic z tego nie zrozumie. Prokurator Wołeczko uśmiechnął się pod nosem. I po kłopotcie. No proszę, ta cała łacina bywa jednak przydatna!

Uspokoiwszy Jakubiaka, prokurator Wołeczko wydobył z czeluści biurka zakurzony słownik, po czym z błyskiem w oku i ciasteczką w ustach zabrał się do arcydzieła translacji. Być – *sum, esse, fui*. Popiół – *cinis, cineris...*

\*\*\*

Bartek czekał na nią u szczytu schodów prowadzących do piwnicy. Zamknąwszy księgarnię, Salka przysiadła stopień niżej.

– Przyjdiesz jutro na pogrzeb? – zapytała.

– Oczywiście, że tak. Dostałem dyspensę od promotora. Zaproponował nawet, że zastąpi mnie na zajęciach. W gruncie rzeczy to dobry człowiek, tylko... tylko trochę szalony. I roztrzepany. I... a zresztą nieistotne. A jak starsze panie?

– Cichsze niż zwykle, ale trzymają się. Wiesz, tak sobie myślę, że jak człowiek przekracza osiemdziesiątkę, to już chyba zaczyna się pewnych rzeczy spodziewać. I chyba się z nimi godzi.

– No tak.

Zapadła cisza. W końcu Bartek odchrząknął i sięgnął do plecaka.

– To dla ciebie. – Podał jej niewielką paczuszkę w ozdobnym papierze. – Pomyślałem sobie, że może kiedyś zechcesz ją przeczytać. Ot, choćby z ciekawości, o czym ja w zasadzie popełniam ten doktorat.

Rozerwała niezgrabnie papier, odsłaniając podniszczoną książeczkę ze znajomą beenowską okładką.

– Co prawda nie jest nowa – ciągnął z rozpędu Bartek, jakby bał się, że Salka da nogę, gdy on chociaż spróbuje zaczerpnąć tchu – tylko z antykwariatu, ale zależało mi na tym konkretnym wydaniu. Tekst nie należy do najłatwiejszych, dobre opracowanie naprawdę ułatwia lekturę... temu... no... laikowi. Znaczy komuś, kto się aż tak tym całym romantyzmem nie pasjonuje.

– Juliusz Słowacki, *Sen srebrny...* – Urwała, zapatrzona w jasnobrazowe litery. – *Sen srebrny Salomei*.

Bartek czym prędzej przystąpił do wyjaśnień.

– Bo widzisz, ja to się zawsze śmieję, że mnie te Salomee całe życie prześladują. Moja ukochana babcia miała tak na imię. Pani Słowacka, znaczy, matka Jula, też była Salomea. No... a teraz... teraz jeszcze ty.

Salka zacisnęła zęby i obrzuciła go surowym spojrzeniem.

– No to co cię tak wtedy rozbawiło, co?

– Kiedy? – zdumiał się Bartek.

– W tym twoim przeświętym Ossolineum. Śmiałeś się z moich imion. W dowodzie. I jeszcze wtedy, kiedy Niedaś opowiadał ci o tej przeklętej Komnacie. Wtedy też byłeś wyraźnie rozbawiony.

– Salko, może dlatego, że mnie ogólnie bawi to, co zwykle wygaduje twój brat – odparł łagodnie Bartek, spoglądając na nią z czułością, od której prawie straciła dech w piersi. Mimo to zebrała się w sobie.

– Ale w Ossolineum Niedasia nie było. A mimo to się śmiałeś.

– Salko, uwierz mi, jestem ostatnią osobą, która mogłaby się śmiać

z twojego imienia. I to nie tylko przez twórczość Jula, babcię czy panią Słowacką.

– Pozwolisz, że zacytuję mojego brata. Seryjnie? – Nawet nie próbowała maskować kpiny, która aż tryskała jej z pokancerowanej twarzy wszystkimi porami.

Bartek zaśmiał się w głos, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki po portfel.

– Seryjnie – odparł i podał jej niewielki prostokąt z plastiku.

– Dowód osobisty? Ale na co mi twój... – zaczęła, gdy jej wzrok omiótł zdjęcie i przesunął się na wiersze z imionami i nazwiskiem. – Tokarski Bar... Bar...

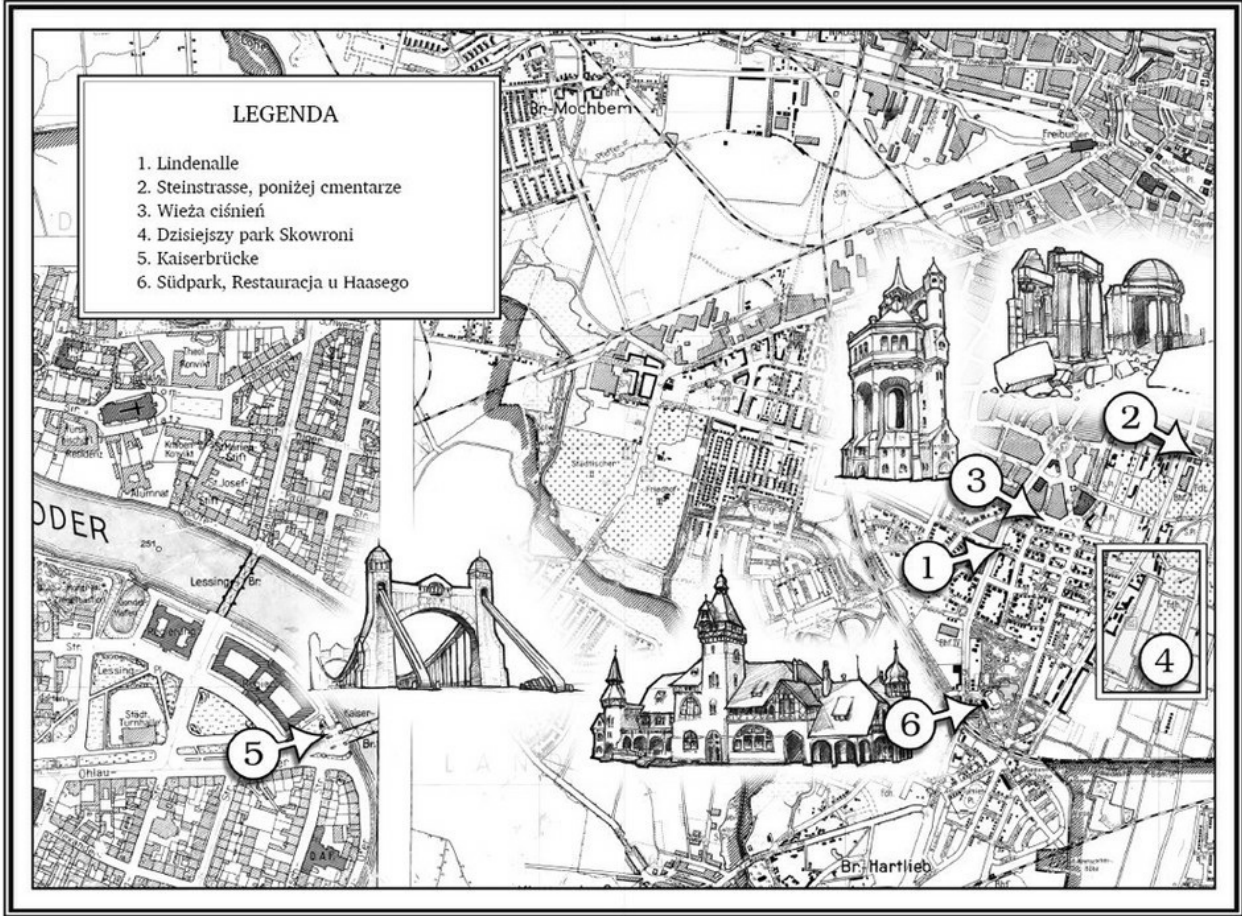
– ...naba – dokończył spokojnie. – Barnaba Stanisław Tokarski. Po pradziadkach.

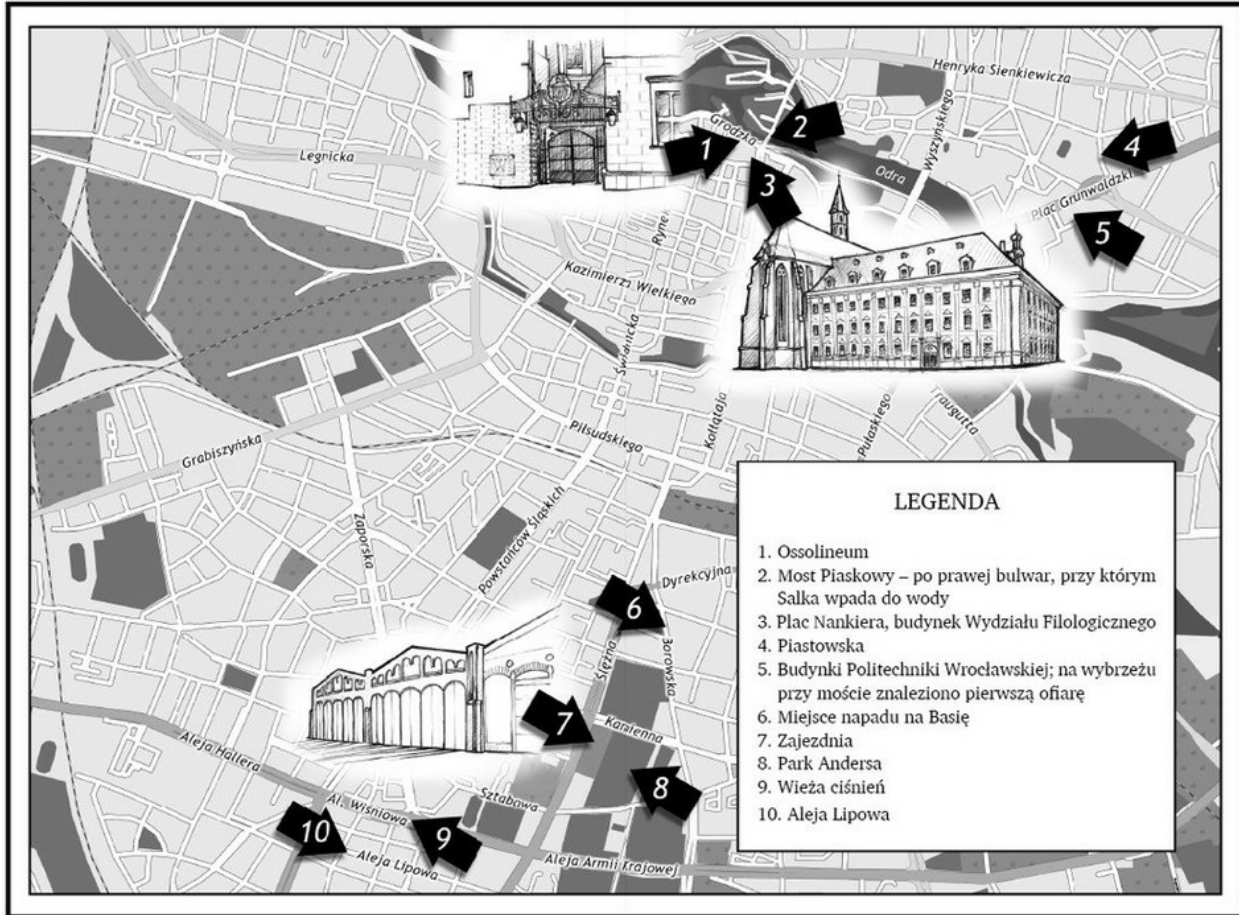
Oniemiała Salka podniosła głowę i popatrzyła na rozpromienioną twarz Bartka. I wtedy wreszcie to, co kłębiło się w niej od miesiąca, dotarło do niej z taką mocą, że nie zdążyła ugryźć się w język i palnęła:

– Dla mnie to mógłbyś być nie tylko Barnabą, ale nawet Barabaszem.

A Bartek zaśmiał się w głos i zrobił to, o czym Salomea Klementyna Przygoda, lat dwadzieścia pięć, marzyła przez całe swoje życie – nie patrząc ani na wciąż spuchnięty, pokancerowany nos, ani na mizerne ślady makijażu, którym bezskutecznie próbowała zamaskować własną twarz, pochylił się i po prostu ją pocałował.

Koniec





### LEGENDA

1. Ossolineum
2. Most Piaskowy – po prawej bulwar, przy którym Salka wpada do wody
3. Plac Nankiera, budynek Wydziału Filologicznego
4. Piastowska
5. Budynek Politechniki Wroclawskiej; na wybrzeżu przy moście znaleziono pierwszą ofiarę
6. Miejsce napadu na Basię
7. Zajeżdźnia
8. Park Andersa
9. Wieża ciśnień
10. Aleja Lipowa

---

<sup>1</sup> Młodość jest czasem nauki, lecz żaden wiek nie jest zbyt późny do podjęcia nauki.

<sup>2</sup> Witaj, idący na śmierć pozdrawiają cię.

<sup>3</sup> Pieniądze nie śmierdzą.

<sup>4</sup> Proszę, proszę, zostaw mnie w spokoju...

<sup>5</sup> Odejdź, proszę, wracaj, skąd przyszedłeś...

<sup>6</sup> ...ja tego nie chciałam, nigdy, przenigdy, prosiłam, błagałam, ale ona mnie nie słuchała, ona mnie nigdy nie słuchała, uwierz mi, ja tego nie chciałam, naprawdę nie chciałam...

<sup>7</sup> Weź to. Weź to. Weź to... i zapomnij.

<sup>8</sup> Przybywa lat, ubywa sił.

<sup>9</sup> Słodki jest sen dla pracującego.

<sup>10</sup> Ps 130,2, *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2003.

<sup>11</sup> „Czyż jestem stróżem brata mego?”, Rdz 4,9, *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2003.

<sup>12</sup> „Złoty pierwszy wiek nastał. / Nie z bojaźni kary, / Z własnej chęci strzeżono i cnoty, i wiary”. Owidiusz, *Metamorfozy*, tłum. Bruno Kiciński.

<sup>13</sup> Co za czasy! Co za obyczaje!

<sup>14</sup> Jest czas na mowę i czas na milczenie.

<sup>15</sup> Z głębokości wołam do Ciebie, Panie, o Panie, słuchaj głosu mego! Nakłoń swoich uszu ku głośnemu błaganiu mojemu! Ps 130,1–2, *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2003.

<sup>16</sup> Otwieraj te drzwi, Ilse Peters! Natychmiast!

<sup>17</sup> Mój Boże... To pani żyje?

<sup>18</sup> Wszystkie trzy żyjemy, Ilse.

<sup>19</sup> Mój Boże... A czy oni... Czy oni wiedzą?

<sup>20</sup> Nie, jeszcze nie.

<sup>21</sup> Mój Boże... Panno Matylde, błagam panią!

<sup>22</sup> Chciałabym się zobaczyć z tymi trzema młodymi damami w ważnej sprawie.

<sup>23</sup> Mamusiu! To mleko! Prawdziwe mleko!

<sup>24</sup> Podziękuj pani, Ilse.

<sup>25</sup> Dziękuję, bardzo pani dziękuję!

<sup>26</sup> ...bezczelna kurwo! Ty... ty polska...

<sup>27</sup> Śmiało, panie gauleiter. Proszę się nie krępować.

<sup>28</sup> Jest pani pewna? Nie ma żadnej nadziei?

<sup>29</sup> Nie, panie gauleiter. W Breslau czeka pana tylko śmierć.

[30](#) A jeśli... jeśli ucieknę z Breslau?

[31](#) Człowiek czasem chce przed czymś uciec, ale nie zawsze mu się to udaje, panie gauleiter.

[32](#) Mamusiu? Co się stało?

[33](#) Nic, kochanie, nic.

[34](#) Nic mi nie jest, Ilse. Jestem tylko zmęczona.

[35](#) Ilse, zostań tutaj.

[36](#) Ale ja chcę iść z mamą! Mamo, proszę! Niech mnie mama tutaj nie zostawia!

[37](#) Chodź, Ilse.

[38](#) Nie było nawet czego pogrzebać... więc on też grobu mieć nie będzie. Jak pies.

[39](#) Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę.

[40](#) Pamięć maleje, jeśli się jej nie ćwiczy.

[41](#) P. Peikert, *Kronika dni oblężenia*, Wrocław 2008.

[42](#) Juliusz Słowacki, *Anhelli*.

[43](#) Wybaczyłaś mu?

[44](#) Wybaczyłaś?

[45](#) Renate? Dokąd idziesz? Zaczekaj na mnie, Renate...

[46](#) Od słów do rękoczynów.



Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redaktor prowadzący: Anna Salwa  
Redakcja: Monika Paulińska, Piotr Chojnacki  
Korekta: Małgorzata Denys, Justyna Techmańska, Adrian Kyć  
Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Ilustracja na okładce na podstawie zdjęcia © Klubovy/E + /Getty Images  
Ilustracje: Katarzyna Babis  
Mapy: Wojciech Nawrot

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-5609-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**virtualo**